ON ZŁAMIE DLA NIEJ
WSZYSTKIE ZASADY,
WIEDZĄC, ŻE ONA
NALEŻY DO INNEGO

BETHANY-KRIS

DRUGI TOM NOWEJ SERII MAFIJNEJ
FILTHY MARCELLOS #2

GIOVANNI

BETHANY-KRIS

GIOVANNI

FILTHY MARCELLOS #2

TŁUMACZENIE

PAWEŁ GRYSZTAR

OŚWIĘCIM 2021

Tytuł oryginału
Giovanni
Copyright © 2016 by Bethany-Kris
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Joanna Tykarska
Korekta:
Justyna Nowak
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-674-4

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Epilog

„Nie jesteś ani lepszy, ani gorszy niż ktokolwiek inny w La Cosa Nostra. Stajesz się mężczyzną. Jesteście teraz równi tak ty, jak i twój ojciec. Nikt nie jest pośród was pierwszy, ani on, ani twoi synowie czy bracia. Wszyscy stanowimy jedność w krwi. Jak już raz staniesz się częścią tego wszystkiego, nie będzie dla ciebie żadnej silniejszej więzi".

- *Thomas DiBella*
Dawny szef, a późniejszy *consigliere* rodziny przestępczej Cosa Nostra Colombo

Dedykacja

D,
Moja muzo… na sposoby, z jakich nawet nie zdajesz sobie sprawy.
Uwielbiam cię i kocham.

Rozdział pierwszy

Życie przypomina grę w blackjacka.

Jak w każdej grze są zasady, gracze, przegrani i wygrani.

Są nowicjusze, którzy wiedzą, że podstawowym celem jest wstrzelić się w magiczną liczbę 21, ale jej nie przekroczyć. Tak naprawdę potrafią jedynie liczyć. Są amatorzy, obserwujący talię w nadziei, że krupier osiągnie limit i da im szansę pójścia na całość. Ci są nieco sprytniejsi. Ważą koszt przegrania kolejnego doboru karty. Wreszcie są profesjonaliści. To gracze, którzy liczą karty i wiedzą, ile których zostało.

To rekiny. Wszyscy pozostali to płotki. Problem w tym, że gdy grasz w blackjacka, nikt tak naprawdę nie wie, kto jest rekinem, aż w końcu jest za późno.

W życiu jest tak samo. Czasami to tylko kwestia szczęścia w dobieraniu i kart znajdujących się na stole. Lepsza ręka daje większe szanse.

Giovanniemu Marcello życie zdecydowanie dało dobrą rękę.

– Stół pełny czy można się dosiąść?

Słodziutki niczym miód, kobiecy głos wyrwał Gio z zamyślenia, sprawiając, że wrócił do gry. Krupier kiwnął głową, sygnalizując, że do siedzącej już przy stoliku trójki może dołączyć kolejny gracz. Długie, zgrabne nogi i sięgające pasa, falujące blond włosy to było pierwsze, co Gio zauważył u młodej kobiety, która wślizgnęła się na obite skórą krzesło obok niego.

Kolejną rzeczą były jej oczy, uderzająco niebieskie i głębią sięgające duszy. Rzęsy miała tak długie, że zakrywały całe jej powieki, gdy strzeliła spojrzeniem ku swojemu nowemu towarzyszowi. Strzeliła całkiem dosłownie. Gio poczuł, jakby nagle ktoś wsadził mu pod język kulkę z waty.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli usiądę obok i zagram? – zapytała kobieta, dodając swój zakład do puli.

Gio pokręcił głową. Wyglądała na młodą. Na pewno pełnoletnią, ale jednak młodą. Mimo to nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać.

– A masz tyle lat, żeby móc grać?

– Właśnie miesiąc temu skończyłam dwadzieścia jeden. Chcesz zobaczyć mój dowód?

– Nie. Wierzę na słowo.

Nieczęsto Gio rozmawiał albo interesował się młodszymi kobietami. Wolał takie mniej więcej w swoim wieku, czyli około dwudziestu pięciu lat. Można było oczekiwać u nich pewnej dojrzałości. Takie kobiety rozumiały już, że nie ma zamiaru się za nimi uganiać, a on z kolei nie chciał, by one uganiały się za nim.

Krupier odsłonił karty dla graczy, a potem rozdał jedną sobie. Ósemka pik, którą dostał Gio, stanowiła lipny początek, ale siedząca obok atrakcyjna blondynka ze swoją trójką kier miała jeszcze gorszy. Do swojej ręki nie przywiązywała jednak żadnej wagi.

– Całkiem przyjemne wesele, czyż nie?

– Pewnie. Sam jednak nie jestem zbyt wielkim fanem wesel – przyznał Gio.

Jego wzrok rozpraszał granatowy jedwab jej sukni. Sięgała kilka centymetrów ponad kolana, co tylko ciągnęło jego oczy bardziej w dół, ku dopasowanym, zamszowym czółenkom z odkrytymi palcami, które oparła o nogi krzesła.

Gio zaczął szukać w zakamarkach umysłu, próbując ustalić, kim jest ta dziewczyna. Wydawała się dziwnie znajoma. Obejrzał ją szybko jeszcze raz. Na jej palcu nie było żadnego pierścionka, który mógłby sygnalizować, że jest zaręczona.

– Ze strony pani czy pana młodego? – zapytał po krótkim namyśle.

– Młodego, jak sądzę. Ze względu na powiązania. Jak chyba większość, nie?

Aaaa, jasne. Tu go miała. Nie było tajemnicą, że świeżo upieczona żona Luciana nie miała możliwości zaproszenia zbyt wielu krewnych, którzy mogliby zjawić się na imprezie. Obejmującą osiemset osób listę gości sporządzono, przykładając do tej kwestii wielką wagę. Organizatorzy wypełnili kościół po brzegi.

– Nie zapytasz mnie o to samo? – powiedział Gio, unosząc brew.

– Wcześniej stałeś obok pana młodego jako jeden z dwóch drużbów, czyż nie?

Cholera.

Tu też go miała. W oczywisty sposób siedziała bliżej ołtarza niż większość gości. Zwykle pierwsze dziesięć rzędów ławek rezerwowano dla rodziny, przyjaciół i gości specjalnych państwa młodych… albo ich syndykatów z Cosa Nostry.

Ewidentnie drinki, które Gio wypił, grając w blackjacka, kiepsko komponowały się z zielskiem, które potajemnie wypalił po ceremonii. Do cholery, wiedział, co jeszcze wydarzy się tego dnia. Oznaczało to, że musi siedzieć spokojnie, uśmiechać się i sprawiać dobre wrażenie. Plan kompletnie do dupy, więc jego umysł wkraczał na niebezpieczne tory nudy. A gdy Gio się nudził, nagle mogło się zrobić całkiem interesująco.

Zachowywać się jak najlepiej – przypomniał sobie.

Szlag, Lucian miał szczęście, że Gio kochał jego głupie dupsko.

Wesela…

Gio wzdrygnął się na samą myśl o tym słowie. Chodziło nie tylko o nie. Wyraz ten tańczył w jego głowie z innymi ważnymi słowami, takimi jak „miłość”, „dzieci” i „na zawsze”. Przebywanie na weselu zdawało się podkreślać, że był singlem i planował nim pozostać jeszcze co najmniej przez jakiś czas.

Jezu, jeśli jeszcze ktoś go zapyta, gdzie jest jego partnerka na ten wieczór, to autentycznie…

– Chyba rzadko się widuje, żeby było dwóch drużbów? – zapytała atrakcyjna blondynka.

– Lucian nie chciał wybierać spomiędzy dwóch swoich braci.

– Panie Marcello?

Krupier czekał, aż Gio się zdecyduje. Nie zastanawiając się zbytnio, wysunął jeden palec na stół, żeby zasygnalizować, że weźmie jedną kartę. Okazało się, że to siódemka karo. Piętnaście na ręce stanowiło gorszy wynik niż do tej pory. Był stanowczo za blisko przekroczenia 21, a pozostałe w talii karty sprawiały, że prawdopodobieństwo też nie działało na jego korzyść.

Niekoniecznie miało to teraz znaczenie. Skupiał się na siedzącej obok niego kobiecie.

– Myślisz, że dokonasz takiego samego wyboru, kiedy przyjdzie twoja kolej? – zapytała.

– Nie.

– Dlaczego? Czyżbyś preferował kogoś z tej dwójki?

Był już zmęczony masą pytań, a jego umysł wciąż starał się ustalić, kim jest ta kobieta, więc dla odmiany sam zapytał:

– Jak masz na imię?

– Przyjaciele mówią mi Kim.

Gio smakował to imię na języku. Po cichu próbował sprawdzić, czy naprawdę pasuje ono do dziewczyny, czy może po prostu skłamała, chcąc zaspokoić jego ciekawość. Właściwie to nie miała powodu, by go okłamywać.

– Po prostu Kim, tak? – zapytał, wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Kim bez nazwiska?

– Na dzisiejszą noc. Jutro znów zostanę tym, kim będę musiała być.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że serce w piersi Gio na ułamek sekundy zamarło. Rozumiał te słowa lepiej, niż mogłoby się jej wydawać.

Gio był „tym trudnym". Czarną owcą. Był samowolny i, przeważnie, uwielbiał to. Zwykle nie miał w zwyczaju zastanawiać się nad tym, co robi, ale był też sprytny jak cholera i potrafił się wykaraskać z większości sytuacji, w jakie się wpakowywał.

Był też nieostrożny, ale nigdy beztroski. Nienajlepsza dychotomia w świecie, w którym każdy musiał być doskonale spójny. Gdzie wszystko musiało zostać od początku do końca wyjaśnione i zrozumiane.

Tylko że to nie pasowało do Gio.

– Rozumiem – powiedział wreszcie.

– Powinieneś być w sali balowej, tańczyć i świętować ze swoim bratem i jego nową żoną – stwierdziła Kim, posyłając mu spojrzenie, które wywołało w nim wewnętrzną walkę.

– Powinienem.

– Tylko że to do ciebie nie pasuje, co?

Gio wzruszył ramionami.

– Coś w tym guście.

– Panie…

Gio znów wysunął jeden palec na stół, przerywając krupierowi i nie zastanawiając się nawet, czy powinien dobrać kartę. Dostał króla trefl, co zdecydowanie przekraczało docelowe 21. Mógł się tego spodziewać. Zapewne powinien był spasować tym ostatnim razem, ale ktoś go rozpraszał.

Im dłużej Gio wpatrywał się w Kim, tym bardziej czuł się pijany. Nie do końca był pewien, co powodowało to odczucie. Brał w swoim życiu rozmaite rodzaje nielegalnych substancji i wypił dość alkoholu, żeby rozpoznać to lekkie oszołomienie połączone z pobudzeniem, kiedy tylko je poczuł. Wystarczyło, że dziewczyna siedziała kawałek od niego, by nerwy się wyczuliły, jakby narkotyk albo alkohol przelewał się wprost od niej do niego.

Działy się jakieś zwariowane rzeczy.

A on chciał wiedzieć dlaczego.

– Proszę pani? – zwrócił się krupier do Kim.

Dopiero wtedy Gio zauważył, co dziewczyna ma na ręce: trójkę i ósemkę. Jedenaście. Jakie kurewskie trzeba było mieć do tego szczęście? Krupier spasował przy siedemnastu – limicie kasyna. Wszyscy pozostali albo spasowali, albo zrezygnowali z doboru, albo przekroczyli 21. Z wyjątkiem Kim. Musiała tylko przebić kasyno. I autentycznie miała na to cholernie dużą szansę.

Kim uśmiechnęła się do Gio. Widok był niemal zbyt niewinny, żeby był prawdziwy.

– Prawdopodobieństwo, że dostanę coś niżej niż piątka, to czterdzieści procent. Pięć, że będzie to szóstka. Pięćdziesiąt pięć, że przebiję kasyno. Jest ryzyko. Dla niektórych to zbyt blisko pół na pół. Jaka by była twoja decyzja, Giovanni?

Skąd znała jego imię?

Nigdy nie wiadomo, kto jest rekinem.

– Dobrałbym kartę.

– Ja również. – Kim skinęła głową do krupiera, by rozdał jej kolejną kartę, i nawet nie mrugnęła okiem, gdy się okazało, że ma jacka. – Proszę zatrzymać mój zakład – powiedziała krupierowi, wzruszając ramionami. – Liczyłam karty. A to nieuczciwie.

Równie łatwo jak wślizgnęła się na krzesło przy stole do blackjacka, wstała i chciała nagle odejść. Gio sięgnął ręką i nawet nie zastanawiając się, co robi, złapał Kim za nadgarstek. Tak samo jak w przypadku wyniku gry, nie wydawała się ani trochę zaskoczona tym, że nie pozwolił jej się oddalić.

Kim, do kurwy nędzy, była ta dziewczyna?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedziała Kim, a ciepło jej skóry przenikało do dłoni Gio niczym narkotyk.

– Które?

– Dlaczego nie zrobisz tego, co twój brat, i nie weźmiesz obu?

– Bo nie zrobię tego wcale – odparł Gio, kierując wzrok na przejście oddzielające salę taneczną od pomieszczenia, gdzie zorganizowano kasyno.

– Wesela czy ślubu?

– Ma to jakieś znaczenie?

Kim znów wzruszyła ramionami.

– Nie.

Gio jakoś w to wątpił.

– Może to po prostu nie w moim stylu, *tesoro*.

Nie umknął mu wyraz zrozumienia, jaki błysnął w jej oku, gdy użył pieszczotliwego słowa, jakim Włosi zwracali się do ukochanej. Czy rozumiała, co ono znaczy? Skarbie. Moja droga. Kochanie. Gio nie zdążył się zastanowić, bo wymsknęło mu się z ust tak łatwo dlatego, że słyszał, jak jego ojciec dzień w dzień mówił tak do ich matki.

– A może nie jestem typem, który by się chciał żenić – dodał.

– A może po prostu nie znalazłeś jeszcze takiej, która by cię poskromiła.

Na jego usta wkradł się uśmiech.

– Zabawa jest nie w poskromieniu, tylko w poskramianiu.

– *Si* – zgodziła się.

Kim wyciągnęła nadgarstek z dłoni Gio, nie mówiąc więcej ani słowa. Nie był całkiem pewien, czy chce, aby tak właśnie zakończyło się ich spotkanie, zważywszy na dziwny pociąg, jaki zaczynał oplatać jego zmysły, i narastające wewnątrz pożądanie. Mimo wszystko odchylił się na oparcie krzesła i obserwował, jak niebieskie czółenka oddalają się od stolika. Kim nawet się nie obejrzała.

Gdy zniknęła w strumieniu ludzi przechodzących z sali tanecznej do kasyna, Gio ponownie odwrócił się do stołu.

– Panie Marcello? – odezwał się krupier, znów zwracając na siebie jego uwagę.

– Uhm? Myślę, że na ten wieczór starczy.

– Nie, proszę pana. Proszę spojrzeć na stół. To było pod jej kartami, gdy je podniosłem.

To mówiąc, mężczyzna podał mu kartę do hotelowego pokoju. Z przodu była nazwa hotelu, wypisana fantazyjną czcionką złotymi, tłoczonymi literami. Znajdował się dokładnie naprzeciwko lokalu, w którym się aktualnie znajdowali. Z tyłu, zaraz nad kodem kreskowym, znalazł piętro i numer pokoju.

Niech to szlag… Właściwie Gio lubił ryzyko.

Czymże było jedno więcej?

– Dziękuję.

Gio włożył kartę do wewnętrznej kieszeni smokingu, a następnie odszedł od stołu. Znalezienie jedynych ludzi w budynku, z którymi musiał się pożegnać, nie zajęło mu wiele czasu. Wstał, przecisnął się przez tłum ludzi na parkiecie, po czym wyłapał wzrokiem swojego starszego brata oraz świeżo upieczoną szwagierkę. Tańczyli. Uśmiechali się. Tak bardzo szczęśliwi.

Gio nie przepadał za weselami, więc przetrwanie całego dnia wymagało od niego mnóstwo cierpliwości, ale dla tej jednej sekundy było warto. Lucian był pełen radości i szczęścia. Zdecydowanie zasłużył sobie na swoją narzeczoną i ciepłe uśmiechy, jakie mu posyłała, ukryta za jego policzkiem.

A sama Jordyn… Była idealną kobietą dla brata Gio. Widział to każdy, kto nie był totalnie ślepy.

– Hej, stary. – Gio nie zauważył, jak Dante zjawia się obok niego, póki środkowy z braci Marcello się nie odezwał. – Gdzie byłeś?

– Przy stoliku do blackjacka.

Dante się zaśmiał.

– Wygrałeś?

– Przez pewien czas się udawało. Potem coś innego przykuło moją uwagę.

– Wychodzisz – stwierdził Dante z nutą rozczarowania w głosie.

Gio wzruszył ramionami.

– To nie jest przyjęcie w moim stylu. Zbierałem się, żeby się pożegnać, ale nie chciałem przeszkadzać.

– Nie pozwól, żeby mama zauważyła, że tak wcześnie się wymykasz, Gio. Dostanie zawału.

Rozejrzał się w tłumie, próbując dostrzec któreś z rodziców. Nie zauważył żadnego. Antony najpewniej przyjmował właśnie gratulacje od kilkunastu mafiosów z całego kraju. To nie byle co, gdy mafijny książę, taki jak Lucian, się ustatkuje, nawet jeśli kobieta nie była powiązana z Cosa Nostrą. Cecelia z kolei najprawdopodobniej zajmowała się rodziną i przyjaciółmi. Oboje rodziców dobrze odgrywało swoje role.

– A gdzie Antony? – spytał Gio.

– Gra w „kto ma większego" z Nunzem Abellą z Vegas. Nie mam pojęcia, dlaczego sobie zawraca tym głowę. Nunz to złamany kutas i nie ma znaczenia ani dla rodziny, ani dla interesów.

– Jak ty obejmiesz przewodzenie rodzinie, to będziesz wiedział dlaczego – odparł Gio. – Chodzi o szacunek. Cosa Nostra Nunza działa na małą skalę, ale w dużej branży. Nic go tak nie wkurwia jak to, gdy zdaje mu się, że Antony go ignoruje. No i zawsze kiedy się spotkają, pojawia się sprawa braku okazanego szacunku. Wychodzi to z Nunza jak krowie gówno. Jest nim tak szczelnie wypełniony, że dziwię się, że jego pierdolone oczka nie są brązowe.

– Tata nie powinien był go zapraszać – wymamrotał Dante.

– Nie mógł go nie zaprosić. Źle by wyglądało zaproszenie rodzin z otoczenia Nunza, jednocześnie pomijając jego. Cholera, zaprosili nawet przywódcę Chicago Outfit i jego żonę, mimo tego całego starcia dwa lata temu. Jak dotąd wciąż tego nie załatwiono. Jak by to świadczyło o Antonym, gdyby zaprosił tych, których wciąż uznaje za wrogów, ale nie osoby, które uważa za naszych przyjaciół, nawet jeśli ten przyjaciel to jebany lachociąg?

Dante kiwnął głową na znak zgody.

– No prawda. Kurwa, szkoda, że taty tu teraz nie ma. Nieźle by się zdziwił, słysząc, jak mówisz o tych wszystkich sprawach, jakbyś naprawdę przykładał do tego wagę.

– Bo przykładam – warknął urażony Gio. – Robię, kurwa, co do mnie należy. Jestem szyprem. Zajmuję się takimi rzeczami.

– Zluzuj. Żartowałem. Chciałem tylko powiedzieć, że dobrze by było, gdyby tata nie musiał się ciągle zamartwiać, że coś spierdolisz.

Gio przewrócił oczami. Ojciec tak bardzo się troskał, że jego rodzina musi się borykać z „biednym, małym Gio i jego nawykami". Potem jednak uśmiechnął się nikczemnie do swojego starszego brata. Wróciła jego wcześniejsza pewność siebie, a wraz z nią pozostałości podniecenia po wcześniejszym spotkaniu z Kim. To jednak zaczynało powoli mijać.

Chciał znów poczuć to pobudzenie.

– Nie mówiłem, że niczego nie spierdoliłem, tylko że ogarniam sprawy.

Wyglądało na to, że Dante nie do końca miał pomysł, jak na to odpowiedzieć. Gio zawsze wiedział, jak zamknąć komuś usta, gdy tylko tego chciał. Nawet swoim braciom.

– Właściwie to możesz mu przerwać – powiedział Dante, skinąwszy głową w kierunku tańczącej pary. – I tak wszyscy to robią przez cały wieczór. Pieniądze, pocałunki i gratulacje. Wiesz, jak to jest.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Gio zauważył ślad obrzydzenia w głosie swojego starszego brata. Dante dość na luzie podchodził do całego tego ślubnego pieprzenia. Może dlatego, że choć na chwilę uwaga wszystkich została odwrócona od niego.

– A kiedy na ciebie przyjdzie pora, co? – zapytał Gio.

Dante nie miał ochoty znajdywać sobie żony i się ustatkowywać. To była dla niego gówniana sytuacja, bo to on był następcą głowy ich mafijnej rodziny. Tyle że zgodnie z zasadami Komisji, aby móc objąć tę funkcję, musiał mieć żonę.

Dante zmarszczył czoło.

– Też sobie zadaję to pytanie. Staram się tym nie zamartwiać. To co? Do zobaczenia jutro!

– Taa, na razie.

Dante zaczął się znów przeciskać przez tłum, machając dwoma palcami na pożegnanie, a tymczasem Gio starał się dotrzeć do najstarszego brata. Lucian zauważył, że się zbliża, i zwolnił w tańcu,

aż w końcu oboje z Jordyn się zatrzymali. Wydawało się, że odgadł również wyraz twarzy Gio.

– Wymykasz się, co? – zapytał Lucian.

Najwyraźniej nietrudno go było rozczytać.

– Taaa, zanim zrobi się zbyt głośno.

– Jedyny hałas, jaki dzisiaj usłyszą, to moje opony piszczące na podjeździe, gdy będę odjeżdżał – odparł Lucian, po czym krótko się zaśmiał. – Sam mam już tego dosyć.

Jordyn żartobliwie pacnęła go w ramię.

– Przestań, Lucian. To był dobry wieczór.

– Tak, *bella*, ale też i długi dzień.

– Nie jesteś na mnie wkurzony, że wychodzę wcześniej? – zapytał Gio.

– Nie. To gdzie się wybierasz w tę noc?

Gio sugestywnie uniósł brew i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tam, gdzie jest piękność z długimi nogami, niebieskimi oczami i blond włosami.

– Świetnie – parsknęła Jordyn. – Jeszcze nam podbiera gości weselnych. Wspaniale.

Lucian wydał z siebie ostrzegawczy dźwięk.

– Uważaj, stary, z kim z tego tłumu dzisiaj wychodzisz. Jest tu mnóstwo twarzy, których my nie znamy, ale tata owszem. Nie narób bałaganu tam, gdzie może chodzić o interesy. To może mieć złe skutki dla ciebie albo rodziny.

Gio machnął ręką. Nie dbał o problemy, jakie wynikną ze spotkania z Kim, gdy już wyjdzie z tego budynku.

– Martw się, żebyś wydostał stąd swoją żonę, Lucian, a nie z kim się dziś będę pieprzył.

– I z tymi optymistycznymi słowami… – warknęła Jordyn, kręcąc głową – …życzymy ci dobrej nocy, Gio.

Uściskał brata, przytrzymując jego rękę o sekundę dłużej niż normalnie.

– *Ti voglio bene*, chłopie. Gratulacje.

Lucian się uśmiechnął.

– *Ti voglio bene*.

Gio był niemal pewien, że kątem oka dostrzegł przy wejściu do budynku błysk błękitu i blond włosów. To był dla niego sygnał, żeby się zbierać, zanim ktoś spróbuje zatrzymać go na rozmowę.

Dwadzieścia minut później Gio stał przed drzwiami prowadzącymi do pokoju hotelowego o numerze zgadzającym się z tym, który widniał na odwrocie karty.

Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien zapukać, czy może po prostu skorzystać z karty. Nie myślał nad tym długo. Kim zostawiła mu klucz, a zatem, według niego, intencja była jasna. Chciała, by go użył. Tak też zrobił.

Gio zamknął drzwi, kiedy tylko wszedł do środka. W słabo oświetlonym pomieszczeniu unosił się zapach jaśminu. Kim siedziała po drugiej stronie pokoju, na ławce przy oknie, którego zasłony były zasunięte. Na jej twarzy spomiędzy woalu włosów przebijał szkarłatny łuk uśmiechu. Nachyliła się, żeby zdjąć czółenka.

– Byłam pewna, że się nie zjawisz – powiedziała, prostując się.

– A to dlaczego?

– Może dlatego, że to ryzykowne.

Gio rzucił kurtkę na fotel stojący w rogu, a Kim odsunęła zamek swojej jedwabnej sukienki. Gdy się obróciła, żeby upewnić się, że dociągnęła go do końca, spod tkaniny wyjrzał kremowy łuk jej talii i kawałek piersi.

– Wstań – zażądał Gio.

Kim bez słowa zrobiła to, a dłonie opuściła tak, że spoczęły na jej biodrach, po czym przeszła przez pokój. Im bardziej się do niego zbliżała, tym mocniej sobie uświadamiał, że jego pierwsza reakcja na dziewczynę była prawdziwa. Sprawiała, że czuł się dziwnie – w dobrym znaczeniu tego słowa.

Pijany bez powodu. Lewitujący w powietrzu.

Poszukiwał tych uczuć od czasu, gdy skończył czternaście lat. Stałych. Ostrych. Niebezpiecznych. Tym razem nie było tak samo. To przyszło natychmiast, ale rozchodziło się powoli. Zagłębiało się równocześnie w żyły, płuca i mózg.

Gio nie był jakimś pierdolonym kretynem. Rozpoznał pociąg, jak tylko go poczuł. Podążał za głosem pożądania, kiedy wyczuwał je też

po drugiej stronie. Ale to… Co to, do kurwy nędzy, miało być?

– Wiedziałaś, jak mam na imię – powiedział Gio, zatrzymując się tuż przed nią. – Skąd?

– Znam twoją rodzinę – odparła Kim. – To wszystko.

Gio przypomniał sobie słowa Luciana ostrzegające go, żeby zachował ostrożność.

– Nie żeby to miało w tej chwili jakieś znaczenie, ale czy jutro będę miał z tego powodu jakieś kłopoty?

Kim zawahała się, ale tylko przez chwilę.

– Raczej nie. Robimy to tylko dla zabawy, prawda?

Przyjął taką odpowiedź. Na razie.

– Jasne. Kto nauczył cię liczyć karty? – zapytał Gio.

Ściągnął z niej sukienkę, opuszczając ją z ramion. Kim go nie powstrzymała, co uznał za znak, że chce, aby kontynuował. Poczuł ustami jedwabiście gładką skórę, zanim ugryzł ją w jędrne, słodkie ciało.

Kim westchnęła, gdy sukienka opadła niżej, aż w końcu zsunęła się na podłogę. Cholera! Jakby ktoś spytał Gio, miała perfekcyjne piersi. Doskonale pasowały do jego dłoni, a sutki natychmiast stwardniały pod wpływem jego dotyku.

– Takie wrażliwe… – wymruczał w jej obojczyk. – Kto cię nauczył liczyć karty? Powiedz.

– Nikt. Tak naprawdę kiepsko radzę sobie z angielskim, ale zupełnie dobrze z matematyką. Liczenie kart to właściwie dość podstawowa sztuczka. W zasadzie to nawet nie było liczenie, tylko kalkulacja prawdopodobieństwa.

Porzucił jej piersi, po czym zjechał dłońmi na płaski brzuch. Poczuł wystający pępek pod kciukiem, zanim skierował się w dół i zagłębiając palce pod czarne, koronkowe majtki, dotarł do słodkiego miejsca między jej udami.

– Zniknij, nim nastanie ranek – powiedziała miękko Kim.

Gio zamarł, patrząc prosto na nią. Szczerość stanowiła najlepsze podejście i założył, że to spotkanie nie będzie inne od poprzednich. Nie miało znaczenia, czy chce poznać tę dziewczynę. Gio nie był na właściwym etapie życia, żeby robić takie rzeczy.

– Zwykle tak właśnie robię, Kim.

Uniosła brwi, a potem przygryzła dolną wargę.

– Nie chodzi o ciebie. Rano nie będę już mogła być po prostu Kim. Dlatego właśnie wtedy nie może cię już tutaj być.

Gio zrozumiał, mimo tego, jak dziwnie to brzmiało.

– Tej nocy bądź, kimkolwiek tylko zechcesz, *tesoro*. Ale mam pytanie.

– Uhm, jakie mianowicie? – zapytała, zaczynając drżeć, gdy jego kciuk zakreślał powolne, leniwe kręgi wokół jej łechtaczki.

– Dlaczego ja?

Jej twarz rozświetlił szelmowski uśmiech.

– W kościele wyglądałeś na znudzonego. Tak samo w czasie kolacji. Wydawało się, że przyjęcie nie jest w twoim stylu. Chciałam sprawdzić, czy potrafię wywołać u ciebie uśmiech.

Gio zaśmiał się mrocznie, rozkoszując się jękami Kim, podczas gdy jego palce wślizgiwały się między jej fałdki.

– Cóż, na pewno ci się to udało.

Rozdział drugi

Kim odkryła, że pod dobrze dopasowanym smokingiem ciało Giovanniego stanowiło płótno, na którym znajdowały się dzieła sztuki. Długie rękawy i kołnierzyk koszuli skrywały kolorowe tatuaże. Na jednym boku był to kruk. Na piersi Matka Boska. Herb rodzinny na ramionach. Wzdłuż lewego ramienia jego nazwisko. Napis *Mea Culpa*, znajdujący się poniżej prawego ucha, był jedynym widocznym tatuażem, kiedy Gio był ubrany.

– Naprawdę w to wierzysz? – zapytała Kim, podążając wzrokiem za wyrazistym, wytłuszczonym napisem wytatuowanym po wewnętrznej stronie ręki Giovanniego. Głosił on: *Non Fidarsi Di Nessuno*, czyli „Nie wolno ufać nikomu".

– Jasne – odparł z zamkniętymi oczami, rozleniwiony. – Tego właśnie mnie nauczono.

Po prawej stronie klatki piersiowej, po włosku, staromodną czcionką wypisano trzy rzeczy:

La Famiglia.

La Cosa Nostra.

Debito D'onore.

Rodzina. Nasza sprawa. Dług honorowy.

Koniuszek jej wypielęgnowanego paznokcia wędrował, śledząc każdą krzywiznę liter kolejnych wyrazów. Jeśli potrzebowała jeszcze jakiegoś potwierdzenia, że był związany ze swoją mafijną familią, to te słowa właśnie nim były.

Nie to, żeby Kim się przejmowała tym, czy jest, czy też nie. Nie był to mafioso, który by ją przerażał. Przeżyła całe swoje życie otoczona tego rodzaju mężczyznami, choć nigdy tak jak teraz. To było igranie z ogniem. I to takim, który sparzy ją po wielekroć.

Giovanni zdawał się nie zwracać uwagi na to przeglądanie tatuaży, bo oparł się o wezgłowie i leżał tak z rozleniwionym uśmiechem. Jednak jego zielone oczy obserwowały ją spod ciemnych rzęs.

Palec wskazujący Kim znów błąkał się po słowach *Debito D'onore*.

– Uważasz, że wiele poświęciłeś dla swojej rodziny? – zapytała delikatnie.

Giovanni spiął się po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do pokoju.

– Większość ludzi pomija moje tatuaże, bo nie rozumieją tego języka i są zbyt wystraszeni, żeby zapytać, co te napisy oznaczają.

– Włoski znam bardzo dobrze.

Oczywiście, że tak. Koniec końców jej rodzina była tak samo włoska jak jego, ale wiedziała, że on tego nie wie. Jej ojciec pod wieloma względami był tradycjonalistą, dumnym ze swoich sycylijskich korzeni.

– No więc? – zapytała ponownie.

Giovanni pochylił głowę, żeby się jej przyjrzeć, a rozanieloną maskę zastąpił kamienny wyraz twarzy.

– Co ty wiesz o rodzinie?

– Rozumiem, że nie powinnam wiedzieć nic.

– No tak – odparł Giovanni cicho, po czym się zaśmiał. – Tu nie chodzi o to, co człowiek już oddał Cosa Nostrze. Rzecz w tym, co rodzina wciąż jest skłonna wziąć.

Jak wszystko, z czego musiał zrezygnować – pomyślała Kim.

Kiedy człowiek już raz w to wszedł, to na amen. Zobowiązania były dożywotnie.

Kim znała zasady rządzące Cosa Nostrą. Słyszała, jak wymieniają je między sobą mężczyźni, którzy przez lata przychodzili i wychodzili z jej domu. Były tak głęboko zakorzenione w kulturze, że większość uważała, że nie trzeba o nich mówić na głos, a jedynie znać i przekazywać.

– Po co wszystkie te pytania na mój temat? – zapytał Giovanni. – Patrząc z perspektywy moich dotychczasowych doświadczeń, jestem pewny, że nie tak przebiegają przygody na jedną noc.

Kim się roześmiała.

– Zapewne nie. Podejrzewam, że jesteś jednym z tych samców alfa, którzy muszą kontrolować absolutnie wszystko.

– Kontrolować? – Giovanni mruknął, jakby był szczerze rozbawiony. – Spróbuj czegoś odwrotnego. Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Nie powiedziałam, że cię znam. Powiedziałam, że znam twoją rodzinę.

I to była prawda. Kim wiedziała o imperium Marcellich tylko tyle, ile zasłyszała od swojego ojca.

– Niech będzie. Tak czy inaczej, nie, nie potrzebuję kontroli. Żyję w chaosie. Jestem najmłodszym z trzech chłopców i nigdy niczego mi nie brakowało. Ludzie, których nawet nie znałem, zawsze patrzyli na mnie jak na kogoś w rodzaju członka rodziny królewskiej. Moje życie jest zwariowane. Czym, do chuja, jest kontrola? Zacznijmy w ogóle od tego, że nigdy jej nie miałem. I nauczyłem się z tym żyć. Pełna kontrola nie daje ani zabawy, ani nie wpędzi cię w tarapaty, *tesoro*.

– Myślę, że mogę o tym wiedzieć to i owo.

Giovanni sięgnął ku niej i ujął za podbródek, unosząc jej twarz w górę, tak by mógł poprowadzić delikatną, słodką ścieżkę pocałunków wzdłuż linii szczęki. Rozkoszując się ciepłem jego ust na swojej skórze, czuła też fałdę blizny na jego dłoni, dotykającą jej policzka. Możliwe, że stanowiła pamiątkę po przysiędze omertà, złożonej jego mafijnej rodzinie.

– Żałujesz tego? – Wydawało się, że jej ciekawość nie ma końca.

– Skąd wiesz, co to w ogóle jest? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Słyszałam rozmowy. Zwykle nacinają dłoń, prawda?

– Niektórzy to samo robią też z wewnętrzną stroną dolnej wargi.

Kim się skuliła.

– Dlaczego?

Prawa dłoń Giovanniego przesunęła się wzdłuż łuku jej talii, do znajdującego się pod prześcieradłem biodra. Bez słowa złapał ją mocno i przeciągnął na siebie. Delikatne ponaglenia jego rąk sprawiły, że rozchyliła uda na tyle, by móc usiąść na nim okrakiem. Bez ostrzeżenia nachylił się, by złączyć jej usta ze swoimi w ostrym pocałunku, który sprawił, że do reszty straciła oddech. Jego kutas, już twardy i naciskający na podbrzusze i łechtaczkę, przesunął się wzdłuż jej szczeliny. Żyły wzdłuż całej jego długości pulsowały, drażniąc łechtaczkę i rozsyłając fale pożądania po całym jej ciele. Znów poczuła ożywienie między udami. Stanowiło to przerażające

przypomnienie, że jej ciało reaguje na Giovanniego praktycznie natychmiastowo.

– Zadajesz zbyt wiele pytań jak na dziewczynę, która chce, żebym do rana zniknął – wymruczał jej w usta. – A ja już odpowiedziałem na zbyt wiele z nich jak na mężczyznę, który ma odejść. Tylko zabawa, tak jak powiedziałaś. Żadnych więcej pytań.

Oszołomiona Kim skinęła głową.

– Jasne, dobrze.

Nie trwało długo, nim znalazł drugie opakowanie, które było wsunięte pod prześcieradło. Kim odsunęła się na tyle, by Giovanni, po raz drugi w ciągu tej nocy, nasunął lateksowy kondom na całą długość swojego nabrzmiałego członka.

Kiedy w nią wszedł, Kim straciła wszelką zdolność racjonalnego myślenia. Uniósł ją i pozwolił, by po prostu opadła na jego kutasa. Jej ciało nie stawiało żadnego oporu temu wtargnięciu. Westchnęła, gdy ją wypełniał, rozchylając wrażliwe fałdki, a jej soki powlekały całą jego długość.

I to jak ją wypełnił! Co za kurewska rozkosz!

Delikatny, rozleniwiony rytm ani trochę nie przypominał ich pierwszego razu wcześniej. Tamten był dziki i ostry. Jego dłonie wplątały się w jej włosy, a jej paznokcie wbijały się w jego szerokie ramiona. Przystawił ją do ściany i sprawił, że w zaledwie kilka minut zaczęła dochodzić, błagając o więcej. Wtedy Giovanni przeniósł ją na łóżko, pochylił i tam też ją zerżnął.

Jasna cholera, Giovanni po prostu ją posiadł. Kim to uwielbiała. Nie miała zbyt wielkich oczekiwań co do tego, jakim się okaże kochankiem, ale koniecznie chciała to sprawdzić. I przekonała się, że jest fantastyczny. Pewny siebie. Świetny. Miał ciało biegacza, mocne jak u boksera. Kim szybko stwierdziła, że po raz pierwszy nie musi kierować. Giovanni sam wiedział, co robić. Rozumiał sygnały, jakie dawało jej ciało, wsłuchiwał się w wydawane przez nią dźwięki i je wykorzystywał. Czuła się, jakby manipulował jej nerwami i zmysłami.

Tym razem jednak to nie on ją brał. To ona brała jego.

Giovanni wydał z siebie niski warkot tuż przy jej policzku, muskając oddechem skórę. Słyszała, jak szeptane przez niego

przekleństwa giną w zagłębieniu jej szyi, gdzie skrywał swoją twarz. Gryzł ją w miejsce, gdzie tętnił puls, a ból kontrastował ze słodką euforią, która rozchodziła się po jej krwiobiegu. Drobna szczecina jego brody pozostawiła po sobie lekkie zadrapania. Nawet koniuszki palców tańczące po jej plecach wywoływały dreszcze i wzniecały iskry.

– Jezu… – wydyszał Giovanni, unosząc głowę, by się jej przyjrzeć. – Jesteś piękna, wiesz? Dosłownie, kurwa, doskonała. Codziennie, Kim. Ktoś powinien ci to mówić każdego jebanego dnia.

Na te słowa po plecach przebiegł jej dreszcz. Wypowiedział je tak swobodnie, że z pewnością naprawdę tak uważał. Prawie chciała, żeby nie mówił jej takich rzeczy. Może coś brzydkiego. Coś, co by jej przypomniało, że ich celem jest pieprzyć się, a potem rozejść, każde w swoją stronę. Wtedy łatwiej by jej było zapomnieć, że pragnienie tego mężczyzny jedynie w niej narasta.

Jego dłonie przesunęły się na jej włosy, palce przebiegały po złotych falach, by w końcu przyciągnąć ją bliżej. Na tyle blisko, że mogła patrzeć, jak jego źrenice się rozszerzają, i to tak, że gdy go ujeżdżała, dookoła nich pozostał jedynie wąski, zielony pierścień. Jej cipkę zalało gorąco, wędrujące w górę, przez brzuch, do piersi przyciśniętych mocno do klatki Giovanniego. Z każdym pchnięciem jego kutasa, jej mięśnie się zaciskały, sprawiając, że oplatała go coraz ciaśniej.

Kim już nie chciała myśleć. Chciała czuć.

I Giovanni jej to dał.

Z własnych doświadczeń i obserwacji w jej otoczeniu, Kim wysnuła wniosek, że mężczyźni mogą być dla kobiety różni. Dobrzy. Źli. Mężczyzna mógł doprowadzić kobietę do szaleństwa na wiele straszliwych sposobów albo sprawić, że rozbłyśnie niczym błyskawica. Mogło to trwać wieczność albo ledwie chwilkę. Mogło nieść gorącą namiętność albo bezbrzeżną nudę. Mógł ją uwielbiać, mógł do niej pasować albo ją tłamsić.

Kiedyś matka powiedziała jej, że kobieta w ciągu pierwszych kilku minut wie, jaki mężczyzna jest i co może zrobić. Jej. Dla niej. Z nią. Kim zawsze w to wierzyła, bo wiedziała, że to prawda, i teraz czuła się winna.

To uczucie wynikało z tego, że na początku traktowała Giovanniego jako wyzwanie. Jak by wyglądał, gdyby na jego twarzy gościł uśmiech, a nie ten znudzony, pozbawiony zainteresowania wyraz, z którym rozglądał się po tamtej sali? Winna, bo kiedy się uśmiechnął, wszystko w nim zapowiadało kłopoty i dobrą zabawę, więc nie mogła już tego tak zostawić. Winna, ponieważ jasno dał do zrozumienia, że jest nieosiągalny. Ale ona również.

Tylko on po prostu tego nie wiedział.

Boże!

Powinna była zostawić Giovanniego Marcello w spokoju.

***

Niczego nie żałuję.

Niedawne słowa Giovanniego nadal kotłowały się z tyłu głowy Kim, mimo że od czasu, gdy się rozstali, minęły dwadzieścia cztery godziny. Czuła się zbyt oszołomiona, by myśleć o czymś więcej.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, był powrót do domu w Vegas.

Tam czekały na nią decyzje.

– Jak dobrze będzie wrócić do domu, nie sądzisz?

Ech.

Gdzie się podziała ta stewardessa z jej winem?

Kim miała nadzieję, że słuchawki iPoda w uszach i odwrócona do okna głowa będą wystarczającym sygnałem dla jej ojca, że nie ma ochoty na pogaduszki. Czy ona kiedykolwiek przyszła z nim porozmawiać? Ledwo się nawzajem tolerowali. Pięć i pół godziny w samolocie z ojcem mogło wystarczyć, żeby któreś z nich przypłaciło to życiem. Kim liczyła na to, że stewardessa przyniesie wino w jakimś plastikowym naczyniu, bo inaczej szansa, że to po jej ojca przyjdzie śmierć, drastycznie wzrośnie.

Nunz Abella może i pomógł swojej żonie w zmajstrowaniu dwójki dzieci, ale na tym kończyły się jego zasługi jako ojca. No, przynajmniej jeśli chodziło o Kim. Nunz uwielbiał jej starszego brata, Cody'ego. Fakt, że przy urodzeniu miał odpowiednie genitalia, na pewno robił różnicę.

Kim westchnęła, gdy ojciec nieco za mocno trącił ją łokciem w ramię.

– Kimberlynn?

Ech, znowu.

Nie znosiła swojego pełnego imienia. Było stanowczo zbyt pretensjonalne.

Gdy znów ją trącił, wyciągnęła słuchawki z uszu.

– Mamie spodobałaby się ceremonia. Kościół był piękny.

Nunz się uśmiechnął. Była to najbardziej autentyczna emocja, jaką Kim u niego widziała przez ostatni tydzień. Wydawało się, że osobowość ojca zmienia się równie często jak stojący przy nim mafiosi… A raczej konkretny mafioso.

– Myślę, że pewnie zakochałaby się w miejscu, które wybrali na przyjęcie – dodała Kim, by zaspokoić potrzebę rozmowy ojca. – Tak czy inaczej na pewno było dostatecznie duże, by pomieścić wszystkich gości.

– Wiem. Ale ta wystawa sztuki była zbyt dobra, żeby ją opuścić.

Kim jęknęła na słowa ojca.

– Miałam na myśli moją matkę, nie twoją żonę. Crystal nie umiałaby niczego docenić, chyba że ktoś by jej to kupił.

– Kimberlynn, okaż trochę szacunku. To moja żona.

O nie.

W tym temacie trudno było przesadzić.

Jej macocha, Crystal, była ohydna. Stanowiła szczególną mieszankę baby traktującej faceta jak bankomat, równocześnie zbyt głupiej, by mieć własne zdanie. Czy może być gorzej? Cóż, ojciec Kim nie odczekał nawet ośmiu miesięcy od chwili, gdy jej matka zmarła w czwartym stadium raka piersi, nim poślubił tę szmatę. Szacunek? Kochanki nie zasługują na szacunek.

Ojciec zmienił temat na jeszcze gorszy.

– Rozmawiałaś z Fr…

– Nie – przerwała mu Kim ostro. – Po co? Ten jeden raz mogłam się znaleźć od niego tak daleko, jak to tylko możliwe. Bóg jeden wie, na jak długo.

– Spytałem tylko, żeby zagaić. Jezu. Twój brat nie dał ci czegoś, żebyś w czasie lotu była miła? Weź jedną, Kimberlynn. A może nawet

kilka.

Jasne. Leki przeciwlękowe stanowiły dokładnie to, czego teraz potrzebowała.

Kim znów odwróciła się do okna, ignorując ojca.

– W czasie przyjęcia szukałem cię po całym kompleksie i nie mogłem znaleźć – powiedział cicho Nunz, nagle zainteresowany swoimi paznokciami. – Chciałem cię przedstawić kilku naszym przyjaciołom. Rzadko się zdarza, by córka znajdowała się w jednym pomieszczeniu z tak wieloma spośród nich jednocześnie. Ale zniknęłaś. – Miał na myśli mafiosów. Kim czytała między wierszami. – Pytanie gdzie, Kimberlynn?

Kim się spięła, ale na szczęście ojciec tego nie zauważył.

– Było za dużo ludzi. Czułam się przytłoczona.

– Twój brat mówił, że widział cię, jak rozmawiałaś z kimś przy stole do blackjacka.

Jebany Cody.

Gnojek miał szczęście, że się nie obróciła i czymś w niego nie rzuciła. Kim kochała swojego brata, ale był zdecydowanie zbyt mocno uczepiony ojca, żeby dostrzec, jakim ten człowiek w istocie był manipulantem. Mając dwadzieścia trzy lata, Cody nadal uważał, że jego ojciec jest cholernym panem wszechświata.

Kim nie tkwiła w iluzji jak jej brat.

– Grałam. A co? – zapytała Kim.

– Tylko grałaś.

– Liczyłam karty, w ramach sztuczki, żeby zabawić ludzi przy stole.

– Wiesz, kochanie, że w Vegas kazaliby ci za to obciąć palce – odparł Nunz, śmiejąc się.

Kim miała świadomość, co może dla człowieka oznaczać przyłapanie go na liczeniu kart w Vegas. Doprawdy, ucięcie palców mogło być lepsze niż zobowiązanie, jakiego po niej teraz oczekiwano. Ojciec niech się buja do piekła i z powrotem za strojenie sobie z tego żartów.

– Było okej. Przez wzgląd na uczciwość pozwoliłam im zatrzymać swój zakład. To było tylko dla zabawy.

– Ale z kimś rozmawiałaś – naciskał Nunz. – Tak mówił twój brat. Nie okłamałby mnie, Kimberlynn.

– Mam dwadzieścia jeden lat. Od kiedy to potrzeba mi przyzwoitki?

Usta Nunza uformowały się w cienką kreskę.

– Doskonale wiesz od kiedy. Nie rób ze mnie idioty, dziewczyno. Mów tu zaraz, z kim rozmawiałaś przy stole.

– To chyba najmłodszy z braci Marcello. Zachowywał się… z szacunkiem.

– Chodzi ci o Giovanniego? – upewnił się Nunz, wzdychając.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to mówią mu Gio. – Za ich plecami zjawił się jej brat.

Świetnie. Wszyscy przysłuchiwali się ich rozmowie.

– Numer jego buta też znasz? – zapytała Kim, nie siląc się nawet na ukrywanie, że jej uwaga ocieka sarkazmem. – A może gdzie chodził na studia? Jego grupę krwi?

– Wzruszające. Ktoś tu chyba potrzebuje tabletki „zgiń-przepadnij-wiedźmo".

– Znasz zasady, Kimberlynn – kontynuował jej ojciec, nie zwracając najmniejszej uwagi na uszczypliwości rodzeństwa. – Musisz teraz uważać na to, jak cię ludzie widzą. Wiele osób przybyło na ten ślub z Vegas. To było wielce niefortunne, że coś nagle wyskoczyło i Franco był w ten weekend zajęty i nie mógł być na miejscu, żeby cię obserwować.

Kim zadrżała. Jej gniew momentalnie stopniał, przemieniając się w pełzający strach. Jej życie zostało zredukowane do bycia niańczonym dzieckiem. Głaskano ją po głowie, jakby była szczeniakiem, gdy zrobiła coś dobrego, a karcąco machano przed oczami palcem, gdy zrobiła coś złego. Jej wartość określano według tego, jak się zachowywała publicznie, a wyrzuty sumienia oceniały to, co robiła prywatnie.

To była tylko głupia pomyłka. Coś, by zaimponować przyjaciołom w swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Skąd mogła wiedzieć, że właścicielem tego właśnie kasyna jest jedna z największych rodzin przestępczych w Vegas?

Co z tego, że liczyła karty w dziesiątkach gier? To było zaledwie kilka z kilkuset tysięcy. Nic w porównaniu z tym, co kasyno zwykle traciło co noc. Prawdopodobnie nikt by nawet tego nie zauważył,

gdyby Franco Sorrento nie rozpoznał jej w kasynie swojego ojca. Obserwował ją całą noc. Kim nie wiedziała, kim jest, ale sprawiało jej przyjemność, że zwraca na nią uwagę.

Węże zawsze są czarujące. A potem skurwysyny duszą ofiarę, zanim ją pożrą.

Kim szybko połapała się, że jej błędy tej nocy nie miały nic wspólnego z pieniędzmi. Jej działania były naznaczone brakiem szacunku. Okradała rodzinę z Cosa Nostry. Żadne przeprosiny nie mogły jej z tego wyratować. Wpływy jej ojca nie miały znaczenia. Nie żeby w ogóle próbował jej pomóc.

– Nie zrobiłam nic złego – powiedziała Kim z twardym wyrazem twarzy. – Zostawiłam go przy stole, tato.

– Dobrze. Tak trzymać. Musisz tylko wytrzymać do końca weekendu. Potem czas na podjęcie decyzji się skończy. – Ojciec się zaśmiał. – Cóż, nie do końca jest to kwestią wyboru, czyż nie?

– To nie jest zabawne – powiedziała cicho Kim. – Nie znoszę tego człowieka.

– Podobno z nienawiści rodzi się namiętność. Może twoje uczucia ulegną zmianie.

Kim poczuła, jak z tyłu języka zbiera jej się żółć. Cuchnęła niemożliwie i smakowała wstydem. W zainteresowaniu Franco Sorrento nie chodziło o to, że liczyła karty, a on to zauważył. Rzecz w tym, że lubił na nią patrzeć. Podobało mu się, że pochodziła z podobnej do niego rodziny, przez co będzie musiała postępować i zachowywać się, jak należy. Podobało mu się to, że nie trzeba jej będzie szkolić.

To było ohydne.

Kim stała przed prostym wyborem. Poślubi Franco albo poniesie konsekwencje, takie jak każdy, kto okrada rodzinę mafijną. Zapłacić za jej błąd będzie musiała nie tylko ona. Ucierpi też cała jej rodzina.

Temat małżeństwa ciążył Franco bardzo mocno. Niedawno skończył dwadzieścia dziewięć lat. La Cosa Nostra była jego życiem, a to oznaczało, że musiał robić wszystko zgodnie z oczekiwaniami ojca. Na ile Kim pojmowała to wszystko, małżeństwo stanowiło właśnie jedno z nich. Kim wiedziała, że Franco nie był

zainteresowany prawdziwym związkiem, tylko takim, w którym będzie mógł manipulować i kontrolować.

Chciał jedynie dobrze wytresowanej lalki. Ładnej, ale mało się odzywającej buźki. Ciała w łóżku, którego będzie używał, kiedy tylko poczuje taką potrzebę, i odpowiednią figurantkę u swego boku, potrzebną do rozmaitych, koniecznych funkcji.

Franco był dla Kim odpychający. Dobry wygląd, bogactwo i koneksje nic nie znaczyły wobec faktu, jak okropnym był mężczyzną. Teraz to nie miało znaczenia. Kim nie miała już wyboru. Jej czas na jego dokonanie się skończył.

Rozdział trzeci

Gio doskonale pamiętał pierwszy raz, gdy po jego ciele rozszedł się narkotyk. Nie był to błąd ani nawet wybór buntowniczego nastolatka. Nie, powód był inny. Wokół niego pełno było okazji, by ulec złym wpływom, ale narkotyki… Na nie zdecydował się, bo po prostu tego chciał. Głównie z ciekawości. Potem zażywał, by zaspokoić własne potrzeby.

Najpierw spróbował zioła. Szybko się zorientował, że nie podoba mu się przymulający efekt, jaki wywoływało. On wolał być na wyżynach. Wysoko latać. Wysoko się wdrapywać. Nie miało większego znaczenia, jak te wyżyny osiągał, o ile sprawiało to, że jego nadpobudliwy umysł śpiewał.

Zdarzyło się, że zaraz po swoich szesnastych urodzinach, Gio odkrył, że jego ojciec, Antony, dowiedział się o nadużywaniu przez syna substancji psychotropowych. Podejrzewał, że to za sprawą któregoś ze starszych braci ojciec nabrał podejrzeń, a w końcu przyłapał go na gorącym uczynku. Mając za ojca szefa mafii, nie miało się zbyt dużej swobody w dokonywaniu niebezpiecznych wyborów.

– Jesteś gotowy, Skip? – zapytał Craig, wyrywając go z rozmyślań.

Gio wepchnął w usta podany mu ochraniacz na zęby i uśmiechnął się w odpowiedzi. Było zaledwie kilka rzeczy, które w życiu sprawiały mu autentyczną przyjemność: pieprzenie, walka, sprzedawanie narkotyków na ulicach, strzelanie i bycie skiperem. *Capo* w Cosa Nostrze jego ojca.

Ostatnio miał sporo na głowie. Po ślubie Luciana, który odbył się trzy miesiące temu, priorytety wszystkich uległy przesunięciu. Znów pojawiły się pytania i oczekiwania. Cecelia, jego matka, chciała, żeby się ustatkował. Ojciec pragnął, żeby stał się bardziej zrównoważony. Wszyscy się martwili. I to nieustannie, co stawało się nieznośne.

Gio to kontrolował, do kurwy nędzy! Potrafił się kontrolować w trakcie zażywania. Panował nad sobą. Wszystko z nim było w porządku. Naprawdę. Jego życie było dobre w tej właśnie postaci, jaką przybrało. Tylko jakoś nikt inny nie potrafił tego dostrzec.

Gdzieś z tyłu głowy, gdy był trzeźwy, Gio wyraźnie czuł wibracje, jakie trzy miesiące wcześniej piękna blondynka pozostawiła w jego żyłach. To była jedyna rzecz, nad którą nie lubił zbytnio się rozwodzić. Jeszcze nie udało mu się odtworzyć tego naturalnego odczucia, które w nim wywoływała.

Zorganizowana na szybko walka bokserska stanowiła dokładnie to, czego Gio potrzebował, żeby jego głowa wróciła do gry, zanim nadejdzie kolejny tydzień. Spotkanie Komisji ze wszystkimi większymi rodami przestępczymi mogło przyprawić człowieka o migrenę. W najlepszym razie.

– Skip? – zapytał Craig przez zęby. – Gotów?

Chryste panie!

Przecież zawsze był.

Gio nakręcał się od ciosu i dragów, konkretnie Molly, którą zażył wcześniej.

Taaak, był gotowy jak cholera.

***

– Czy mama nie zatrudniła ci przypadkiem sprzątaczki?

Ostatnią osobą, którą Gio chciał usłyszeć w niedzielny poranek, był jego starszy brat. Czy potworny ból głowy nie był wystarczającą karą za to, co wyprawiał ze swoim ciałem poprzedniej nocy?

Najwyraźniej nie.

– Poważnie, masz tu bajzel, jakich mało – powiedział Dante.

Kiedy tylko skończył mówić, coś zaszurało po podłodze. Dante kopnął przedmiot, który przeleciał przez pokój. Nic bardziej nie wkurwiało Gio niż to, jak ludzie ruszali jego rzeczy.

– Nie dotykaj mojego gówna.

– Z tym „gównem” to przynajmniej ująłeś sprawę, jak należy.

Gio otworzył oko i natychmiast tego pożałował. Jego głowę przeszył ból jeszcze gorszy niż wcześniej. Jęknął, po czym skrył się

z powrotem pod koc i obrócił na kanapie, próbując znowu zasnąć.

– Nie powinienem był ci dawać kluczy.

Dante parsknął.

– Mówisz, jakby ich brak mógł mnie powstrzymać przed dostaniem się do środka, jeśli tylko bym zechciał.

Gio właśnie znienawidził swojego brata nieco bardziej, bo wiedział, że to prawda.

– Wynoś się z mojego mieszkania.

– Nie mogę.

– Dlaczego, kurwa, nie? – warknął Gio.

– Bo jest niedziela.

– Mam świadomość, jaki jest dzień. No i?

– Kościół, chłopie. W tym tempie spóźnimy się na mszę z pół godziny. Jeśli nie będziesz siedział w ławce, Gio, mama zleje ci dupsko.

Gio zmarszczył czoło pod kocem.

– Czy ona nie czyta tych cholernych papierów?

– Hmm?

– Papież ekskomunikował mafiosów, Dante.

Gio nie mógł się doczekać, aż w niedzielę wyśpi się za wszystkie czasy. Dla jego rodziny bycie katolikami oznaczało religijność, a także wizerunek, jaki zapewniała ona publicznie. Byli dobrymi, bogobojnymi ludźmi. W żadnym razie nie rodziną przestępczą Marcello w ramach Cosa Nostry, która żelazną ręką dzierżyła sześćdziesiąt procent Nowego Jorku.

– Powtarza sobie, że to się nie odnosi do nas – odparł Dante nonszalancko.

To beztroskie, radosne nastawienie jego brata sprawiało, że Gio miał ochotę wyciągnąć rękę i walnąć Dantego prosto w jaja. Nikt nie powinien być tak zadowolony w jebany niedzielny poranek.

– Jezusie, braciszku. – Dante zdarł z niego koc. – Coś ty sobie zrobił?

Gio zmrużył oczy, pragnąc całym sercem, by światło znów zniknęło, a w zamian by wróciła mu pamięć. Nic nie przychodziło mu do głowy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mama cię zakatrupi – dodał Dante jakby po namyśle.

– Za co? Za spanie?

– Nie. Za to podbite oko i rozciętą wargę. Za pójście do kościoła, wyglądając, jakbyś zaliczył kilka rund w ringu, i co najmniej tak samo śmierdząc.

Gio znów jęknął, przypominając sobie wreszcie mecz bokserski późno w nocy, na sali treningowej, i poprzedzającą go imprezę.

– Nie pomyślałem, że będę szedł na mszę.

– Gdzie Cain? – zapytał Dante.

Cain, wierny rottweiler Gio i równocześnie kochający go całym sercem towarzysz, był jedyną istotą, która mogła skłonić najmłodszego Marcellego do ruszenia się z łóżka. Dzień dzisiejszy nie stanowił tu wyjątku mimo potwornego kaca.

Gio gwizdnął, siadając na kanapie. Przejechał palcami po swoich ciemnobrązowych, krótkich włosach, na których wyczuwał resztki potu i ślady walki. Obrzydliwie – tak właśnie się czuł. Zdecydowanie potrzebował prysznica.

Niecałe dwie sekundy później czarnobrązowy kształt usiadł na podłodze obok Gio. Cain chuchnął gorącym oddechem. Wielkie, czarne oczy wpatrywały się w swojego pana wyczekująco. Gio był niemal pewien, że za tym spojrzeniem kryło się lekkie poczucie winy. Jego zdaniem ten rottweiler był inny niż jakikolwiek pies, czy zwierzę w ogóle, jakiego Gio w życiu spotkał. Nosił swoje serce na umięśnionej, owłosionej łapie. Jasne, kiedy Gio tego chciał, potrafił być też ostrym skurwysynem, ale ogólnie Cain był jak duże dziecko.

– Znów, kurwa, spałeś w moim łóżku, nie?

Cain sapnął w odpowiedzi, pakując nos w dżinsy Gio.

– Pewnie pachną tak samo jak ty, sukinkocie.

Dante parsknął pod nosem.

– Przynajmniej on twojego gówna nie zrujnuje.

Na razie.

Tylko kwestią czasu było, zanim pies zacznie domagać się uwagi swojego pana w bardziej destrukcyjny sposób.

– Jeśli nie podniesiesz swojej dupy z kanapy i nie ogarniesz się do mszy, to wpakujesz się w jeszcze większe gówno niż to, w którym siedzisz teraz – ostrzegł Dante.

Kurwa, co za dzień.

***

– Nie bądź taka nadopiekuńcza – burknął Gio, odsuwając się przed mokrym kciukiem swojej rodzicielki. O co chodziło z włoskimi matkami i ich dziećmi? Nieważne, czy masz cztery czy czterdzieści lat, zawsze traktują cię jak dziecko. Nie miał pojęcia, jak jego bracia radzą sobie z tym nonsensem. – Nic mi nie jest, mamo.

Cecelia Marcello cmoknęła karcąco.

– Przestań, Giovanni. Twoje nieszczęsne oko potrzebuje lodu. Jaką bym była matką, gdybym się nie martwiła. *Buon Dio*, czy ty nie możesz się trzymać z dala od kłopotów choć przez jeden dzień?

Nie.

Kurwa. Chciał, żeby wreszcie opuściły go te cholerne mdłości. Przetrwanie kościoła bez wymiotowania graniczyło z cudem. Narkotyki i cios w głowę nie za dobrze się komponowały z destylatami, jakie wlewał w siebie po walce. Gio doskonale wiedział, że tego kurestwa nie miesza się z alkoholem.

Kontrola – powiedział sobie w myślach. Miał to gówno pod kontrolą.

– Nic mi nie jest – powtórzył, gdy Cecelia znów polizała kciuk, żeby wytrzeć mu kość policzkową. Poważnie, to było obrzydliwe.

– Naprawdę? Bo przybrałeś tak zielony kolor, że…

– Giovanni David Marcello!

Opanował się, by się nie wzdrygnąć na dźwięk swojego pełnego imienia wypowiedzianego przez ojca. Znajdowali się w miejscu publicznym – na schodach przed głównym wejściem do kościoła – a rodziciel raczej nie miał zamiaru zrobić mu awantury przy wszystkich tych bogobojnych ludziach. Jak by nie było, widywali ich co niedziela, a Marcellowie mieli reputację, którą należało podtrzymywać.

Gdy jednak zostaną sami, sprawa będzie się przedstawiać diametralnie inaczej.

Kurwa.

Dante skrzywił się na widok młodszego brata, a następnie delikatnie wziął matkę pod ramię, żeby sprowadzić ją po kościelnych schodach. Odwrócił się jednak i bezgłośnie powiedział:

– Uśmiechaj się i kiwaj głową.

Jasne…

– Do mojego samochodu, natychmiast – warknął ściszonym głosem Antony.

Gio się wzdrygnął.

– Dante mnie przywiózł. Mam telefon u niego w aucie. I marynarkę.

– Odbierzesz je dzisiaj na kolacji.

Wzrok, jakim Antony przewiercał syna, nie wskazywał, by rozkaz podlegał dyskusji.

– Nie przyjechałeś z mamą? – Gio spróbował mimo wszystko.

– Dante zabierze ją do domu. Przynajmniej dwaj moi synowie są na tyle odpowiedzialni, że mogę na nich liczyć, nie musząc o nich nieustannie pytać ani sprawdzać, co robią w każdej jebanej sekundzie, nie wspominając już nawet o zamartwianiu się o nich, kiedy nie mogę tego zrobić.

Ja pierdolę. Ten dzień miał się okazać jeszcze gorszy.

– Tato…

– Idź-do-mojego-samochodu-Gio.

Każde słowo zostało wypowiedziane przez zaciśnięte zęby. Nie miał do czynienia z Antonym – swoim ojcem, tylko Antonym – swoim szefem. Nie wróżyło to nic dobrego. Antony był wyluzowany, jeśli chodzi o Gio i interesy. Syn był dobrym *capo*, jednym z przynoszących najwyższe dochody w ich należącej do Cosa Nostry rodzinie. Antony miał swoje nastroje i potrafił w mgnieniu oka zamienić się w zimnego szefa zorganizowanej przestępczości, którego wszyscy się bali. Gio nie stanowił tutaj wyjątku.

– Dobrze – odparł Gio, schodząc długimi stopniami prowadzącymi do kościoła, a za nim, wściekły jak cholera, szedł ojciec.

W samochodzie panowała ogłuszająca cisza. Antony nie odpalał silnika. Zamiast tego trzymał kierownicę i wyglądał na zewnątrz, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

Gio połapał się, że sam musi się odezwać albo gniew ojca będzie narastał, póki nie eksploduje.

– Nie wiedziałem, że pójdziemy dziś do kościoła po całej tej sytuacji z papieżem.

– Oczywiście, że tak – mruknął Antony kpiąco. – Wiesz, ile moich pieniędzy, które wpłacam na ten kościół, idzie do Watykanu? Dużo, Gio. Może i trafiają na cele dobroczynne, ale papież też dostaje swoją pierdoloną działkę. Kościół zawsze tak działał. Jest skorumpowany tak samo jak wszystko inne na tym przeklętym świecie. Jesteśmy katolikami. Zawsze nimi będziemy, niezależnie, czy jesteśmy mafiosami, czy nie. Będziemy chodzić do kościoła, tak jak to zawsze robiliśmy, niezależnie od opinii docierających z Włoch. – Antony spojrzał z boku na Gio, po czym westchnął. – Twoje oko wygląda fatalnie. Naucz się, jak korzystać z korektora, żeby matka się nie martwiła. Wygrałeś przynajmniej?

Gio parsknął, ale rozbawienie szybko minęło. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wygrał walkę bokserską, czy nie.

– No więc? – dopytywał się Antony.

– Ja… – nie chciał się przyznać przed swoim ojcem, że nic nie pamięta.

– Oj, Gio.

– Prawdopodobnie – odparł, starając się sprawić, by ojciec przestał mu się przyglądać, jakby był zagubionym małym chłopcem. Gdy tak go traktował, niczym dziecko, które wymaga dodatkowej uwagi, a nie faceta, który chce, żeby go zostawić w spokoju, Gio szybko się irytował. – Zwykle wygrywam.

– Giovanni.

Gio wyjrzał przez okno, unikając wzroku ojca.

– Co?

– Biznes dobrze się kręci, a praca na ulicy to dalej to, co chcesz robić, tak? W razie czego mogę znaleźć ci coś innego.

Jednak Gio właśnie to zawsze chciał robić.

– Wiesz, że uwielbiam się tym zajmować. Nie mam zamiaru wracać do szkoły, mając dwadzieścia pięć lat. To się nie uda.

– Zauważyłem – odparł Antony, pochmurniejąc.

Ogarnianie ulic i bycie *capo* były jedynymi powodami, dla których Gio nie miał otrzymać swojego spadku jak jego bracia. Antony wymagał, by jego synowie odebrali wykształcenie i zaczęli kariery, dzięki którym nie będą musieli liczyć na mafię w kwestii dziedziczenia. Gio rzucił studia po dwóch latach i cały swój czas i energię poświęcił byciu skiperem.

Jasne, jego bracia finansowo radzili sobie lepiej niż on, ale Gio nie miał ochoty prowadzić takiego życia na wysokiej stopie jak Lucian i Dante. Poza tym na jego zagranicznych kontach było dość pieniędzy, żeby niczego mu nie brakowało.

– Wiesz, że powinieneś być ze mnie dumny? – powiedział Gio, starając się panować nad głosem i emocjami. – Pracuję kurewsko ciężko. Zarabiam na siebie. Zawsze zarabiałem, od dnia, gdy rzuciłem studia. Nigdy cię o nic nie prosiłem. Zarobiłem to wszystko sam, bo właśnie tego chciałeś.

Antony pokręcił głową, a w jego znajomo zielonych oczach odmalował się smutek.

– I ledwo trzymasz głowę nad powierzchnią wody, Gio. Nie wiesz, jak to znosimy, twoja matka i ja. Nieustannie się martwimy. Nie chcę musieć się stale o ciebie martwić, synu. Chciałbym wierzyć, że potrafisz wykazać się dorosłością w całym swoim życiu, nie tylko w jednym jego aspekcie.

To wkurwiało Gio jak nic innego. Nie miał ochoty słuchać w kółko tego samego wykładu.

– Weź się odpierdol. Skończyłem z tobą gadać.

Antony walnął rękami w kierownicę tak mocno, że coś pękło. Gio nie był pewien, czy to coś w samochodzie, czy kość. Ojciec nawet nie drgnął.

– Jak długo masz zamiar to robić? Włóczyć się cały pierdolony czas jak we mgle. Żyć swoim zarozumiałym nastawieniem i pierdołami, które sprawiają, że działasz na ulicy. Łapię, że chcesz robić rzeczy po swojemu. To niekoniecznie oznacza, że będziesz jak Dante albo Lucian. Niech to szlag, Gio. Już wiele lat temu sobie to uświadomiłem. – Antony westchnął ciężko. – Gdybym nie musiał się martwić o to, jak działasz na swoim poletku, może łatwiej byłoby mi wierzyć, że faktycznie, tak jak mówisz, wszystko u ciebie w porządku,

i dałbym ci święty spokój. Stale cię pytam, czego byś potrzebował, żebym mógł znaleźć ci jakieś lepsze miejsce, ale ty nigdy nie masz dla mnie odpowiedzi. Czego ci trzeba, Gio?

– Mówisz, jakbym w tym momencie się czołgał po samym dnie – odparł Gio, powstrzymując gniew.

– A tak jest? – zapytał Antony cicho.

– Nie!

– To w takim razie dlaczego dzień w dzień mam ochotę dzwonić do tego ośrodka odwykowego w Meksyku, Gio? Dlaczego twoja matka nieustannie mnie prosi, żebym cię zmusił do wyjazdu?

– Do Meksyku? – dopytał, unosząc brew w górę.

– Jest tam taki ośrodek. Ich metody są… Nie do przyjęcia w Stanach. Dlatego właśnie umiejscowiono go w Meksyku, gdzie prawo jest mniej restrykcyjne.

– *Cristo*!

– Nie aż tak – wymruczał Antony pod nosem. – Nie wysyłałbym cię w miejsce, gdzie narażałbym cię na niebezpieczeństwo.

– W ogóle nigdzie mnie, kurwa, nie wyślesz! – odwarknął Gio.

Antony odchrząknął, wzruszając ramionami.

– To jest właśnie ta metoda, o której wspominałem. Nie będziesz miał wyboru. Nie dostaniesz żadnego ostrzeżenia. W temacie przyjęcia cię do programu nie będę musiał się martwić o żadną politykę czy prawo. Pojedziesz tam po dobroci albo po złości, ale tak czy inaczej pojedziesz i tam zostaniesz. Staniesz się czysty i zdrowy, niezależnie, czy zajmie to sześć miesięcy, czy dwa lata. A oni odeślą cię do domu. Proste.

Dlaczego zabrzmiało to jak groźba?

Gniew i niedowierzanie targające Gio sprawiły, że jego ręce zaczęły się trząść.

– Nie jestem jakimś pozbawionym kontroli ćpunem tylko dlatego, że lubię się zabawić i miło spędzać czas. Radzę sobie zupełnie dobrze.

– Czyli funkcjonujesz. Gratulacje, Gio. Wielu tak robi.

– To jest, kurwa, niedorzeczne.

– Nie powiedziałem, że już wykonałem ten telefon. Na razie.

Znów te zawoalowane groźby.

– Nie pogrywaj ze mną w te słowne gierki, tato. Powiedz, co masz do powiedzenia, i miejmy to już za sobą.

– Choć raz porozmawiaj ze mną szczerze, Gio. Powiedz mi coś, na czym mógłbym polegać. Jeśli zacznie to mieć wpływ na interesy…

– Nic mi nie jest. Nie pakuj mnie w to tylko dlatego, że masz poczucie, że gdzieś po drodze coś zjebałeś. Chcesz być ojcem czy donem? Mam już dość, Antony.

Palce Antony'ego zacisnęły się na kierownicy tak mocno, że kłykcie zbielały niczym prześcieradło.

– Jesteś cholernie dobrym *capo*, Gio.

– Dzięki za przypomnienie. Nie trzeba było.

– Ale od bardzo dawna nie byłeś dobrym synem.

Auć!

– W następnym tygodniu jest spotkanie Komisji. Musisz tam być i nie stwarzać problemów. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ludzie widzieli jakieś rysy na fundamentach mojej rodziny. Mam dość gierek. Chcesz, żebym dokonał wyboru, i tak też zrobię. Chcesz, żebym cię traktował jak wszystkich innych, to tak właśnie postąpię. Jedź tam ze swoim bratem i bądź trzeźwy. I nie spierdol tego, bo inaczej wizyta w Meksyku będzie ostatnią rzeczą, o którą się będziesz musiał martwić – zakończył Antony, po czym odpalił samochód. – Jasne, Giovanni?

Dla Gio było.

– Jak kryształ.

Rozdział czwarty

– A to… – Dante wstał i swoim czerwonym wskaźnikiem zakreślił całą dzielnicę portową Nowego Jorku – …oczywiście zostaje w naszych rękach.

– Oczywiście – odezwał się wyraźnie poirytowany głos z lewej strony Gio.

– Czy chcesz poruszyć problem terytorium, które zawsze było moje, dlatego że pracuję lepiej niż ty, i nadal będę to robił, mając kontakty, które trzymają władze z dala od naszych spraw? – zapytał Antony, odwracając się, by posłać innemu donowi znaczące spojrzenie. – Bo jeśli tak, to możemy wrócić do omówienia ulic czterdziestu kwartałów, które przekazałem ci rok temu ze względu na uczciwość i dobroć mojego bardzo czarnego serca.

Szef na lewo od Gio odkaszlnął, ewidentnie czując się nagle niekomfortowo.

– Zatrzymaj dzielnicę portową, Antony. Próbuję tylko powiedzieć, że strasznie drenujesz kieszenie pomniejszych rodzin, każąc im płacić, gdy w razie potrzeby pracują na twoim terytorium.

– Takie jest życie – odparł Antony niewzruszony. – Jeśli nie mogą się wypłacić albo znaleźć lepszych sposobów na pracę, to nie mój problem. Nie widzę nic złego w tym, by usunąć ich w ten znacznie czystszy sposób. Nawet jeśli zajmie to nieco dłużej. Z przyjemnością przejmę *capo* Arturo i jego ulice, kiedy wreszcie ulegnie temu, co nieuniknione.

– Nie mówiłem, że chodzi o Art…

– Bardzo cię proszę, Carl, nie traktuj mnie jak idiotę. Nie jestem jednym z twoich synów. Doskonale wiem, o kim rozmawiamy. Po prostu mało mnie to obchodzi. Jeśli chce, żeby mu się udało, to musi na to zapracować.

Słysząc ton ojca, Gio powstrzymał uśmiech. Stanowił mieszankę „nie leć ze mną w chuja” i „zniszczę cię”. Takie właśnie zwykle było

nastawienie Antony'ego, gdy dochodziło do spotkań Komisji. O ile Gio się orientował, od dziesięcioleci nie było szefa szefów, ale jego ojciec znalazł się cholernie blisko tej roli. Bycie rodziną dominującą dawało Marcellim taką właśnie przewagę.

Spotkanie Komisji było wydarzeniem delikatnym i uważnie planowanym. Niełatwo jest zebrać sześciu szefów największych północnoamerykańskich grup przestępczych w tym samym pomieszczeniu, razem z ich wybranymi współpracownikami, tak by nie dowiedziały się o tym władze. Miejsce wybrano z wielką pieczołowitością, upewniono się, że nie ma tam żadnych łączy albo podsłuchów, a ci, którzy mogli, przylecieli prywatnymi samolotami. Ci, którzy przybyli spoza miasta, zameldowali się w hotelu, używając fałszywych nazwisk i ogólnie się nie afiszowali.

Sprawić, by to zadziałało i pozostało w tajemnicy, stanowiło nie lada sztukę.

Na Komisję składało się sześciu bossów. Wszyscy zabrali ze sobą przynajmniej jednego człowieka, choć niektórzy nawet dwóch albo i trzech. Spodziewano się, że omówią kwestie, które pojawiły się w ciągu ostatniego roku, oraz nowe umowy. Jeśli zaproszono również kilku *consiglieres* i bossów pracujących dla innych bossów, to oni mówili w imieniu swoim, jak również tych stojących wyżej. Absolutnie niedopuszczalne było, by *capo* taki jak Gio zwrócił się do kogokolwiek, by porozmawiać o interesach, chyba że ktoś go zapytał o zdanie albo wyraźnie poproszono go o wypowiedź.

Spośród sześciu szefów pięciu było donami rodzin należących do Cosa Nostry, zaś jednego uznawano za przywódcę działającego na własny rachunek. Gałąź Chicagowska nigdy w pełni nie zaakceptowała zasad i przekonań panujących w Cosa Nostra, i to mimo swoich w przeważającej mierze włoskich korzeni. Ich przywódca był miarodajnym głosem pomniejszych syndykatów pracujących przy nim i poprzez niego, dlatego też przyznano mu miejsce w Komisji.

Rodzina Guzzi pochodziła z Ontario w Kanadzie. Szef tego regionu zawsze zasiadał na końcu stołu, razem ze swoim *consigliere*, i odzywał się bardzo rzadko, chyba że potrzebował czegoś

bezpośrednio od kogo innego, a to się zdarzało nieczęsto. Z nim tak naprawdę sprawy załatwiało się najłatwiej spośród całej szóstki.

Były trzy główne rodziny z Nowego Jorku, czyli Calabrese, Donati i Marcello. Oni zajmowali całą jedną stronę stołu. Te trzy rody musiały nauczyć się ze sobą współpracować, bo w przeciwnym razie czekałyby ich konsekwencje krwawej wojny na terenie miasta. Było też kilka pomniejszych rodzin, które pracowały w ramach i dookoła tych większych (zawsze musząc za to płacić), tak więc jeśli pracowali na czyimś terytorium, właśnie ten ktoś przemawiał w ich imieniu.

Co roku siadali wspólnie na spotkaniu Komisji, żeby ponownie nakreślić granice terytoriów na mapie Nowego Jorku. Ich przebieg rzadko się zmieniał, ale czasami po prostu trzeba było coś pokazać. Zwykle stanowiło to doskonałą okazję, żeby przypomnieć, kto ma pod swoją kontrolą największy obszar – Marcellowie.

Dalej była jedna większa rodzina z Vegas, która siedziała naprzeciwko Marcellich, obok Gałęzi Chicagowskiej, która dopełniała ich strony stołu.

Maximo Sorrento, czy też Max, jak wolał, by się do niego zwracać, siedział po drugiej stronie wielkiego blatu, naprzeciwko ojca Gio. Cosa Nostra Sorrento była trzecią co do wielkości włoską rodziną przestępczą w Ameryce Północnej. Maximo zdecydowanie zasługiwał na swoje miejsce w Komisji.

Był kurewsko dobrym szefem. Rządził swoją rodziną twardą ręką, nie zadając pytań i nie przyjmując żadnych wymówek. Gio zachowywałby się niedorzecznie, gdyby nie dostrzegał tego, jak dobrze Maximo pełnił rolę dona swojej rodziny.

W rodzinie Sorrento była tylko jedna rzecz, której Gio nie znosił. A raczej jedna osoba. Jedyny syn Maximo.

– *Come stai*, Gio? – zapytał Franco.

Mięśnie szczęki Gio napięły się na dźwięk jego imienia wypowiadanego przez tego skurwiela.

– *Bene*. A ty?

Zasady uprzejmości matka Gio wtłukła do łba wszystkim swoim synom, ale teraz ledwo mógł ścierpieć fakt, że to był jeden z tych razów, kiedy musi być miły. Dookoła było zdecydowanie za wielu mafiosów, by mógł powiedzieć Franco, żeby spierdalał.

– Nie najgorzej. Ostatnich kilka miesięcy było ciekawe. No a w każdym razie aktywne. Nie mogę powiedzieć, żebym się jakoś szczególnie wynudził. Przykro mi, że ominęło mnie wesele Luciana. Słyszałem, że było… wielkie.

– Było – odparł Gio.

Dante usiadł po cichu obok Gio. Bez wątpienia jego starszy brat był spięty jak cała rada i w razie potrzeby gotów był eksplodować. Historia to bardzo dobry wyznacznik tego, czego można się spodziewać w przyszłości. Jeśli mówiła ona cokolwiek o interakcjach pomiędzy Gio i Franco, należało się spodziewać, że… to nie skończy się dobrze.

Franco Sorrento był złamanym chujem najgorszego gatunku. Utytułowany. Zepsuty. Faworyzowany. Jakiej by pod jego adresem nie rzucić obelgi, będzie pasowała. Może i Gio by sobie jakoś z tym faktem poradził, gdyby Franco przynajmniej czasami próbował ukryć ten swój charakter. Facet roztaczał wokół siebie aurę władzy, jakby miał się na kim oprzeć. Zakładał po prostu, że historia jego ojca i bardziej niż zasłużony szacunek, którym się cieszył, dawały mu spory margines błędu.

Nie dawały. Jego ojciec ciężko na to zapracował. Franco wręcz przeciwnie.

Pięć sekund dzieliło Gio od tego, by fiutowi o tym przypomnieć.

Franco miał jeszcze jeden zły nawyk. Często paplał bez namysłu różne rzeczy ludziom, nad którymi nie miał absolutnie żadnej kontroli. W jego własnej rodzinie takie gówno mogło ujść na sucho, ale na pewno nie poza nią. Zachowanie to było cechą charakterystyczną Franco od tak dawna, jak tylko Gio sięgał pamięcią.

Szczyt kariery w Vegas nie za wiele znaczył w Nowym Jorku.

Szkoda, że Antony tak bardzo przyjaźnił się z Maximo, bo Franco autentycznie potrzebował jednego czy dwóch szpiców w dupę… a może w ogóle zepchnięcia go z piedestału. Gio z wielką przyjemnością czyniłby tu honory.

– Przestań się zachowywać, jakbyś chciał wyskoczyć z krzesła – syknął Dante do Gio, gdy Franco odwrócił się, żeby wysłuchać przemowy swojego ojca. – Uspokój się, chłopie.

Niechęć Gio wobec człowieka siedzącego naprzeciwko, nie była wielkim sekretem.

– To dobry interes – powiedział Maximo do Antony'ego. – No a w każdym razie coś nowego, czego spróbowałem. Twoja rodzina jest dominująca, więc jedynym właściwym sposobem postępowania jest zaoferować ci okazję, byś współpracował ze mną na tym polu.

– Przemyślę to – odparł Antony. – Wygląda to jednak na drobną ciułaczkę. Wiesz, że nie lubię się babrać w takich nonsensach. Kupa roboty, mały zwrot z inwestycji. Musiałbym też na jakiś czas wysłać kogoś do Vegas. Nie wiem, kto byłby skłonny się tam wybrać. Już nawet nie wspomnę o tym, jak by zniósł pracę na twoim terytorium.

– Ale szybko się rozrasta – powiedział Maximo z uśmiechem. – No i wypleniliśmy już większość drobnicy, tak jak zawsze.

– Spróbowałbym. A przynajmniej wysłałbym kogoś, żeby przyglądał się temu przez miesiąc czy dwa i sprawdził, jak to działa – powiedział Antony'emu Paulie, jego *consigliere*. – Jak by nie było obserwowanie, zanim włożymy w to pieniądze, nic nas nie kosztuje.

O czym oni znowu, do kurwy nędzy, rozmawiali?

Gio tak się koncentrował na zachowaniu spokoju w obecności Franco, że zapomniał przysłuchiwać się temu, o czym była mowa. Ewidentnie przeszli już od granic terytorialnych w Nowym Jorku do umów biznesowych. Kurwa.

– Gio maczał już tam trochę palce w kilku pomniejszych kasynach. Prawda, bracie? – zapytał Dante.

Gio nie chciał, żeby jego imię pojawiło się w rozmowie, o której temacie nie miał pojęcia. A Vegas na tę chwilę nie brzmiało zbyt zabawnie.

– Co?

– Patrz przed siebie, Gio. Przepuszczasz piłkę – powiedział Franco z nikczemnym uśmieszkiem błąkającym się w kąciku ust.

Spierdalaj. Gio ledwo zdołał zatrzymać te słowa u siebie w głowie, choć miał je na końcu języka. Gdyby wzrok mógł zabijać, łeb Franco już mógłby robić za całkiem ładny przykład sztuki współczesnej na ścianie za jego plecami.

Gio zawsze doceniał dobrą sztukę.

– Cztery kasyna – powiedział Gio, przewiercając Franco spojrzeniem. – W większości niewielkie udziały. Nic wielkiego. Na pewno nie na tyle, żebym mógł się wypowiadać w tym temacie.

– Ale mimo wszystko masz tam jakieś interesy – odparł Antony. – Jeśli spędzisz w Vegas nieco czasu, może ci to przynieść korzyści.

– A dlaczego miałbym chcieć pojechać do Vegas? – zapytał Gio. – Tu stracę masę kasy, jeśli spędzę choćby miesiąc poza miastem.

– Jeśli rozważasz wysłanie *capo*, któremu ufasz, to Lucian byłby lepszy – wtrącił się Franco. – Ma lepsze wyczucie w temacie importowanych aut. Zna ceny i potrafi dostrzec wartość. Gio nadal tylko bawi się w prawdziwe życie. Szkoda. Myślałem, że teraz już nadąża za swoimi braćmi.

Gio popatrzył ostro na mężczyznę po drugiej stronie stołu. Pierdoły wypowiadane ot tak sobie stanowiły powód, dla którego tak gardził Franco. Ten idiota nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego Gio wybrał takie a nie inne życie. Między braćmi Marcello nie było żadnej rywalizacji, ani osobistej, ani w interesach.

Zanim Gio zdążył powiedzieć mu, gdzie może sobie wsadzić swoją opinię, odezwał się Antony:

– Lucian dopiero co się ożenił trzy miesiące temu. Nie wyślę go teraz z dala od jego młodej żony. Ciężko pracuje i od czasu do czasu zasługuje na trochę luzu.

– Zgadzam się – powiedział Maximo. – Tak w ogóle to nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, jak bardzo mojej żonie podobało się wesele. Musieliśmy wyjść tamtej nocy. Niestety, nie możemy na długo zostawić spraw w domu bez nadzoru.

Gio uśmiechnął się półgębkiem, widząc, jak Maximo posyła swojemu synowi znaczące spojrzenie. Ewidentnie najmłodszy Marcello nie był jedynym zasiadającym przy stole, który miał problemy. Franco nie dawał ojcu powodów do dumy. W świecie Franco to nigdy nie oznaczało nic dobrego.

Nie zajęło zbyt wiele czasu, nim rozmowa mężczyzn znów zeszła na tory biznesowe. Gio starał się skupić na omawianych sprawach, ale wkrótce znów dopadła go nuda i się wyłączył.

– Nie, Kajmany to wciąż najlepsze miejsce, żeby ukryć pieniądze za granicą.

– Zgadzam się – stwierdził Dante. – Mniejszy koszt przetransferowania ich z powrotem na legalne konta. Trudno ich nie uznać za najlepszy wybór ze wszystkich dostępnych. Autentycznie gówno ich obchodzi, skąd pochodzą pieniądze, o ile dostają swoją działkę za ich przetrzymanie.

Gio westchnął, żałując, że nie może wyjść. Choć Komisja w pierwszej kolejności zajmowała się najważniejszymi sprawami, te pomniejsze, które właściwie nie były żadnymi problemami i w sumie to w ogóle nie wymagały uwagi, mogły być omawiane w nieskończoność.

Kolejna rozmowa przykuła jego uwagę, ale tylko odrobinę.

– Może – powiedział Antony głosem, który kazał sądzić, że sam też jest już znudzony. – Pomyślę o tym, Maximo. Franco ma rację z tym, że Lucian ma więcej szacunku do marek pojazdów, ale Gio mógłby skorzystać, spędziwszy nieco czasu poza miastem.

Ja pierdolę, nie.

Gio zmusił się, by trzymać język za zębami.

– A skoro już mowa o spędzaniu czasu poza miastem – powiedział Maximo głosem, w którym pobrzmiewało podniecenie. – Co porabiasz za kilka miesięcy, stary przyjacielu?

– Trudno powiedzieć – odparł Antony. – Jeśli coś będzie dostatecznie ważne, mogę przesunąć to i owo. Nie na długo oczywiście.

– A co powiesz na ślub? To coś wystarczająco dla ciebie ważnego?

Antony się zaśmiał.

– A któż to daje się zaobrączkować?

– Mój Franco – ogłosił Maximo.

Syn nie wydawał się być poruszony słowami ojca, gdy ten omawiał kwestię nadchodzących zaślubin. Wyglądało to tak, jakby temat w ogóle go nie interesował albo w każdym razie nie był dostatecznie ważny, żeby jego radar go wyłapał. Dla rodziny Sorrento ślub był ważnym wydarzeniem. Mniej więcej tak samo ważnym jak Luciana dla rodu Marcello, choć z całkowicie odmiennych powodów. On był pierwszym z braci, który się żenił, zaś Franco był jedynym dzieckiem Maximo.

Nie miało to znaczenia. Gio nie mógł ogarnąć tego pomysłu. Kto, do chuja, chciałby poślubić tę kupę gnoju? To nie tak, że Gio był święty, ale Franco znajdował się na samym szczycie piramidy kobieciarzy. Słyszał opowieści przekazywane z ust do ust, jak Franco traktuje płeć piękną. Facet miał podobno dość ciężką rękę. Gio nie zazdrościł kobiecie, która się wpakowała w ten bajzel.

– Kim jest ta szczęśliwa dziewczyna? – zapytał Antony.

Gio nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał się powstrzymać, by nie zadrwić.

Szczęśliwa. *Jasne*…

– Nie wiem, czy miałeś okazję poznać ją osobiście, czy nie – odparł Maximo. – Dałem Franco trochę więcej swobody w części rodzinnych interesów i tym sposobem poznał młodą damę. Wiem, że nie przepadasz za jej rodziną, bo właściwe to córka Nunza Abelli.

Gio usłyszał, jak dwa miejsca dalej ojciec zgrzyta zębami. Jeśli istniało coś, co mogło poziom wkurwienia Antony'ego podnieść z poziomu zero do setki, to było to imię Nunza.

– Mam nadzieję, że nie odbierzesz tego osobiście, Max, jeśli nie skorzystam z zaproszenia. Wiesz, jaki mam stosunek do tego faceta.

– Zważywszy na tło całej sprawy, to nie. Jednak dla mojej rodziny, czy nie mógłbyś o nim zapomnieć na ten jeden dzień? Zrób to przez wzgląd na naszą przyjaźń.

Wszystkie oczy w pomieszczeniu zwróciły się na Antony'ego, bo za tym pytaniem stały poważne konsekwencje. Zaakceptowanie czyjejś pozycji i pozostawanie blisko niego to jedno, ale Max prosił o coś, co implikowało w pewnym sensie wybaczenie. A to nie było takie proste i don Sorrento powinien był o tym wiedzieć, zanim wyszedł ze swoją sugestią.

– Antony nie okazuje litości, nawet jeśli jest to uzasadnione – odezwał się z pewną nutą rozbawienia w głosie Terrance, przywódca Gałęzi Chicagowskiej. – Coś o tym wiem. Nie mieliśmy tu solidnej dyskusji od czasu, jak dwa lata temu doszło do tego małego zamieszania.

– To nie było zamieszanie – odparował Dante, a jego wzrok przewiercał człowieka po drugiej stronie stołu. – Twoi ludzie świadomie skorzystali z dostępu do naszych portów bez pozwolenia,

a gdy nasi stawiali im opór, zabili trzech z żołnierzy mojego brata, próbując ukryć to, co zrobili. To była zniewaga, za którą wciąż nie chcesz przeprosić.

– Nie wydałem im rozkazu, by zrobili jedno czy drugie, więc przeprosiny z mojej strony są bezcelowe.

Dante uśmiechnął się półgębkiem.

– I właśnie dlatego nasze rodziny nie rozmawiają ze sobą w odpowiedni sposób od dwóch lat.

Antony, wciąż panujący don, nie okazał tej rozmowie nawet śladu zainteresowania. Zamiast tego wpatrywał się w Maximo, po czym westchnął.

– Stawiasz mnie teraz w gównianym położeniu, Max.

– To znaczy? Rozmawiamy tu sobie po przyjacielsku o naszych sprawach, a nie o kimś innym – powiedział cicho Maximo.

– Moje uczucia względem Nunza, podobnie jak jego nieustanne wysiłki zmierzające do tego, by mnie wkurwić, są powszechnie znane. Ten facet to wąż. – Antony rozparł się na fotelu i skrzyżował ręce. – Nie, to zbyt uprzejme słowo. To robak, nieustannie usiłujący wpełznąć tam, gdzie ani nie ma interesu, ani nie jest jego miejsce. Miło widzieć, że przynajmniej jednemu donowi na tej sali okazano szacunek, jaki należy mu się za jego miejsce przy tym stole. Możesz się założyć o własną dupę, że nic takiego mnie z jego strony nie spotkało.

– Moja rodzina…

– To nie ma nic wspólnego z tobą czy twoją rodziną, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę – Antony wszedł mu ostro w słowo. – Chodzi o fakt, że wydaje za mąż swoją córkę, nawet jeśli panem młodym ma zostać twój syn. Koniec końców wynik jest taki sam. Córka z rodziny należącej do Cosa Nostry zostaje wydana za mąż. Skupiamy się na jej rodzinie ze względu na pozycję. Nie mogę sprawiać wrażenia, że popieram kogoś, kto otwarcie ignoruje moją osobę, gdy stoję tuż obok niego.

– Antony, z pewnością możemy o tym porozmawiać na gruncie przyjaźni, nie interesów.

Gio zaryzykował i spojrzał na ojca. Antony siedział wyprostowany, jakby połknął kołek, z napiętymi mięśniami szczęki, ale obojętnym

spojrzeniem.

– Oczywiście, że możemy. W takim jednak wypadku być może powinieneś wyświadczyć mi tę grzeczność i porozmawiać ze mną prywatnie, zanim spróbujesz mnie zapędzić w kozi róg, zadając mi to pytanie na dzisiejszym spotkaniu. Teraz nie porozmawiamy o tym w ogóle. Jeśli masz ochotę mieszać krew i interesy z Nunzem Abellą, nie będę ci stawał na drodze, jednak ja umyłem ręce od tego bajzlu już dawno temu.

Terrance zaśmiał się cicho.

– Jeśli w ten sposób, Antony, myślisz o człowieku, który w twoim mniemaniu nie odpowiada za śmierć trzech twoich ludzi, to wolę nie wiedzieć, co sądzisz o mnie.

Gio wzdrygnął się, pragnąc być gdziekolwiek, byle nie na tej sali.

Antony obrócił się powoli, z pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą, by spojrzeć na przywódcę Gałęzi Chicagowskiej.

– Jeśli chodzi o ciebie, Terrance, właściwie nic nie czuję. Jeśli postępujesz według zasad Cosa Nostry, tak jak każdy z pozostałych mężczyzn siedzących na tej sali, masz moje słowo, że moje odczucia nie będą takie same.

– Jak to?

– Już dawno byłbyś trupem. Możesz uważać, że zawdzięczasz pozostanie przy życiu wyłącznie szacunkowi, jaki do ciebie żywię, i niczemu więcej.

Zanosiło się na kurewsko długi dzień.

***

Gio rzucił peta na ziemię, a następnie zagwizdał na Caina, żeby kończył swoje sprawy i wracał do samochodu. Nie ośmieliłby się zostawić zwierzaka w swoim mieszkaniu samego na cały dzień. No, chyba że miałby ochotę zastanawiać się, co zjedzonego znajdzie po powrocie do domu.

Co mniej więcej godzinę Komisja robiła sobie przerwę. To pozwalało Gio wymknąć się i pozwolić psu wyjść z cadillaca, pobiegać trochę i zrobić, co tam miał do zrobienia. Mroźne styczniowe powietrze kąsało Gio w odsłonięte policzki.

– Chodź, Cain! – krzyknął, patrząc, jak włochaty ogon znika za mercedesem Dantego.

– Masz jeszcze kilka minut, zanim zaczną znowu.

Franco podszedł do cadillaca, po czym oparł się o auto łokciem. Gio powstrzymał się od zażądania, żeby odsunął się od samochodu, zanim go zarysuje. Ledwo.

– Dzięki – odparł Gio.

Nagle poczuł chęć, by zapalić kolejnego papierosa. Wyciągnął marlboro, po czym zaciągnął się, pozwalając, by wydmuchiwany dym zabrał ze sobą nieco stresu tego dnia.

– Czy to nie ten sam SUV, którego miałeś w zeszłym roku? – zapytał Franco, patrząc na Cadillaca Escalade, którym jeździł Gio.

– Właśnie w zeszłym roku go kupiłem – odparł Gio. – Równie dobrze można go uznać za nowy.

– Czas na coś świeższego, chłopie.

Gio przewrócił oczami, po raz kolejny zaciągając się papierosem.

– Nie kolekcjonuję samochodów jak mój ojciec. Nie potrzeba mi całej floty. Jeden wystarczy.

– Jasne, ale też miło jest rzucić okiem na coś nowego.

– Nie dla mnie.

– Skromne życie – skomentował Franco, wracając do swojego wcześniejszego przytyku ze spotkania.

Poirytowany Gio posłał mu spojrzenie spode łba. W większości ich poprzednich rozmów pełno było pogardy. Nie rozumiał, dlaczego Franco chce się bawić w takie pierdolenie. Oziębłość okazywana przez Gio powinna być dla niego solidną wskazówką, że nie ma zamiaru się silić na uprzejmą rozmowę.

– Czego chcesz, Franco? – zapytał Gio, stwierdzając, że najlepiej będzie przejść od razu do sedna.

Jego rozmówca wzruszył ramionami, wkładając ręce do kieszeni.

– Próbuję być miły, Gio.

– Po co?

– Dante wciąż jest singlem, hmmm?

Co, do chuja, status związkowy jego brata miał wspólnego z tą rozmową.

– No i? – zapytał Gio.

– Wydaje się, że w tym roku cierpliwość Antony'ego wisi na cieńszym włosku niż zwykle. Ile jeszcze potrwa, zanim poczuje się zmęczony z samej starości i ustąpi? Pozycja Luciana może być dla Komisji kapkę chwiejna, skoro buja się z kobietą z zewnątrz. Dante na każdym kroku unika nawet rozmowy o małżeństwie. Ty z kolei zdajesz się czerpać zbyt wiele przyjemności z czasu spędzanego na swoim rewirze.

No dobra, teraz Franco naprawdę wkurwił go tą całą gadką. Nie wspominając już nawet o tym, że właśnie wyskoczył z całą masą informacji, o których właściwie nie miał powodu rozmawiać z Gio.

– Mam jakieś takie niejasne poczucie, że właśnie udało ci się w niecałe pięć sekund obrazić każdego mężczyznę w mojej rodzinie. Sugeruję, żebyś stulił mordę w pizdu, zanim posuniesz się za daleko.

Franco wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– My już posunęliśmy się daleko, czyż nie?

– Że co?

– Rodzina Sorrento, już zaszliśmy daleko. Może teraz tego nie widzisz, ale do tego zmierzamy. Nie to, bym sugerował, że szykuje się zmiana władzy, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że coś wisi w powietrzu. Właściwie, przecież dominująca rodzina wcale nie musi pochodzić z Nowego Jorku.

Gio westchnął.

– Idź do diabła, Franco. Za wysoko mierzysz.

– Doprawdy? Myślisz, że nikt nie zauważył, że zaraz po ślubie Lucian po raz pierwszy od lat nie zjawił się na spotkaniu Komisji? Albo co z faktem, że Antony nie zadał sobie nawet trudu, żeby chociaż wspomnieć temat wyboru przyszłego sukcesora rodziny Marcello? No i jeszcze ty.

– Co ja, Franco?

– Cholera. Trudno nie zauważyć, jak ostro reagujesz na każde bodaj szturchnięcie. Obstawiam, że nadal dobrze się bawisz, tak jak zresztą zawsze. Czyżby w najbliższej przyszłości szykował ci się odwyk, Gio?

Szczęka mu się zacisnęła. Niezależnie od tego, do czego zmierzał Franco, on skończył z nim rozmawiać. Nerwy miał napięte

wystarczająco i bez tego idioty, który ewidentnie starał się na nich zagrać.

Gwiżdżąc ostro, Gio ponownie przywołał Caina do cadillaca. Jak tylko pies się zjawił, otworzył mu tylne drzwi. Cain wskoczył do środka, a Gio odsunął okno do połowy, po czym zamknął drzwi. Na zewnątrz było chłodno, więc Gio zostawił wóz na chodzie, żeby zwierzak nie zmarzł. Jeśli ktoś by potrafił ukraść samochód z Cainem w środku, to niech fuksiarski jebaniec go sobie weźmie.

– Dzięki za pogadankę, Franco, ale kończymy na dziś. Nie mam czasu na ten nonsens.

Franco odepchnął się od samochodu, po czym podszedł do Gio, aż obu ich dzieliło niecałe pół metra. To sprawiało, że Gio czuł się nieco niezręcznie, ale tego nie okazał. Franco uniósł brew wyzywająco.

Gio wiedział, że lepiej nie szturchać niedźwiedzia. Właśnie tego chciał ten idiota, ale Gio nie miał zamiaru spełniać jego oczekiwań. Poza tym Antony nie byłby zadowolony, gdyby po ich rozmowie sprzed tygodnia Gio wpakował się w takie gówno.

– Jeśli nastąpi przesunięcie władzy, a tak się stanie, pewnie źle zniesiesz świadomość, że to ja będę odbywał najważniejsze rozmowy na tych spotkaniach, a nie któryś z twoich bezużytecznych braci. Koniec końców nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, jak nasi ojcowie, a mnie nie wychowano, żebym grał czysto, tak jak ciebie.

Gio stał sztywno, nieporuszony.

– Ewidentnie nic o mnie nie wiesz. Nie przestraszysz mnie, Franco. A jeśli ponownie obrazisz któregoś z moich braci, to z przyjemnością dopilnuję, żeby ostatnią rzeczą, jakiej posmakujesz w życiu, był metal mojego pistoletu wetkniętego prosto w twoje niedojebane gardło.

Franco zrobił kolejny krok, naciskając Gio jeszcze bardziej, ale nie było mu dane zrobić nic więcej, bo Cain w jednej chwili znalazł się przy otwartym oknie. Z obnażonymi zębami i cieknącą śliną warczał i szczekał na tyle głośno, by ostrzec każdą żywą istotę w pobliżu Gio, by się cofnęła. Cain przemienił się w cholerną czarną bestię, gotową zabić w mgnieniu oka. Jego pysk otwierał się i zamykał ledwie kilka centymetrów od głowy Franco, a łapy wielkości spodka wystawały przez szparę w oknie, jakby pies zamierzał wyskoczyć z samochodu.

– *Merda*! – Franco natychmiast zrobił kilka szybkich kroków w tył. – Pierdolony kundel.

Gio wyciągnął rękę, by uspokoić Caina i go uciszyć. Pies jednak nie spuszczał wzroku z Franco. Gio miał spory ubaw, patrząc, jak w oczach tego fiuta pojawia się oszołomienie i strach.

– To, co powiedziałem, pozostaje prawdą, Gio – wymamrotał Franco. – Twoja rodzina się stacza.

– Może i by było, gdybyś wiedział, o czym w ogóle gadasz. Marcellowie nie grają czysto, Franco – powiedział Gio z niecnym uśmiechem. – Jesteśmy na to zdecydowanie zbyt brudni.

Kiedy tylko Franco zniknął, Cain natychmiast się uspokoił.

– Dobry piesek – pochwalił Gio pupila, drapiąc go pod gardłem. Cain dyszał, a jego gruby ogon poruszał się tak szybko, jak tylko mógł. – Za ten mały pokaz prawie byłbym ci skłonny oddać moje buty w charakterze zabawki do gryzienia.

– Dobrze sobie z nim poradziłeś. Muszę przyznać, że jesteś trzeźwy i potrafisz pomyśleć, zanim zareagujesz – powiedział Antony, wychodząc z cienia i odcinając koniec zgaszonego cygara, zanim włożył je do kieszeni garnituru. – Dziękuję, że nie narobiłeś bałaganu.

Gio nie był nawet odrobinę zaskoczony, gdy jego ojciec ujawnił swoją obecność. Zamiast zgodzić się z oceną Antony'ego, nadal głaskał Caina przez okno.

– Długo się tam ukrywałeś?

– Dostatecznie długo – odparł wymijająco Antony. – Musiałem zapalić cygaro po tym, jak tam, na sali, powstrzymałem się, żeby nikogo nie zabić. Franco miał rację. W tym roku moja cierpliwość wisi na cienkim włosku.

– Cisnęli cię – stwierdził Gio. – Nawet Dante kilka razy się wtrącił, żeby odrzucić trochę gówna, a nigdy tego nie robi.

– To prawda – westchnął Antony, zwracając głowę w kierunku, w którym odszedł Franco. – Widzę, że nadal jest rozpuszczony i buńczuczny, nawet jako dorosły.

– Jak dobrymi przyjaciółmi jesteście ty i Max?

– Mamy za sobą długą historię, więc powiedziałbym, że dosyć dobrymi. Nawet jeśli czasem nadepnie mi na palce, to mu ufam.

– Nawet po tym małym przedstawieniu, jakie odstawił Franco?

– Franco nie jest swoim ojcem. Tak samo jeśli ktoś z waszej trójki coś mówi, to nie przemawiacie w moim imieniu.

Gio kiwnął głową.

– To prawda.

– Max wcale nie zamierza wkrótce ustąpić z miejsca głowy rodziny. To mogę ci zagwarantować. Franco gada, jakby za rok miał już siedzieć w fotelu swojego ojca. Nie chciałbym się obudzić któregoś ranka i dowiedzieć się, że jego syn coś na niego planuje.

– Tak, ale to osobiste zmartwienie Maksa, nie nasze.

– No nie tak całkiem – mruknął Antony pod nosem. – Niepokoi mnie to, jak Franco się na nas skupia, jakby było coś, czego nam nie mówi.

– Robi to tylko po to, żeby mnie wkurzyć. Dopierdala się tak co roku.

– Może i masz rację, Gio, ale nie mam zamiaru ryzykować, jeśli jej nie masz.

Gio ani odrobinę nie podobał się kierunek, w jakim to wszystko zmierzało.

– Co zatem masz zamiar zrobić?

– Ja? Bardzo niewiele. Za dużo rzeczy dzieje się tutaj i trzeba tego pilnować – odparł Antony, wzruszając ramionami. – Ty jednak…

– Daj spokój, tato – jęknął Gio. – Powiedziałem ci w środku…

– Przykro mi, Gio. Wszystko tu jest nie tak. Dodaj do tego fakt, że Franco nagle się żeni z córką Nunza, kimkolwiek ona, do ciężkiej cholery, jest, i nawet powieka mu nie drgnęła, kiedy była mowa o ślubie. Coś tu nie gra. To, że dorasta i się statkuje, nie oznacza automatycznie, że obejmie pozycję po ojcu. Franco o tym wie. Coś mi tu zdecydowanie nie gra. Nigdy wcześniej nie ignorowałem takich przeczuć, i nie bez powodu.

Gio chciał, żeby tym razem je zignorował, jeśli oznaczały dla niego to, co myślał.

– Zostaw to, tato. To nie nasza sprawa.

Antony posłał mu spojrzenie, które sprawiło, że Gio się zamknął.

– Możliwe, że nasza. Nie patrz na to tylko od strony Sorrentich. Istnieją powody, dla których tak się na nas zafiksował. Jeśli Franco

zdobył się na to, żeby wykonać ruch przeciwko własnemu ojcu, to co go powstrzyma przed spróbowaniem czegoś względem Marcellich?

– Nic – odparł Gio cicho.

– Dokładnie. Jedź do Vegas, Gio. Max i tak już uważa, że wyślę cię tam, żebyś przyjrzał się sprawie eksportu luksusowych samochodów. Jeśli to Franco obraca tym nonsensem, będziesz w samym centrum wydarzeń i będziesz miał okazję, żeby pogadać z niektórymi z jego ludzi. Idioci zawsze paplają. Na to nie ma rady. Jeśli coś się tam szykuje, albo jest w trakcie przygotowań, to usłyszysz, co się szepcze po kątach. Chcę wiedzieć, co się dzieje w Vegas.

– Zdajesz sobie sprawę, że pakujesz mnie na teren gościa, któremu właśnie groziłem, że go zabiję, prawda?

Antony się zaśmiał.

– Ufam, że będziesz się trzymał z dala od kłopotów.

Gio był zajebiście pewien, że nie.

Rozdział piąty

Kim trzasnęła drzwiami mercedesa od strony kierowcy mocniej, niż to było konieczne. Samochód był swego rodzaju podarunkiem od Franco, tylko że ona go za taki nie uważała. Prezenty mają to do siebie, że zwykle obdarowany ich chce albo potrzebuje.

Kim ani nie chciała, ani nie potrzebowała nowego auta.

Franco był zdania, że mazda, którą jeździła poprzednio, nie była nawet w przybliżeniu dostatecznie dobra, by jeździła nią jego przyszła żona. Kim z kolei uważała, że nowy samochód był cholernie pretensjonalny, chociażby dlatego, że nie była osobą, która chciałaby kłuć w oczy swoim bogactwem.

Cóż, jej narzeczony nie dbał o to ani trochę.

Po kolejnej kłótni na temat jej braku klasy i zachowania, które uważał za odpowiednie, jej mazda zniknęła z parkingu przy akademiku. Na jej miejscu znalazł się ten oto mercedes.

Istnieje pewna prawidłowość w kwestii wkurwionej kobiety. Każdy mężczyzna mający choć odrobinę instynktu samozachowawczego wyczuwa na kilometr, że to nadchodzi, i ucieka tak szybko, jak to tylko możliwe przed zbliżającym się bałaganem. Nie Franco.

Nieważne, jak logiczne były wyjaśnienia Kim albo jak uprzejmie wyjaśniała mu całą sprawę, Franco okazywał się głupi jak but. Miał określone oczekiwania, a Kim miała się dostosować do tego, co on uważał za odpowiednie, niezależnie, czy jej się to podobało, czy też nie.

Samochód stanowił tylko jeden z wielu problemów, które dostrzegał Franco. Wkrótce z jego dezaprobatą spotkał się jej ubiór. Zamiast obcisłych dżinsów i koszulek, jakie nosiła w college'u, w jej garderobie zaczęły pojawiać się sukienki. Następnie zaczął zrzędzić odnośnie do jej wyglądu. Problemem był jej sposób czesania włosów. Innym z kolei to, że z powodu czerwonej szminki można było odnieść wrażenie, że prowadzi się zbyt swobodnie.

Cokolwiek to, do cholery, znaczyło.

Kim miała tego po czubek głowy. Ta kontrola ją przytłaczała. Zwyczajnie się dusiła.

Wyraźny głos z tyłu głowy mówił jej, że postępowanie i zachowania Franco to typowe znęcanie się. Kawałek po kawałku rozbijał Kim emocjonalnie i mentalnie.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy nieliczni przyjaciele, jakich Kim miała na studiach, zaczęli się od niej oddalać, ponieważ czuli się urażeni jej nieobecnością zarówno fizyczną, jak i mentalną. Przy całej tej zmianie wyglądu, nagłych pokazach bogactwa i dwóch karkach, którzy z polecenia Franco rzadko zostawiali ją samą, już sami nie wiedzieli, kim tak właściwie jest.

Czuła się jak jakaś pierdolona skorupa, która wie tylko, kiedy się uśmiechać i kiwać potakująco głową, ale rzadko się odzywa, nie mówiąc już o wyrażaniu jakiejś opinii. Młodzieńcza, żywa i swobodna dwudziestojednolatka, jaką była w środku, desperacko trzymała się uczelnianych sal i pokoju w akademiku, bo stanowiły one jedyny skrawek wolności, jaki jej pozostał.

Wkrótce jednak nawet i tego miało zabraknąć.

Franco zabierał każdą cząstkę Kim, która ją określała. Oczywiście w sensie fizycznym Franco nie tknął jej nawet palcem, ale nie musiał. Groźba tego, co mógł zrobić, jasno i wyraźnie rysowała się w powietrzu.

Franco zdecydowanie miał niebezpieczną stronę, która co jakiś czas wypływała, i wtedy Kim bała się jak cholera. To było jak strumień gniewu wrzącego tuż pod powierzchnią i wystarczyło nacisnąć w nieodpowiednim miejscu, by wybuchł niczym wulkan. Kim była świadkiem gniewu Franco przy kilku rzadkich okazjach, gdy nie wiedział, że ona patrzy. A może jednak wiedział, tylko go to nie obchodziło.

To mogły być błysk pistoletu prosto w czyjąś twarz albo uderzenie pięści Franco, które powalało kogoś na ziemię, albo nawet brutalne słowa, które sprawiały, że dreszcz przebiegał Kim po plecach.

Chryste. Ten człowiek ją przerażał.

Kim westchnęła i stojąc na podjeździe domu swojego ojca, założyła torbę na ramię. Nie chciała kolejnej bezowocnej rozmowy

z Nunzem, ale nie miała wyboru.

Chciała przynajmniej zyskać nieco wytchnienia od Franco. Na pewno tyle ojciec mógł jej dać. Nunz był jej winien chociaż złudzenie, że się o nią troszczy.

W środku znalazła ojca na piętrze, siedzącego w swoim biurze. Zaczekała chwilę, aż skończy rozmawiać przez telefon. Zaglądając przez drzwi, skinęła głową na przywitanie swojemu starszemu bratu, ale nic poza tym.

Od czasu jej zaręczyn z Franco ich relacje nie były już takie same. Wcześniej też nie było idealnie, ale teraz zdecydowanie się pogorszyło. Cody uważał, że małżeństwo to świetna sprawa dla niej i całej rodziny. Kim wręcz przeciwnie.

– Miałaś dzisiaj wykłady? – zapytał.

Kim przelotnie zerknęła na brata.

– Trzy i jedno koło naukowe.

Nie kłopotała się wyjaśnianiem, że musiała się urwać z dwóch kolejnych, żeby zdążyć na zajęcia na drugim fakultecie z angielskiego. Nie wspomniała też, że Franco chciał, żeby w ogóle zrezygnowała ze studiów. Jego zdaniem żona nie musi się troszczyć o swoje wykształcenie, którego i tak nie wykorzysta. On potrzebował żony, która będzie siedzieć w domu i robić tam to, co do niej należy.

Jezu.

Sama myśl przyprawiała Kim o mdłości.

– Później jedziesz do Franco? – zapytał Cody.

Kim skinęła głową. Jasne, że się do niego wybierała, jak tylko skończy z ojcem. Był piątek, czyż nie? To oznaczało, że musiała się dowiedzieć, jakie ma dla nich plany na weekend. Oby żadne. Nie wytrzymałaby uwieszania się na jego ramieniu w czasie czyjegoś niedorzecznego przyjęcia.

– Hej!

Kim przygryzła wewnętrzną część policzka, żeby nie warknąć na brata, aby zostawił ją w spokoju.

– Co, Cody?

– Porozmawiaj ze mną. Nigdy nie rozmawiamy.

– Ciekawe dlaczego – wymamrotała Kim.

Cody nie podjął wyzwania związanego z komentarzem.

– Masz coś przeciwko, żebym zabrał się z tobą do Franco?

– Po co?

– Jest jakiś gość z Nowego Jorku, który ma się przyjrzeć umowie, na jaką ja i tato namówiliśmy Franco. Muszę być przy rozmowach, a przynajmniej przy ich części.

Kim westchnęła.

– A gdzie twój samochód?

– W salonie. Czyjś zasrany pies nie zszedł w porę z drogi i rozwalił mi wczoraj chłodnicę.

Cudnie.

– Poważnie ma dzisiaj gości z Nowego Jorku? – zapytała cicho Kim, posyłając swojemu bratu spojrzenie, które, jak miała nadzieję, wyrazi jej niezadowolenie.

Cody wzruszył ramionami.

– Z tego, co słyszałem, to gość. Trzymaj się od tego z daleka. Nadstaw policzek, czy coś…

Kim jęknęła, patrząc w sufit.

Franco nie załatwiał interesów poza domem, tak by nie przenikały się z normalnym życiem. Ludzie wchodzili tam i wychodzili, jakby byli u siebie. Kim rzadko czuła się bezpiecznie w jego domu, choć zdecydowanie wolała być tam sama, a najlepiej to nie być tam w ogóle.

Jasne, że nie spała z nim w łóżku. Trzęsło ją na samą myśl. Jak długo zdoła go trzymać na dystans?

Nunz się rozłączył.

– Kimberlynn, co cię sprowadza do domu?

– Chciałabym, żebyś trochę przystopował Franco – odparła, przechodząc od razu do rzeczy. – Równie dobrze mógłby mi, kurwa, zacisnąć dłonie na gardle, tato. Nie jestem w stanie przy nim nawet oddychać i stale robię coś nie tak.

Nunz rozsiadł się w fotelu, a następnie skrzyżował ręce na piersi.

– Rozmawiałaś o tym z Franco?

Kim wiedziała, że zbliża się do cienkiej linii oddzielającej kontrolę nad emocjami i całkowitą utratę panowania nad sobą. Wciągnęła powietrze, mając nadzieję, że to ukoi jej lęk, ale się nie udało. Nic już jej nie uspokajało.

– Tato, co mi da taka rozmowa? – zapytała Kim.

– A co da to, że ja z nim porozmawiam, Kimberlynn?

Jej dłoń zacisnęła się na torebce, a paznokcie wbiły się w dłoń. Ból pomógł jej na krótką chwilę uspokoić myśli.

– Wiesz, że go nie znoszę.

– Dokonałaś już wyboru.

Jakiego wyboru?

Kim już w tym momencie wiedziała, że rozmowa z Nunzem jest pozbawiona sensu. Brak jakiejkolwiek empatii czy troski z jego strony mówiły więcej niż tysiąc słów. Tak to wyglądało przez całe jej życie, ale od chwili śmierci matki sprawa tylko się pogorszyła.

– Kochałeś mamę? – zapytała Kim.

– Co proszę? – Brwi Nunza powędrowały ku cofającej się linii włosów.

– Słyszałeś. Czy kochałeś moją matkę?

– Oczywiście, że tak, Kimberlynn.

– Cały czas, gdy byliście małżeństwem, czy tylko przez jego część?

– Hej, uważaj, co, do cholery…

– Tak się zastanawiam, bo totalne lekceważenie, z jakim mnie traktujesz, jest obrzydliwe. Ty mnie spłodziłeś, Nunz. Przyczyniłeś się do tego, że istnieję. Jestem częścią ciebie.

– Nie prosiłem o ciebie – odparł chłodno Nunz. – Twoja matka chciała więcej dzieci, nie ja.

Ten człowiek to lód. Bryła lodu. Żadnych uczuć. Nic. Martwy.

Cody wstał z fotela, po czym odkaszlnął.

– Chodź, Kimberlynn. Jedźmy już.

– Nie, jeszcze nie – odparła Kim, unikając wyciągniętej ręki swojego brata. – Wjebałeś mnie tam między pieprzone wilki, Nunz. Za dziesięć lat, gdy będę mieć na całym ciele siniaki i dzieci bojące się swojego własnego ojca, nadal będziesz miał to w dupie, prawda?

Nunz nie odpowiedział, a Kim nie czekała, by się przekonać, czy w ogóle miał taki zamiar.

W samochodzie Kim podkręciła stereo tak głośno, jak tylko się dało. Brat cicho wsunął się na fotel pasażera. Cofając z podjazdu, Kim docisnęła gaz tak, że opony zapiszczały o podłoże. Musiała uciec od tego okropnego człowieka najszybciej, jak to było możliwe.

Cody sięgnął do radia, żeby je przyciszyć.

– Kim…

– Nic teraz do mnie nie mów – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Dobra, ale musisz coś wiedzieć.

– Tylko proszę, nie broń tego człowieka.

– Nie będę.

– Zatem o co chodzi?

– O Franco – odparł Cody cicho. – Wiem, że wydaje ci się, że nic mnie to nie obchodzi, ale to nieprawda. Muszę się zastanowić nad mnóstwem rzeczy, zwłaszcza w którym kierunku mam zamiar iść. A chcę iść w górę, Kimberlynn. W górę. Jednak Franco… Jeśli kiedykolwiek położy na tobie łapy, zabiję sukinsyna.

Co ciekawe, mimo że nie byli sobie bliscy jak brat i siostra, Kim mu uwierzyła.

***

Kiedy przyjechali do Franco, Cody nie został z Kim. Ruszył ku głosom dobiegającym z piętra, a tymczasem Kim ściągnęła buty i zawiesiła płaszcz. Dwaj faceci, którzy zawsze za nią chodzili, weszli do domu zaraz po rodzeństwie.

Ben i Lucas, faceci, którym Franco zlecił jej pilnowanie, przeszli obok niej bez słowa, gdy stała w korytarzu. Nie to, żeby ją to obchodziło. Im mniej zwracali na nią uwagę, tym była szczęśliwsza.

Kuchnia stanowiła jedyne miejsce w domu Franco, gdzie Kim czuła się komfortowo. Franco w ogóle nie potrafił gotować. Prędzej strzeliłby sobie w stopę, niż spróbował przygotować posiłek. Kim z kolei uznała, że gotowanie ją uspokaja.

Franco właśnie w kuchni dawał Kim nieco przestrzeni i wytchnienia od nieustannego dręczenia i kontroli. Jedynie tutaj w tym, co robiła, nie doszukał się żadnych przewinień. Po prostu narzekanie nagle się ulatniało. Gdy gotowała, on z przyjemnością się zamykał i jadł, co miał na talerzu.

Kim nie była tak do końca pewna, czy to, że umie gotować, pomagało jej w całej sytuacji z Franco czy ją utrudniało. Trzeba wziąć pod uwagę, że szykując posiłek dostatecznie duży, żeby

nakarmić wszystkie osoby mieszkające w domu, robiła dokładnie to, czego on chciał – była doskonałą kurą domową, ładną i cichą, uczepioną jego ramienia i nigdy niekwestionującą jego autorytetu.

Tak czy inaczej to ściągało jej Franco z barków. Kim była skłonna wykorzystać to na swoją korzyść. Położyła torbę na blacie wyspy, po czym wyciągnęła laptop i go włączyła. Po pomieszczeniu rozeszły się dźwięki muzyki. Uniemożliwiała jej ona również podsłuchanie czegoś, o czym mówiono na górze.

Kim wzięła rzeczy z szafek, spiżarni i lodówki, po czym zabrała się za przygotowanie ulubionej potrawy jej rodziny. Była to zapiekanka z makaronu spaghetti, świeżo zebranych pomidorów, cebuli, pieczarek, selera i odrobiny przecieru pomidorowego, puszki albo dwóch sosu, mielonego mięsa wołowego wymieszanego z przyprawami, a to wszystko od góry posypane startym serem. Kto by się nie zjawił dzisiejszej nocy, na pewno się naje. Nikt nie mówił, że ma to być coś szczególnie zdrowego.

Mielone smażyło się na patelni, a tymczasem Kim kroiła i siekała pozostałe składniki. Nie zauważyła upływu czasu do chwili, gdy piekarnik zasygnalizował, że już się nagrzał. Wsunęła do niego przygotowaną zapiekankę, zamknęła drzwiczki i z westchnieniem oparła się o ladę.

W jej torbie było trochę ćwiczeń do przerobienia na jedne z zajęć, ale Kim wiedziała, że lepiej nie wyciągać pracy domowej, kiedy Franco jest w domu. To by pewnie doprowadziło do kolejnej kłótni w kwestii studiów. Kim nie chciała tu przychodzić dzisiejszej nocy. Miała zamiar tylko zjeść, dowiedzieć się, czy Franco będzie jej potrzebował w weekend, a następnie pojechać w cholerę do akademika.

Zatopiona w myślach Kim usłyszała, że do kuchni zbliżają się głosy, dopiero kiedy ich właściciele byli już w korytarzu tuż obok.

– Coś tu smakowicie pachnie – odezwał się Franco. – Rozumiem w takim razie, że to siostra cię przywiozła.

– Tak. Trzeba było po mnie zadzwonić – odparł Cody.

– Dlaczego? Przejrzał tylko parę zdjęć i zobaczył dane. Nikt nie robił żadnych interesów. Nie byłeś potrzebny. Prawda, Skip?

– Tak jakby.

Te dwa słowa wywołały u Kim mieszankę paniki i pożądania, które spłynęły na nią niczym fala przypływu. Wiele miesięcy upłynęło od czasu, gdy słyszała ten mroczny tenor, dokładnie nieco ponad trzy. Jego głos wciąż miał na jej wnętrze ten sam szalony wpływ jak wówczas, gdy go po raz pierwszy usłyszała, kiedy odezwał się przy stoliku do blackjacka.

To było jak natychmiastowy płomień ogarniający jej nerwy.

Giovanni Marcello.

O mój Boże!

Miała poważny problem.

Dłonie Kim zacisnęły się na krawędzi lady tak mocno, że aż zbielały jej kłykcie. Nie miała się gdzie skryć, tak by nie mógł jej zobaczyć. Jej zdolności aktorskie były absolutnie do dupy, więc istniała spora szansa, że Franco połapie się, iż coś wisi w powietrzu. Nie wspominając już o tym, że Cody widział ją, jak rozmawiała z Giovannim na ślubie.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

W korytarzu rozległy się kroki, powoli cichnąc, aż w końcu Kim nie słyszała ich w ogóle.

– Dlaczego mówią do ciebie Skip, Marcello?

– To taki szczególny *capo* – wyjaśnił Giovanni. – W Nowym Jorku tak się ich nazywa na ulicy. W rodzinie może być wielu *capo*, ale tylko jeden jest największym kozakiem, ma najwięcej ludzi i co tam jeszcze. A u nas to ja i mój brat. Oprócz tego Franco próbuje czegoś nowego i musi mnie trzymać jakby na dystans, żeby on mógł zachować twarz przed swoim ojcem w czasie prac nad umową. Wiesz, szacunek.

– Ahaaaa – odparł przeciągle Cody.

Niedobrze. Kim była właściwie pewna, że po ich jednym razie już więcej się nie spotkają. Na miłość boską, ona mieszkała w Las Vegas, a on siedział w Nowym Jorku. Jakie były na to szanse?

– Jedzenie gotowe?

Kim podskoczyła na pytanie zadane przez Franco, które wyrwało ją z odrętwienia. Kiedy on zdążył wrócić na korytarz? Przynajmniej jej brat i Giovanni nadal rozmawiali ściszonymi głosami w miejscu,

z którego nie mogli jej zobaczyć. Sięgnęła po laptopa, by wyłączyć muzykę.

– Uch…

– No? – zapytał ponownie Franco.

– Prawie.

– Jest tego dość, żeby nakarmić siedem osób, w tym ciebie?

Kim spojrzała na niego przelotnie.

– Tak, Franco. Zrobiłam mnóstwo.

– Tak tylko pytam. Nakryj do stołu, Kimberlynn.

Kim zamarła w miejscu, gdy Franco znikał w wejściu do kuchni. Nie była nawet w stanie zmusić się do myślenia, nie wspominając nawet o wzięciu do rąk zastawy czy jedzenia.

– Zostań na kolacji, Skip – usłyszała Franco.

– Nieee, mam sprawy, którymi trzeba się zająć – odparł Giovanni.

Przez krótką chwilę Kim czuła ulgę, że oboje mogą się rozminąć, a Giovanni nawet się o tym nie dowie. Nie trwała ona jednak długo, bo następne zdanie Franco było powleczone czymś, co nie do końca potrafiłaby ująć w słowa.

– Na pewno nie są aż tak ważne, żebyś nie zdążył zjeść przy moim stole, prawda?

– Nie, myślę, że nie.

– Dobrze. Chodź, zanim zjemy, poznasz moją narzeczoną.

Gdy trzej mężczyźni wkroczyli do kuchni, serce Kim zamarło. Nie była w stanie obrócić głowy, żeby zobaczyć wyraz twarzy Giovanniego z obawy, że narastające w niej napięcie uwidoczni się na jej obliczu.

– Giovanni, oto moja narzeczona, Kimberlynn Abella.

Kim była właściwie pewna, że jej płuca przestały nabierać powietrza, gdy napotkała wzrok Giovanniego, który stał po drugiej stronie kuchni. Kiedy lustrował ją z góry na dół, w jego oczach o zielonych tęczówkach widać było zaskoczenie i złość, jakby nie dowierzał temu, co właśnie widzi.

– Oj, już się spotkali – powiedział Cody mimochodem, przeglądając równocześnie plik dokumentów, który trzymał w dłoniach. – Miałem o tym wspomnieć.

Głowa Franco się obróciła, żeby przewiercić Kim spojrzeniem.

– To znaczy?

Rozdrażnienie, jakie wyczuwało się w jego głosie, sprawiło, że Kim przebiegł dreszcz. Ten człowiek w najmniejszym stopniu nie potrafił ukryć swojej zazdrości. Jeśli istniało coś, czego naprawdę nie znosił, to byli to mężczyźni kręcący się zbyt blisko Kim.

– Kimberlynn? – zapytał Franco.

Kim nie mogła się odezwać. Teraz była ku temu jedyna okazja, potem już mogło być za późno.

– Kim – powiedział cicho Giovanni z napiętymi mięśniami szczęki. – Tak, poznaliśmy się na ślubie mojego brata.

Franco zmrużył oczy.

– Hmmm?

Kim powoli wypuściła powietrze, przywołując na twarz uśmiech, który, jak miała nadzieję, nie wyglądał na ewidentnie fałszywy.

– Przepraszam, jestem dziś wykończona. Tak, spotkaliśmy się, gdy byłam w Nowym Jorku z tatą i Codym.

– I?

– I co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nic nie wspominałaś, że będąc tam, poznałaś kogoś z rodziny Marcello.

– A powinnam? – Kim miała nadzieję, że udawana niewiedza ją uratuje. Taki był w każdym razie jej sklecony naprędce plan. – Mieli tam całe pomieszczenie w stylu Casino Royale i tak się złożyło, że ograłam go w blackjacka.

– Cały stolik, nie tylko mnie. I to było tylko jedno rozdanie – sprostował Giovanni, unosząc brew.

– Dokładnie. – Kim posłała Franco kolejny uśmiech, wzruszając ramionami. – Nie ograłam go jakoś bardzo.

Wydawało się, że to udobruchało Franco na tyle, że zaprzestał tego krępującego przesłuchania. To jednak nie powstrzymało go przed dodaniem:

– Czy ostatni raz, kiedy przyłapano cię na liczeniu kart, nic cię nie nauczył, Kimberlynn? Bo miałem taką nadzieję.

Ukryła roztrzęsione ręce pod ladą. Jak tylko Franco obrócił się tyłem do niej, Kim ponownie napotkała wzrok wpatrującego się w nią Giovanniego. Nie miała najmniejszych wątpliwości – facet był

nieźle wkurwiony. Kim ewidentnie postawiła go w niezręcznej sytuacji. Jeśli dziwna wymiana zdań mogła stanowić jakąkolwiek wskazówkę, Franco i Giovanni nie lubili się zanadto.

Kim nie zdołała wytrzymać spojrzenia Giovanniego i odwróciła wzrok. Patrzenie na niego wywoływało wspomnienia jego palców drażniących jej piersi, rozpalonych ust na jej skórze i silnego ciała przyciskającego ją do materaca. Sam jego głos wywoływał uczucia, które rozchodziły się po jej krwiobiegu. Nie powinna była myśleć o takich sprawach, gdy Franco znajdował się niecałe trzy metry od niej.

Mimo wszystko wspomnienia jej nie opuszczały. Skórzana marynarka, którą Giovanni nosił rozpiętą, odsłaniała koszulkę z dekoltem w kształcie litery V, która ciasno przylegała do jego klatki, przypominając Kim o tatuażach, jakie się pod nią kryły. Ciemne, sprane dżinsy, które miał na sobie, opinały umięśnione uda, przyciągając wzrok Kim w rejon genitaliów.

Oj, Boże… Było naprawdę bardzo, bardzo niedobrze.

Kim wstrzymała oddech. Wydawało się, że nikt w pomieszczeniu nie zauważał jej zachowania, jednak Giovanni je dostrzegł. Cała jego postać zamarła z pięściami zaciśniętymi po obu stronach. Kim ugryzła się w policzek, potrzebując czegoś, co ją otrzeźwi. Czuła wdzięczność, że uwaga Franco skupiała się aktualnie na jakimś pytaniu Cody'ego odnośnie trzymanych przez niego dokumentów.

To jednak nie trwało długo.

– Kimberlynn, nakrywasz do stołu?

Kim zamrugała oczami, wyrwana z rozkojarzenia, po czym podeszła do laptopa, żeby go odłożyć razem z torbą.

– Daj mi dziesięć minut i jedzenie będzie gotowe.

Nie miało żadnego znaczenia, czy Giovanni tam jest, czy nie. Za cholerę też nie czyniło żadnej różnicy to, że wpływ, jaki miał na nią w Nowym Jorku, był taki sam, jak teraz, gdy znajdował się kilka metrów od niej. To, co miało miejsce między nimi, wydarzyło się i skończyło. Kim miała rolę do spełnienia. Ignorowała intensywne spojrzenie jadeitowych oczu, obserwujących każdy jej ruch i sprawiających, że tętno przyspieszało do granic możliwości, gdy uwijała się przy jedzeniu.

Czas znowu bawić się w udawanie.

Rozdział szósty

Kim nie była zbyt dobrą aktorką. Krzywiła się za każdym razem, gdy Franco choćby spojrzał w jej stronę. Kiedy tylko ją dotykał, robiła się zimna jak lód. Gio z kolei rozpalał się wtedy wewnętrznie do czerwoności.

Jezusie kochany, co ja tym razem narobiłem?

Zdrada ciążyła mu bardzo, pozostawiając po sobie nieprzyjemny posmak. Kim okłamała go w Nowym Jorku. A może raczej ukryła przed nim coś niezmiernie ważnego, jeśli chodzi o jej status związku.

To nie tak, że Gio był jakimś cholernym świętym, ale na pewno nie sypiał z kobietami, które były po słowie z ludźmi mafii. Gio miał w związku z tym tak gówniane samopoczucie, że prawie czuł, jak oczy robią mu się brązowe. La Cosa Nostra szanowała właściwie niewiele zasad, ale niesypianie z czyjąś dziewczyną stanowiło jedną z nich. I to cholernie istotną.

Kimberlynn, kurwa mać, Abella.

Gio nadal nie potrafił ogarnąć tego umysłem. Jego kutas z kolei nie potrafił przestać o tym myśleć. Przebywanie z Kim w tym samym pomieszczeniu sprawiało, że tamta noc powracała nieustannie, poczynając od chwili, gdy przyparta do ściany obejmowała go w pasie zgrabnymi nogami, po obraz jej ciała ułożonego na łóżku, z jego dłonią wplecioną w jej włosy.

Cristo, nadal słyszał, jak jego imię brzmiało w jej ustach. To szalone, niezwykle intensywne uczucie, jakiego doświadczał za każdym razem, gdy znajdowała się w pobliżu, nie słabło ani odrobinę. Gio nie mógł nic poradzić na to, że spoglądał na drugą stronę stołu. Kim też na niego zerkała, ale zaraz odwracała wzrok.

Stojący przed nim półmisek z zapiekanką był już niemal pusty. Kim potrafiła gotować, co, o ile to w ogóle możliwe po poprzednim spotkaniu, jeszcze bardziej podnosiło jego opinię o tej dziewczynie.

W pewnym sensie owszem, szepnął jego umysł.

Zdecydowanie był zbyt trzeźwy, żeby poradzić sobie dzisiaj z tym nonsensem.

Mężczyźni rozmawiali cicho. Za dużo gadania jak na jego gust. Wstyd było słuchać niektórych rozmów, jakie się przy nim toczyły. Załatwianie interesów przy kolacji było nie na miejscu. Gio nie miał zamiaru się przyłączać. Nadal nie spuszczał wzroku z Kim. Tak jakby stale musiał przypominać swojemu mózgowi i ciału, że ona wciąż tam jest.

Ona. *Kim*.

Dziewczyna, która kołatała się w jego myślach i snach przez ostatnie trzy miesiące. Gio nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przygoda na jedną noc sprawiła, że miał w głowie tak okropny mętlik.

Gio próbował, Bóg wie, że próbował jak cholera, wyrzucić tę kobietę ze swojego świata, ale żaden narkotyk nie mógł się równać z tą ekstazą. Żaden opiat, tabletka czy zioło, jakie aplikował sobie do organizmu, nie potrafiło wypełnić tego pragnienia. Żaden alkohol nie był w stanie odurzyć go równie mocno. Pozostawał po nim jedynie poranny kac, który nie miał nic wspólnego z tym, co pozostawiła po sobie ona. Co do kobiet… Gio i ich próbował, tylko po to, by się przekonać, że nie da rady.

Albo to było beznadziejne, albo on. Kim wsadziła czubek paznokcia między zęby, jej łokieć spoczywał na stole, a ona wpatrywała się tępo w ścianę. W rysach jej twarzy dało się zauważyć niepokój. Martwiło to Gio jak diabli z powodów, których nie potrafił wyjaśnić.

Franco zauważył, że jego narzeczona nie skupia się na gościach przy stole. Zbyt cicho, by ktokolwiek mógł usłyszeć, szepnął jej coś, co sprawiło, że się wyprostowała i lekko skinęła głową w odpowiedzi na jego słowa. Znów wróciła myślami do stołu, ale w jej spojrzeniu widać było konsternację, gdy nie patrząc na Gio, wpatrywała się w ścianę tuż za nim.

To nie była dziewczyna, którą poznał w Nowym Jorku i której nie potrafił zbić z pantałyku. Coś tu było nie tak. Jakim sposobem wpakowała się w związek z Franco Sorrento? Gio prędzej spodziewałby się zobaczyć latającą świnię niż dowiedzieć się, że to

córka Nunza Abelli. Kim była w kompletnie innej lidze niż Franco. Z tej niewielkiej ilości czasu, jaką z nią spędził, Gio wnioskował, że pod tym nienagannym prowadzeniem się jest wolnym, może nawet nieco dzikim, duchem. Cholera, dziewczyna miała ledwie dwadzieścia jeden lat. Po co wychodziła za mąż, skoro nawet nie ukończyła studiów?

Gio przypomniał sobie opowieści o Franco i kobietach. W piersi poczuł troskę i obrzydzenie, gdy pomyślał o tym, że Kim wpakowała się w ten bałagan. Czy właśnie tak było? Czy facet wyglądał na kogoś kompletnie innego, a dopiero potem okazał się totalnym dupkiem?

Potrząsnął głową, żeby pozbierać myśli, po czym odsunął pusty talerz i zwrócił się do brata Kim, który siedział obok niego.

– Od jak dawna Franco jest z twoją siostrą?

Teraz tylko robił sobie problem. Nikt, kto miał jakiekolwiek wyczucie, nie zadawałby takich pytań, a już na pewno w sytuacji, kiedy nie miał żadnego wyraźnego powodu, by je zadawać. Zwłaszcza teraz, gdy już wiedział o… zaręczynach.

– Jakieś trzy miesiące – odparł Cody, przewijając ekran swojego telefonu.

– Nie, młody, mam na myśli, jak długo są parą, a nie od kiedy są zaręczeni.

Cody odłożył telefon.

– Jak mówiłem, około trzech miesięcy.

Brew Gio powędrowała do góry. Trzy miesiące? Jasne. Widywał już miłość od pierwszego wejrzenia, jak u Jordyn i Luciana, ale Gio miał absolutną pewność, że oni stanowili specjalny przypadek.

– Czyli poznali się jakoś po ślubie mojego brata?

– Poznali się trochę przed. Zaręczyny nastąpiły niedługo po nim.

– Aha.

No, to oszczędzało Gio nieco kłopotów. Przynajmniej na razie.

– No wiesz, interesy.

Na Gio spłynęło olśnienie. *Interesy.* Trudno się dziwić, że Kim nie wyglądała na szczęśliwą u boku Franco. Pomiędzy tym dwojgiem nie istniał cień miłości i prawdopodobnie nigdy jej nie było. Chodziło tylko o interesy. Małżeństwo było zaaranżowane.

I Kim się na nie zgodziła.

Dlaczego?

Dobry Boże. Gio poczuł mdłości. Był w Vegas zaledwie dwa tygodnie, a już chciał zbierać się stąd w cholerę tak szybko, jak to możliwe.

***

Cody nie był taki zły. Dzieciak był młody, niemal w wieku Gio, tak że miał trochę czasu, żeby dorosnąć do roli mężczyzny, jakim musiał się stać. Franco przedstawił go wcześniej jako swojego przyjaciela, co oznaczało, że nie przeszedł jeszcze inicjacji. Gio nie rozumiał, dlaczego Nunz jeszcze nie dał swojemu synowi nacięcia. Będąc synem dona, miał takie prawo, które było niemal dziedziczne. Gio swoje otrzymał w wieku siedemnastu lat – w najmłodszym ze wszystkich braci wieku złożył przysięgę omertà.

Fakt, że Cody był synem Nunza, był do dupy, bo Gio myślał, że może jeden z jego braci mógłby wziąć go pod swoje skrzydła jako zastępcę i wyszkolić go na potrzeby *la famiglia*. Nie było wątpliwości, że chce się zajmować rodzinnym interesem.

Gio kolejny raz spojrzał na kolorowe fotografie w rozmiarze dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Spoglądały z nich samochody z najwyższej półki, na które mogli sobie pozwolić tylko naprawdę bogaci. Każde ze zdjęć miało w lewym dolnym rogu doczepioną karteczkę samoprzylepną. Znajdowały się na niej wszelkie szczegóły na temat samochodu i jego położenia.

– Ile z nich stoi w zabezpieczonych garażach?

– Z tej partii? – Cody wzruszył ramionami. – Dziesięć… Dwanaście, jeśli właściciele wyjeżdżają z miasta. W następnym podejściu już nie będą.

Gio skinął głową. Właściwie, jak miał być szczery, to zaimponował mu ten plan. Na pewno był niebezpieczny. Jeśli jednak wykonało się go właściwie i na przestrzeni odpowiedniego czasu, to Cody mógł liczyć na spory przypływ gotówki dzięki kradzieży luksusowych samochodów i rozmontowywaniu ich celem wywiezienia z kraju.

Niestety Antony Marcello nie będzie skłonny brudzić sobie rąk tego rodzaju biznesem. Tu było sporo roboty, przy zaangażowaniu

wielu ludzi. Jeśli miał brać się za wspólne interesy z innymi rodzinami, to wolał takie, w które trzeba było zaangażować możliwie mało osób, i gdzie wszystko było jasne i proste.

O tym konkretnym biznesie ostatnie, co można powiedzieć, to że był prosty.

Jednak to przypominało Gio, po co przede wszystkim znalazł się w Vegas. Antony był pewien, że w rodzinie Sorrento zanosiło się na coś cholernie nieprzyjemnego, i nie chciał, żeby rykoszetem im także się dostało. Przyglądanie się tematowi eksportu kradzionych, luksusowych samochodów było jedynie fasadą. Musiał ją podtrzymywać, żeby nikt nie zaczął się zastanawiać, po co kręci się w pobliżu, skoro Marcellowie nie mają zamiaru się w to angażować.

– Brzmi trochę jak scenariusz *60 sekund* – skomentował Gio, śmiejąc się.

Cody przewrócił oczami.

– Jasne, jasne. Ukradłeś kiedyś samochód tego kalibru, i to tak, żeby wszystko poszło czysto? To nie takie proste, jak pokazali w filmie.

– Nie wątpię… I owszem, ukradłem.

– Naprawdę?

– Pewnie. Spróbuj zapytać mojego ojca, dlaczego trzyma całą swoją flotę samochodów w garażach, a zaraz pokaże na mnie. – Gio uśmiechnął się nikczemnie, po czym dodał: – Dla mnie to było jak zabawa. Chciałem sprawdzić, czy uda mi się bez kluczyków. Naprawdę się wtedy wkurwił.

Gio znów przewertował zdjęcia, zatrzymując się na lamborghini w kolorze jasnego pomarańczu. Dla samochodu był kurewsko brzydki.

– Tego – Gio pacnął palcem w zdjęcie – zrobię sam. Choćby po to, żeby sprawdzić, czy wciąż mam do tego rękę.

Cody się zaśmiał.

– Jasne, bierz się za to.

– Czyli to Franco uskutecznia ten temat?

– W głównej mierze. Maximo bierze, co jego, ale właściwie się w to nie angażuje. Chodzi, zdaje się, o to, że Franco musi stanąć na

własnych nogach i przestać korzystać ze wsparcia Maksa. Ale jakby co, to nie słyszałeś tego ode mnie.

– Jasne, czaję – wymruczał Gio. – A co z twoim ojcem?

– On też dostaje swoją działkę ode mnie – powiedział Cody, nie wchodząc dalej w szczegóły.

Jeśli czegoś Gio nie rozumiał, to jakim sposobem Franco i Nunz Abella się zeszli i wprowadzili taki interes w życie i dlaczego w ogóle Franco chciał czegoś takiego. Rodzina Sorrento miała przecież więcej niż wystarczająco ludzi, wpływów i pieniędzy, żeby wziąć się za to na własną rękę. A już na pewno nie potrzebowali, by maczała w tym palce mała płotka (albo, ujmując rzecz dosadniej, wąż) w rodzaju Nunza. To zwyczajnie nie miało sensu.

Antony miał rację. Coś się szykowało.

Gio przez chwilę się zastanawiał, czy przypadkiem całe to małżeństwo nie ma z tym czegoś wspólnego, ale oczywiście darował sobie zadawanie pytań. Już i tak za dużo wypytywał Cody'ego na ten temat. Nie chciał swoim zainteresowaniem wywołać podejrzeń.

– No dobra, muszę wracać do hotelu. To był kurewsko długi dzień i chciałbym jeszcze zapalić.

– Wiem, co masz na myśli – zgodził się Cody.

Nie do końca, pomyślał Gio.

Wysunął zdjęcie lamborghini z pliku pozostałych, poskładał je, a następnie włożył do tylnej kieszeni spodni. Jutro skoczy na drugą stronę miasta, żeby obejrzeć sobie to auto. Lepiej się przygotować.

– Gdzie Franco? – zapytał jeszcze, bo wiedział, że musi okazać szacunek i się pożegnać, nawet jeśli ten drugi będzie miał to w dupie.

– Albo na górze u siebie w biurze, albo truje mojej siostrze – odparł Cody.

Gio wyciągnął telefon i poprosił młodego o bezpieczny numer, jakiego ma używać w razie, gdyby chciał się z nim skontaktować. Cody podał mu go, a Gio wstukał kontakt na klawiaturze, mając zamiar uzupełnić go później.

– Zadzwonię do ciebie, jak będę potrzebował wskazówek, gdzie odstawić samochód, okej?

– Okej.

Gio wyszedł, żeby poszukać Franco. Zaraz też go znalazł. Nadal był w kuchni z Kim. Chciał szybko wyjaśnić, że skończył jeść i musi już jechać, oraz, jak każdy mężczyzna, który jadł przyrządzone przez nią jedzenie, podziękować za posiłek.

Ani Franco, ani Kim nie zauważyli, że Gio stoi w drzwiach prowadzących do kuchni. Oczywiste napięcie, jakie wisiało między tym dwojgiem, powstrzymało Gio przed wejściem dalej.

– I co to w ogóle ma być, do cholery? – zapytał Franco, machając ręką to w górę, to znów w dół i pokazując na Kim. – Wydawało mi się, że postawiłem sprawę jasno, Kimberlynn. Wyglądasz fatalnie. To nie jest wygląd, jakiego oczekuję, kiedy przychodzisz do mojego domu.

Gio poczuł, jak w gardle rośnie mu gula. Kim absolutnie nie wyglądała fatalnie. Wyglądała tak, jak dziewczyna w jej wieku powinna wyglądać: miała na sobie obcisłe dżinsy i koszulkę typu henley. Młoda i piękna kobieta.

– Tak, wyraziłeś się jasno, że powinnam wyglądać jak lalka, Franco. Jasne, rozumiem. Tylko że jest piątek, a ja spędziłam cały dzień na uczelni, z czego połowę tego czasu w grupie badawczej. Odpuść mi może.

Franco sięgnął i chwycił luźne, faliste włosy Kim. Gio poczuł, jak na ten widok w rejonie splotu słonecznego rośnie mu gorąca kulka zazdrości. Sposób, w jaki Franco chwycił Kim za włosy, wyglądał niemal na zabawę, tyle że ona wzdrygnęła się na ten gest.

– Masz coś zrobić z tymi włosami, a nie nosić je, jakbyś miała swój wygląd głęboko w dupie. Koniecznie to popraw do następnego razu, gdy się zobaczymy. Zrozumiano? – zakończył swoje żądanie pytaniem.

Spojrzenie Kim stało się twarde.

– Tak, rozumiem.

– Co do tej grupy badawczej…

– Z tym daj spokój – przerwała mu Kim, a jej ton stał się ostry. – Ciężko pracowałam, żeby się załapać na program matematyczny. Inne zajęcia odpuściłam, tak jak chciałeś. Tego nie zostawię.

Franco puścił jej kosmyk, po czym skrzyżował ręce na piersi.

– Nie?

– Nie.

– To musisz znaleźć sobie inną grupę badawczą, i to natychmiast.

– Ale dlaczego, Franco? W tej grupie są najlepsi studenci z całego programu.

– I tak nie wykorzystasz nic z tego, czego się nauczysz – odparował Franco. – Wszystkie te pieniądze, które dostałaś z ubezpieczenia swojej matki, teraz okazują się wyrzucone w błoto. Znajdź sobie inną rozrywkę, którą się zajmiesz w ciągu dnia.

Kim fuknęła.

– Na przykład co? Gotowanie ci jedzenia albo założenie klubu haftu krzyżykowego?

– Ty to powiedziałaś, nie ja, Kimberlynn.

Gio w żadnym razie nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Nie chciał podsłuchiwać, ale nie mógł też odejść. Może dlatego, że wcześniejsze zdenerwowanie Kim na Franco nagle stopniało i przekształciło się w ten okropny wygląd charakterystyczny dla pokonanego człowieka. Jakby facet ją zbił, nawet przy tym nie dotykając.

Co za cholerna szkoda. Ta dziewczyna… ta szalona, śliczna dziewczyna, która była pierwszą osobą, jaka od bardzo dawna sprawiła, że Gio naprawdę poczuł, że żyje, teraz wyglądała na złamaną. Kołataniu jego serca towarzyszył ból. To było obrzydliwe.

– To może zrobimy tak – powiedział drwiąco Franco – albo odejdziesz z tej grupy badawczej, albo ja kogoś z niej usunę.

Kim zrobiła krok do tyłu.

– Co proszę?

– Chyba ma na imię Craig? Tak mi przynajmniej powiedziano.

– Craig to przyjaciel, Franco.

– Przyjaciel, z którym w tym tygodniu wychodziłaś na kawę dwa dni z rzędu.

– Pomagał mi w równaniach różniczkowych do arkusza roboczego, jaki miałam przygotować!

– Mów ciszej, do cholery – warknął Franco. – Jeśli gdzie indziej chcesz się zachowywać jak rozpuszczona pizda, to się nie krępuj. W tym domu jednak będziesz się zachowywać, jak należy. Sprawa jest prosta. Albo tę grupę opuścisz ty, albo ja usunę jego. I mówiąc

„usunę”, na pewno nie mam na myśli pozostawienia mu opcji widywania się z tobą następnego dnia. Rozumiemy się, Kimberlynn?

Gio nie mógł już dłużej na to patrzeć. Cofnął się z powrotem do korytarza, tak by nie można go było zobaczyć z kuchni, i westchnął ciężko. Co, do ciężkiej cholery, miał teraz zrobić? Wiedząc, co zrobił, czuł się zaniepokojony.

– Dobrze, odejdę z tej grupy badawczej – syknęła Kim. – Ale ty możesz iść do diabła.

– Nie, dzięki, kochanie. Tu, gdzie stoję, jest wystarczająco gorąco. Nie zapominaj, że Lucas i Ben zawsze są gdzieś w pobliżu. Do zobaczenia jutro wieczorem.

Gdy Kim wypadła z kuchni, niosąc w ręce swoją torbę, Franco nawet nie ruszył się ze swojego miejsca pod ścianą. Nie dostrzegła Gio od razu, ale zaraz jak go zauważyła, potknęła się w pół kroku. Nie spojrzała mu w oczy.

Spójrz na mnie, prosił Gio w myślach.

Była bez porównania lepszym człowiekiem niż facet stojący w kuchni. Była warta czegoś więcej niż tłamszenie jej tak, by nie pozostało nic poza ruchomymi częściami ciała, jak u marionetki, i uśmiechem. Dlaczego nikt jej tego nie powiedział.

Kim uniosła wzrok. Cała twardość, z jaką patrzyła na Franco się ulotniła. Jej miejsce zajął buntowniczy, pełen złości błysk. Ewidentnie Franco nie pozbawił jeszcze Kim całego temperamentu. Pozostały w niej elementy, które wciąż walczyły o swój byt.

Gio chciał zapytać, czy wszystko w porządku, ale nie miał ku temu okazji. Równie szybko, jak na niego spojrzała, ruszyła dalej. Zaczekał, aż frontowe drzwi się zamkną, nim wszedł do kuchni, żeby porozmawiać z Franco.

Franco stał pochylony nad blatem, kręcąc głową. Niewątpliwie facet był wkurzony. Gio znał te objawy. Cieszył się, że Kim wyszła właśnie teraz, bo z tego, co widział, Franco nie wytrzymałby wiele dłużej.

– Wychodzę – powiedział Gio.

– Jedzenie ci smakowało? – zapytał Franco, natychmiast zmieniając postawę.

– Bardzo. Kim to doskonała kucharka.

– Uhm. Powiedz jej, jeśli coś powinna zrobić inaczej. Nie będę miał nic przeciwko.

Gio uniósł brew.

– Moja matka kiedyś mi powiedziała, że mądry mężczyzna nie mówi kobiecie, co powinna robić w kuchni, a jeśli chcę, żeby zrobiła coś inaczej, to powinienem wstać i sam to zrobić.

– Moja narzeczona nie jest twoją matką.

– I dobrze.

Wydawało się, że Franco nie zauważył ostatnich słów.

– Cholerne baby. Są jak konie. Trzeba je złamać. A ta tutaj… już prawie trzeszczy.

Słysząc ten komentarz, Gio doszedł do granic swojej wytrzymałości. Zdecydowanie był zbyt trzeźwy na to gówno.

***

Gio zatrzymał wynajęty samochód przed schodami wejściowymi do budynku, który, jak zakładał, był akademikiem Kim. Pisk opon rozszedł się po ciemnym parkingu. Nachylając się przez siedzenie, otworzył drzwi pasażera. Wstrząśnięta Kim stała zaledwie krok od niego.

– Wskakuj, *tesoro*.

Kim wpatrywała się we wnętrze samochodu. W jej oczach widać było strach i niepewność.

– Co?

– Wsiadaj do samochodu. Pospiesz się.

– Nie mogę…

– Martwisz się o tych dwóch idiotów, którym Franco kazał za tobą łazić? Wpadli do Starbucksa za rogiem. Znając życie, zamówienie kawy zabiera trochę czasu, więc mamy jakieś trzy minuty, zanim znowu siądą ci na ogon. Wsiadaj do tego cholernego samochodu, Kim.

Jej ręka zacisnęła się na torebce. Rozejrzała się po parkingu, przestępując z nogi na nogę, jakby nie mogła się zdecydować. Gio nie miał czasu na jej wewnętrzne dylematy.

– Wsiadaj albo się odsuń, *tesoro*.

Kim przymrużyła oczy, przyglądając mu się w świetle lampki dachowej samochodu.

– Naćpałeś się? Bo to jedyny powód, jakim mogę sobie wytłumaczyć to, że właśnie mnie prosisz, żebym wsiadła do twojego samochodu.

– Jeszcze nie, ale planuję to wkrótce zmienić – odparł Gio. Jak by nie było, szczerość to najlepsza opcja. Wzruszył ramionami, a następnie dodał. – Pomyślałem, że możesz znać jakieś miejsce, gdzie serwują dobrą zabawę.

– Ja? – zapytała Kim nieco zbyt niewinnie.

– Ten słodki wyraz oczu ma na mnie zadziałać? Zapomniałaś chyba, że jestem tym gościem, z którym spędziłaś w hotelu kilka aktywnych godzin i w ciągu zaledwie ułamka tego czasu mieliśmy na sobie ciuchy.

Kim nawet nie mrugnęła na tak brutalne postawienie sprawy.

– To zły pomysł.

– Nie jesteś aniołkiem, Kim. Nie proszę, żebyś nim była. Chcę tylko, żebyś wsiadła do mojego samochodu i zrobiła coś zabawnego. Jak się nad tym zastanowisz, to jesteś mi to winna.

– Szantaż?

– Tik tak. Jak sądzisz, ile jeszcze czasu mamy, zanim tych dwóch kretynów od Franco wpadnie na ten parking i zobaczy, jak rozmawiasz z kimś w ciemnym samochodzie? Jestem skłonny się założyć, że jak o tym usłyszy, to staniesz się ofiarą kolejnej gadki takiej jak wcześniej.

Kim zacisnęła zęby. Noo, tu Gio trafił w dziesiątkę.

– Wsiadaj – zażądał.

– Zrobimy coś zabawnego, tak?

– To wszystko. Zabiorę cię na tę noc z dala od tego wariactwa, które kładzie ci do głowy. Jak powiesz, że masz dość, to kończymy. Odwiozę cię tutaj z powrotem i nikt się o niczym nie dowie.

– Nie mogą mnie zobaczyć, jak wrócę, Giovanni.

– I nie zobaczą.

Kim wrzuciła do samochodu torebkę, po czym wpakowała się do środka, nie oglądając się za siebie.

Rozdział siódmy

Kim nie miała pojęcia co właśnie wyprawia. To, że wsiadła do samochodu Giovanniego, było szaleństwem. Ona nawet nie igrała w tym momencie z ogniem. Zwyczajnie tańczyła boso po rozżarzonych do czerwoności węglach.

Całe jej ciało było ultraświadome obecności Giovanniego. Czuła jego zapach – połączenie mężczyzny, dymu i skóry. Boże, to było jak kop dla jej zmysłów, który rzucił ją w objęcia najwyższych stopni pożądania. Musiała zachować ostrożność. Ryzyko było w porządku, kiedy prawdopodobieństwo było po jej stronie. Będąc z Giovannim Marcello, Kim wcale nie była pewna, że tak jest.

– To głupota.

Giovanni parsknął.

– Masz dwadzieścia jeden lat. Właśnie to powinnaś robić. Głupio się zachowywać. Być lekkomyślna. Zabawić się trochę.

– Jasne, ale zapewne nie z gościem, z którym się pieprzyłam, i zdecydowanie nie w sytuacji, gdy mam narzeczonego.

– Zapewne nie – powtórzył Giovanni. – Swoją drogą dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Wtedy jeszcze nie byłam zaręczona. Dlaczego ma to znaczenie?

– Och, *bella*. Ma o tyle, że wolałbym nie zarobić kuli w łeb. Powinnaś mi była powiedzieć, kim jesteś, i dać mi możliwość uchronienia się od kłopotów, z jakimi muszę się teraz borykać.

– Kłopotów. Serdeczne dzięki.

– Nie chodzi o ciebie, tylko o to. Nie wiem, o co w tym, kurwa, chodzi, ale nie mogę cię wyrzucić z głowy. Próbowałem. Wciąż tam siedzisz. Lubiłem stan, jaki panował w mojej głowie, i dobrze mi z nim było. Ty w jednej chwili mnie z niego wytrąciłaś. A to pachnie kłopotami.

Kim nie rozumiała.

– Co masz na myśli, mówiąc o wyrzucaniu mnie z głowy?

Gio rzucił jej przelotne spojrzenie, zanim znów skupił się na drodze. Nie było ono w żadnym wypadku neutralne. Przepełniał je żar, który przelał się prosto w jej pierś i usunął wszelkie lęki, a zastąpił je czymś podobnym do ekscytacji i pragnienia. Dalej spłynął prosto do miejsca między jej udami, sprawiając, że jej żołądek zacisnął się w oczekiwaniu.

Jezu… Kim pragnęła tego mężczyzny. Było to najprawdopodobniej najgłupsze pragnienie w jej życiu, biorąc pod uwagę to, w jakiej sytuacji się znajdowała. Zważywszy, jak bardzo zazdrosny był Franco, Kim myśląc w ogóle o Giovannim w taki sposób, zachowywała się jak kompletna kretynka.

– Tak, dokładnie to – wymruczał Giovanni pod nosem.

– Ale co?

– To – powtórzył twardo. – Ten gwałtowny oddech i twoje ręce zaciskające się na kolanach. Nie możesz nawet spojrzeć w moim kierunku, nie myśląc o tym wszystkim. Ja wiem, o co chodzi, więc nie graj idiotki, Kim. Mówię ci, że ja też nie mogę wyrzucić cię z głowy. Powinnaś mi była powiedzieć, kim jesteś.

Mimo rozdrażnienia, mówił spokojnym głosem. Kim nie miała mu za złe, że odgadł jej tajemnicę.

– Nie sądziłam, że będzie to mieć znaczenie.

– No i zobacz, jak cholernie pięknie to wszystko się ułożyło dla nas obojga.

– Taaa, już to odkryłam kilka godzin temu. Po co śledziłeś Bena i Lucasa, żeby znaleźć mój akademik, skoro nic ode mnie nie chcesz?

Giovanni pokręcił głową.

– Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że powinnaś mi była dać wybór. Nic nie wspomniałem o tym, że wtedy bym sobie poszedł.

Tak jak i teraz nie uciekł ode mnie w podskokach, pomyślała Kim.

Ewidentnie Giovanni był typem, który lubił podejmować ryzyko. W przeciwieństwie jednak do niej on nie wydawał się ważyć plusów i minusów. W Nowym Jorku dał tego świetny przykład. W ogóle nie zadawał pytań w związku z jej zaproszeniem. Chciał czegoś i to po prostu wziął.

– Jak się dowiedziałeś, który akademik jest mój? – zapytała Kim.

– Szczęście. Trzymałem się blisko tych idiotów od Franco, a oni trzymali się twojego tyłka, ale w końcu kopnęli się do Starbucksa. Zwyczajnie podjechałem na pierwszy parking i zobaczyłem, jak podchodzisz do wejścia.

– No dobra. Naprawdę chcesz się zabawić?

– Właśnie to chyba powiedziałem? I nie w klubie. Kiedy jestem w domu, spędzam w tych jebanych miejscach po pięć dni tygodniowo. To dla mnie żadna zabawa, tylko praca. Daj mi coś nowego, co mógłbym zobaczyć, *tesoro*.

– Da się zrobić. W centrum jest takie miejsce – powiedziała Kim, opadając z powrotem na fotel. – Łatwo je przeoczyć, jeśli się tam nie było. Z zewnątrz przypomina magazyn. I o to właśnie chodzi. Anonimowość. Nie ma tam miejsc parkingowych. Większość ludzi idzie na piechotę albo bierze taksówkę. Nie afiszują się. Szukają konkretnego rodzaju klienta, który chciałby spróbować konkretnej rozrywki, i zdecydowanie nie mają ochoty, żeby wpadła tam policja i zepsuła zabawę.

– Czyli underground?

– Taaa. O coś takiego ci chodziło?

Giovanni wyszczerzył zęby w uśmiechu, momentalnie sprawiając, że w Kim zawrzała krew.

– Tak, dokładnie o to.

***

Pulse był zatłoczony. Miejsce to stanowiło skupisko ludzi, którzy chcieli mieć swobodę, jeśli chodzi o to, jak się bawią. Świateł właściwie nie było, z wyjątkiem kilku reflektorów punktowych. W ciemności świeciła fluorescencyjna farba, rozbryźnięta od podłogi aż po sufit. Na górę prowadziły schody. Muzyka nigdy nie przestawała grać, a to znaczyło, że ludzie też nie odpoczywali. Był tam bar z alkoholami, ale wzdłuż przeciwległej ściany stały też stoliki, a na nich nieotwarte butelki z wodą.

Nie było wielką tajemnicą, skąd brała się tak wielka popularność *Pulse* wśród bywalców lokali undergroundowych. Ci, którzy naprawdę chcieli się dobrze bawić, niezależnie, czy w tym celu mieli

zamiar pić, ćpać czy palić, mogli to tam swobodnie robić. Woda pozwalała przebywającym w tym miejscu ludziom zabezpieczyć się przed odwodnieniem, niezależnie od tego, w jakim stanie się znajdowali.

Dłoń na dolnej części pleców Kim przypomniała jej o obecności Giovanniego. Choć i tak nie mogła o nim zapomnieć. Wiedział o tym każdy cholerny centymetr jej ciała.

– Podoba ci się? – zapytała Kim głośno, tak żeby dało się ją usłyszeć wśród muzyki.

– Tak, podoba – odparł Giovanni. – Idealnie.

Giovanni szedł tuż za Kim, gdy zmierzała do baru. Bywalcy lokalu byli wszędzie, ukryci w zacienionych kątach, na górze, skąd spoglądali w dół, a także w rozmaitych innych miejscach. Tutaj już było gorąco. Właśnie to lubiła w *Pulse*. Nikogo nie obchodziło, co robisz, żadnego oceniania czy zaczepek. Wszyscy chcieli tylko przyjemnie spędzić czas.

Przy barze Kim zastukała w blat, żeby zwrócić uwagę jednego z trzech barmanów.

– Co pijesz? – zapytała Giovanniego, gdy ten odwrócił się, opierając tyłem o bar, twarzą zwrócony do tłumu.

– Nie przyjechałem tu pić. Zamów, co chcesz. Zakładam, że płaci się tylko gotówką?

– Zawsze – odparła. Gio bez słowa zanurkował ręką do wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki, po czym wyciągnął ją, trzymając niewielki rulon banknotów, który podał Kim. Spojrzała na pieniądze niepewnie. – Nie musisz za mnie płacić, Gio. Ty przecież nie pijesz.

Gio uśmiechnął się półgębkiem.

– Teraz jestem Gio?

Kim nie była pewna, dlaczego użyła krótszej wersji jego imienia. Może dlatego, że słyszała, jak mówią tak do niego inni. To był Giovanni, którego nie znała – taki, którego być może zdołałaby oddzielić od tego, który był jej znany. Tak czy inaczej, był to sposób, żeby trzymać się z daleka od kłopotów. Przynajmniej do pewnego stopnia. Może i sposób gówniany, ale zawsze.

– Wszyscy tak do ciebie mówią – wyjaśniła Kim.

– Jasne. Większość.

– Słyszałam też o tym Skipie. Zdaje się, że tak nazwałoby cię dosyć niewiele osób.

Giovanni zerknął na nią z boku.

– Ale nie ty.

– Raczej by mi nie podeszło. Właściwie to do ciebie nie pasuje.

– Wcale nie musi ci podchodzić – odrzekł Giovanni, odwracając się, żeby patrzeć na tłum. – Skip to łotr, gangster, bo taki musi być. Jasne, to ktoś taki jak ja, ale to nie do końca to samo. Wolałbym, żebyś go nie poznała czy też, jak wolisz, żebyś nie poznała mnie od tej strony. Właśnie dlatego ci jej nie pokazuję, bo wcale nie musisz jej oglądać.

Kim nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Giovanni nie dał jej szansy się namyślić. Barmanka czekała, aż Kim zamówi, co chce, i wyglądała, jakby powoli traciła cierpliwość.

– Zamawiaj swoje drinki, a ja zapłacę, czy ci się to podoba, czy nie.

– Gdzie idziesz? – zapytała Kim, gdy Giovanni odepchnął się od baru.

– To oczywiste, że ten lokal jest po lewej stronie prawa. Powiedziałem ci, że chcę się zabawić, więc idę poszukać dobrej zabawy.

Resztę wyczytała między wierszami.

– Szukaj na piętrze, gdzie wszyscy cały czas tańczą.

– Dobrze wiedzieć – wymruczał Giovanni, zdejmując marynarkę i podając ją Kim. Równie płynnie ze zwitka w jej dłoni wyciągnął kilka banknotów. – Od dwóch tygodni kusiło mnie, żeby się umówić na randkę z Molly.

***

– Ufasz mi? – zapytał Giovanni z ustami tak blisko ucha Kim, że czuła na małżowinie podmuch powietrza z jego ust.

– Wciąż nie jestem pewna – odparła szczerze Kim, obracając się na swoim stołku barowym w jego kierunku.

W ręce trzymał otwartą butelkę wody. Nie było go co najmniej dwadzieścia minut. Wystarczająco długo, by Kim wlała w siebie trzy

szklanki ginu z tonikiem i znalazła miejsce, żeby usiąść przy barze. Przyjrzała mu się ponownie najlepiej, jak mogła w zasadniczo ciemnym miejscu. Rozleniwiony uśmiech, spokojny wyraz twarzy, przyciężkie powieki… Wszystko to mówiło, że zapewne znalazł to, czego szukał w tłumie. Każdy, kto by na niego spojrzał, zapewne pomyślałby, że po prostu jest zrelaksowany. Ale nie Kim. Ona już bywała w tym stanie i nie miała zbyt wielu wspomnień, które z tamtych chwil mogłaby przywołać.

Giovanni całym sobą cieszył się stanem, w jakim się znajdował. Biła od niego aura luzu i pewności siebie. Ręce skrzyżował na swojej szerokiej piersi, ale dłoni nie zwinął w pięści, tylko położył luźno. Lekceważący wyraz twarzy, z jakim zazwyczaj lustrował każde pomieszczenie, zastąpiło filuterne spojrzenie, które skupiało się wyłącznie na niej.

Kim pociągało raczej nastawienie, jakie widziała u niego wcześniej, ale to jego swobodne (a może niedbałe) oblicze lubiła również, nawet jeśli było następstwem czegoś nienaturalnego. Był seksowny w swoich spranych, czarnych dżinsach i koszulce z dekoltem w serek. Mrok ocieniał jego silne kształty i sprawiał, że był jeszcze bardziej tajemniczy. Na pewno dodawało mu to jeszcze atrakcyjności i uroku.

Giovanni podszedł do niej na tyle blisko, że gorąco jego ciała zatańczyło na jej skórze, gdy odkładał na bar butelkę wody. Następnie, gdy ciepło jego dłoni niespodziewanie musnęło jej kark, Kim ledwo powstrzymała narastający w jej gardle jęk.

Była już nieźle pijana.

– To ufasz mi? – zapytał ponownie.

– A powinnam?

Giovanni się zaśmiał.

– Zapewne nie.

Ręka Giovanniego zsunęła się pod jego skórzaną marynarkę, którą miała na sobie, i zatrzymała się, by złapać Kim w talii. Założyła jego ubranie, bo nie chciała go zapomnieć ani dać go ukraść. W tym miejscu w marynarce było goręcej niż w piekle, ale Kim nie miała zamiaru jej ściągać, jeśli mając ją na sobie, była otulona w zapach Giovanniego, który przyprawiał ją o szaleństwo.

Ewidentnie Kim nie była w stanie zapanować nad swoimi najbardziej lubieżnymi myślami.

Ręka na jej talii zacisnęła się, a kciuk wślizgnął się pod jej koszulkę i pogłaskał po wrażliwej skórze. Poczuła, jak pulsujący rytm przechodzi z palca na jej ciało, a intensywne doznanie opanowuje jej wnętrze. To z kolei przypomniało Kim, jak to jest nie mieć na sobie nic i czuć, jak każdy centymetr jego ciała oplata ją całkowicie.

– Co robisz? – Gardło Kim ściskało się pod wpływem jego bliskości.

Giovanni puścił jej talię, ale zaraz potem chwycił podbródek palcem wskazującym i kciukiem. Uniósł jej głowę, tak by ich oczy się spotkały.

– Podoba mi się czerwień twoich ust.

– Mhm?

– Uhmm. Twoje włosy wyglądają zdecydowanie lepiej, kiedy są rozpuszczone, niż gdy są upięte. Łatwiej owinąć nimi ręce.

Kim zaśmiała się cicho, ale zaraz znów owładnęła nią nerwowość.

– Przestań. Jesteś naćpany.

– I szczery – odpowiedział Giovanni. – Nie wyglądasz fatalnie, Kim. Mając dwadzieścia jeden lat, nadal powinnaś robić różne szalone, nonsensowne rzeczy, popełniać błędy i usiłować ustalić, kim, do jasnej cholery, chcesz zostać w życiu. Nie pozwól mu zabrać ci tych rzeczy, które określają, kim jesteś.

Kim poczuła ból w piersi, uświadamiając sobie, że Giovanni usłyszał dokładnie wszystko z rozmowy, kiedy Franco się nad nią znęcał w kuchni. Właściwie to podejrzewała, że tak właśnie było, ale jego obecne słowa to potwierdzały. Prawdopodobnie nie przyniesie im to nic dobrego, ale nawet się tym nie przejmowała.

– Staram się, jak mogę.

– Dobrze. A teraz rozchyl te swoje cudne usta, *tesoro*, i pozwól, że o nim zapomnimy.

Giovanni przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, cały czas intensywnie się w nią wpatrując. Usta Kim rozchyliły się jakby same, a gdy zatrzymał kciuk pośrodku dolnej wargi, poczuła na swoim języku jego palec wskazujący.

Wydawało się, że przygląda się wyrazowi jej twarzy z większym zainteresowaniem, i wtedy poczuła w ustach coś o kształcie półkola. Wspominał coś o zaufaniu. Kim przypomniała sobie o tym, kiedy sztucznie słodzona tabletka o pudrowej konsystencji zaczęła się niemal natychmiast rozpuszczać, mieszając ze śliną.

To nie był pierwszy raz, kiedy Kim wzięła coś tutaj, w *Pulse*, nie wiedząc nawet, co to było. Czy to głupie? Zdecydowanie. Absolutnie nieodpowiedzialne i bezmyślne, prawie idiotyzm. Tak, doskonale zdawała sobie sprawę, jak okropnie to było głupie, ale po prostu nie mogła się powstrzymać, żeby nie mieć tego wszystkiego głęboko w dupie.

Wcześniejsze starcie z Franco sprawiło, że znalazła się w okropnym położeniu, gdzie jedynym sposobem, w jaki mogła z nim walczyć, były jej działania. Uparte dążenie Franco, by złapać ją w pułapkę i stłamsić w klatce życia, którego nie chciała, powodowało, że buntowała się częściej, niż była skłonna przyznać.

Narkotyki są niebezpieczne. Co do tego nie ma wątpliwości. Ta świadomość nie powstrzymała jej przed objęciem ustami i językiem palca Giovanniego, na którym wciąż znajdowała się coraz bardziej rozmiękła połówka tabletki. Kim wcale nie obchodziła późniejsza kara, jeśli robiąc coś w danej chwili, czuła się dobrze. Jutro zmierzy się z konsekwencjami swojej głupoty. Dzisiaj chciała po prostu miło spędzić czas. Przyszłość, jaka na nią czekała, miała być jedynie torturą.

Smak Giovanniego zmieszał się z pudrowym aromatem. Tabletka rozpuściła się aż nazbyt szybko, a on wyjął palec z jej ust. Kim przełknęła tę odrobinę posmaku, który pozostał w jej ustach.

– Molly – wyjaśnił Giovanni. – Próbowałaś kiedyś?

– Kilka razy – przyznała Kim.

– Dobrze, zatem nie muszę wyjaśniać, co z tobą zrobi. Dostałaś połówkę, bo trzeba brać poprawkę na to, że mamy już późną godzinę, a jutro rano musisz być w przyzwoitej formie. – Skinął głową w jej kierunku. – Daj jej pół godziny… – Uniósł brwi i dotknął jej ust dwoma palcami, jakby się zastanawiał, jak się czuje. – No, może nawet ze dwadzieścia minut albo coś koło tego, a potem będziesz latać.

– Z tobą.
– To cię przeraża, *tesoro*?
– Bynajmniej.
Uśmiech Giovanniego przybrał szelmowski wyraz.
– Dobrze. Zawsze lepiej jest latać we dwoje.

***

Dla Kim muzyka stała się żyjącą, oddychającą istotą. Wszystkie rozbrzmiewające dźwięki nie były już tylko rozchodzącymi się w powietrzu bitami, o nie. One dosłownie, kurwa, żyły. Od samiutkich czubeczków jej palców prosto do Molly rozpływającej się w jej żyłach dźwięki płynęły z otaczających głośników i dryfowały wprost do jej świadomości i ciała, stanowiąc właśnie doświadczenie, jakiego oczekiwała.

Niczego nigdy nie odczuwała w sposób tak wysublimowany.

To znaczy niczego, z wyjątkiem gorących dłoni Giovanniego, badających rozległe przestrzenie jej skóry pod cienkim topem na ramiączkach. W pewnym momencie powietrze stało się dla Kim zbyt gorące, więc zrzuciła skórzaną marynarkę, a następnie ściągnęła też bluzkę, zostając tylko w topie.

Nie mogła długo wytrzymać bez otaczającego ją zapachu Giovanniego, tak że szybko wzięła marynarkę z powrotem i znów ją założyła. Co ciekawe, nie odczuła teraz gorąca, jakie panowało w środku, mimo że miała na sobie ciężką skórę.

Wokół słychać było pomruki rozmów, ale tak naprawdę nie docierały one do Kim. Ruch nie ustawał. Światła. Ciała. Cienie. Dźwięki. W jej wizjach nawet muzykę czuła niczym delikatne nitki. Dobry Boże. To było wspaniałe.

Została z uczuciem błogości wypełniającym ją całą. Nie było żadnych trosk. Wszystko wyglądało absolutnie dobrze. Najlżejsze otarcie ciała o cokolwiek sprawiało, że chciała więcej tego uczucia. Nie mogła się nasycić.

Dłonie Giovanniego zjechały po talii Kim, zatrzymując się na dżinsach, a jego palce wpiły się w nagą skórę pomiędzy jej uniesionym topem a spodniami. Jego sylwetka poruszała się wraz

z jej ciałem w rytm muzyki, kołysząc się na parkiecie. Przycisnął ją mocniej do siebie, tak że jej tyłek mocno opierał się o jego krocze, plecy o klatkę piersiową, a głowa wkomponowała się w łuk łączący szyję z ramieniem. Jej brzuch zalało gorąco, ale to był dobry żar.

Sposób, w jaki Giovanni zgrywał swoje kołysanie z jej ruchami, był uzależniający, a nerwy Kim sprawiały wrażenie, jakby chciały się przedrzeć na powierzchnię jej ciała, byle tylko być bliżej doznań. Tańczył, jakby pieprzył, kontrolowanymi, pewnymi ruchami. Wprawnie i niespiesznie, chyba że chciałaby czegoś więcej. Kim wpasowywała się w niego doskonale. Z radością pozostałaby w tym zatraceniu. Na razie nie musiała wracać do czekającego ją życia.

Giovanni odsunął jej rozwiane swobodnie włosy na prawe ramię, a tymczasem jego usta szeptały coś bezgłośnie w jej kark. Ten cień ust, wędrujący po jej skórze, tkał pożądanie Kim. Nie była już w stanie wytrzymać, nie mogąc poczuć ciała trzymającego ją mężczyzny, więc się obróciła. Giovanni poprawił dłonie na biodrach Kim, cały czas kołysząc ją rytmicznie.

Jej ręce zaczęły wędrować pod jego koszulką, sprawiając, że mięśnie Gio poruszały się pod wpływem każdego ich ruchu. Z jego piersi dobył się ochrypły jęk, wibracjami przechodząc wprost do jej łona. Kim spojrzała w górę, gdzie zobaczyła zielone oczy spoglądające na nią drapieżnie. Jakby jej pragnął.

Chryste. To było piękne. On był piękny w sposób… niemal bolesny.

Przez jej umysł przebiegła myśl, tak przelotna, że niemal jej umknęła. Niemal.

Jak by to było należeć tylko do niego?

Ręce Kim, nadal pod koszulką Giovanniego, przekradły się na plecy. Delikatnie przejechała paznokciami po dolnej części jego pleców, żeby sprawdzić, jaką to wywoła reakcję. Giovanni zadrżał.

– Jesteś odurzająca, wiesz? – powiedział cicho.

Kim zaschło w gardle.

– Naprawdę?

– Dla mnie tak. To niebezpieczne.

Kim miała świadomość, że krążąca w jej krwiobiegu Molly nie była bez znaczenia, jeśli chodziło o pociąg i pragnienie Giovanniego. Narkotyk nie był jednak wyłączną przyczyną jej stanu. Substancja

tylko wzmacniała pożądanie, jakie już czuła. Problem polegał na tym, że ciągnęło ją do niego na długo, zanim połknęła tabletkę, i pewne było, że nadal będzie go pragnąć, gdy odurzenie minie.

Już raz go miała i wiedziała, co może z nią zrobić. Chciała tego znowu.

Silne, zręczne palce wybijały pobudzający rytm na jej boku. Przez skórę Kim przebiegały iskierki wywołujące dreszcze. Odczucia wędrowały szybko niczym błyskawica, sięgając jej łona, które zaczęło pulsować, choć robiła, co w jej mocy, żeby je zignorować.

– Chciałbym cię dotknąć – powiedział Giovanni, a jego słowa niemal zniknęły w próżni otaczających ich dźwięków.

To było tyle w temacie ignorowania tego, co mówiło jej ciało. Wraz z tym jednym zdaniem cały organizm Kim zdawał się pulsować razem z kroczem.

– Dotykasz.

– Nie, nie tak, jak bym chciał.

Jeśli chciał porozmawiać o niebezpiecznych sprawach, to te słowa na pewno do takich należały. Od chwili, gdy Kim zaczęła odczuwać pierwsze oznaki działania narkotyku, Giovanni uważnie ją obserwował. Trzymał ją blisko siebie, sprawdzając, jak sobie radzi, gdy dochodzi do szczytu. Pomijając niewinne dotykanie i bliskość, nie przekroczył żadnej granicy.

W każdym razie nie według Kim.

– Gdzie byś chciał mnie dotknąć? – zapytała, doskonale wiedząc, że nie powinna.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Pytanie było podchwytliwe. Przestali tańczyć. Kim nie miała pojęcia, która jest godzina. Bycie pod wpływem Molly oznaczało, że sekundy, minuty i godziny zlewały się ze sobą, tak jakby w ogóle nie istniały.

Giovanni uniósł swoją ciemną brew.

– Niedługo będę musiał cię odstawić.

Kim tak nie uważała.

– Nie, chcę wiedzieć, gdzie chciałbyś mnie dotknąć.

– We wszystkie miejsca, których już dotykałem, *tesoro*. Raz po raz. By sprawdzić, czy moje wspomnienia pokrywają się z tym, jak

zapamiętałem twoje ciało i dźwięki, które z siebie wydawałaś. Nie sądzę, by tak było, ale to mnie nie powstrzymało przed myśleniem o nich. I to sporo.

Słowa te sprawiły, że przez ciało Kim przebiegła fala przyjemności. Zdecydowanie za bardzo podobało jej się to, że o niej myślał. Nawet fantazjował. Już teraz złamała wszelkie cholerne zasady, jakich miała dziś w nocy przestrzegać. Czy jeszcze jeden raz naprawdę zrobi jakąś różnicę?

– A co, jeśli powiem, że tego chcę? – zapytała Kim.

– Żebym cię dotknął?

– Chciałabym czegoś więcej niż dotykania. – Zdanie przepychało się przez jej gardło jak kula i omal nie zamilkła, bo wiedziała, że to, co robi, jest złe. Kim zepchnęła ją z powrotem w dół. – O wiele więcej.

– Odpływasz – odparł Giovanni. – To wszystko.

– Nie aż tak, żebym nie wiedziała, czego chcę. Mam świadomość, że to głupie. Tylko że mam to gdzieś.

– Przestań. Kim, nie rozumiesz, co to… – Giovanni zamilkł w pół zdania, ciężko przełknął ślinę i wysunął język, żeby zwilżyć dolną wargę. – Pies to jebał. Nigdy nie miałem zamiaru być dobry. Przynajmniej tym razem wiem dokładnie, co mnie czeka.

Kim nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Co?

– Chodźmy.

Giovanni chwycił Kim mocno za nadgarstek. Ciągnąc ją za sobą, szybko przeszedł przez tłum ludzi. Gdy wreszcie się zatrzymał, Kim nie była do końca pewna, w którym miejscu w klubie się znajdują. Nie miała czasu, żeby się rozejrzeć, bo zaraz szybko została obrócona. Jej plecy mocno uderzyły o ścianę. Giovanni przytrzymał ją w miejscu. Ciemność otulała ich tam bardziej niż na parkiecie i choć część bywalców stała blisko, nikt zbytnio nie zwracał na nich uwagi.

Giovanni zsuwał marynarkę w dół jej ramion, aż w końcu zrobił się z niej zwitek. Gdy już się zsunęła i okalała dolną część jej pleców i nadgarstki, Kim nie mogła unieść rąk.

To sprawiało, że była unieruchomiona, a tymczasem jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele. Do jej zaciskającego się krocza spłynął żar, gdy jego dłoń wsunęła się pod cienką koszulkę i powędrowała do stanika. Palce wślizgnęły się pod satynę i zaczęły krążyć dookoła nabrzmiałego sutka, sprawiając, że jej skóra rozpaliła się nagłym ciepłem. Druga ręka powędrowała, by spocząć na guziku jej dżinsów, którym najpierw się bawił, a potem rozpiął wprawnym ruchem palców.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił Giovanni ochrypłym głosem. – Powiedz, czego chcesz.

– Dotknij mnie.

Chropowata ściana drapała ją w plecy i ramiona, gdy Giovanni mocniej ją do niej przycisnął. Wcześniejsze niewinne dotykanie nie miało z tym nic wspólnego. W jego oczach widać było jasno określony, świadomy zamiar. Dłonie już wędrowały ku miejscu przeznaczenia, a ciało i umysł Kim się im poddawały.

Przytłoczona doznaniami Kim nie byłaby w stanie odpowiednio opisać tego, jak się czuła. Było to tak, jakby wszystkie miejsca na jej ciele nagle połączyły się światłowodem z jej cipką i łechtaczką. Każdy cal jej ciała reagował na jego dłonie i palce poruszające się po całej skórze, pieszczące ją słodko, choć właściwie niewiele przy tym robiły. Z rozszalałym pożądaniem, wirującym pragnieniem i krwią gęstą od pragnienia Giovanniego, pomyślała, że momentalnie oszaleje, jeśli zaraz nie da jej więcej.

Gdy jego palce wsunęły się za linię majtek, z jej ściśniętego gardła wyrwało się coś podobnego do czkawki.

– Napłynęłaś już dla mnie sokami, *bella mia*?

Tak, zdecydowanie. Bielizna, którą miała na sobie, na pewno nadawała się już tylko do prania. Uda jej się trzęsły, a dżinsy niewiele mogły pomóc na pragnienie rozdzierające jej łechtaczkę. Kim zdołała jedynie skinąć głową, bo nie mogła ufać swojemu głosowi, ani nawet płucom.

– Zobaczmy… mokro – powiedział Giovanni.

Dwa jego palce wślizgnęły się przez mięsiste fałdki, rozprowadzając dowody jej podniecenia po swojej dłoni i zewnętrznej części jej cipki. Nagły szok wywołany przyjemnością

związaną z dotykiem był porażający. Czuła się, jakby znalazła się na granicy orgazmu.

– Chcesz ze mną polecieć, tu i teraz, ze wszystkimi tymi ludźmi patrzącymi na nas?

– Oni nie…

– Niektórzy zapewne tak. To ten rodzaj ludzi, którzy lubią podglądać innych – powiedział, a tymczasem dwa jego palce przesuwały się wewnątrz jej zaciskającej się szparki. – Zdecydowanie jesteś za bardzo skupiona na tym, co robię, żeby to zauważyć.

Kim nie miała zamiaru zaprzeczać. Jego palce zaczynały pocierać jej wewnętrzne ścianki, a jej soki z każdym pchnięciem jeszcze bardziej przesiąkały majtki. Poruszyła biodrami, żeby mieć go więcej. Czuła, jak jego pieprzące ją palce robią dziwne rzeczy z jej ciałem. Ponieważ ruchy dłoni ograniczały mu dżinsy, Giovanni utrzymywał powolny, torturujący rytm, wsuwając i wysuwając palce z jej pochwy. Dłoń położył płasko na łechtaczce, nareszcie dając nabrzmiałemu guzkowi możliwość uwolnienia części napięcia.

Kim jęknęła przez zaciśnięte zęby. Krzyki koniecznie chciały się wyrwać z jej gardła, ale tłumiła tę potrzebę. Giovanni nachylił się ku niej, wyciągając rękę spod koszulki, po czym oparł się o ścianę, tuż obok jej głowy tak, że inni nie widzieli twarzy Kim.

– *Dio*, jesteś tak cholernie dobra, Kim. Gorąca i ciasna.

Każde słowo podkreślał kolejnym pchnięciem ręki. Pomruki Giovanniego przy jej uchu przelewały się przez jej zmysły jak fala przypływu. Sam dźwięk sprawiał, że jej cipka zaciskała się wokół jego palców, sygnalizując nadejście orgazmu, którego zbliżania się nie była świadoma, dopóki go nie poczuła.

Dochodząc, Kim wtuliła się w łuk szyi Giovanniego, by stłumić krzyki, których nie była już w stanie powstrzymać. Gdy wreszcie spazmy szczytowania ustały, wysunął rękę z jej dżinsów i pociągnął jej top w dół, tak by zakryć rozpięty guzik. Potem, nie mówiąc ani słowa, ponownie założył marynarkę na jej ramiona.

Ruchem słodkim aż do bólu Giovanni przytulił swój policzek do jej twarzy, w ten sposób kojąc jej wrażliwą skórę. Każde czułe otarcie jego policzka sprawiało, że Kim przysuwała się bliżej ku jego ciepłu

i objęciom. Jego otwarta dłoń spoczęła na dole jej pleców i przez chwilę przytrzymała ją w miejscu.

– Chcesz, żebym cię zabrał z powrotem do akademika? – zapytał Giovanni.

Odpowiedź Kim była natychmiastowa i pewna.

– Jeszcze nie.

– Możemy to w tym miejscu zakończyć, Kim. Zamknąć temat, o ile tego właśnie chcesz.

Z jakiegoś powodu miała poważne wątpliwości, czy byłoby to tak proste.

– Spędźmy ze sobą jeszcze jedną noc, Gio.

Jego pełne usta wydały z siebie ciężkie westchnienie, które poczuła na policzku.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Pieprzyłaś się kiedyś pod wpływem Molly?

Kim pokręciła głową, wciąż dochodząc do siebie. Jej ciało nadal śpiewało i latało w chmurach, podobnie jak jej pędzące myśli i łomoczące serce.

– Nie.

– No to ostrzegam. To było nic. Teraz poczujesz się, jakbyś tonęła, ale w naprawdę dobrym znaczeniu.

Rozdział ósmy

Doznania z wszystkich miejsc, gdzie zręczne palce przesuwały się po skórze Gio, biegły do jego kutasa z prędkością światłowodu. Kim dała mu się wepchnąć na tylne siedzenie wynajętego samochodu, który zaparkowali kilka przecznic od *Pulse*. Nie mógł się powstrzymać, by nie czuć i nie pieścić jej dłońmi i ustami, gdy rozbierali się nawzajem.

Kiedy Kim wspięła się na siedzenie, żeby siąść na Gio okrakiem, z jego piersi ulotniło się całe powietrze. Jedna z jej rąk przesunęła się między ich ciała, żeby złapać jego członka, gdy tymczasem drugą się podpierała, położywszy płasko na jego brzuchu. Zatraciwszy się w mocnym jak imadło uścisku jej dłoni wokół penisa, kontynuował badanie krągłości Kim, głaszcząc i muskając pulsujące miejsce na jej szyi.

Jedynym, czego jeszcze pragnął, było pocałowanie jej, więc to właśnie zrobił. Nadając rytm walce języka Kim ze swoim, chłonął jej smak i aromat. Jej usta w zetknięciu z jego wargami zdawały się jedwabiste, niemal aksamitne. Już smakowała seksem i kobietą. Gorzko i słodko. Jej skóra była lekko słonawa, a od ust biło gorąco. Gio nie mógł zdecydować, co z tego podoba mu się bardziej.

Ich ponowne odkrywanie siebie poprzez pieszczoty i pocałunki sprawiało, że Gio czuł się bardziej napalony niż w ciągu trzech miesięcy, od kiedy miał ją po raz ostatni. Różowawy rumieniec rozlewający się po jej ciele i drżenie dolnej wargi, którą pocałował, stanowiły niemal balsam na jego wspomnienia. Była dokładnie taka, jak wtedy. Tak doskonała. *Bellissima* górująca nad nim. Boże, jak on to kochał.

Każdy cichy odgłos, jaki wydobywał się z jej ust, jeden za drugim rozchodził się wibracjami po jego ciele. Delikatne pojękiwania, gdy przesuwał dłońmi wzdłuż jej kręgosłupa. Ciche popiskiwanie, gdy

zęby gryzły ją w kark i ramiona. Dyszące jęki, gdy jego palce ściskały krągłości jej tyłka, żeby przytrzymać ją ponad nim.

Dźwięki były dla niego czymś więcej niż tylko odgłosami. Stanowiły rodzaj muzyki. I to jak najlepszej. Taki wpływ na Gio miała Molly. Właśnie dlatego nie mógł sobie zrobić zbyt długiej przerwy od tego gówna. W jego doświadczeniu z narkotykiem nie chodziło nawet o uzależnienie. Kolejny dotyk nie wystarczał. Pocałunki musiały być mocniejsze. Trudno się było powstrzymać, żeby nie dojść.

Bycie z Kim było doświadczeniem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Co dziwne, mimo iż Gio wciąż czuł się niezwykle dobrze, miał poczucie, jakby w ogóle nie był na haju. No, przynajmniej nie takim wywołanym przez Molly. Wiedział, jak powinien się czuć i jaki powinna mieć na niego wpływ. Jasne, czuł to, ale na pewno nie był rozleniwiony.

Jego ciało i umysł, zwykle pragnące seksu i rozkoszujące nim, gdy on był zjebany, teraz całkowicie skupiały się na Kim. To była kwestia sposobu, w jaki ją odbierał swoimi dłońmi, jej smaku na języku i jego imienia w jej ustach. Z Molly krążącą w organizmie powinien być skupiony tylko na tych wrażeniach, które odczuwał i na ich intensywności wywoływanej narkotykiem, a nie na siedzącej na nim okrakiem kobiecie. Zamiast tego był całkowicie pochłonięty tym, jak się czuł, przebywając z Kim, oraz tym, co robiła. To było niesamowite.

Niepokoiło go to, bo było mu z tym absolutnie, kurwa, wspaniale.

Gio pragnął tego uczucia przez całe życie. Właśnie to usiłował znaleźć, wciągając każdą substancję i wlewając w siebie najrozmaitsze drinki. Słodkie pieczenie w trzewiach, które wpływało na jego umysł równie mocno, jak na kutasa, aż nazbyt wiele razy doprowadziło go do skacowanych poranków i zapomnianych nocy. Kim wywoływała to, po prostu zwyczajnie przy nim będąc i go dotykając… Właśnie tego pragnął, nawet jeśli go to zabije.

– Gdzie się podziewasz? – zapytała Kim ze swoim ciemnoniebieskim spojrzeniem mocno zmętniałym pod wpływem narkotyku. – Zagubiony we własnej głowie?

– Nie. Tutaj, z tobą – odparł Gio, wiedząc, że to jak najbardziej prawda. – Z tobą jak jasna cholera, *tesoro*.

Kim uśmiechnęła się, a jej usta stały się jeszcze bardziej czerwone i mięsiste od jego pocałunków.

– Kondom?

– Tak, w dżinsach.

Puściła jego kutasa, żeby poszukać spodni. Gdy się obróciła, żeby złapać ubranie przewieszone przez zagłówek siedzenia pasażera, Gio skorzystał z okazji, żeby podziwiać łuk jej tyłka. Nie mógł się powstrzymać, by nie przejechać po nim ręką. Kim zadrżała od niespodziewanego dotyku.

– Jesteś taka piękna – powiedział Gio, pragnąc, by twardość jego głosu nieco złagodniała. – To niewiarygodne, jak świetnie wyglądasz… zwłaszcza nago.

Rzuciła mu spojrzenie przez ramię, pełne powagi, ale seksowne.

– Już mi to mówiłeś.

– Więc mówię ci jeszcze raz. Piękne istoty zawsze należy podziwiać, Kim.

Przez jej śliczne rysy twarzy przemknął wyraz, który trudno było rozszyfrować, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Kim znów się odwróciła, żeby poszukać foliowego opakowania. Gdy się tym zajęła, on miał czas, żeby się ułożyć, tak że teraz plecy miał zwrócone ku drzwiom, jedna noga była wyciągnięta wzdłuż siedzenia, a druga spoczywała na podłodze samochodu.

W aucie nie było jakoś specjalnie dużo przestrzeni, ale czterodrzwiowy sedan pozwalał na nieco zabawy na tylnym siedzeniu, o ile nie chciało się robić jakichś złożonych ewolucji. Gio nie miał zamiaru bawić się z Kim w jakieś wyszukane sztuczki. Chciał ją po prostu zerżnąć. Najlepiej w miarę szybko, biorąc pod uwagę pulsowanie w jego kutasie.

Gio tak był zajęty gapieniem się na Kim, że nie uświadomił sobie, że ona także go obserwuje.

– Boże, patrzysz na mnie jak…

– Jak co?

Kim odchrząknęła, a mętność zniknęła z jej spojrzenia.

– Nawet nie wiem.

Ale Gio wiedział. Kim była wodą, a on mężczyzną umierającym z pragnienia. Nie tak znów trudno się było domyślić.

– Znalazłaś?

Kim ponownie siadła na nim okrakiem i zamachała mu przed oczami foliowym opakowaniem. Nie traciła czasu. Otworzyła je i naciągnęła mu kondom na penisa. Gio jęknął pod wpływem uczucia, jakie dotyk jej palców wywołał w jego kroczu, i przyjemności, jaka rozlała się wzdłuż jego kutasa, gdy nakładała mu gumkę. Już sam widok, jak naciągała mu prezerwatywę na penisa wystarczył, żeby stwardniał bardziej niż jebana stal.

Kiedy drażniące go palce powędrowały z powrotem ku górze, Gio zamknął mocno oczy, po czym wydał z siebie kolejny dźwięk, który brał się z czegoś niemal pierwotnego. Jakim sposobem tak prosta czynność może wywoływać tak cholernie przyjemne uczucie? Dłonie Kim spoczęły na górnej części jego ud i w tym samym momencie Gio usłyszał, jak dziewczyna przesuwa się wzdłuż siedzenia i jego nóg.

Jego oczy natychmiast się otworzyły.

– Kim…

Wilgotne gorąco otoczyło główkę jego kutasa, odbierając mu głos i jasność myśli. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, utonęło w napięciu mięśni i gardła, gdy powietrze z sykiem wyleciało z jego płuc przez zaciśnięte zęby. Wprawny język Kim zataczał okręgi wokół czubka jego członka, aż w końcu włożyła go sobie głęboko w usta.

Gio całkiem odpłynął. Delikatny pomruk, jaki wezbrał w jej piersi, zawibrował bardzo przyjemnie na czubku jego penisa. Jej język jeździł po pulsującej u dołu kutasa żyłce, drażniąc ją, gdy ssała mocno, a jej palce zaciskały się u podstawy. Jej druga ręka spoczywała na jego udzie, a paznokcie zagłębiały się w ciało, sprawiając, że jego uwaga w całej rozciągłości skupiała się na niej.

Kim ssała go, nie spiesząc się, dając mu możliwość, by poczuł całe jej usta. Jego głowa odchyliła się, opierając na oknie, a oddech stał się ciężki. Gio nie mógł sobie przypomnieć żadnej innej kobiety, która wyglądałaby tak dobrze, obciągając mu i wpatrując się w niego oczami otoczonymi wachlarzem grubych rzęs.

To było wręcz absurdalne, jak seksownie wyglądała z jego kutasem w ustach, choć nie to było teraz istotne. Jeśli pozwoliłby jej

kontynuować, długo by nie wytrzymał.

– *Cazzo, Dio*… Kim, musisz… – Jej czerwone usta wypuściły jego kutasa z cmoknięciem. – Nie mogę teraz, *tesoro*. Nie wytrzymam tego.

Kim przyjrzała mu się z uniesioną brwią.

– Ale czego?

– No… tego – wymruczał Gio, pokazując na nią. – Przyglądania się, jak mi tak ssiesz. Nie mam nad tym kontroli. Chodź tutaj.

Odepchnąwszy się od drzwi, Gio złapał Kim w pasie jedną ręką, a drugą przyciągnął ją do siebie. Tym samym ruchem obrócił ich oboje tak, że w końcu Kim leżała plecami na siedzeniu, a on nad nią zawisł. Kremowe uda Kim rozchyliły się przed nim tak, by się znalazł między jej nogami. Zszedł po jej klatce, znacząc drogę pocałunkami, nie zaniedbując wzgórków piersi i wyraźnie zarysowanego brzucha. Zatrzymał się na chwilę, by zrobić językiem kilka kółek dookoła kolczyka w jej pępku, muskając zakrzywiony metal.

W miarę jak się przesuwał, rozchylał jej nogi jeszcze szerzej. Jego dłonie zniżały się coraz bardziej po wewnętrznej stronie jej ud, aż w końcu zatrzymały się tuż przy jej cipce. Soki Kim już ją zwilżyły. Piżmowy zapach jej podniecenia dotarł do nozdrzy Gio, w chwili gdy dotknął jej kości łonowej. Pod jego ciężarem i dotykiem ust skurczyła się na siedzeniu, a jej uda ścisnęły go po bokach.

– Jasna cholera – jęknęła Kim. – Czuję się, jakbym już doszła. Teraz już rozumiem. O tak… Utonąć…

Gio zaśmiał się mrocznie, po czym zniżył się jeszcze bardziej, żeby ugryźć jej wewnętrzną stronę uda. Zaraz potem pocałował to samo miejsce, tuż obok mokrej cipki, by złagodzić ukłucie bólu, jakie mogły wywołać jego zęby.

– Oj tak, wiem. Ale to będzie znacznie bardziej intensywne.

Gio kciukami rozchylił mięsiste płatki jej cipki, po czym zagłębił jeden z palców w jej dziurkę, chcąc w ten sposób sprawdzić, jak bardzo jest dla niego mokra. Wydała z siebie bardzo delikatny jęk, równocześnie wplatając swoje palce w jego włosy. Jej gładka, ciasna pochwa objęła jego kciuk, gdy wyciągał palec, by rozsmarować płyny wokół jej łechtaczki.

Kim podskoczyła mocno na siedzeniu, kiedy Gio dotknął jej wrażliwego miejsca. Zrobił jeszcze kilka powolnych kółek dookoła guziczka, tylko po to, żeby znów zobaczyć jej reakcję.

– Och.

– Mmmm – mruknął nisko Gio, zadowolony z odpowiedzi. – Jeszcze?

Kim nie odpowiedziała, ale jej dłonie znów się poruszyły. Dotykała nimi każdą część jego ciała, jakiej mogła dosięgnąć, chwytając za ramiona i próbując pociągnąć go ku górze. Objął jej twarz dłońmi, po czym przywarł swoimi ustami do jej. Kompletnie nie obchodził go posmak gumy w jej ustach, a jedynie to, że jej język mocno siłował się z jego w sposób, który sprawiał, że pragnął jej jeszcze bardziej. Nakrywając jej ciało własnym, Gio położył swojego nabrzmiałego członka na jej cipce. Paznokcie Kim cudownie zatopiły mu się w ramiona, a obcasami dotknęła dolnej części jego pleców.

Był jednak pewien problem. To nie tak, że Gio nie lubił, jak ręce Kim dotykały jego ciała. Cholernie to lubił. Rzecz w tym, że to wywoływało kolejne fale euforii, które rozchodziły się żyłami i w końcu trafiały do jego kutasa. Niestety, to miało na niego ten sam wpływ, co jej usta. Utrudniało mu kontrolę nad sobą.

– Ufasz mi, co? – zapytał Gio.

Kim skinęła głową, a jej włosy rozsypały się po siedzeniu, gdy znów uniosła biodra.

– Tak, Gio. Zawsze.

Złapał pierwszy ciuch, na jaki natrafił, macając ręką po podłodze. Tak się złożyło, że były to niebieskie majtki Kim, obszyte białą koronką. Na jego potrzeby – doskonałe. Kim uniosła brwi, nie rozumiejąc, co robi Gio, który zwijał tkaninę pośrodku, póki nie zostały jedynie dwie małe pętle. Ręką chwycił jej nadgarstki, po czym pociągnął je za jej głowę.

– Co robisz? – zapytała Kim, a kąciki jej ust uniosły się w seksownym uśmiechu.

Zamiast odpowiedzieć, Gio sięgnął do dolnej części drzwi, gdzie znajdował się mechanizm zamykający. Wolną dłonią owinął skręconą część majtek wokół klamki, wcześniej włożywszy

nadgarstki Kim w małe pętelki. Niezależnie, jak mocno będzie ciągnąć za prowizoryczne więzy, drzwi się nie otworzą.

Zamknięcia zabezpieczające, żeby dzieci nie otworzyły drzwi, miały co najmniej kilka zalet.

Kim natychmiast spróbowała wyszarpnąć ręce z improwizowanych kajdanek, równocześnie powodując, że dolna część jej ciała uderzyła o jego kutasa.

– Giovanni!

– Zaufaj mi, *tesoro* – powtórzył. – Dziś w nocy chcę, żebyś tylko czuła. To mi w tym pomoże.

Kim ponownie opadła na skórę siedzenia, nadal napinając więzy z majtek. Gio z kolei niespiesznie badał palcami i ustami rozległe przestrzenie jej ciała, gdy tymczasem ona pozostawała całkowicie na jego łasce. Całą uwagę skupił na Kim, na dźwiękach, które wydawała, kiedy wysunął język, żeby lizać jej ciało, oraz skurczach jej mięśni i lekkich podskokach, gdy zbliżał się dłońmi do szczególnie wrażliwych miejsc.

Gio powoli drażnił jej ciało. Ani razu nie dał Kim tego, czego dokładnie chciała, ale za każdym razem zbliżał się do tego punktu na tyle, żeby wiedziała, iż jest bardziej niż świadomy, czego pragnie. Czas nie miał dla Gio większego znaczenia. Kolejne sekundy i minuty mijały praktycznie niezauważone. Chciał, by Kim przeżyła bardzo szczególny rodzaj orgazmu, co było możliwe, gdy substancja, jaką jej podał, wciąż krążyła w jej organizmie, a osiągało się go samym dotykaniem, niczym więcej.

Nie zajęło to zbyt wiele czasu.

Głębokie oddechy rozlegały się za każdym razem, gdy wargi Gio dotykały jej skóry. Unosiła ciało ku jego ustom. Jej plecy na siedzeniu wyginały się w łuk, ramiona napinały przytrzymujące ją więzy, aż nadgarstki robiły się różowe od nacisku.

– Chryste, Gio… proszę.

– Uhm, co?

Odpowiedzi Kim nie sposób było zrozumieć, co wywołało u niego nikczemny uśmieszek. Z włosami w nieładzie, ustami czerwonymi od ugryzień jej własnych zębów i połyskującym na skórze potem, wyglądała absolutnie nieziemsko. Choć Gio doskonale się bawił,

drażniąc ją w ten sposób, nie mógł już wytrzymać ani chwili dłużej. Znów zawisł nad Kim, chwytając jej usta w brutalnych pocałunkach, po czym ustawił ręką kutasa przy jej wejściu i pchnął.

Natychmiast poczuł gorące, jedwabiste wnętrze. Przyjemność z powodu wejścia w nią bez ostrzeżenia i jej urwany krzyk zaskoczenia powędrował wprost do jego jąder. Rozszedł się po brzuchu falami pożądania i błogości. Wszystkie mięśnie jej wewnętrznych ścianek zacisnęły się wokół penetrującego ją członka, przytrzymując go głęboko w środku.

O tak… Kim zdecydowanie znalazła się na szczycie, do jakiego zmierzał Gio. Od jednego pchnięcia jego kutasa jej głowa opadła w tył, usta się rozluźniły, gdy wypowiedziała jego imię, a jedwabista wilgoć jej podniecenia wyciekła na zewnątrz, kąpiąc w sokach jego jaja. Doszła, trzęsąc się, oszołomiona pierwszym orgazmem.

Gio chciał dać jej chwilę, żeby się pozbierała, ale nie potrafił. Zagłębiwszy się w nią aż po nasadę członka, poczuł, że jego ciało samo domaga się ruchu, spragnione przyjemności, jakiej spodziewały się jego zmysły. Kolejne pchnięcia nie były powolne, ale też i nie gwałtowne. Nie było potrzeby się spieszyć. Przewrażliwione zakończenia nerwowe pod jego skórą już się iskrzyły niczym żywe kable. Gio oparł mocno nogę Kim o jedno ze swoich bioder, co pozwoliło jego kutasowi wejść jeszcze głębiej w jej cipkę.

Sięgnąwszy jedną ręką, żeby spleść ze sobą ich dłonie, drugą wykorzystał, by pieścić kciukiem jej nabrzmiałą łechtaczkę. Kim zadrżała, krzycząc jego imię, gdy ścianki jej pochwy zaciskały się na jego kutasie, jakby narastał w niej kolejny orgazm.

– Chryste, jesteś taka ciasna dookoła mnie… Jestem cały mokry od ciebie – wymamrotał Gio.

Już zbliżała się do drugiego szczytowania. Nie musiała mu tego mówić. Widział to po tym, jak walczyła o oddech, ale nie była w stanie zaczerpnąć powietrza, zaś jej uda całe się trzęsły. Gio stwierdził, że zawsze, kiedy Kim znajdowała się pod nim, on był w niebie.

– O mój Boże, Gio…

Kim zesztywniała, gdy orgazm rozsadzał całe jej ciało. Paznokcie wbiły mu się w dłoń. Ukłucie bólu powstrzymało Gio przed utratą

kontroli nad napięciem narastającym gdzieś u podstawy kręgosłupa, sygnalizującym, że wkrótce i on eksploduje. Jeszcze nie mógł dojść. Jeszcze raz… Właśnie tego chciał. Jeszcze raz zobaczyć, jak Kim szczytuje wyłącznie pod wpływem tego, co jej robi.

– Będzie jeszcze lepiej, Kim – powiedział jej ponownie. – Po prostu czuj.

Gio pozwolił sobie zatracić się w tym, jak Kim otaczała go ze wszystkich stron. Jej ciało. Zapach ich seksu. Pojękiwania w przesiąkniętym wilgocią powietrzu. Wiła się pod jego ciężarem, jej krzyki były coraz głośniejsze, kiedy opadał na nią swoim ciałem. Majtki trzymające jej nadgarstki nieustannie się naprężały, gdy skręcała się, błagając go o więcej.

Kiedy fala trzeciego orgazmu przetoczyła się przez jej ciało, Gio też już się nie powstrzymywał. Na tym etapie właściwie nawet nie dałby już rady. Szybka i gwałtowna eksplozja wyparła wszelkie myśli, tak że nie zostało nic poza czystym doznaniem.

Tak, czuł się, jakby tonął, ale w naprawdę dobrym znaczeniu.

***

– Taaa, kurwa… *Ciao*? – wymruczał Gio do telefonu, który ledwo zdołał znaleźć na podłodze samochodu.

Światło wkradające się przez samochodowe okno okropnie raniło jego oczy, więc zakrył je ręką. W aucie było trochę chłodnawo, ale nie tak, żeby nie mógł wytrzymać. Styczeń w Vegas to nie styczeń w Nowym Jorku. To jedyna rzecz, którą Gio uważał w Vegas za dobrą.

– Wszystkiego najlepszego, braciszku.

Na dźwięk głosu Luciana zaraz przy uchu, Gio zamrugał. Jak to się stało, że zapomniał o własnych urodzinach? Dwadzieścia sześć było zdecydowanie za blisko trzydziestki jak na jego gust.

– Dzięki.

– Głos masz kiepskawy – zauważył cicho Lucian. – Impreza w nocy?

„Kiepskawy” to nie było zbyt celne słowo w odniesieniu do tego, co czuł Gio. Wspomnienia ostatniej nocy przemykały mu przez głowę nieproszone. Nie prowadził pod wpływem. Nie po tym, jak kilka

miesięcy temu omal się nie zabił. Odstawienie Kim do akademika tak, by nie zauważyły jej przydupasy Franco stojące pod budynkiem, nie było takie znów trudne. Gio dał jej bluzę z kapturem, pod którą ukryła włosy i twarz, a do tego pozwolił jej zatrzymać skórzaną marynarkę.

Uwielbiał tę marynarkę. Mniejsza o to. No prawie. Lepiej wyglądała na Kim.

Gio wyraźnie pamiętał, jak Kim mówiła mu, że dojedzie autobusem, ale stanowczo chciał się upewnić, że wróciła. Przez cały czas nie przestawał jej dotykać. Wtulił twarz w jej kark, a palce kreśliły koła u dołu jej pleców. Jego pierdolone szczęście sprawiało, że jedyna kobieta na świecie, która była w stanie w jedną chwilę przyspieszyć go od zera do setki, znajdowała się poza jego zasięgiem.

Więc ostatnia noc była snem – podpowiedział mu jego umysł.

Bo poza zasięgiem znaczy „poza-kurwa-zasięgiem", a Gio złamał tę zasadę z głośnym trzaskiem.

Gio skulił się, wiedząc, że znowu coś zjebał. I to grubo. Nadal czuł Kim i zapach jej cipki, jaki pozostał na jego ciele. Prysznic, papieros i woda. Tych trzech rzeczy teraz potrzebował.

– Impreza – powtórzył Gio, wpatrując się w sufit wynajętego samochodu. – Coś tak jakby.

– Mama dobija się na twój telefon cały czas. Myśli już, że gdzieś leżysz, kurwa, zabity, albo coś w tym guście. Oddzwoń do niej, Gio.

Merda.

– Tam musi być chyba coś koło jedenastej. Jak to możliwe, że wciąż śpisz? – zapytał Lucian.

– Zamknij się, dupku – mruknął Gio. – Nie możesz mnie zadręczać, kiedy nie jestem w tym samym stanie co ty, Lucian. Musi być na to cholerstwo jakiś paragraf. Idź się, kurwa, poznęcaj przez jakiś czas nad Dantem.

– On też próbował się do ciebie dodzwonić, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego.

Gio stłumił w sobie chęć wyrzucenia telefonu przez okno i tylko rąbnął głową o siedzenie.

– Nie jestem teraz w nastroju, okej?

– Kacor?

Kacor z dodatkami.

– Nie znoszę Vegas – odparł zamiast tego. – Jak tam mój zwierzak?

– Cain ma się dobrze, przynajmniej o ile mi wiadomo – powiedział Lucian. – Dante zatrudnił jakąś dziewczynę, żeby go wyprowadzała, gdy on pracuje. Z jakiegoś powodu nie chce jeździć z Dantem w ciągu dnia.

– Bo nie jest mną.

– Taaa, Dante wie. Prawdopodobnie właśnie dlatego jest wobec niego szczególnie ostrożny.

Gio tęsknił za swoim zwierzakiem, jak za nikim innym. Miał to być najdłuższy okres w jego życiu, gdy nie widział się z Cainem. Pies nie zachowywał się za dobrze, kiedy nie było jego pana, ale też kiepsko znosił latanie. Gio przekonał się o tym, kiedy próbował go zabrać na weekendową wycieczkę do Waszyngtonu. W czasie załadunku Cain najwyraźniej próbował zabić każdego, kto zbliżył się do jego klatki na mniej niż pół metra.

– A jak tam było w Maine? Jordyn dobrze zniosła spotkanie z jej tatą?

Gio i Lucian nie mieli okazji się zobaczyć, gdy po spotkaniu Komisji jego brat wrócił z podróży do Maine. Jego żona nie przebywała w tym samym pomieszczeniu co jej biologiczny ojciec od ponad dekady.

– Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności – odparł Lucian, ale w jego tonie pobrzmiewał smutek.

– Doprawdy? Bo brzmisz, jakby ktoś ci, kurwa, ukradł baloniki.

Lucian zarechotał.

– Sporo straconego czasu dla Jordyn. Nic poza tym. Gość ma kilkoro starszych dzieci, własne życie, i nie ogląda się za siebie. Dorastając, Jordyn nie miała nic. Nawet jego. Trudno jej było nie mieć żalu, nawet jeśli to nie on tak do końca był tego przyczyną.

– Nie wiń jej za to, że ma uczucia, Lucian.

– Przecież nic takiego nie powiedziałem.

– Dobrze. Mama wkurwiona na mnie? – zapytał Gio, wsadzając dłoń do kieszeni spodni w poszukiwaniu małego, metalowego pudełeczka, które powinno tam być.

Udało mu się w końcu wyciągnąć je z dżinsów. Otworzył wieczko, po czym spojrzał na jointa i kilka papierosów. Zamiast zapalić tego pierwszego, jak z początku miał zamiar, położył papierośnicę na brzuchu, kontynuując rozmowę z bratem.

– Nie. Tak, jak mówiłem, tylko się martwi. – Lucian westchnął ciężko. – Myśli, że jej unikasz, albo coś w tym stylu, bo to twoje urodziny, a wiesz, że ma potrzebę cię rozpieszczać.

Cóż, troska matki nie była całkiem bezpodstawna. Gio nie ignorował jej telefonów, ale nieustanne traktowanie go, jakby był dzieckiem, coraz częściej go drażniło.

– Spałem, chłopie!

– Mniejsza o to. Po prostu do niej zadzwoń, Gio. I nie zachowuj się jak fiut, gdy będziesz z nią rozmawiał. Póki się nie doczeka jakichś wnuków, które by mogła rozpieszczać, my jesteśmy dla niej jedyną opcją. A tak w ogóle, co się dzieje w Vegas? Tato jest tajemniczy jak cholera. *Dio*, nie znoszę, jak odstawia takie gówno.

Gio uniósł brwi na taki komentarz brata odnośnie do nabrania wody w usta przez ich ojca. To było do niego niepodobne, żeby nie wyjaśniał, co się dzieje. Kolejna wskazówka, że wysyłając go tutaj, ojciec miał na uwadze bardziej swoją przyjaźń z Maximo niż troskę o to, że Franco może wykonać w przyszłości jakiś ruch przeciwko rodzinie Marcello.

Jednak nawet jeśli tak było, Gio nie widział powodu, żeby nie powiedzieć o tym Lucianowi.

– Póki co nic. W czasie spotkania Komisji Franco coś do mnie pierdolił na temat tego, że Marcellowie niedługo stracą władzę. Antony to podsłuchał i wysłał mnie tutaj, żebym przyjrzał się, co Franco odstawia pod płaszczykiem robienia interesów.

– A jak blisko jesteś z ludźmi Franco? – zapytał Lucian. – To znaczy, rozmawiają przy tobie o prawdziwych interesach, czy traktują cię jak kogoś z zewnątrz?

– Wczoraj jadłem u niego kolację. Jak sądzisz? To blisko czy nie?

– W miarę. Słuchać i nie za wiele mówić może być planem, który zrobi robotę, Gio. Wiem, że taka strategia nie jest dla ciebie zbyt łatwa, ale postaraj się. No i spróbuj nie zabić przy tym Franco, dobra?

Gio parsknął. Jego niechęć do syna Maksa dawała się wyczuć nawet przez telefon. Zapewne fakt, iż miał nowy powód, by nienawidzić Franco, nie był zbyt pomocny. Tym powodem była Kim.

– Taaa, robię w tym temacie, co w mojej mocy. Na tę chwilę wciąż jeszcze dycha. Ma skurwiel szczęście.

Wyłuskawszy jointa z metalowej papierośnicy leżącej na brzuchu, Gio obrócił go w palcach, zastanawiając się, czy ma zamiar zapalić, czy nie. Zioło mogłoby wyleczyć go z tego gównianego uczucia, z jakim został po ulotnieniu się Molly, ale w tym momencie niezbyt pociągała go myśl o zjaraniu się.

A to kompletnie do niego nie pasowało. Co się z nim, do kurwy nędzy, działo?

– Wszystko gra? – zapytał Lucian, najwyraźniej notując, że jego brat coś długo się nie odzywa.

– Tak, tylko że…

– Wyduś to z siebie, Gio. Niektórzy z nas mają prawdziwą robotę, do której muszą dziś pójść.

– Też pracuję i dobrze o tym wiesz. Vegas to dla mnie nie wakacje. Za takie komentarze możesz mi possać jajca.

– Kusząca propozycja, ale podziękuję. A tak poważnie, co się dzieje?

Gio westchnął. Chciał pogadać, nawet jeśli nie mógł być w stu procentach szczery odnośnie do tego, w co się wpakował. Z dwóch jego braci Lucian był lepszym kandydatem do rozmowy o tego rodzaju cholernym uczuciu, jakie wywołała u niego Kim. U Dantego sfera uczuć była zimna jak lód, jeśli chodziło o kobiety.

– Poznałem dziewczynę – powiedział mgliście Gio.

Lucian zakrztusił się po drugiej stronie łącza.

– Co?

– No. Ale trzymaj w tym temacie gębę na kłódkę.

– Jasne, pewnie. Jak ma na imię?

– Teraz to nie ma znaczenia.

Gio wrzucił jointa z powrotem do papierośnicy, zamknął ją, a następnie włożył do kieszeni. Siedział wyprostowany w fotelu. Potarł kilka razy pękającą głowę. Szlag. Prawdopodobnie powinien

był złapać taksówkę, która zawiozłaby go do hotelu, a nie spać w samochodzie. Kark miał zesztywniały jak jasna cholera.

– Czyli poznałeś dupeczkę bez imienia. To wszystko, z czym masz zamiar mnie zostawić? – zapytał żartobliwie Lucian

– Ja pierdolę, to *bellissima*, chłopie. Nogi do nieba. Niebieskie oczy. Nieco słodyczy z idealną dawką sarkazmu czającą się pod powierzchnią, żebyś poczuł kopa w dupę.

– Faktycznie brzmi jak ktoś, kto powinien ci się spodobać.

– Spotkałem się z nią dwa razy i już myślę o trzecim, Lucian.

– Przykuła twoją uwagę. Czaję.

– Taaa – mruknął Gio w dłoń.

Gio nie sypiał z tą samą dziewczyną więcej niż raz, jeśli to było możliwe. Ludzie pewnie przypięliby mu z tej racji łatkę kobieciarza, ale to był ich problem. Nie bawił się w randki, a układ typu *friends with benefits* nigdy się nie sprawdzał. Zawsze pojawiały się jakieś uczucia, ale nie po jego stronie równania. Gio nie miał zamiaru oszukiwać kobiet, bo to by było nie fair, tak więc lepiej było unikać takich sytuacji.

– W czym problem, Gio?

Poza tym, że Kim była nieosiągalna? Poza faktem, że to, co z nią robił do tej pory, kwalifikowało się na kulę w łeb, pomijając nawet to, że był gotów na kolejny raz? Cóż, problemów było od cholery. Ale tego nie mógł Lucianowi powiedzieć.

– Nie wiem – zdecydował się w końcu.

Jego myśli znów powędrowały ku wczesnym godzinom rannym, gdy odprowadzał Kim przez parking do jej akademika. Kaptur bluzy, którą jej dał, skrywał jej twarz. On miał na sobie podobną i służyła mu w tym samym celu. Ale nie myślał o tym, jak próbować ją uchronić przed dostrzeżeniem. Wspominał, jak obejmował ręką jej ramiona, jak przytulał ją do swojego boku, podczas gdy jej palce splatały się z jego. Pocałował ją też na dobranoc, delikatnie, w policzek.

Ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała, zanim wślizgnęła się niezauważona do akademika, nie były tym, co Gio chciał usłyszeć. Nie potrafił nawet dopuścić ich do myśli, żeby nie wywołało to od razu jego gniewu. To nie była jej wina… Nie całkiem.

– Sprawia, że chcę być dla niej czuły – powiedział Gio.

Lucian odchrząknął.

– Nie wiedziałem, że to coś złego.

– Bo nie jest.

A raczej nie byłoby, gdyby Kim nie była zaręczona z człowiekiem mafii. W co on się wplątał, wychodząc z nią i robiąc to wszystko? Może wydał na siebie wyrok śmierci?

– Zakochiwanie się to przerażające cholerstwo – powiedział Lucian. – Zwłaszcza w przypadku ludzi takich jak my.

Gio zauważył majtki, których użył, żeby związać Kim. Nadal były przywiązane do klamki od drzwi.

– Nie zakochałem się.

I taka była prawda.

Ale mógł się założyć, że w jej przypadku byłoby to cholernie łatwe.

Rozdział dziewiąty

– Nie możemy tego zrobić ponownie.

– Dlaczego się zgodziłaś za niego wyjść? Co w nim takiego jest, czego byś pragnęła? – dopytywał Giovanni. – No powiedz.

Cofnęła się o krok od niego, potrzebując nieco przestrzeni, żeby oczyścić myśli.

– Przykro mi. Nigdy więcej, Gio. Zrozum, proszę, dlaczego.

– Kimberlynn!

Dobiegający zza drzwi łazienkowych, pełen irytacji głos wyrwał ją z rozmyślań.

– Już prawie skończyłam, Franco.

– Pospiesz się, kochanie. Przez ciebie się spóźnimy.

Doskonale. Ciekawe, jak jeszcze jej dzisiaj dowali. Kim mocno ugryzła się w język, żeby nie warknąć na Franco i nie przypomnieć mu, że to on upierał się, aby zmieniła sukienkę… dwa razy.

Zwykle Kim nie przykładała takiej wagi do ubioru, ale ojciec Franco i jego macocha zaprosili ich do restauracji znanej z dbałości o „odpowiednie" stroje, czyli w tym wypadku z wymagań co do sukni i garniturów. A to i tak tylko część problemu. W lokalu płaciło się trzysta dolarów za danie.

Kim nie chciała być niegrzeczna, ale wykwintne jedzenie w tak nonsensownie drogich lokalach, które Franco uwielbiał, kompletnie jej nie odpowiadało. Wolała coś o wiele prostszego: makaron albo burgery – grunt, żeby mogła jeść, mając na sobie dżinsy. Kolacja przy zarezerwowanym stoliku z rodziną Sorrento nie zapowiadała się przyjemnie.

Kim raz jeszcze zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Uniosła podbródek ku górze i lekko w bok. Wyraźnie widziała czerwony ślad, jaki Giovanni zostawił za jej prawym uchem. Minął już prawie tydzień, od kiedy zrobił jej malinkę, i cholerstwo nadal nie chciało zejść. Zamiast tego za każdym razem, gdy upinała włosy albo

patrzyła na siebie w lustrze, przypominało jej o własnej głupocie i braku kontroli. Jeszcze gorsze było to, że Kim nie mogła się powstrzymać, by na nią nie patrzeć, a nawet dotykać. To było prawie jak natręctwo.

Wyciągnęła z torebki małą buteleczkę z korektorem. Część włosów miała upiętą do góry, ale część wisiała luźno. Nie martwiła się zbytnio możliwością, że ktoś zauważy malinkę, ale nie chciała ryzykować. Naniosła niewielką kropkę w kolorze ciała i czerwona plamka zniknęła. Niestety dotknięcie miejsca, gdzie naznaczyły ją usta Giovanniego, wzmogło jej potrzeby seksualne.

Boże, absolutnie nie potrzebowała teraz tego rodzaju wspomnień.

Malinka nie była jedyną rzeczą, jaką pozostawił po sobie Giovanni. Sukienka, którą Franco ostatecznie ocenił jako odpowiednią, niezbyt dobrze kryła zadrapania na jej ramieniu. Miała zadraśnięcia po tym, jak w *Pulse* Gio przyparł ją do szorstkiej ściany. Większość otarć już się zagoiła i nie bolały. Kim miała nadzieję, że Franco nie zauważy pozostałych. Nie zdołała wymyślić na nie żadnej wymówki.

– Pospiesz się, Kimberlynn, albo zaraz tam przyjdę i sam cię zgarnę – ostrzegł Franco.

Wrzuciła korektor z powrotem do torebki, poprawiła blond loki, które całymi godzinami kręciła lokówką, po czym ruszyła do wyjścia z łazienki. Franco stał za drzwiami z frustracją wymalowaną na twarzy, a wypucowane na wysoki połysk, skórzane buty tupały nerwowo o drewnianą podłogę.

– Jest dobrze? – zapytała Kim, prezentując Franco swój nowy wygląd z entuzjazmem tak dużym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. Cholera, nie był on zbyt wielki.

– Może być – wymamrotał Franco. – Lepiej niż w tych dwóch wcześniejszych szmatach.

– To ty kupowałeś te dwie poprzednie sukienki, Franco.

– Cóż, teraz mi się nie podobają. Za dużo odsłaniają. W tej przynajmniej wyglądasz na starszą i nie…

– Nie jak dwudziestojednoletnia studentka, którą jestem?

Brew Franco podskoczyła do góry.

– Dokładnie tak. Nie ma nic złego w tym, że wymagam od ciebie, abyś zachowywała się jak dorosła, dojrzała kobieta. A przynajmniej

kobieta odpowiednia, by zostać moją żoną. I nie przerywaj mi, Kimberlynn. Wkurza mnie to pieprzenie. Bierz płaszcz i spotkajmy się na zewnątrz.

Gdy Franco odszedł korytarzem i zniknął jej z oczu, Kim posłała w sufit zbolałe spojrzenie. Nie chcąc słyszeć dalszych narzekań, nie czekała dłużej i wziąwszy płaszcz z szafy w korytarzu, wyszła z domu.

Osoba, z którą Franco rozmawiał na podjeździe, nie była kimś, kogo Kim mogłaby się spodziewać. Serce skoczyło jej do gardła. Giovanni jej nie zauważył, w przeciwieństwie do Franco. Fiut machnął na nią ręką, jakby chciał, żeby się pospieszyła. To właśnie ten gest zwrócił na nią uwagę jego rozmówcy.

Na krótko, gdy ich spojrzenia się spotkały, a Giovanni zmierzył ją od góry do dołu, Kim poczuła dreszcz na całym ciele. Równie szybko, jak obrzucił ją wzrokiem, odwrócił go, jakby nie okazując zainteresowania. Była niemal pewna, że w jego oczach dostrzegła gniew, choć nie wiedziała, z czego mógł wynikać.

Dopiero wtedy Kim zauważyła lamborghini w kolorze jasnopomarańczowym, które z włączonym silnikiem stało zaparkowane z boku. Kolor był paskudny jak cholera. Gdy podeszła i stanęła u boku Franco, nie do końca wiedziała, jak powinna się zachować ani co powiedzieć, więc ograniczyła się do uprzejmego:

– Cześć, Gio.

Giovanni się uśmiechnął, choć nie wyglądało to szczerze.

– Kim, miło znów cię widzieć.

Franco w najmniejszym stopniu nie zauważył niezręczności.

– Czyli nie było żadnych problemów?

– Nie. Zasługa Cody'ego – odparł Giovanni, zerkając przez ramię na samochód. – Nie wyłączaj laptopa ani przekaźnika, bo ponownie go nie włączysz.

– Jasne. Ile kosztowało podrasowanie elektroniki?

Giovanni wzruszył ramionami.

– Jakieś siedem stów, czyli warte swojej ceny, zważywszy, ile dostaniesz za części. Komputer i nadajnik da się wykorzystać ponownie, o ile nadal będzie połączenie wi-fi. Programowanie jest dziecinnie proste. Bezkluczykowy dostęp nie jest bezpieczny, gdy

wszystko działa na falach elektromagnetycznych. Przypuszczam, że część z twoich chłopaków używa takich samych ustawień u siebie.

– Ile potrwa, zanim ktoś się połapie?

– Z godzinę, plus minus kilka minut. Zabierz go stąd tak szybko, jak to możliwe.

Kim nie miała pojęcia, o czym rozmawiali. Zamierzała jednak spróbować się dowiedzieć.

– A to skąd się wzięło? – zapytała Kim, skinąwszy w kierunku przyciągającego wzrok samochodu.

– Gio go dla mnie odebrał – odparł niejasno Franco. – Chyba byłoby miło przejechać się nim do restauracji, zanim zniknie. Jak by nie było, ładne dziewczyny należy wozić w ładnych samochodach.

Co, do cholery, Franco miał na myśli?

– Zniknie?

– Pilnuj swego nosa, Kimberlynn – zbeształ ją Franco.

Kim zdusiła swoją irytację.

– Spóźnimy się, Franco.

– Już się spóźniamy – wskazał podbródkiem na stojące lamborghini. – Idź do samochodu i daj mi minutę.

– Dobrej nocy, Kim – powiedział Giovanni, gdy się oddalała.

Jego głos nadal działał na jej zmysły jak skondensowana słodycz. Gniew, jaki wydawało jej się, że widzi wcześniej, zastąpiło coś innego. Kim zmusiła się, żeby nie zareagować, i podziękowała mu, zanim odeszła. Im dalej znajdowała się od Giovanniego, tym swobodniej oddychała.

Pierwszymi rzeczami, jakie Kim zauważyła wewnątrz lamborghini, były niewielki laptop i dziwnie wyglądająca, czarna skrzyneczka z anteną pośrodku konsoli. Nie była w stanie wyłapać ani końca, ani początku kodów przebiegających przez ekran. Brak kluczyka w stacyjce był wymowny. Samochód był kradziony. Kim nie chciałaby znajdować się nawet w jego pobliżu, ale nie miała zbyt wielkiego wyboru.

Wyjrzała przez przednią szybę, w chwili gdy drzwi się otwarły i na miejsce kierowcy bez słowa wślizgnął się Franco. Przez moment mignął jej Giovanni idący w kierunku samochodu stojącego nieco

dalej przy drodze. Wyglądał jak ten, który wynajęli. Jak to się stało, że nie zauważyła, że stał tam zaparkowany już znacznie wcześniej?

Boże, była ostatnio taka rozkojarzona. To się stawało niedorzeczne. Musiała wymyślić jakiś sposób, żeby wyrzucić Giovanniego ze swojej głowy.

Franco rzucił okiem na laptopa.

– Masz zamiar o coś zapytać?

– Nie.

– Grzeczna dziewczynka.

Kim zmarszczyła brwi, schodząc mu z widoku. Cudnie. Znów została zredukowana do roli pieska. Równie dobrze mógł się ograniczyć do poklepania jej po głowie.

Kiedy Franco przesunął dźwignię na pozycję do jazdy i zaczął wjeżdżać na drogę, samochód nagle się zatrzymał, powodując, że Kim poleciała naprzód.

– Co to, do cholery, jest?

– Co, Franco?

– Twoje ramię!

Kim usilnie starała się, żeby wyraz jej twarzy się nie zmienił. Trzeba było jednak założyć płaszcz, a nie tylko go trzymać.

– To nic. Małe zadrapanie.

– Jak to się stało?

– Spadłam – powiedziała Kim, podając pierwsze wyjaśnienie, jakie jej przyszło do głowy. – Poślizgnęłam się na schodach w akademiku. Nic mi nie jest.

Franco popatrzył na nią, jakby była najgłupszą osobą, jaką zdarzyło mu się spotkać, a następnie powiedział:

– Czyli co? Chodzenie na własnych nogach i nierobienie sobie przy tym krzywdy jest dla ciebie za trudne, jak przypuszczam?

– To był wypadek.

– Nie potrzeba mi posiniaczonej żony, Kimberlynn. Oczekuję, że dasz radę zadbać o siebie.

To powiedziawszy, Franco wrócił do prowadzenia auta i zaczął wyjeżdżać z parkingu. Przez krótką chwilę Kim mogła odpocząć od jego uwagi i docinek. Moment ten skończył się jednak zdecydowanie za szybko.

– Przynajmniej się na coś przydaje. Nie sądziłem, że da radę zwinąć samochód. Miałem nadzieję, że mu się nie uda, to miałbym ubaw. Jego ojciec na pewno by go wyratował z kłopotów, jeśli jakieś by się pojawiły. Kto by się spodziewał, że jest taki dobry w tym technogównie.

– Giovanni? – zapytała Kim, unosząc brwi.

– A kto inny? Tak, ten idiota – parsknął Franco, mocniej dociskając pedał gazu. – Mój ojciec uważa go za złote dziecko.

Zazdrość to okropny potwór, którego nie należało drażnić. Na pewno jednak Franco nie potrafił ukryć swojej.

– I nie podoba mi się to, co robi – dodał już ciszej.

– To znaczy co?

– Nazywa cię Kim, jakbyście byli przyjaciółmi. Nie podoba mi się to. Musi przestać.

– Tak mam na imię – powiedziała delikatnie, chcąc złagodzić jego gniew, zanim przerodzi się w podejrzenia. – Tak mu się przedstawiłam.

– Nie, na imię masz Kimberlynn. Wolę tę wersję. Nie ma potrzeby, żebyś się przyjaźniła z mężczyzną takim jak Giovanni Marcello. On nie jest moim przyjacielem i nie chcę też, żeby był twoim.

Kim westchnęła pokonana. Niewidzialna pętla na jej szyi zacisnęła się mocniej.

– Dobrze, Franco.

***

Maximo Sorrento wzbudzał w Kim strach. Ze swoją postawną sylwetką mógł w kimś wywołać niepokój samym milczeniem. Choć nieodmiennie był dla niej uprzejmy i okazywał jej szacunek, to ciągle się zastanawiała, czy taki miał charakter, czy wynikało to z kurtuazji względem syna. Jak by na to nie patrzeć, Kim próbowała temu facetowi ukraść setki tysięcy dolarów.

Franco jednoznacznie jej wyjaśnił, że w kwestii ich fasadowego związku Maximo się nie wtrąca. Kim miała po prostu nie sprawiać problemów. Maximo nie miał zamiaru wnikać, jak tych dwoje radzi sobie ze swoimi sprawami, czy raczej, jak Franco radzi sobie z Kim.

No a przynajmniej tak sytuację przedstawiał jego syn. Zastanawiała się, czy Maximo faktycznie zaaprobował ich zaręczyny.

Kim lubiła patrzeć, jak Franco wije się pod okiem swojego ojca. To był jedyny plus przebywania w towarzystwie Maximo. Poza tym Franco w obecności ojca mniej się jej czepiał.

Wcale nie znaczyło to, że Kim, siedząc przy stole z Maximo i jego żoną, Corrine, czuła się komfortowo. Tego była cholernie pewna. Zwłaszcza biorąc pod uwagę temat rozmowy, którym był ślub mający się odbyć za niecałe dwa miesiące.

– Czyli pastelowy róż i czerń, tak? – zapytała Corrine.

Kim skinęła głową, modląc się, żeby gula narastająca jej w gardle się rozeszła.

– Oczywiście.

– Przynajmniej ty nie wyskoczyłaś z jakimś ostrym różowym – powiedział Franco, mocując się ze stekiem, zbyt małym, żeby można go było uznać za mięso. – Wyglądałoby to jak zarzygany bal maturalny.

– Nawet jeśliby wybrała taki kolor, to ma to być jej dzień, synu – wtrącił się Maximo, spoglądając znad kieliszka wina i unosząc brew. – Daj jej tę możliwość.

– Mówiłem tylko…

– Ty masz tylko założyć smoking, pokazywać się i uśmiechać do kamer. Pozwól jej wybrać, co chce, żeby była szczęśliwa i nic nie mówiła o kolorze twojej kamizelki i krawata. To niewielka cena.

Sympatia Kim względem Maximo podskoczyła o poziom albo i dwa.

– Znalazłaś już sobie jakąś suknię? – zapytała Corrine.

– Jeszcze nie. Nie miałam czasu.

No i to była jedna z tych rzeczy, których się piekielnie bała. To sprawiało, że sprawy nabierały realności. Kim zdołała przebrnąć przez większość przygotowań, zgadzając się, by Franco zatrudnił projektantów. Ona musiała tylko zaakceptować całość.

– Miałabyś o wiele więcej czasu, gdybyś dała sobie spokój z pozostałymi zajęciami na studiach – odparł Franco.

Mięśnie szczęki Kim się napięły, ale powstrzymała się przed przypomnieniem mu, że temat nie podlegał dyskusji.

– Nie jesteś głodna, Kimberlynn? – zapytał Maximo. – Ledwo tknęłaś jedzenie.

Kim zmusiła się do udawanego uśmiechu, gdy wszystkie oczy przy stole zwróciły się ku niej. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było okazanie braku szacunku tym ludziom. To nie ich wina, że Franco wymusił na niej zaręczyny, a już na pewno nigdy nie sprawiali, że czuła się nie na miejscu.

– Długi dzień, Maximo, to wszystko.

– Powinnaś więcej odpoczywać – powiedział starszy z dwóch mężczyzn przy stole z bladym uśmiechem. – Kobiety zasługują na czas, w którym mogłyby się zrelaksować. Franco, czyżbyś nie dawał tej biednej dziewczynie czasu, żeby mogła od ciebie odpocząć?

Zapytany prychnął.

– Nie ma od czego odpoczywać. A już na pewno nie ode mnie.

Kim omal nie zakrztusiła się winem, które właśnie przełykała. To, co implikowały jego słowa, było jasne jak słońce. Nie istniał żaden powód, żeby potrzebowała odpoczywać od Franco, bo między nimi nie działo się nic, co by to uzasadniało. A już na pewno nic związanego z seksem.

Nie mogła uwierzyć, że tak otwarcie to przyznał. I to przed swoimi rodzicami, na dodatek w miejscu publicznym. Tak jakby ich osobiste relacje, albo ich brak, były czyimkolwiek interesem. Kim zalała fala upokorzenia. Wytrzymała cholernie dużą dozę znęcania się ze strony Franco, ponieważ czuła, że w sytuacji, w jakiej się znalazła, nie ma innych opcji, ale to już była przesada.

– Dosyć tego, Franco – powiedziała cicho, ale ostro. – Przestań.

– Co? To prawda. Mam cholernie wielką nadzieję, że po ślubie nie będziesz taka zimna jak teraz.

Sztućce zadzwoniły o ceramiczne talerze. Corrine, siedząca naprzeciwko Kim, wydała z siebie pełen niedowierzania pisk.

– *Cristo*, Franco! – głośna dezaprobata w głosie Maximo zwróciła uwagę kilku sąsiednich stolików.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła Kim do głowy, to wstać od stołu. Musiała wyjść, żeby ochłonąć, ugasić gotujący się w niej gniew i rozładować upokorzenie. Powstrzymała ją przed tym jedynie ręka, która zacisnęła się mocno na jej nadgarstku.

– Kimberlynn…

Posłała Franco spojrzenie, które powstrzymało go od wypowiedzenia kolejnego słowa. Rozluźnił uścisk na jej ręce. Miała szczerą nadzieję, że cała jej wściekłość błyska teraz dostatecznie mocno, by zrozumiał, że właśnie przekroczył pewną naprawdę ważną linię.

– Zechciejcie wybaczyć – powiedziała Kim, utrzymując spokojny ton, po czym wyciągnęła kopertówkę z kieszeni płaszcza. – Muszę pójść do toalety.

Ostatnią jednak rzeczą, o jakiej myślała Kim, była wizyta w łazience. Otworzyła gwałtownie pierwsze drzwi wejściowe, na jakie natrafiła. Prowadziły do alejki, gdzie Franco zaparkował lamborghini, kiedy przyjechali do restauracji. Teraz samochodu już nie było.

Kim złapała się za szyję, czując, jak uginają się pod nią kolana. To było przerażające, jak stłamszona się nieustannie czuła. Udawanie przy Franco tego, czego od niej wymagał, było wystarczająco trudne, ale to już było coś kompletnie innego. Wciągnęła tyle powietrza, ile mogły pomieścić jej płuca. Potrzebowała oddechu, aby odsunąć od siebie panikę i gniew. Oczy jej płonęły od powstrzymywanych łez, a gardło ścisnęło się od usiłujących się z niego wyrwać szlochów.

Kim była? Kiedy to stała się popychadłem, takim jakim starał się ją uczynić Franco? Czy to on miał na nią taki okropny wpływ? Zawsze była niezależna i dumna z tego, a teraz czuła się słaba. Nie mogła sobie wyobrazić, by zdołała poślubić tego człowieka na resztę życia.

Wolała już raczej umrzeć. Właściwie to była jej jedyna opcja alternatywna.

Boże, nienawidziła Franco za to, co jej zrobił.

– Kłopoty w raju, *tesoro*?

Trudny do pomylenia z kimkolwiek innym głos Giovanniego Marcello wywołał kolejną falę histerycznych reakcji w jej ciele. *Ja pierdolę.* Czy ten dzień mógł stać się jeszcze gorszy?

– Co ty tutaj robisz? – zapytała, stając prosto i ocierając policzki, żeby pozbyć się łez, które ewentualnie mogły się jej wymknąć.

Usiłowała nie patrzeć na mężczyznę, który opierał się właśnie o ceglany mur nieco dalej w alejce, ale wychodziło jej to bardzo

kiepsko.

– Chciałem się upewnić, że twój narzeczony zrobił, co mu powiedziałem, i pozbył się samochodu zaraz, jak tylko tu przyjechał. Był tu jak dla mnie trochę za długo. Wyjechali nim stąd zaledwie kilka minut temu.

Wstyd Kim z powodu tego, że był świadkiem jej ataku paniki, sprawił, że przyjęła postawę obronną.

– Nie masz czasem kolejnego samochodu do ukradzenia dla Franco?

Giovanni wybuchnął śmiechem, rzucając peta na ziemię.

– Nie, lambo to było tylko tak, dla jaj i śmiechu. Nie pracuję dla Franco. Dostarczenie mu go było wystarczająco dużym kłopotem. Ale jego dziewczyna chyba musiała się nim przejechać.

Jego dziewczyna?

– Nic nie wiedziałam o tym samochodzie, póki nie wyszłam na zewnątrz – odparła Kim.

– Domyśliłem się, kiedy zapytałaś, skąd on się wziął, i patrzyłaś na niego, jakby był najpaskudniejszą rzeczą w okolicy. Nadal strasznie mnie to wkurza.

Gniew, którego przebłysk udało jej się zauważyć wcześniej w oczach Giovanniego, teraz nabrał znacznie więcej sensu. To nie był gniew, tylko zazdrość. Poczuła w sercu większy niepokój. Jedynym powodem, dla którego mógł być na nią zły, to poczucie, że został przez nią w jakiś sposób zdradzony.

Kim nie mogła sobie pozwolić, żeby tam stać i przetrawiać tę myśl. Ale bolało ją to i sprawiało, że czuła się o wiele bardziej zagubiona.

– Muszę wracać do Franco.

– Tak zrób, Kim – mruknął Giovanni pod nosem.

Mogłaby przysiąc, że w jego słowach dało się wyczuć lekką nutę smutku. Nie mogła brać sobie tego do serca. Giovanni był nieosiągalny. Wolała ułożyć to sobie w głowie, zanim uczucia wymknęłyby jej się spod kontroli.

Gdy Kim sięgnęła do klamki, żeby znów otworzyć drzwi, usłyszała, jak Gio pyta:

– To za uchem… Nadal tam jest?

Nieświadomie Kim przyłożyła opuszki palców do miejsca, gdzie znajdowała się malinka, o którą pytał, i poczuła gorąco rozchodzące się po jej skórze. Rozpalające do granic możliwości pożądanie, jakie wywoływał u niej Giovanni, powędrowało prosto do miejsca pomiędzy udami, powodując niespodziewane napięcie.

– Nadal tam jest, prawda? – zapytał ponownie.

– Tak – odparła Kim miękko, niemal pewna, że może poczuć żar jego wzroku na swoich plecach.

– Kiedy dotykasz tego miejsca, czy czujesz, jak znów dotykają cię moje usta, zęby i język?

Kim ugryzła się w policzek, ale samo z siebie wymsknęło jej się słowo:

– Tak.

– Bardzo dobrej nocy ci życzę, Kim – wymruczał Giovanni.

***

Gdy Kim weszła do lokalu, stół był pusty. Został przy nim tylko Franco. Zatrzymała się w cieniu korytarza, przyglądając się, jak narzeczony pozwala ładniutkiej rudowłosej dziewczynie, siedzącej przy stoliku obok niego, by czarną kredką do oczu napisała coś na wewnętrznej stronie jego nadgarstka. Franco mrugnął do dziewczyny, posyłając jej uśmiech, który zdawał się czarujący, po czym, jakby nigdy nic, wyprostował się na krześle.

Kim odetchnęła tak mocno, że aż zakłuły ją płuca. Nie pierwszy raz wpadła na Franco i inną kobietę. Za pierwszym razem dziewczyna wciąż była naga i klęczała akurat przy jego kutasie, trzymając go w ustach. Zapytany o to Franco przypomniał Kim tylko, że powinna pilnować swojego nosa.

Po tym, co się wydarzyło między nią a Giovannim, powinna czuć się brudna, a przynajmniej źle z powodu tego, że zdradziła Franco. Nie potrafiła jednak wykrzesać nawet odrobiny tych emocji. Dlaczego miałaby coś podobnego odczuwać, skoro on nawet nie zadawał sobie trudu, żeby się kryć ze swoją niewiernością? Wcale by się nie zdziwiła, gdyby już teraz miał dzieci w całym Vegas.

Kim podeszła do stołu wyprostowana i z wyrazem twarzy, jakby kompletnie nic nie widziała.

– Gdzie twój ojciec i Corrine?

Franco machnął ręką i w tym samym momencie mignął jej wypisany na czarno numer telefonu oraz imię.

– Jest na mnie zły za to, co powiedziałem. Zmusił mnie do przeprosin, a następnie wyszedł. Prosił, żebym przekazał w jego imieniu przeprosiny. – Kim nic nie powiedziała, bo właściwie nie wiedziała co. – Przypuszczam, że ode mnie też chciałabyś je usłyszeć? – zapytał, wstając od stołu.

Franco przyniósł Kim płaszcz, a ona pozwoliła, by pomógł jej go włożyć. Sposób, w jaki jego ręce spoczęły na jej ramionach, mógł się wydawać komuś z gości restauracji czuły, ale ciężar jego palców zagłębiających się w jej ciało nie miał z czułością nic wspólnego.

– Nie będę cię prosić o przeprosiny, jeśli zatrzymasz uwagi o tego rodzaju sprawach dla siebie – odparła Kim.

Franco miał szczęście, że Kim nie dowaliła mu słownie tak, jak miała na to ochotę. Warto byłoby ponieść konsekwencje, żeby go upokorzyć przy tych wszystkich otaczających ich ludziach, tak jak on upokorzył ją. Niestety, Kim czuła się zbyt wyczerpana na kolejne starcie.

– Także dla ciebie – odparł Franco, unosząc brew. – Musisz wiedzieć, że jak już zostaniemy małżeństwem, kochanie, to będę oczekiwał od ciebie, żebyś zachowywała się jak prawowita żona we wszystkich aspektach, wliczając w to sypialnię. – Na samą myśl Kim poczuła gulę rosnącą jej w przełyku. – A to, czy będziesz chcieć, czy nie, naprawdę mnie nie powstrzyma – dodał.

Rozdział dziesiąty

– Jak tam nasze sprawy? – zapytał Antony.

– Dobrze – odparł Gio, przyglądając się, jak chłopaki rozbierają lamborghini na same części zamienne.

Zwykle Gio umyłby ręce, ale był ciekawy, jak szybko są w stanie rozebrać auto, więc pomyślał, że sprawdzi.

– Pracujesz – stwierdził Antony.

– Coś tak jakby. Dłubanie przy alarmach w twoich samochodach teraz mi się przydaje.

Antony się roześmiał.

– Jesteś takim gnojkiem, Gio. Brzmisz… zdrowo, synu.

Gio zmarszczył czoło.

– Co?

– Trzeźwo.

Aha.

– Cieszę się – dodał ciszej. – Może, koniec końców, to właśnie Vegas potrzebowałeś.

Po imprezie sprzed tygodnia Gio stracił nawet najdrobniejsze zainteresowanie ćpaniem czy piciem. Nie miało to za wiele wspólnego z Vegas. Po co w ogóle być na haju? Nie musiał niczego czuć. Cholera, już teraz targało nim zbyt wiele uczuć zaplątanych w milion frustrujących węzłów. Przyczyną tego wszystkiego były myśli o Kim. Żaden odlot by nie sprawił, że poczuje się odprężony. Wtedy wszystko stałoby się o wiele gorsze.

– Matka potwornie za tobą tęskni – powiedział Antony.

– Wiem. Powiedziała mi to piętnaście razy tydzień temu, na urodziny.

Antony zarechotał.

– Chce, żebym sprowadził cię do domu najbliższym lotem.

– Jeszcze nie – powiedział Gio.

Coś w środku mówiło mu, że nie jest gotowy, by wyjechać.

– Cóż, twój wybór. Jak tam interesy?

– Po staremu. Cicho i spokojnie. Franco zdecydowanie przejął kontrolę nad tym nonsensem z samochodami.

– Całkowitą?

– Tak to wygląda – odrzekł Gio.

– A Nunz w tym siedzi?

– Głównie jego syn. To znaczy, ma oko na ich interesy. Dzieciak jest w porządku, ale jego ojciec to leniwy kutas.

Antony mruknął potwierdzająco.

– A kto komu płaci, jeśli biorą w czymś udział szefowie?

– Płacą jednemu i drugiemu. Max zgarnia swoją działkę, a syn Nunza też płaci ojcu część tego, co dostaje w swoim udziale.

– Za dużo w tym szefów – zauważył Antony.

– No. Jak trzech szefów dostanie swoje, to nic z tego nie zostanie. Jest w tym dobra kasa, ale wymaga kupę roboty. Wydaje się, że Max nie jest zainteresowany bawieniem się w to, tak więc nie wiem, dlaczego proponował to tobie.

– Możliwe, że dlatego, że poprosił go o to Franco, który z kolei założył, że prędzej rozważę ofertę z ust jego ojca niż jego.

– Zwłaszcza jeśli siedzi w tym Nunz.

– Max nic nie mówił o Nunzu – odparł Antony. – Nie na spotkaniu Komisji. Wspomniał o nim tylko w kontekście jego córki, którą ma poślubić Franco.

Jak to się stało, że Gio na to nie wpadł? Antony miał rację. Maximo nic nie wspomniał o Nunzu w kontekście interesu z samochodami. W czasie kilku krótkich spotkań nie mówił też o nim czy o jego ludziach. Właściwie to jedyną osobą od Nunza zaangażowaną w cały projekt był Cody.

Czy Maximo w ogóle wiedział, że Nunz dostaje z samochodów swoją działkę?

– Gio? – zapytał Antony. – Rozłączyłeś się, synu?

– Nie, tylko myślę.

– Nad czym?

Gio nie był pewien, czy ma rację. Nie wiedział, czy jego założenia są prawdziwe.

– Dzieciak Nunza… Cody, ma dwadzieścia trzy lata i nadal nie przeszedł inicjacji.

– No i? – zapytał Antony znudzonym głosem.

– To niezwykłe. Chodzi mi o to, że kręci rodzinny interes, ale się jej nie trzyma.

– Może właśnie w tym rzecz. Nie w tej rodzinie chciałby się znaleźć – zasugerował Antony. – Gdybym miał wybór, to wolałbym mieć za szefa Maksa.

Cóż, kurwa… Tego Gio nie rozważał.

– Skoro już mówimy o Maksie, to słyszałem, że za dwa tygodnie masz zaproszenie na kolację.

Gio cały się spiął. Ojciec mówił o przyjęciu zaręczynowym Kim i Franco. Najwyraźniej ta para miała zaręczyć się jeszcze raz. Gio nie planował się tam zjawić.

– Właściwie to myślałem, żeby ją sobie odpuścić – odparł Gio. – Nie moje klimaty.

– Wolałbym jednak, żebyś sobie nie odpuszczał – odrzekł Antony. – Załatw sobie jakiś garnitur i idź. Nie mam zamiaru pokazać się na tym ślubie, więc skoro już tam jesteś, to zrób to dla mnie. Niektórzy odbiorą to, jakbym wysłał ciebie w zastępstwie. Taki kompromis.

– Ale…

– Żadnego ale. Idź.

– No dobra.

***

– Cieszę się, że udało ci się zjawić, Skip.

Gio zmusił się, by posłać Maximo uśmiech. Było to najlepsze, na co mógł się zdobyć. Ojciec Franco podał mu kieliszek koniaku.

– Niedługo powinniśmy sobie usiąść i porozmawiać – powiedział Max. – Mam dla ciebie propozycję.

– Powiedz tylko kiedy i gdzie.

Gio zaczął wpatrywać się w ciemny płyn, zataczając kieliszkiem okręgi, żeby aromaty alkoholu się uwydatniły. Koniak był alkoholem, który zwykle mu smakował. Był czymś bardziej jak doświadczenie niż sama przyjemność. Dziś jednak nie miał na niego ochoty.

Potrzebował czegoś, co mógłby wlać sobie do gardła i przestać myśleć o pięknej blondynce uwieszonej na ramieniu Franco.

Kim wyglądała, jakby dobrze się bawiła. Gio wiedział swoje. Fałszywe uśmiechy i oczy stale wpatrzone we Franco. Jedno i drugie udawane. Ostatecznie Gio wywołał wcześniej uśmiech na twarzy Kim, a potem scałowywał go z jej ust. Widział już, jak jej oczy rozbłyskują z rozbawienia i jak ciemnieją z pożądania. Dzisiejszej nocy Gio przyglądał się jej z pewną dozą uznania, ponieważ trudno było odróżnić tamten uśmiech od obecnego.

Gio przebywał w domu rodziny Sorrento od niecałej godziny, ale już miał ogromną ochotę wyjść. Nieustanne pogaduszki o uroczej parze sprawiały, że w środku czuł, jak zbiera mu się na mdłości, solidnie zaprawione zazdrością i gniewem.

Możliwe, że pomogłoby, gdyby zdołał na nią nie patrzeć, ale nie potrafił się powstrzymać. Jego wzrok odruchowo wędrował w jej kierunku. Zauważył, że ona też na niego zerka. Całkiem możliwe, że nie spodziewała się go dzisiaj wieczorem.

Bóg jeden wiedział, jak cholernie nie miał ochoty tu być.

– Giovanni?

Odchrząknął, zaciskając palce na kulistym szkle.

– Tak, Max?

– Wiem, że to nie przyjęcie jak u Marcellich.

– Nie różni się tak znów bardzo.

– Ludzie są inni – odparł po prostu don Sorrento. – Zdajesz się nieobecny.

– Bo jestem. – Gio znów spojrzał w kierunku Kim. Na szczęście ogarnął się i dodał: – Cecelia suszy mi głowę, żebym wracał do Nowego Jorku.

– Ano cóż… Jesteś jej najmłodszym synem – zaśmiał się Maximo, unosząc ku Gio własny kieliszek. – Pij. Ten aromat tworzył się przez dwadzieścia lat i nie należy go marnować. Ty zaś jesteś dwudziestoszścioletnim młodzieńcem, który również nie powinien się marnować. Wmieszaj się w tłum, Skip. Na pewno znajdziesz jakąś śliczną dziewczynę, która wpadnie ci w oko. W Vegas mieszkają najpiękniejsze.

Szkoda, że jedna już wpadła. Tylko nie była dostępna.

***

Uniósł obły kieliszek, a następnie przełknął spory łyk koniaku w sposób, który, jak wiedział, stanowił profanację dla tego trunku. Powinien się był niespiesznie cieszyć smakiem, ale po prostu chciał czuć, jak pali mu wnętrzności. To był jego piąty kieliszek w ciągu niecałej godziny. Czuł, jak ciepło rozpełza się pod skórą. Alkohol zaczynał mieć na niego wpływ. Właściwie nie powinien był pić, ale nie miał nic lepszego do roboty.

Tak w wielkim skrócie wyglądało u niego ostatnich kilka tygodni.

Gio starał się wyrzucić Kim ze swoich myśli przez cały cholerny tydzień. W przeciwieństwie do pierwszego razu nie rzucił się w wir kobiet, narkotyków i alkoholu. Teraz obrał inną drogę, skupiając się na pracy. Starał się zbliżyć do ludzi Franco, przyglądając się, jak drogie auta są rozkładane na części, a także sprawdzał, co słychać u szefów jego klubów w Nowym Jorku. Od rana do nocy Gio nieustannie pozostawał w ruchu. Nieustannie też myślał.

O Kim.

Przejebane.

– No i jak tam, Franco? Gotowy? – Gio usłyszał głos Maximo dobiegający gdzieś z pokoju.

– Tak sądzę – odparł Franco z uśmiechem. – Kimberlynn?

Kim wyglądała na zmieszaną, ale mimo to się uśmiechnęła.

Gio wślizgnął się w kąt, po czym wlał w siebie resztę koniaku. Nie miał pojęcia, o co chodziło z Franco i Kim stojącymi na środku sali przed wszystkimi gośćmi, ale czuł na sercu ogromny ciężar.

Franco wyciągnął z kieszeni czarne, aksamitne pudełko. Mimo wszystkich tych spotkań Gio dopiero teraz uświadomił sobie, że Kim nie nosiła na palcu pierścionka zaręczynowego. *Tutaj*… teraz, stojąc naprzeciwko niej w pomieszczeniu pełnym ludzi. Teraz właśnie musiał to dostrzec.

W oczach Kim pojawił się przebłysk paniki i irytacji, który znalazł ujście w nerwowym śmiechu, bo pierścionek był zdecydowanie zbyt okazały jak na jej małą dłoń. Gio miał dosyć patrzenia. Czuł w piersi jakiś paskudny ból, a koniak też już nie wchodził, jak należy.

Potrzebował zapalić i się odlać.

Dokładnie w tej kolejności.

***

Gio nie spieszył się, rozkoszując się chwilą, kiedy mył ręce po skorzystaniu z łazienki na drugim piętrze. Wszystkie niżej były zajęte. Góra była w zasadzie zamknięta, ale miał to gdzieś.

Przyglądając się sobie w lustrze, zauważył, że jego wzrok był rozleniwiony, a białka oczu pokrywała czerwień. Gio wiedział, że powinien wyhamować z piciem. I tak poziom alkoholu w jego krwiobiegu był za wysoki, żeby mógł prowadzić. Będzie musiał zadzwonić po taksówkę i jutro wrócić po samochód.

Cudnie…

Na szczęście prawdopodobieństwo, że jutro Kim będzie w domu rodziny Sorrento, było bliskie zera. Franco miał swój własny dom, gdzie mógł ją zabrać. Jedyny mały cud, który działał na korzyść Gio, ale tak poza tym – wszystko w jego życiu zdawało się rozpadać.

Czyżby Kim była szczęśliwa z Franco na sposób, którego Gio nie potrafił dostrzec? Może to bycie obiektem uwagi wszystkich dookoła sprawiało, że wyglądała wcześniej na niespokojną. Problemy Franco i jego potrzeba ciągłego kontrolowania każdego jej ruchu były oczywiste, ale Kim zdawała się dostatecznie silna, żeby w razie potrzeby sobie z tym poradzić. Przyszło mu to do głowy dwa tygodnie wcześniej, gdy był świadkiem, jak niemal dostała ataku paniki w alejce na tyłach restauracji.

To nie było normalne.

Właściwie gdy Gio zastanawiał się nad sprawami związanymi z Franco i Kim, nic nie miało większego sensu. Nie wyglądało na to, żeby Nunz Abella dysponował jakąkolwiek realną władzą, by zmusić swoją córkę do zaaranżowanego małżeństwa. Był małą płotką w ogromnym morzu. To kazało Gio zastanowić się, czy Franco nie ma czegoś, czego pragnie Kim. Nawet jeśli ich związek miał niezdrowy charakter, to mimo wszystko z nim była i wciąż planowali ślub.

Jak by nie było, zgodziła się za niego wyjść.

Dlaczego nie mógł o niej zapomnieć?

– *Cazzo* – zaklął pod nosem, po czym westchnął głęboko. Rozgimnastykował nieco ramiona, żeby pozbyć się choć części stresu. Nie podziałało. Ostatnio nic nie działało. – Ona mnie, kurwa, wykończy.

Siadł prosto, a następnie zaczerpnął kolejny głęboki wdech, żeby opanować emocje. Musiał utrzymać gównianą kontrolę na tyle długo, żeby pożegnać się z Sorrentami, tak jak nakazywał szacunek… Względem nich i szczęśliwej, kurwa, młodej pary. No a potem wezwać taksówkę i zawieźć swoje spite dupsko do łóżka.

Drzwi do łazienki otworzyły się gwałtownie. Jasne, był bardziej nabzdryngolony, niż myślał, i zapomniał je zamknąć. Niestety osoba, która weszła do środka, zrobiła to, co on powinien był zrobić, czyli zamknęła je na zamek. Co gorsza nie był to ktoś, kogo koniecznie chciałby zobaczyć.

Kim nie zauważyła Gio, bo z dygoczącymi ramionami stanęła twarzą do drzwi. Gio nie miał najmniejszego pojęcia, jak to możliwe, że stale wpadali na siebie w takich sytuacjach. Ewidentnie działała tu jakaś siła wyższa. Kto inny stroiłby sobie takie żarty z jego udręki?

Te gorzkie myśli stopniały, gdy Gio znów spojrzał na Kim od tyłu. Znieruchomiał, niepewny, co powinien zrobić. Coś tu było nie tak. Ręce przyciskała mocno do drzwi, a jej powabną sylwetką, ubraną w jedwabną sukienkę, wstrząsały spazmy. Pochyliła nisko głowę i szlochała cicho.

Jego uwagę przykuł pierścionek na palcu. To jednak nie on martwił go najbardziej. Na jej bladym nadgarstku zauważył czerwone plamy, które go przybiły. Miały rozmiar pięciu palców i nawet nie musiał zgadywać, co to były za ślady i kto je tam zostawił.

Nie musiał pytać. Po prostu, kurwa, wiedział.

Z oczami utkwionymi cały czas w podłodze, Kim obróciła się prędko na pięcie, po czym szarpnęła pierścionek na palcu, próbując go ściągnąć. Łzy spływały ku wargom, zęby miała zaciśnięte. Pierścionek z głośnym brzękiem uderzył o ścianę za ramieniem Gio.

– *Merda*! – zaklął Gio. Cholerny pierścionek minął się z jego głową o parę centymetrów. – Myślałaś o tym, żeby grać w baseball, *tesoro*?

Kim spojrzała w górę, napotykając jego wzrok. Na jej pięknej twarzy widać było wstyd i udrękę. Przez jej dolne rzęsy przekradły się

kolejne łzy, które zaraz potem spływały po policzkach.

– O mój Boże! Wyjdź stąd natychmiast!

Gio zamrugał zaskoczony jej nagłym wybuchem.

– Ja tu byłem pierwszy.

– Góra jest…

– Niedostępna, wiem. Ty też, ale to mnie nie powstrzymało. Jakbyś jeszcze nie zauważyła, mam poważne problemy z przestrzeganiem zasad.

Kim była nabuzowana.

– Wyjdź, Giovanni.

Nie, nie sądził, by był w stanie to zrobić. Nie po tym, co zobaczył. Te kompletnie niepasujące do siebie przemyślenia na temat Kim i Franco, które wcześniej pojawiły mu się w głowie, teraz zaczęły krążyć jak oszalałe. Żadna kobieta nie chciała, żeby ktoś ją dotykał w taki sposób.

– Franco zrobił ci krzywdę – powiedział Gio, skinięciem głowy wskazując nadgarstek.

Kim natychmiast ukryła ślady na ręce, obejmując je prawą dłonią.

– To nic takiego. Tylko…

– Upadłaś, uderzyłaś w drzwi, już się z nimi obudziłaś… co to jest? Sprzedaj mi jakąś wymówkę. No dalej, powiedz coś na odczepnego. Są tysiące innych kobiet, które codziennie coś wymyślają, żeby usprawiedliwić przemoc domową, więc czemu nie ty? – Dolna warga Kim zadrżała, ale Gio nie ustępował. – To może darujemy sobie wymówki co do tego, jak powstały te zaczerwienienia, bo oboje wiemy, jak to się stało, więc możesz od razu przejść do wyjaśnień i obrony jego zachowania. Co tam się stało? Okazałaś brak szacunku? Wkurwiłaś go? A może znów mu odpyskowałaś? Cholera, może to ty go uderzyłaś?

– Gio, proszę…

– Bo żadna z tych rzeczy nie kwalifikuje się, żeby robił ci coś takiego. Ani, kurwa, jedna. Żaden facet nie ma prawa krzywdzić kobiety. Ja nigdy bym ci tego nie zrobił – dokończył Gio głosem ostrym jak brzytwa.

– Przestań, proszę – wyszeptała Kim.

– Dlaczego cię skrzywdził?

– Daj spokój, Gio.

– Powiesz mi ty, czy mam poszukać jego. Nie spodoba ci się to, co zrobię, jak go znajdę.

– Nie. – Momentalnie zbladła na twarzy. – Gio, nie możesz. On już jest wystarczająco zazdrosny i zawzięty. Jeśli to zrobisz, to tylko pogorszy sprawę.

– O mnie? – zapytał Gio.

Franco nie miał żadnych powodów, by niepokoić się, że jego i Kim coś łączy. Cóż, owszem, łączyło, ale on o tym nie wiedział. Gio nie dawał po sobie w żaden sposób poznać swojego zainteresowania Kim, ani tego, że dwa razy się kochali.

– O ciebie, o faceta na ulicy, a nawet staruszka, który siedzi na ławce pod biblioteką.

Aha, teraz Gio załapał.

– Czyli każdy, kto ma kutasa?

– Wiem, że to niedorzeczne.

– Jego ojciec wie, że odpierdala z tobą takie gówno?

Kim pokręciła głową, cały czas unikając podniesienia wzroku.

– To, co jest pomiędzy mną i Franco, to nasza sprawa. Maximo się w to nie miesza.

– Ale to zdanie Maksa czy Franco? – zapytał Gio, bo miał cholerną pewność, że Maximo nie byłby skłonny tolerować takich akcji.

– Zawsze tak było – powiedziała cicho Kim. – Mój ojciec się nie miesza, więc jego również. Dam sobie radę z Franco, okej? To był pierwszy raz, kiedy coś takiego miało miejsce.

– Ale na pewno nie ostatni. Jeśli zrobił to raz, to zrobi ponownie. Jest całkiem spora szansa, że za każdym razem będzie bardziej brutalny. A poza tym, to nie jest też pierwszy raz – powiedział Gio, przechylając głowę na bok. – Zapominasz, jak stałem w korytarzu i słuchałem, gdy mówił do ciebie, jakbyś znaczyła dla niego mniej niż nic. Truł ci po kolei o to, jak wyglądasz i jak się zachowujesz, bo uznał jedno i drugie za niestosowne. Ta nowa sytuacja nie jest niczym innym, Kim. Zamiar jest ten sam: znęcać się, kontrolować i izolować.

– Wiem.

Zrobiło mu się niedobrze, kiedy usłyszał, jak obojętnie to powiedziała.

– Za chuja nie mam pojęcia, dlaczego chcesz go poślubić, skoro robi ci takie rzeczy.

– Bo dokonałam wyboru. Muszę być konsekwentna. Musisz zrozumieć, w jakiej sytuacji się tutaj znajduję.

Gio westchnął, czując się bardziej niepewnie niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Miał zamiar dowiedzieć się, co dokładnie miała na myśli, mówiąc o dokonanym wyborze, ale dzisiejszy wieczór nie był najlepszą porą, żeby naciskać. Kolejna kłótnia z pewnością nie była tym, czego Kim by chciała. On z kolei był ostatnią osobą, która chciałaby jej sprawiać więcej bólu.

– Pozwól, że obejrzę ten twój nadgarstek, *tesoro*.

– Nie masz się o co martwić. Jest w porządku.

Jasne. Nie potrafił się nie martwić, kiedy wyglądała na tak smutną i rozbitą. Pokonał niewielką odległość, jaka ich dzieliła, po czym chwycił ją za rękę, przyglądając się nadgarstkowi. Jeśli brać pod uwagę ich zabarwienie i rozmiar, siniaki nie znikną przez kilka dni. Gio dotknął delikatnie śladów, które wyglądały na bolesne i poczuł narastający w sercu żal. Nie zasługiwała na bycie ofiarą takiej przemocy.

Jeśli Kim byłaby jego narzeczoną… Nie, Gio nie mógł dokończyć tej myśli. Nie chciał.

– Nie chciałam pierścionka – powiedziała cicho.

– Dlaczego nie? To znaczy, mam na myśli to, że się zaręczyłaś. Dla większości kobiet to normalna konsekwencja narzeczeństwa. Nawet latami zastanawiają się, jak pierścionek będzie wyglądał.

– Ja nie jestem jak większość kobiet. Jestem sobą.

Był pewny jak cholera, że chodziło o coś jeszcze.

– Racja – odparł, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Wiem, że to dziwne, ale nie noszę zbyt wiele biżuterii, a to ogromny pierścionek z diamentem i kompletnie do mnie nie pasuje. Franco nie był zbyt szczęśliwy, że nie może włożyć na mnie czegoś jeszcze, co by pokazywało jego bogactwo, ale chyba kiedy konsekwentnie odmawiałam, w końcu się z tym pogodził. Nie

przeszkadza mi, gdy wybiera mi ciuchy, jakie chce, żebym nosiła, ale nie pierścionek zaręczynowy.

Gio dosyć szybko zrozumiał sytuację.

– Czyli dał ci dzisiaj ten, przy wszystkich, żebyś nie mogła odmówić?

– Taaa. Potem zaprowadziłam go do kuchni i zapytałam, dlaczego to zrobił, skoro wiedział, że tego nie chcę. Franco się wściekł, powiedział, że jestem niewdzięczna, złapał mnie za rękę i mną potrząsnął. Powiedział, żebym spierdalała i znikła mu z oczu, więc przyszłam tu, żeby się uspokoić, ale cały czas tylko płakałam. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam, by sprawił, że się rozpłakałam. Cholerny kutas.

– Kim…

– Wszyscy ci ludzie tam na dole nic o mnie nie wiedzą. Prawdopodobnie myślą, że jestem jakąś beznadziejną, słabą dziewczyną, bo rozpłakałam się z tak głupiego powodu.

Gio nie zgadzał się z tym w najmniejszym stopniu.

– Przede wszystkim to nie jest nic głupiego. To, co zrobił, jest nie do przyjęcia w tak wielu wymiarach, że nawet nie zdajesz sobie sprawy.

Na przykład takim, że zasady Cosa Nostry wymagały, by kobiety mafiosów traktować z szacunkiem. W tym świecie bycie narzeczoną było niemal równoważne małżeństwu. Gio otrząsnął się z myśli, kontynuując:

– Nie jesteś beznadziejna, a już na pewno nie słaba, dlatego że płaczesz. Ci ludzie cię nie znają, bo nie dałaś im okazji, by cię poznali. Dać się poznać to nic złego, choć to ty wybierasz ludzi, którym pozwalasz spojrzeć, co jest pod powierzchnią. Najsilniejsi są ci, którzy toczą i wygrywają wojny, których nikt inny nie widzi.

Po ramieniu Gio rozpłynęło się ciepło. Dopiero wówczas uświadomił sobie, że dotyka palcami zaczerwienień na nadgarstku Kim, jakby chciał sprawić, że znikną. Nieświadomie gładził kciukiem jej skórę w tę i z powrotem.

– Jesteś powalająco piękną, inteligentną i wartościową kobietą, Kim. Zasługujesz na coś lepszego niż to i wiesz o tym.

– Dziękuję – powiedziała tak cicho, że ledwo ją dosłyszał.

Zanim Gio zdołał się cofnąć na bezpieczny dystans, żeby oczyścić myśli, Kim złożyła na jego podbródku najdelikatniejszy pocałunek. Gio wolałby, żeby tego nie robiła. W jej przypadku nic dla niego nie było jasne ani proste. Tyle odcieni szarości przesłaniało to, co w tej sytuacji właściwe i niewłaściwe, a także jego uczucia względem Kim, że nie wiedział, w którym kierunku podążyć.

Pocałunek nie mógł być po prostu pocałunkiem. Był niczym więcej jak krótkim muśnięciem jej ust o jego skórę, okazaniem wdzięczności, ale równocześnie stał się czymś więcej. Każda część ciała Gio poczuła tę delikatną pieszczotę. Całym sobą zareagował na to, co powinno stanowić niewinny gest.

– Mam zamiar cię pocałować.

To było najlepsze ostrzeżenie, jakie mógł jej dać, bo stracił nad sobą całą kontrolę. Alkohol, ich sytuacja, jego serce bijące jak oszalałe i zagmatwane myśli… Wszystko to się w nim starło. Pozostało w nim tylko samolubne pożądanie.

Usta Kim nadal były tak blisko, że mógł poczuć ciepło jej oddechu na swojej brodzie. Albo nie słyszała jego ostrzeżenia, albo jej ono nie obeszło. Gio miał nadzieję, że to drugie. Obróciwszy lekko głowę, poczuł aksamitne wargi delikatnie dotykające kącika jego ust. Odwrócił się więc całkiem, odpowiadając na pocałunek swoim własnym.

Jej wargi smakowały błyszczykiem i winem. To, co zaczęło się powoli, momentalnie nabrało rumieńców, gdy Kim dała mu przyzwolenie cichym jękiem. Przycisnął usta mocniej, wciskając język w tę rozpaloną, soczystą głębię i obejmując Kim w pasie. Jej plecy uderzyły o drzwi z głuchym grzmotem, ale hałas nie przeszkodził jej rękom wędrować po jego ciele. Zdarła mu marynarkę z ramion, po czym wyciągnęła długą koszulę, którą miał wepchaną w spodnie. Odpięła w nich guzik, cały czas nie odrywając swoich ust od jego. Gio zabrał na chwilę dłonie z jej talii, na tyle długą, żeby marynarka opadła na ziemię.

To nie było dobre miejsce. Zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Głuchy huk przyjęcia nadal nie cichł i dochodził z dołu, choć goście bawili się znacznie niżej. Każdy mógł ich usłyszeć i przyłapać.

Kiedy ręka Kim zagłębiła się w jego spodnie i bokserki, wszystkie te myśli momentalnie uleciały. Otoczyła go przyjemna gładkość jej dłoni, która zaczęła pracować, by przywołać jego na poły sztywnego kutasa do życia. Z jego piersi wydobył się przytłumiony jęk, wyrażający przyjemność, jaką dawała mu jej ręka. Pod wpływem uwagi, jaką mu poświęcała, jego penis stwardniał momentalnie.

Okropnie irytujący głos z tyłu głowy Gio nie chciał się zamknąć. Nie powinien ponownie robić tego z Kim, niezależnie, jak bardzo jej pragnął. Tylko, dobry Boże… czy był, kurwa, taki moment, w którym jej nie pragnął?

– Tak, powinieneś, bo chcę, byś to zrobił – wyszeptała Kim, tym samym uświadamiając mu, że musiał swoje myśli wypowiedzieć na głos. – Zerżnij mnie, Gio. Tu i teraz, w tym domu.

Jezusie… Jeśli jego kutas mógł w ogóle stwardnieć jeszcze bardziej, to stało się to właśnie po tym, jak wypowiedziała te słowa.

Gio nie tracił czasu, tylko odciągnął ją od drzwi, a następnie bezceremonialnie pochylił ją nad szafką umywalkową. Jej ręce chwyciły za krany, a jej ciche pojękiwania ponaglały go do działania, gdy zadzierał jej sukienkę na biodra.

Nie zostało nic, co by skrywało piękne, kremowe ciało i jej tyłek pod jedwabnymi majtkami. Był tam jedynie kawałek białego sznurka, którego nie uznałby nawet za warty nazwania bielizną. Nie zasłaniał absolutnie nic. Zaprzestał na chwilę gwałtownych ruchów, żeby pościskać jej tyłek, przyciągając zgrabne pośladki do swojego kutasa. Pod spodniami nabrzmiały członek próbował wyrwać się na wolność, ale teraz oparł go na jej rowku na tyle, żeby złagodzić nieco ból.

– *Dio*, nigdy mi się nie znudzi patrzenie na twój cudny tyłek, Kim.

– No to dalej – wymamrotała, patrząc przez ramię za siebie. – Zerżnij mnie.

Gio nie potrzebował dalszych zachęt. To było głupie i lekkomyślne. Z jego strony to proszenie się o śmierć. Wstyd dla jego rodziny i złamanie przysięgi, jaką złożył Cosa Nostrze. To go nie powstrzymało przed ściągnięciem jej majtek do kolan, a następnie opuszczeniem swoich spodni tak, że stojący kutas trafił prosto do jego dłoni. Przy użyciu kciuka Gio starł kropelkę, która pojawiła się na główce jego kutasa. Nie powiedział nawet słowa, gdy wsuwał

czubek między jej gładkie fałdki. Kim jęknęła, próbując poruszyć się do tyłu, żeby nadziać się bardziej na jego penisa. Za każdym razem, gdy Gio wchodził czubkiem w jej pochwę, zagłębiał się na tyle, żeby go poczuła, ale brał ją powoli. Soki z jej wnętrza rozsmarowywały się po jego kutasie, a jej cipka lśniła od podniecenia. Trzymając rękę na dolnej części jej pleców, nie pozwalał jej się podnieść z szafki, więc nie była w stanie się poruszyć.

– Chcesz, żebym cię zerżnął tutaj?

– Gio, proszę – zaskomlała Kim.

Miał poczucie, że powinien dać jej jedną, ostatnią szansę, żeby się wycofała, a może chciał ją dać sobie? Taki potajemny skok w bok, jak ten poprzednio, to jedno, ale teraz mieli przejść na kompletnie nowy poziom nieostrożności. Niczego nie żałować. Gio starał się nigdy niczego nie żałować. Nie chciał, żeby teraz było inaczej, ale nie miał pewności, czy nie prowadziło to właśnie do tego.

– Chcę usłyszeć „tak" albo „nie" – powiedział Gio, nadal pocierając jej fałdki swoim kutasem.

– Tak. Jezu Chryste, tak, Gio.

Tyle mu wystarczyło. Puścił podstawę swojego penisa, równocześnie pochylając się ponownie do przodu. Jednym, mocnym i płynnym pchnięciem wjechał swoimi ponad dwudziestoma centymetrami głęboko w jej rozedrganą cipkę. Jej ciało nie stawiało oporu. Zawsze wydawała się do niego dopasowywać jak gorąca, mokra rękawiczka. Ciasny, rozpalony raj. Siła penetracji i jego podbrzusze uderzające o jej tyłek sprawiły, że z siedmiocentymetrowych obcasów uniosła się jeszcze na palce, a po łazience rozszedł się błogi krzyk. Przytrzymała się lustra, żeby nie stracić równowagi.

Gio zamarł. Nie tylko z powodu jej krzyku, ale też mokrego, jedwabnego gorąca, jakie otoczyło całą długość jego kutasa. Nie miał kondoma. Nie miał jebanego kondoma. Chciał jej powiedzieć, żeby była cicho, ale słowa uwięzły mu w gardle, a oddech w jego płucach stał się jak smoła.

– Gio? – odezwała się rozedrganym głosem.

– Ja…

Nadal nie mógł z siebie wydusić słowa. Trudno się było skupić, gdy wciąż znajdował się w Kim, odczuwając każde drgnięcie i pulsowanie jej ścianek na swoim penisie. Zatopienie go w niej, niebezpieczne, choć naturalne, dosłownie pozbawiło Gio zmysłów. Nie był w stanie oddychać, czując jej tętno na rozciągniętej, opinającej go pochwie. Wszystko… Kurwa mać, czuł to wszystko.

– Kondom – wykrztusił wreszcie, znów doświadczając nieodpartej potrzeby poruszania się w Kim.

I tak nie miało to w tym momencie większego znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie. Tym, co sprawiło, że znieruchomiał, nie był fakt, że pieprzył Kim bez zabezpieczenia, a bardziej to, że stało się to tak łatwo i że nawet nie przyszło mu do głowy założyć gumki na kutasa. *Boże, co ta kobieta ze mną robi?*, pomyślał.

– To bezpieczne, Gio – odparła Kim, posyłając mu znad ramienia zamglone spojrzenie. – Przyrzekam. Przestań wariować i zerżnij mnie wreszcie.

– Nie wariuję.

A w każdym razie nie aż tak bardzo, poprawił się w myślach.

Prawdopodobnie nie był to najlepszy moment, żeby uświadomić Kim, że pierwszy raz rucha bez zabezpieczenia. Zamiast tego Gio powoli wysunął się z jej cipki, tak że w końcu tylko główka jego kutasa nadal znajdowała się w jej dziurce. Absolutnie pochłonięty przyglądał się, jak jej soki pokrywają całą długość jego fiuta. Uczucie to było nie do opisania. Tak cholernie niesamowite.

– Zaczekaj – wycharczał.

Odbicie Kim w lustrze wyrażało brak zrozumienia.

– Co?

Gio nie odpowiedział, lecz wbił się w jej ciało ponownie. Ta odrobina powściągliwości, na którą mógł się jeszcze zdobyć, zniknęła z tym jednym pchnięciem. Coś w środku pękło, niczym pies, który całe życie był uwiązany na łańcuchu i wreszcie się z niego zerwał. Rytm pieprzenia stał się gwałtowny, całkowicie niepohamowany. Gio wcale nie myślał o tym, że się porusza. Pragnął tylko ją czuć – wszystkie drgania pochwy i lejące się z niej płyny nawilżające jego kutasa, gdy ją brał.

Jedną z rąk obejmował Kim w talii, przyciągając ją do siebie tak, by nadziewała się na każde pchnięcie jego kutasa. Drugą z kolei chwycił ją za kark, tak że palce wplatały się w kosmyki jej włosów wystających z koka.

– O Boże… Właśnie tak, Giovanni – wydyszała Kim. Gio wyczuwał tętno na jej szyi. Serce waliło jak oszalałe. – Tak mi… dobrze.

To, że stosunek był ostry, zdawało się ani trochę jej nie przeszkadzać. Jej ramionami wstrząsnął dreszcz, gdy wpatrywała się w odbicie Gio w lustrze. Śliczne, różowe usta otwarły się, wydając ciche pojękiwania. Szalone, dzikie tempo sprawiało, że ciągle stała na palcach, a jej uda uderzały o szafkę. Niewątpliwie jej jedwabna sukienka będzie pognieciona i okropnie potargana, kiedy już Gio z nią skończy.

Kim przejechała paznokciami po lustrze, mocno wyciągając ręce. Pochyliła głowę w dół, używając pięści, żeby osłonić swoją twarz przed uderzeniem, gdy przybliżała się do szkła za każdym razem, kiedy jego ciało napotykało jej.

– Czego chcesz? – zapytał Gio twardo. – Powiedz, jak chcesz, żebym cię zerżnął, *tesoro*. Powiedz, jak blisko jesteś dojścia, nadziewając się na mojego kutasa.

– Tak blisko… tak kurewsko blisko. *Più duro, più veloce* – wyjęczała przez zaciśnięte zęby. – Mocniej, szybciej – ponaglała go.

– Mogę to dla ciebie zrobić.

Gio puścił jej talię, by chwycić wewnętrzną część jej uda, po czym uniósł jej nogę wystarczająco wysoko, żeby położyć jej kolano na szafce, dzięki czemu rozchyliła się dla niego szerzej. To sprawiło, że Gio mógł doskonale widzieć swojego nabrzmiałego do bólu członka, który raz po raz znikał w jej cipce. Nowy kąt dał mu możliwość zagłębiania się jeszcze bardziej, więc nadziewała się na niego raz za razem. Musiało jej się spodobać, bo gorące ścianki jej cipki ścieśniły się, a soki znowu zalały jego kutasa. Kim odrzuciła głowę do tyłu, jej oczy się rozszerzyły, gdy przytłumionym szeptem wypowiedziała jego imię.

Każdy centymetr jego ciała natychmiast poczuł jej szczytowanie, gdy zaczęła zaciskać się na jego kutasie. Ciśnienie, którego narastania w lędźwiach i jądrach nawet sobie nie uświadamiał,

wystrzeliło bez ostrzeżenia. Orgazm rozlał się błyskawicznie po jego zmysłach, oślepiając go różnokolorowymi iskierkami pod zamkniętymi powiekami. Przytrzymywał ją mocno blisko własnego podbrzusza, gdy pompował nasienie w jej cipkę.

Jakimś sposobem Gio zdołał się zgiąć i przyłożyć twarz w miejsce pomiędzy ramionami Kim, tym samym tłumiąc swój krzyk, a równocześnie ściągając jej nogę z szafki. Już i tak zbyt długo ich nie było na przyjęciu, toteż niechętnie zrezygnował z ekstatycznej przyjemności, jaką dawała jej cipka, i wysunął się z niej. Ręka Gio nadal trzymała Kim za kark, drżąc od intensywności doznań, jaka przechodziła jego ciało. Usilnie próbował złapać oddech, czując, jak jego lepkie nasienie spływa tam, gdzie on nadal ściskał wewnętrzną stronę uda Kim.

Po cichu Gio naciągnął sznurek z powrotem na tyłek Kim, całując dołek tuż nad nim, po czym opuścił jej sukienkę. Ona jednak się nie poruszyła, leżąc pochylona na blacie.

– Wszystko gra? – zapytał.

– Tak – odparła głosem słabszym, niż by chciał.

Kim pozbierała się wreszcie z szafki, ale jej wzrok błądził po podłodze. Gio nie do końca uświadamiał sobie, czego szuka, póki wreszcie tego nie znalazła i nie podniosła. To był pierścionek, który wcześniej z taką nienawiścią rzuciła. Teraz, bez jakiegokolwiek wahania, włożyła go z powrotem na palec. Paskudne poczucie wściekłości przebiegło przez jego krwiobieg, choć teraz wiedział, że nie ma ono nic wspólnego z wypitym wcześniej koniakiem, czy też tym, jak Franco traktował Kim. Był wściekły na siebie i… szlag, na nią.

– To wszystko? – zapytał Gio, nawet nie starając się ukryć gniewu w swoim głosie. – Dałaś mi się zerżnąć, po czym tak po prostu zakładasz na palec jego pierścionek?

Kim wyglądała na wyczerpaną.

– Gio… – Nie chciał nawet tego słuchać. Żadnych jej wymówek. Zwyczajnie nie miał zamiaru tego przyjmować do wiadomości. – To się nie może powtórzyć – powiedziała, przełykając z trudem ślinę, jednocześnie trąc palcami miejsce pod oczami. – Przepraszam.

– Nie, kurwa – warknął Gio. – To dla ciebie jakaś gra?

– Też powinnam cię o to zapytać. Bo to, jak się zachowujesz i jak działasz, pozwala myśleć, że jestem dla ciebie tylko cenną zdobyczą, nagrodą, którą zawsze jest solidne pieprzenie.

Miała zarumienioną twarz, zlaną potem i rozmytym makijażem, a mimo to była tak cholernie piękna. Tylko że on był też cholernie na nią wkurwiony. Wykorzystany – tak właśnie się czuł. Jakby Kim nim manipulowała.

– Czy ty w ogóle pamiętasz, kim byłaś, zanim on powiedział ci, jaka masz być?

– Pierdol się. To, że mnie wyruchałeś, wcale nie znaczy, że mnie znasz – wyrzuciła z siebie ze złością. – Niech ci się nie wydaje, że masz choćby blade pojęcie o tym, przez co przechodzę.

Ale chciał ją poznać. Chciał o niej wiedzieć… wszystko. Dlaczego tego nie dostrzegała? Najwyraźniej nie chciała. Chciała tylko jakiegoś znęcającego się nad nią fiuta, mającego problem z własnym ego, no i może bzykanka na boku z Gio raz czy drugi.

Gio znów zapłonął gniewem, natychmiastowym i pełnym okrucieństwa jak słowa, które zaraz potem wypowiedział.

– Nie śpij z nim dzisiaj w nocy, póki moja wilgoć między twoimi udami nie wyschnie, Kim. Franco może i jest fiutem, ale nie kompletnym, kurwa, idiotą.

Kim westchnęła, uniosła trzęsącą się rękę, by zakryć rozedrgane usta, a następnie plecami uderzyła o ścianę za nią. Bolesne słowa, które wyrzucił z siebie Gio, padły, zanim zdołał się powstrzymać, i pożałował ich już w momencie wypowiadania. To nie miało znaczenia. To, co zrobiła, było dla niego dostatecznie jasne. Między nimi wszystko skończone, a to, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, było dla niej jedynie sportem. Zwykłą, najzwyklejszą zemstą. Gio nie miał zamiaru robić za jej zabawkę, kiedy chciała dowalić Franco.

– Idź do diabła, Giovanni.

– Przyjrzyj mi się dobrze, *tesoro*. Już mnie wtrąciłaś do piekła, więc powoli się z nim zapoznaję.

Rozdział jedenasty

Gio zignorował narastające we wnętrznościach nudności, zapłacił taksówkarzowi, po czym wysiadł z auta. Miał nadzieję, że weźmie wynajęty samochód i wróci do hotelu się przespać. Nie dane mu było odpocząć po tym, jak zeszłej nocy opuścił dom rodziny Sorrento.

Paskudne uczucie, jakie się w nim przelewało, nie miało za wiele wspólnego z alkoholem, jaki w siebie wlał, za to więcej z obrzydzeniem, które odczuwał sam do siebie. Spochmurniał na widok znajomego, luksusowego SUV-a zaparkowanego kawałek od jego wynajętego samochodu. Zakładał, że po przyjęciu Franco i Kim pojadą do domu, ale najwyraźniej nie.

To jego pierdolone szczęście…

Nie chcąc się kręcić w okolicy na tyle długo, żeby ktoś go zauważył, Gio otworzył auto.

– Giovanni, tak właśnie myślałem, że to twój samochód.

Skrzywił się na dźwięk jowialnego głosu Maximo dochodzącego zza jego pleców. Obrócił się i obserwował, jak mężczyzna gładzi żonę po policzku, by następnie pozwolić jej wsiąść do ciemnego sedana. Maximo szybko pokonał krótki, dzielący ich odcinek podjazdu.

– Co teraz porabiasz, Skip? – zapytał.

– Idę spać – odparł Gio. – A w każdym razie taki był plan.

– Jadłeś coś?

Mógł skłamać, ale stwierdził, że ostatnio robi to zdecydowanie za często.

– Jeszcze nie.

Maximo skinął głową, po czym obrócił się, przywołując go ruchem dłoni.

– No to chodź. Kimberlynn gotowała. Uwielbiam moją żonę, ale w kuchni jest fatalna. To jedyna rzecz, za jaką tęsknię po mojej byłej.

Gio nie mógł odmówić, niezależnie od tego, czy chciał coś zjeść, czy nie. Gdy zapraszał don, odmowa byłaby niegrzeczna, szczególnie

jeśli chodziło o osobiste zaproszenie do jego własnego domu. Gio czasami naginał zasady, ale wiedział, że są granice, których lepiej nie przekraczać.

Antony nie byłby zadowolony, dowiedziawszy się, że Gio unikał innego szefa.

– Co ugotowała? – spytał, wlokąc się powoli za Maximo.

Nie wiedział, jakie inne pytanie mógłby zadać.

– *Dolce Cristo*… wszystko.

***

Maximo nie kłamał. Ustawiony w kuchni bufet wystarczyłby do wykarmienia co najmniej dziesięciorga ludzi. Po domu błąkało się kilka osób. Jedzenie na pewno się nie zmarnuje. Gio zauważył, że część z nich to przydupasy Franco i kilku *capo* Maximo.

Kim ledwo zdołała powstrzymać wyraz szoku i irytacji na widok Gio. Gdy wszedł, uprzejmie powiedziała „cześć", ale do tego ograniczyła swoje interakcje.

Dwóch facetów, których Gio znał jedynie jako Bena i Lucasa, przyjaciół Franco i nieustępliwych strażników Kim, siedziało na krzesłach, zachowując się głośno i ogólnie nieprzyjemnie. Raczej nie byli wiele starsi od Gio, ale można by odnieść wrażenie, że to dwójka gimnazjalistów obrzucających się okruszkami chleba ponad stołem.

– *Cazzo* – warknął Maximo, sprawiając, że obaj mężczyźni podskoczyli. Gio, jakby nigdy nic, nachylił się, by wziąć gofra z półmiska. – Skończcie z tym gównem, bo zaraz wywalę wasze żałosne dupy z mojego domu. Pierdolona banda *stolti*.

Maximo posłał ponad ramieniem złowrogie spojrzenie swojemu synowi, który zdawał się kompletnie nieskrępowany chamskim zachowaniem swoich ludzi. Zbyt cicho, żeby kretyni przy stole mogli go usłyszeć, zapytał:

– Giovanni, czy zostałeś już w sposób właściwy przedstawiony Benowi i Lucasowi?

Gio zauważył precyzyjny dobór słów.

– Nie.

– Ci *cafones* to przyjaciele Franco. Już wiedzą, kim jesteś ty.

Gio posłał im w odpowiedzi pojedyncze skinienie głowy. Żaden nie przeszedł inicjacji i zważywszy, jak ich postrzegał Maximo, zdawało się, że tak jeszcze przez pewien czas pozostanie.

– Zjedz coś smacznego, zanim zaczniesz dzień, Skip – powiedział Maximo. – Ja muszę wykonać kilka telefonów, ale niedługo wrócę.

Nie minęło nawet pięć sekund od chwili, gdy Maximo wyszedł z kuchni, nim Franco obrócił się na stołku. Gio wiedział, co się szykuje. Franco był przewidywalny. I to wręcz obrzydliwie.

– Twój ojciec wchodzi w te samochody czy nie? – wypalił z pytaniem. – Zaczyna mnie już irytować to twoje nieustanne plątanie się przy moich ludziach. Myślałem, że masz w domu swoich do ogarnięcia. Niewątpliwie twoi bracia znowu mają na głowie twój bajzel. Są głupi, że dali się w to wpakować.

Gio nie miał ochoty wdawać się w gierki Franco i przerzucać się uszczypliwymi uwagami.

– Po pierwsze, nikt się nie zajmuje moim bajzlem, z wyjątkiem mnie. Po drugie, chyba wyraziłem się jasno, co się stanie, jeśli jeszcze raz obrazisz któregoś z członków mojej rodziny.

Dla jasności Gio wyciągnął zza spodni pistolet, który kupił u dilera kilka dni wcześniej, a następnie położył go na blacie, tak by wszyscy w kuchni mogli go zobaczyć. Dał Franco czas, żeby poukładał to sobie w głowie. Tymczasem chwycił nóż, zanurzył go w maśle i posmarował nim gofra. Najprostszym sposobem, żeby wkurzyć Franco, było zachowywanie się tak, jakby nic nie znaczył.

– Po trzecie wreszcie – kontynuował Gio, oblizując masło z małego palca – nie rozmawiam o interesach, gdy kobieta znajduje się w pobliżu.

– Kimberlynn nie jest idiotką, Gio. Wie, co się dzieje dookoła niej, a jeśli nie, to nawet lepiej, że dowie się tego wcześniej niż później.

Kim nic nie powiedziała, dłubiąc w jajkach na swoim talerzu. Gio nie pojmował, jak może być obojętna, gdy Franco tak o niej mówi, już nawet nie wspominając, że zachowywał się przy tym, jakby jej tam w ogóle nie było.

– Nie mówię, że twoja narzeczona jest idiotką. Kim może się włączyć do dowolnej rozmowy i obaj o tym wiemy. Ty może masz to w dupie, ale moim zdaniem to cholerny brak szacunku wyłączyć

kogoś z rozmowy, kiedy obaj możemy tego uniknąć. Fakt jednak pozostaje faktem. Nie rozmawiam o interesach przy kobietach.

Franco zmrużył oczy.

– Masz świadomość, do kogo należy ten dom, prawda?

– Jestem tu na zaproszenie twojego ojca i nie po to, żeby rozmawiać o twoich planach. Poza tym nie mam wątpliwości, że Maximo się ze mną zgodzi.

– Ja nie…

– Co ty nie, Franco? Jeśli nasza rozmowa nie będzie dotyczyć czegoś, co bezpośrednio wiąże się z Kim, nie ma potrzeby, byśmy prowadzili ją, gdy ona tu jest. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Franco fuknął jak wkurzony byk. Kretyn lubił wygadywać te swoje brednie, ale nie przepadał, gdy ktoś mu odpłacał pięknym za nadobne.

Gio obrócił się w swoim krześle, kończąc rozmowę. Ugryzł kęs gofra, delektując się rozchodzącym się po ustach smakiem cynamonu. Jedzenie było świetne. Nawet jeśli był zły na Kim, powinna wiedzieć, że docenia przygotowany przez nią posiłek, więc dodał:

– Wybacz, Kim. Jedzenie jest przepyszne.

– Dziękuję – odparła cicho.

Ewidentnie Franco źle się czuł osadzony na swoim miejscu.

– Ucieszę się, kiedy w końcu pojedziesz do swojego cholernego miasta, Gio.

– Tu akurat mamy podobne odczucia – wymamrotał Gio z kolejnym kęsem gofra w ustach.

***

Drzwi łączące dom z garażem się otworzyły i bezszelestnie wślizgnęła się przez nie Kim, by zaraz potem równie cicho je zamknąć.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Kim. Gio uniósł zapalonego papierosa. – Nie, mam na myśli, co robisz tutaj.

– Odbieram samochód – powiedział Gio, unosząc brew. – Zeszłej nocy za dużo wypiłem. Nie wiedziałem, że tu będziesz.

– Nie miałam dzisiaj zajęć, więc Franco chciał, żebym została.

– Nie obchodzi mnie to.

Wzdrygnęła się na taką odpowiedź.

– Co do wczorajszej nocy…

– Nie trudź się – wymamrotał Gio, wydmuchując w powietrze wielką chmurę dymu. – Z tym koniec. Tego właśnie chciałaś. To już przeszłość.

Kurwa. Chciałby co do tego przekonać również swoje serce i umysł.

– Nigdy nie mówiłam…

– Nie musiałaś, Kim. Nie mogłaś nawet zaczekać, aż zniknę ci z oczu, zanim założyłaś ten jego pierdolony pierścionek z powrotem na palec.

– Przestań mi przerywać, Giovanni. Byłeś całkiem skory wypominać komu innemu, że jest dla mnie niemiły albo mnie obraża, więc zechciej zerknąć do swojej własnej księgi zasad.

Gio odchrząknął, wiedząc, że ma rację.

– Przepraszam.

– Dziękuję. Dlaczego wciąż tu jesteś?

– Powiedziałem ci. Samochód.

– Chodzi mi o Vegas.

– Interesy. Czy ci się to podoba, czy nie, *tesoro*, to jest prawdziwy powód.

I ty, dodał jego mózg. Niezależnie, co chciał o tym myśleć, nadal był tutaj również z jej powodu. Zaprzeczanie temu było bezcelowe.

– Jednak nie musisz tu być. Franco nie chciał się zamknąć, kiedy wyszedłeś z kuchni, więc dowiedziałam się trochę. Nie interesują cię żadne biznesy, które tu kręcą, więc po co tak naprawdę nadal tu jesteś?

– Interesy – powtórzył Gio.

Mięśnie szczęki Kim się napięły.

– A nie mógłbyś w trakcie ich robienia trzymać się ode mnie z daleka? Musisz mieć niezły ubaw, patrząc, jak stąpam po cienkim lodzie.

Właściwie nie. Przyglądanie się temu wysysało z jego duszy całą energię życiową.

– Tak właśnie myślisz? Że lubię patrzeć, jak ten lachociąg paraduje z tobą, jakbyś była dla niego bardziej trofeum niż żoną? – zapytał ostro Gio. – Jak bierze cię z półki, gdy cię potrzebuje i odkłada z powrotem, żebyś zbierała kurz, jak tylko zaczynasz się przebudzać?

– A dlaczego nie? Miałeś już ze mną do czynienia.

– I wróciłem po więcej!

Kim gwałtownie się cofnęła.

– Co powiedziałeś?

– Wróciłem po więcej – powiedział Gio, a w jego słowa wpleciony był ból. – Kiedy już się dowiedziałem, kim jesteś i co przede mną ukryłaś, nadal chciałem od ciebie więcej. Chciałem cię poznać.

– Mniejsza o to, Gio.

– Nie kłamię. To nie jest dla mnie gra, Kim. Teraz już nie tylko ty chodzisz po cienkim lodzie wokół tego przeklętego człowieka. Będąc z tobą po tym, jak dowiedziałem się, kim jesteś i że Franco jest twoim narzeczonym, przejebałem sobie po całości. – Gio wydał z siebie coś pomiędzy warkotem a gorzkim śmiechem, po czym rzucił peta do puszki. – Gdzie się podziała ta dziewczyna, którą poznałem w Nowym Jorku? Szybka i pewna siebie, która ograła wszystkich, równocześnie podtrzymując inteligentną rozmowę. Nie bała się zaprosić mnie do swojego hotelu. Która sprawiła, że przez całe dnie chodziłem nabuzowany, starając się znów złapać to szalone uniesienie, jakiego nigdy wcześniej nie czułem.

– Tutaj nie mogę być tą dziewczyną, Giovanni.

– Czyli co? Wolisz być jakąś bezmózgą, śliczną twarzyczką uwieszoną u ramienia Franco?

– Nie mam wyboru!

No i znowu użyła tego słowa.

– Dlaczego nie, do kurwy nędzy? Jesteś dorosłą kobietą. Twój ojciec nie jest nawet w połowie na tyle ważnym człowiekiem, żeby aranżować małżeństwo pomiędzy tobą i Franco bez twojej zgody.

– To nie takie proste. Wiesz w ogóle, dlaczego za niego wychodzę? – zapytała cicho Kim.

– Jasne, że nie. W życiu nie usiadłbym w jednym pokoju z twoim ojcem. Max z kolei nie mówi o sprawach osobistych.

– Ty naprawdę nic nie wiesz.

Gio wzruszył ramionami.

– Nie. Z początku myślałem, że zbyt szybko zakochałaś się we Franco, zanim miałaś okazję poznać, jaki on jest, a potem nie mogłaś się z tego wyplątać. Nie byłabyś pierwszą osobą, która wpadła w jego sidła.

– A potem? – zapytała Kim.

– Kiedy mi powiedzieli, że to zostało zaaranżowane, nie było zbyt wiele do myślenia. Takie rzeczy to interesy. Jeśli nikt nie powie mi tego sam z siebie i nie ma to nic wspólnego z moją rodziną, to ja nie mam prawa zapytać. Podejrzewałem, że dali ci wybór…

– Wybór? Nie miałam żadnego wyboru!

Gio zerknął ostrożnie na zamknięte drzwi.

– Ciszej, Kim. Dzisiaj nie jest dzień, w którym mam ochotę zakończyć życie.

Kim przetarła tenisówką cementową podłogę.

– To by się z tobą stało za to, co ze mną zrobiłeś?

– W mgnieniu oka.

– Nie ma znaczenia, że jesteś… kim jesteś?

– Kim? Księciem mafii? Franco również. Fakt, że mam na nazwisko Marcello, nie oznacza, że mogę liczyć na inne traktowanie niż ktokolwiek inny. Muszę się trzymać tych samych zasad co oni. Jestem synem dona z Cosa Nostry, ale to mnie nie czyni, kurwa, kuloodpornym.

– A co ze mną? – zapytała Kim, napotykając jego wzrok.

– Najprawdopodobniej pozostawiono by to decyzji Franco, ale doświadczenie z przeszłości mówi, że twoje szanse nie byłyby jakoś zajebiście duże. Nie ma sensu mówić, że to straszne gówno, *tesoro*.

– Nienawidzę tego człowieka – wyszeptała zbolałym głosem Kim. – Nigdy nie chciałam za niego wyjść.

Gio westchnął znużony.

– Już to zauważyłem, zważywszy, że za każdym razem, gdy przechodzi koło ciebie albo próbuje cię dotknąć, ty zamierasz jak bryła lodu. No ale wracając do sedna, dalej nie mam pojęcia, dlaczego nie możesz odmówić, więc to mnie prowadzi donikąd.

– Nie robi tego.

– Co proszę?

– Nie dotyka mnie – wyjaśniła Kim. – W ogóle.

Kiedy to wyznała, Gio przekrzywił głowę na bok. Poczuł dziwną satysfakcję, uświadamiając sobie, że, jak by to ująć, nie dzielił się Kim. Szybko jednak otrząsnął się z tych myśli.

– Bo on nie chce czy dlatego, że mu na to nie pozwalasz?

– Głównie z mojego powodu – odparła Kim. – Nadal nie jestem jego żoną, więc jeszcze nie przywykł do traktowania mnie jak osobistej zabawki. Franco ma więcej niż dość *goomah* w całym Vegas, żeby miał się kim zająć. Na razie nie widzi problemu w tym, żeby zostawić mnie w spokoju.

– Na razie, czyli do ślubu.

Kim zacisnęła zęby.

– Tak.

– A co się stanie potem?

– Będę mieć nadzieję, że spuści z kręgosłupa gdzie indziej, zanim wróci do domu.

– To ohydne, Kim. Tym właśnie chcesz być? Jego pierdolonym otworem, który będzie szpachlował za każdym razem, kiedy poczuje taką potrzebę?

Przełknęła głośno ślinę.

– Nie.

– Mimo wszystko oto tu jesteś, z jego pierścionkiem na ręce.

– Bo miałam do wyboru to – odparła, unosząc palec z klejnotem – albo ponieść konsekwencje, jakie uzna za stosowne, by mnie ukarać za ukradzenie kilkuset tysięcy w lokalu należącym do jego rodziny. – Gio już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie tego nie zrobił. – Miesiąc przed tym, jak poleciałam do Nowego Jorku na ślub twojego brata, skończyłam dwadzieścia jeden lat. Moi przyjaciele stwierdzili, że fajnie będzie skoczyć do kasyna. Pomyślałam, że dam popis i pokażę im, jak ogrywam kilka stolików z gotówki, licząc karty i oceniając prawdopodobieństwo. Tym sposobem wylądowałam na tyłach, w biurze z Franco. Wiedział, kim jestem, i nie musiał o to pytać.

– To właśnie tam Franco przedstawił ci tę opcję? – zapytał Gio.

– Nie. Propozycję małżeństwa złożył mi przy stole tydzień później. Wtedy o wszystkim dowiedział się ojciec. To by dla mojej rodziny

była okropna hańba. Z powodu tego, jak zjebałam sprawę, czekały ich okropne konsekwencje. No ale istniało pewne rozwiązanie, żeby to naprawić – prychnęła Kim, kręcąc głową. – Byłam dla niego wyłącznie najłatwiejszym sposobem na to, żeby pozbyć się nacisków ze strony jego ojca. Jestem Włoszką i to niebrzydką. Katoliczką, z rodziny działającej w branży, odpowiednio wychowaną. Mam wymieniać dalej? Znał cały mój życiorys i wiedział o mnie wszystko. Franco doskonale zdawał sobie sprawę, kim jestem już w chwili, kiedy weszłam do kasyna, i chciał mnie. – Gio wciąż próbował ogarnąć umysłem to, że Kim ukradła mnóstwo pieniędzy z kasyna należącego do Cosa Nostry i uszła z tego z życiem. Najwyraźniej jego pełne niedowierzania milczenie nie było tym, czego oczekiwała. – Teraz przypuszczam, że ma to dla ciebie o wiele więcej sensu, Giovanni. Najlepszą rzeczą, jaką możesz teraz zrobić, jest odejść ode mnie tak szybko, jak tylko zdołasz, i uniknąć tej kulki. Jestem nie tylko dziwką, ale i złodziejem. Takie głupiutkie dziewczyny jak ja zasługują na wszystko, co je spotyka.

Gio chciał zaprzeczyć.

– Ja…

– Nie trudź się. Jesteś taki sam jak mój ojciec i Franco. Macie tylko inne nazwiska.

To powiedziawszy, Kim odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Gio odepchnął się od ściany i dwoma długimi krokami pokonał dzielący ich dystans. Pisnęła zaskoczona, gdy złapał ją za nadgarstek i obrócił tak, że znów stała do niego przodem. W jednym momencie przyszpilił ją do ściany garażu. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Pod żadnym względem nie jestem taki jak oni – warknął.

– Doprawdy?

Gio zazgrzytał zębami. Znajdował się zbyt blisko jej ciała, ale nie mógł się odsunąć. Zbliżył się jeszcze bardziej. Jego noga wsunęła się między jej, poszerzając rozkrok, tak by stała w miejscu. Boże, potrafiła go wkurwić równie szybko, jak rozbudzić. Każda z tych dwóch rzeczy sprawiała, że czuł oszołomienie w głowie i w sercu, co zarówno go przerażało, jak i pociągało.

– Rozumiem, Kim. Zadaję się ze złymi facetami. Kurwa, sam jestem złym facetem. Jestem częścią świata, który odstawia z tobą ten syf. Widziałaś, jak okazuję Maksowi szacunek, ale robię to, bo sobie na niego zasłużył, żyjąc zgodnie z regułami Cosa Nostry. To nie musi oznaczać, że się z nim zgadzam, a już na pewno nie sugeruje, że jakąkolwiek część tego szacunku czuję względem jego pierdolonego syna. – Z jej rzęs skapnęły łzy. Gio otarł je kciukiem. – Nie płacz, *tesoro*. To mnie tak boli tam w środku, że nie masz nawet pojęcia. Piękno nie powinno płakać.

– Przestań pieprzyć takie głupoty – powiedziała, pociągając nosem i odwracając się od jego kciuka. – *Dio*, Giovanni, przestań mnie dotykać.

Gio nienawidził swoich emocji, bo zdradziły, jaki smutek poczuł z powodu jej odrzucenia. Coś jednak w środku sprawiało, że nie był w stanie pozwolić jej odejść.

– Powiedz, że kradzież była błędem – wyszeptał Gio.

– Była. Dla Franco moje przeprosiny nic nie znaczyły. Czy to robi jakąś różnicę?

Gio przyglądał jej się uważnie, starając się dostrzec jakąkolwiek oznakę kłamstwa. Nie doszukał się żadnej.

– Dla mnie robi – powiedział wreszcie. – Można było zrobić milion innych rzeczy, które by to rozwiązały, szczególnie ze strony twojej rodziny. Przykro mi, że Franco podjął taką a nie inną decyzję i że jego ojciec mu na to pozwolił. – Może Gio nie był wystarczająco staroświecki, by zrozumieć stojącą za tym koncepcję, ale aranżowanie małżeństwa, żeby kogoś ukarać, uważał za złe. – Ani razu też nie powiedziałem, że jesteś dziwką z powodu tego, co zaszło pomiędzy nami, Kim. Nigdy bym tego nie zrobił. Nie względem ciebie.

– Powiedz mi, dlaczego nadal jesteś w Vegas? – zapytała ponownie Kim. – Powiedz mi prawdę.

– Ze względu na ciebie – powiedział Gio, nadal intensywnie ją obserwując. – Możesz mnie za to nienawidzić, możesz zignorować, jeśli tak musisz postąpić, ale nie mogę cię tu zostawić samej, żebyś została mu przekazana jak jakieś trofeum. Jesteś warta czegoś więcej niż jego nazwisko, *tesoro*.

– Stale mnie tak nazywasz, a ja chcę, żebyś przestał.

Z ust Gio wydobył się mroczny śmiech.

– Nie ma na to szans. Myślę, że do ciebie pasuje. Rzadki skarb, który chciałbym zatrzymać.

– Cóż, to nie pomaga, niezależnie od tego, jakie szaleństwo dzieje się w mojej głowie!

– Ty robisz z moją to samo, Kim. Wywołujesz euforię. Sprawiasz, że staję się głupi. Nierozważny. Że jestem na granicy szaleństwa.

– Ty jesteś na granicy szaleństwa? To przyjrzyj się mnie, Gio! Za niecałe dwa miesiące mam wyjść za mąż, a jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, jesteś ty.

– Kim…

– Nie – wydyszała, w końcu odpychając go od siebie na tyle, żeby móc się ruszyć. – Musimy to uciąć. Nowy Jork to jedno, ale to jest błąd. I to fatalny. Nie mam ochoty jeszcze za niego płacić, gdy już dość zapłaciłam.

Gio rozumiał, w jakim kierunku Kim zmierza, ale nie mogli tego tak zakończyć. Zwłaszcza teraz, gdy wiedział, co zrobiła.

– Nie mogę tego zrobić.

Kim nawet nie zdążyła się całkiem od niego odwrócić, kiedy Gio ponownie przyparł ją do ściany. Słowa, które chciał wypowiedzieć, nie chciały się ukształtować, więc zamiast tego ją pocałował. Bardzo gwałtownie okrył usta Kim swoimi, chcąc, by poczuła całą chaotyczną mieszankę emocji, jakie w nim wywoływała. Jak bardzo zraniony i zły się czuł z powodu tego, co robiła oraz obaw i pożądania, które nieustannie toczyły walkę w jego wnętrzu – szalonej chęci, by być bliżej niej, a równocześnie świadomości, że powinien się trzymać z dala.

Pierdolić zasady. Wcześniej nigdy nie zważał na nie, kiedy czegoś chciał. A Gio chciał Kim. I tylko to miało znaczenie.

Kim odpowiedziała na pocałunek. Jej wargi się rozchyliły, otwierając gorące, słodkie wejście do ust. Czuł smak kawy na jej języku. Uwielbiał, kiedy jej paznokcie wbijały się w jego koszulę, przytrzymując go w miejscu. Zęby zahaczyły o jej szczękę. Jedna z jego dłoni wsunęła się w jej włosy, a palce wplątały się w jedwabiste loki, zaś druga uniosła jej prawą nogę, by objęła jego

biodro. Niebieskie tęczówki jej oczu pociemniały w słabo oświetlonym garażu. Dłonie Kim zaczęły wędrówkę pod jego koszulką, a paznokcie wpiły się w brzuch.

Przebłysk z poprzedniej nocy zjawił się nagle w jego pamięci. Wszystko było aż nadto podobne. Podejmowali głupie ryzyko w bardzo nieodpowiednim miejscu. Gio cały czuł się rozpalony i oszołomiony. Uczucie spłynęło na niego błyskawicznie i jedyną potrzebą, jaką odczuwał w tej chwili, było dotykanie tej kobiety.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział, powtarzając poprzednie słowa, tylko mocniej. – Nie chcę cię zostawić samej. Już, kurwa, próbowałem.

– Proszę, nie utrudniaj mi tego.

– Nie. Chcę ciebie. – Gio trącił jej policzek nosem. – Zaprzecz, że ty też mnie pragniesz. Daj mi powód, żebym odszedł, jeśli naprawdę tego chcesz.

– Ja… – Kim gwałtownie zamknęła usta.

– Nie potrafisz tego powiedzieć – szepnął Gio.

Kim zapłakała cicho.

– Nie, ale to nie robi różnicy, i doskonale o tym wiesz.

Tylko powoduje ból.

Gio ucałował ją delikatnie w skroń, czując, jak w odpowiedzi zadrżała.

– Dla mnie owszem, *tesoro*.

Gdy jego oddech i ciało wreszcie się uspokoiły, Gio pozwolił jej nodze opaść z powrotem na podłogę. Obiema dłońmi ujął jej głowę, a następnie obrócił ją z powrotem ku sobie, tak by spojrzała mu w twarz. Jej oczy nadal były wypełnione łzami. Kim trzymała go za nadgarstki, gdy ją czule całował.

– Daj mi jeden dzień – powiedział Gio, niechętnie się odsuwając.

Kim zamrugała i nie rozumiejąc, ściągnęła brwi.

– Na co?

– Nas.

– Nie ma nas, Gio.

– Ale moglibyśmy być. Chciałbym wiedzieć, czy jest taka możliwość. Tylko jeden dzień. To wszystko, o co proszę.

– A potem co? – zapytała Kim.

Gio nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że musi się przekonać.

– Powiedz mi, że nie chcesz się dowiedzieć, co to jest, a wyjadę jutro.

Emocje Kim kolejno przemknęły przez jej twarz.

– Gio…

– Tylko mi powiedz.

Drzwi prowadzące do domu otworzyły się, a Gio nie miał szansy odsunąć się od niej dostatecznie szybko, żeby ich sytuacja wyglądała niewinnie. Zresztą i tak nie miałoby to większego znaczenia. Doskonale wiedział, jak Kim teraz wygląda – jakby dotykał ją we wszystkie możliwe miejsca.

Kurwa!

– Kimberlynn, gdzie ty się podziewasz, do cholery? Franco cię szuka…

Słowa uwięzły Benowi w gardle dokładnie w momencie, kiedy drzwi się za nim zamknęły. Gio poczuł, jak palce Kim wpijają się w jego koszulkę. Jeśli to w ogóle możliwe, Gio przysiągłby, że usłyszał, jak serce podskakuje jej do gardła, a jemu żołądek wywraca się na drugą stronę.

Kurwa! Kurwa! Kurwa!

– Co, do chuja? – syknął Ben.

Gio obrócił się i spojrzał na mężczyznę, czując się, jakby przyglądał się sobie z góry, w dodatku kompletnie nie w tej chwili. Przez jego umysł w ułamku sekundy przemknęły tysiące myśli, ale zatrzymała się w nim tylko jedna.

Ben nie przeszedł inicjacji.

Trzeba było wiedzieć pewne rzeczy o świecie Cosa Nostry. Przynależność do mafii albo jej brak mogły uratować życie dobrego człowieka albo odebrać je głupiemu. Jeśli coś miało się przytrafić temu facetowi, Gio nie potrzebował niczyjego pozwolenia. Wystarczyła mu dobra wymówka.

Gio skupił się na palcu wycelowanym w jego twarz. Wyglądał jak naładowany pistolet gotów wystrzelić. Przez chwilę myślał o ludziach w tym domu. Wszyscy byli mężczyznami, w taki czy inny sposób powiązanymi z Maximo. Gówno wylało się z szamba i czas na rozmowy się skończył.

– Już jesteś trupem – wyrzucił z siebie Ben. – Mam nadzieję, że smakowała ci ta dziwka, skurwielu.

Jeśli Gio potrzebował jakiegoś jeszcze powodu, by zrobić to, co miał zamiar, nazwanie Kim przez Bena dziwką mu go dostarczyło. Gniew rozlał się po jego krwiobiegu jak trucizna, wybudzając jego ciało z uprzedniego, wynikłego z szoku, otępienia. Nie chciał natomiast, żeby Kim na to patrzyła.

Jednak jaki miał wybór? Żadnego.

Pięść Gio uderzyła od boku z brutalną siłą, a równocześnie on sam rzucił się całym ciężarem ciała w kierunku Bena. Kim go nie puściła, więc poleciała do przodu razem z nim. Chłopak nie miał czasu, żeby się odsunąć, zanim pięść Gio zderzyła się z jego twarzą, wywołując paskudne chrupnięcie. Gio stracił równowagę przez padającą na jego bok Kim i wpadł na Bena, obalając go na cementową podłogę.

Kim, gramoląc się, odsunęła się od walki. W uszach Gio wibrował jej przerażony krzyk, on jednak skupiał się na zakrwawionej twarzy wypełniającej całe jego pole widzenia. Na jego żebrach wylądował but, sprawiając, że na moment zabrakło mu tchu, ale samego bólu prawie nie zanotował, pobudzony strachem i gniewem.

Nie miał czasu na zabawę. W domu znajdowało się zbyt wielu ludzi, a krzyki tego idioty prawdopodobnie już przyciągnęły ich uwagę. Jeśli Gio czuł się w czymś naprawdę dobry, to było to kopanie komuś tyłka.

Ben chciał mu oddać. To było bezcelowe. Gio już na nim siedział i dwa razy palnął go pięściami raz za razem, sprawiając, że tył czaszki Bena stuknął o beton. Korzystając z całej swojej masy, żeby przyszpilić tamtego kolanami, Gio wreszcie zdołał zaczerpnąć powietrza do płuc.

– Nie jestem trupem – powiedział, łapiąc tamtego za koszulę i podnosząc oszołomionego mężczyznę z podłogi – ale że ty jesteś trupem, możesz być pewny jak skurwysyn.

Sięgnął po to, co miał z tyłu, bo wiedział, że tu nie ma półśrodków. Albo Ben, albo on. Albo Ben, albo Kim. Wyciągając pistolet zza paska i go odbezpieczając, Gio wiedział, że będzie potem musiał sobie poukładać temat w głowie. To jednak było tego warte.

Ben czy Kim? Szlag. Wybór był łatwy.

Gio nawet nie mrugnął, gdy przycisnął lufę do czoła tamtego. Źrenice Bena rozszerzyły się ze strachu. Spust ustąpił pod naciskiem palca łatwo i szybko. Odrzutu niemal nie poczuł. Za bardzo był zajęty przyglądaniem się, jak kula wchodzi między oczy jego przeciwnika, a dookoła po podłodze i na ścianie rozchlapują się krew i tkanki. Gio nie czuł nic poza odrętwieniem opanowującym jego zmysły. Jakimś sposobem rozluźnił pięść na tyle, by puścić przesiąkniętą krwią koszulę Bena, którego ciało opadło na ziemię z głuchym łomotem. W całym domu rozległy się odgłosy pół tuzina biegnących osób, które tchnęły w Gio nieco życia.

No, w każdym razie na tyle, żeby wstał.

Ocierając usta ręką, by pozbyć się smaku cudzej krwi, Gio obrócił się do Kim, która siedziała pod ścianą. Ręce miała przy ustach, a zęby wbite w kłykcie. Nie zamknęła oczu.

– Przepraszam – wyszeptał Gio.

Kim panicznie potrząsnęła głową, ale nie powiedziała nic.

Im bardziej zbliżały się kroki, tym mocniej spięty stawał się Gio.

– Graj rozhisteryzowaną.

Kim roześmiała się, choć bardziej przypominało to czkawkę.

– Grać?

Kiedy wbiła w niego oczy, na jej twarzy wyraźnie odmalowywał się strach. Gio nie mógł się pozbyć myśli, czy to, co właśnie zobaczyła, nie stanowiło czasem jedynej rzeczy, jakiej nie będzie w stanie w nim zaakceptować. Jeśli tak było w istocie, pozwoliłby jej żyć takim życiem, jakim będzie chciała, a w żadnym wypadku nie chciał pozwolić, by z powodu jego wyborów stała jej się krzywda.

– T-ty… ty… – próbowała wyjąkać Kim, nadal patrząc na Gio.

– Dam sobie radę – odparł, wkładając broń z powrotem na jej miejsce. – W porządku.

– Nie, nie jest w porządku. On… nie żyje!

– Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć, ale jeśli nie chcesz, żeby reszta ludzi w tym domu dowiedziała się, dlaczego to zrobiłem, musisz o tym na razie zapomnieć i się, kurwa, trzymać. Okej?

– Okej – skinęła głową.

– Dobrze.

Drzwi do garażu otworzyły się i czterech mężczyzn omal nie wpadło na ciało leżące nieco ponad metr od wejścia, gdy tymczasem reszta została w korytarzu.

Wzrok wszystkich powędrował z martwego mężczyzny na podłodze najpierw na stojącego Gio, a potem na opartą o ścianę Kim.

Franco odezwał się jako pierwszy, rzucając się z pięściami na Gio.

– Ty jebany skurwysynu!

Gio ledwo zdołał zejść Franco z drogi.

– Czekaj, do kurwy nędzy…

– Stul mordę, Marcello – warknął tamten, po czym odwrócił się, by huknąć na jednego ze stojących w wejściu mężczyzn. – Zabierzcie ją stąd w cholerę!

Gio nie był w stanie myśleć dostatecznie szybko, by wymyślić coś, dzięki czemu uspokoiłby Franco.

– Posłuchaj mnie.

Kolejna pięść poleciała w kierunku Gio, ale łatwo uniknął ciosu. Franco wreszcie przyparł go do boku czyjegoś auta. Tak jak wcześniej Benowi, teraz Gio przyszło spojrzeć w lufę pistoletu.

– Nie rób mu krzywdy – krzyknęła Kim.

Franco zazgrzytał zębami, nie spuszczając z niego oczu nawet na chwilę.

– Powiedziałem, zabierzcie ją stąd.

– Siedział na niej. Co innego, do chuja, miałem zrobić? – zapytał cicho Gio, gdy jego głos i myśli spotkały się wreszcie, dokładnie w momencie, kiedy przyszedł czas, by wytłumaczyć się z sytuacji. – Dać mu ją zgwałcić? Spójrz na nią, chłopie. No, kurwa, spójrz!

Franco pchnął Gio na samochód, nie spuszczając z niego lufy pistoletu.

– Kłamiesz.

– Doprawdy?

– Nie dotykaj mnie, Lucas – wrzasnęła Kim z drugiej strony garażu. – On to zrobił dla mnie, Franco. Dla mnie.

Coś w słowach Kim odbiło się echem w Gio. W jej głosie nadal pobrzmiewał szok i strach, ale świtało w nim także zrozumienie.

Dla niej.

– Synu – powiedział Maximo niemal ostrzegawczo. – Myślę, że możesz zechcieć wysłuchać, co ma do powiedzenia twoja narzeczona.

Gio nie oddychał, gdy Franco na chwilę poluzował chwyt. Skorzystał jednak z okazji, by znów coś powiedzieć, choć pistolet nadal w niego celował.

– Paliłem na zewnątrz i usłyszałem jej krzyk. Wszedłem przez drzwi zewnętrzne i zobaczyłem, jak on na niej siedzi. Nie wyglądała, jakby jej się podobało to gówno, dobra? Zrobiłem, co musiałem.

Franco zmrużył oczy, po czym obrócił się, by zerknąć na Kim.

Gio doskonale wiedział, co tamten teraz widzi. Potarganą Kim, z włosami rozczochranymi przez dłonie Gio, pomiętą bluzkę oraz makijaż kompletnie zniszczony przez jego usta i jej łzy. W znacznej mierze wpasowywało się to w jego wersję wydarzeń, choć równie dobrze odzwierciedlało tę prawdziwą.

– Kimberlynn? – zapytał Maximo.

Kim pociągnęła nosem.

– Max, proszę, nie pozwól mu skrzywdzić Gio. On zrobił to dla mnie.

– Ben by nie…

– Zrobił to! – wtrąciła się desperacko Kim, przerywając zaprzeczenie narzeczonego. – Po co miałabym kłamać w takiej sprawie, Franco?

– Nie wiem – wymruczał, opuszczając rękę trzymającą pistolet przed twarzą Gio. Franco nadal bacznie mu się przyglądał, kiedy on poprawiał koszulę i oddalał się od samochodu. Uniósł brwi, a następnie odwrócił się do Kim. – Przypuszczam, że byś tego nie zrobiła.

– Nie – odparła miękko.

– Widzę, że dobrze zrobiłem, zwlekając z inicjacją tego człowieka – westchnął Maximo, po czym wszedł o krok dalej do środka. – Narobiłeś mi w garażu niezłego bałaganu, Skip. Trzeba tu posprzątać, zanim moja żona wróci z zajęć jogi.

– Najmocniej przepraszam – odparł Gio.

– Zechciej wyrazić swoją wdzięczność Giovanniemu za to, że pomógł w potrzebie twojej narzeczonej, Franco – poprosił Maximo.

Gio nie musiał czytać w myślach, by dostrzec, jak bardzo poirytowany jest Franco, gdy krzywiąc usta, warknął:

– Dziękuję, Gio.

– Żaden problem.

Na moment Gio pochwycił wzrok Kim znad ramienia Franco, gdy tamten prowadził ją do domu. Pozostali byli zbyt skupieni na ciele i rozmowie na temat tego, jak pozbyć się problemu, by zauważyć, że patrzy na Gio.

– Dam ci jeden dzień – powiedziała bezgłośnie.

W tym momencie serce Gio znów zaczęło bić.

Rozdział dwunasty

Kim ze spuszczoną głową przeciskała się przez tłum studentów, którzy tłoczyli się na korytarzu wschodniego skrzydła. Wymknęła się ze swoich pierwszych zajęć pół godziny przed końcem, nie będąc w stanie skupić się na tym, co mówi prowadzący.

Ten dzień był taki sam, jak każdy inny w ostatnim tygodniu. Kim nie powinna być zaskoczona, że trudno jej przychodziło przetrwać dobę. Zmęczenie, jakie powodowało bezsenność, i nieustannie narzucające się myśli, zakłócały jej tryb życia. Dręczyły ją wspomnienia.

Krew na podłodze. Smród prochu palił jej płuca. Palec mężczyzny, który tak pięknie jej dotykał, pociągający za spust. Zielone oczy przybierające pozbawiony emocji wyraz. Powtarzało się to stale, w kółko, bez przerwy. Nadal miała ślady ugryzienia na kłykciach po tym, jak wbiła zęby w skórę.

Ktoś stracił życie przez Kim.

Dla niej.

Co dziwne, szybko poprawiała sama siebie w tej kwestii za każdym razem, gdy ta myśl gościła w jej umyśle. Niewątpliwie gdyby Ben powiedział komuś o Kim i Giovannim, to ona opuściłaby dom w workach na śmieci. Tak samo Giovanni.

Śmierć, taka czy inna, była nie do uniknięcia, ale całą tę sytuację spowodowała głupia beztroska Kim. Nie panowała nad sobą, a im bliżej Giovanniego się znajdowała, tym bardziej czuła się sobą. Wewnętrzny pociąg, by poszukać go w garażu, mimo że wiedziała, iż prawdopodobnie nadal jest na nią zły i urażony, był tak silny, że nie potrafiła go zignorować.

Zapytała go, dlaczego nadal jest w Vegas, ale odpowiedź znała, zanim jeszcze ją wypowiedział. Dla niej.

Wszystko to dla niej.

A jednak ten człowiek, który zabił inną istotę ludzką… dla niej… był kimś zupełnie innym. Równocześnie jednak nie był. To było coś, czego Kim nie potrafiła ogarnąć własnym sercem i umysłem. Nie mogła zrozumieć.

– *Tesoro*.

Kim gwałtownie się zatrzymała. To w przeważającej mierze był spokojny tydzień. Giovanni nie pojawiał się, w sposób zamierzony czy też nie, w żadnym z miejsc, gdzie mógłby trafić na Kim. Jednak tego pieszczotliwego słowa i tego głosu nie sposób było pomylić z jakimkolwiek innym. Nie miała pewności, czy dawał jej nieco swobody, by mogła odetchnąć, czy też może nie miał okazji znaleźć jej samej.

– Za tobą, *bella ragazza*. – Kim spięła się cała, a dłoń, w której trzymała torebkę, zacisnęła się mocniej. – Teraz się mnie boisz?

– Nie – odparła Kim zgodnie z prawdą.

– Możesz iść dalej, jeśli chcesz – powiedział cicho Giovanni w tłumie mijających ich ludzi. – Zrozumiem i nie będę cię więcej niepokoił.

Bez wahania obróciła się i spojrzała na posępną twarz Giovanniego. Miał na sobie dżinsy i nową skórzaną marynarkę. Pod pachą niósł zakrywający całą twarz kask, podczas gdy drugi zwisał mu z ręki wraz z czarną torbą na książki.

– Nie niepokoisz mnie.

W każdym razie nie w złym znaczeniu.

Kącik jego ust uniósł się w sztucznym uśmiechu.

– Nie?

– Nie – wymruczała Kim pod nosem – i…

– Hmm?

– Myślę, że muszę cię o coś zapytać na temat… – zamilkła, przypominając sobie, gdzie jest. – Na temat ciebie i tego, co się stało.

Skinął głową.

– Chodź zatem.

Kim szła za Giovannim, póki nie dotarli do korytarza, gdzie było ciszej i można było liczyć na nieco prywatności. Położył rzeczy, które miał ze sobą na podłodze, oparł się o ścianę, po czym skrzyżował ramiona.

– Nie sypiasz.

– To tak widać?

– Wyglądasz na zmęczoną, a przez cały tydzień nie zrobiłaś nic, nigdzie nie poszłaś, poza domem Franco.

Kim zmarszczyła brwi.

– Skąd to wiesz?

– Martwiłem się o ciebie, więc postanowiłem się upewnić, że wszystko z tobą dobrze. Dobrze raczej nie jest, ale nieźle to ukrywasz.

Powietrze uwięzło w gardle Kim. Nie była zła o to, że ją śledził, ale nie była pewna, jak się z tym czuje. To był kolejny poziom, na którym Gio okazywał jej swoją troskę, nawet jeśli nie mógł liczyć na wzajemność.

– Zabawne, bo Franco kompletnie nic nie zauważył – odparła Kim, wiedząc cholernie dobrze, że zalatuje to goryczą. – Nie mówi o tym i podejrzewam, że nie chce też, żebym go o to pytała.

– Zostawił cię w spokoju – stwierdził Giovanni, wzruszając ramionami. – Byłby głupi, nie zauważając, że z czymś się zmagasz, ale jest kompletnie pozbawiony zdolności do empatii, która by mu pozwoliła wczuć się w sytuację, bo jest, kim jest. Istnieje spora szansa, że jego sposób na rozwiązanie problemu będzie polegał na zostawieniu cię w spokoju, żebyś poradziła sobie z tym tak, jak tylko uznasz za stosowne.

– Czy ty właśnie bronisz Franco?

Giovanni westchnął.

– Nie jego konkretnie, raczej… człowieka mafii. Nie twierdzę, że to właściwe podejście, ale tak właśnie nauczono go sobie radzić z takimi rzeczami. Nie rozmawiamy o tym. Czasem coś pierdolnie, ale trzeba iść dalej. Na chuj drążyć, jak nic się z tym nie da zrobić.

Kim się skuliła. Wydało jej się to okropne.

– Ty też nim jesteś. Znaczy… człowiekiem mafii. A jednak ewidentnie cię to obchodzi.

– Jeśli chodzi o ciebie, pewnie – powiedział Giovanni z udawanym uśmiechem. – Jeśli chodzi o Bena, w bardzo nikłym stopniu. Jeśli dochodzi do sytuacji oni albo ja, zawsze wybieram siebie. Nawet jeśli to samolubne, a do sytuacji doszło przeze mnie. Tak działa to życie.

Jeśli człowiek chce je przeżyć, musi być świadomy graczy wokół niego. Tu jednak nie chodziło tylko o mnie czy niego, ale też o ciebie. Miałem wybór, dokonałem go, teraz jest po sprawie.

– To… Nie wiem…

– Nie mam zamiaru za to przepraszać, jeśli tego właśnie ode mnie oczekujesz. Przepraszam jednak, że musiałaś na to patrzeć.

Kim odchrząknęła, czując się niekomfortowo. Po jej głowie wciąż kołatały się pytania i myśli. Musiała dać im ujście.

– Ty też musiałeś na to patrzeć. Nawet nie mrugnąłeś ani nie odwróciłeś wzroku.

– To cię martwi?

– Trochę – przyznała Kim. – Wyglądało to tak, jakbyś był kompletnie nieczuły na to wszystko. Tak, Gio, to mnie nieco martwi. Nie miej mi tego za złe.

– Nie mam, *bellissima*. Nie mam znieczulicy, jeśli to chciałaś powiedzieć. Po prostu inaczej na to patrzę i inaczej sobie z tym radzę, kiedy jest po wszystkim. Nie mogę odwrócić wzroku, kiedy pociągam za spust. Tego nauczył mnie mój ojciec. Mam to zaszczepione równie głęboko, jak bycie Marcellim.

– Co? Dlaczego?

Boże, myśli, które jej się nasuwały, były jeszcze straszliwsze.

– Bo jeśli uważam, że mam prawo odebrać człowiekowi życie, to przynajmniej jestem mu winien tyle szacunku, by spojrzeć na niego, gdy odchodzi.

– Aha.

– To nie jest odpowiedź, jakiej się spodziewałaś, hmm?

Nie, nie była. Zakładała, że była to lekcja, żeby go zahartować wobec aktów przemocy i wyłączyć emocje, tak żeby nie czuł przy tym absolutnie nic. Nie sądziła, że do tego równania będzie pasować słowo takie jak „szacunek”.

– Jak się czułeś? – zapytała Kim.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Przecież pytam, czyż nie?

Giovanni westchnął ciężko.

– Odrętwiały. Martwiłem się o ciebie. Bałem się, że nie zdołam nas wykaraskać z tej sytuacji. Ale kiedy to robiłem? Wyłącznie

obojętność.

Czasami szczerość przynosi tępy ból.

– A ty jak się czułaś? – zapytał Giovanni, unosząc brew, ale poza tym jego twarz pozostała bez wyrazu.

– Okropnie. Winna. Wszystko, tylko nie obojętność.

– Wiesz, że to wcale nie jest złe. Wolałbym, żebyś coś czuła, niż nie czuła nic.

– Ty nie czujesz – zauważyła Kim.

– Nie, powiedziałem, że nie czułem nic w chwili, kiedy to robiłem. Poczułem coś dopiero później, kiedy było po wszystkim i ludzie się rozeszli, a ja miałem czas na myślenie. Właściwie to za dużo czasu. Biorąc pod uwagę, co by się stało, gdybym tego nie zrobił, nie mam problemu z przejściem nad tym do porządku dziennego. Po prostu taki jestem, Kim. To ja. Jeśli nie potrafisz tego zrozumieć czy zaakceptować, daj mi znać teraz, bo to się nie zmieni.

– Rozumiem, ale nie podoba mi się to.

– Nie powiedziałem, że musi ci się podobać – odparł Giovanni szybko. – Coś jeszcze trapi tę twoją śliczną główkę?

Możliwe. Kim nie za wielu rzeczy była już pewna.

– Nikt już nawet o nim nie mówi. To znaczy o Benie – powiedziała, wywołując na jego twarzy wyraz niezrozumienia. – Byli z Franco i Lucasem najlepszymi przyjaciółmi. Lucas to chyba nawet razem z nim dorastał.

– A teraz wygląda to tak, jakby facet nigdy nie istniał – dopowiedział Giovanni.

– Tak. Po prostu tego nie rozumiem.

– Bo to, co o nim powiedziałem, że ci zrobił, sprawiło, że wszelka sympatia czy żal, jaki ktoś mógł względem niego odczuwać, stały się czymś wstydliwym. Zasadniczo dla nich facet splamił swój honor, poniósł sprawiedliwą śmierć, a według praw Cosa Nostry jego imienia nie powinno się nigdy wypowiadać.

– Tylko że to było kłamstwo.

– Nie wiem, co chcesz, żebym ci powiedział, by zmniejszyć twoje poczucie winy, ale wybór nie należał do ciebie, *tesoro*. To ja go dokonałem, nie ty.

– Ale dla mnie.

– Tak, owszem, dla ciebie – zgodził się Giovanni. – Powiedz, czego ode mnie potrzebujesz.

– Pozwól mi mieć poczucie winy – wyszeptała Kim. – Nie jestem taka jak ty.

– Dobrze. – Giovanni się schylił i podniósł czarną torbę. – Obiecałaś mi dzień. Nadal mogę na niego liczyć?

– Lucas jest na zewnątrz, jak zwykle. Nie mogę tak po prostu z tobą wyjść.

– Pozwól, że ja się o to zatroszczę – powiedział Giovanni z szelmowskim uśmieszkiem. – Mam ten dzień czy nie, Kim?

Co ciekawe, jeśli chodzi o Giovanniego, dla Kim nic się nie zmieniło. Nie postrzegała go w żaden sposób inaczej. Jak to o niej świadczyło? Nadal silnie ją pociągał. Uczucia pozostawały intensywne i zagmatwane, tak jak wcześniej. Wciąż przynosił jej poczucie bezpieczeństwa i komfortu.

– Dobrze – odparła wreszcie, otrząsając się z myśli. – Jeden dzień.

– W porządku. Proszę.

Wzięła podaną torbę i otworzywszy ją, znalazła tam kilka znajomych przedmiotów: parę dżinsów, koszulkę henley i skórzaną marynarkę Giovanniego, którą pozwolił jej zatrzymać. Przyglądając się im, czuła ogarniającą ją niepewność.

– To moje rzeczy – stwierdziła Kim, czując się przy tym niezręcznie, bo to była oczywistość.

– Wziąłem je. On chce, żebyś wyglądała i zachowywała się jak kura domowa z pierwszej połowy dwudziestego wieku. Ja tam wolę dwudziestojednoletnią Kim, w dżinsach i skórzanej marynarce. Do tego, w razie gdybyś nie zauważyła kasków… – Tu wskazał na dwa czarne przedmioty leżące na podłodze. – Jazda na motocyklu w sukience nie jest tak fajna, jak mogłoby ci się wydawać. Obcasy mogą zostać.

Kim posłała mu nieufne spojrzenie.

– Jak dostałeś się do moich rzeczy?

– Nie mam zamiaru twierdzić, że jestem dobrym chłopakiem, Kim, ale za to naprawdę nieźle sobie radzę z otwieraniem zamków. Nie przeglądałem twoich szafek, jeśli to poprawi ci samopoczucie. Po prostu połapałem to, co moim zdaniem się przyda. Nie chciałem

ryzykować, że kiedy rozpęta się piekło, Lucas skoczy do twojego akademika, żeby sprawdzić, czy to tam sobie poszłaś.

– Kiedy… O czym ty mówisz?

Na twarzy Giovanniego pojawił się nikczemny uśmieszek.

– Kiedy włączę alarm przeciwpożarowy i sprawię, że wszyscy w budynku natychmiast, równocześnie, pójdą na parking.

– Gio!

– Hej, to zadziała.

Pokręciła głową, po czym z ciekawością spojrzała na kaski.

– Skąd wziąłeś motocykl?

– Wymieniłem na jeden dzień za wynajęty samochód. Teraz, kiedy posiedziałem tu kilka tygodni, jest zbyt rozpoznawalny. To już wszystkie pytania, *tesoro*?

– Na razie tak.

Giovanni wskazał dłonią damską toaletę, znajdującą się w głębi korytarza. Kim ruszyła bez pytania.

***

Lake Mead zawsze stanowiło ulubione miejsce Kim i to już od czasu, gdy była małą dziewczynką. Jej matka uwielbiała góry i żeglowanie, toteż rodzina co roku spędzała kilka tygodni w parku narodowym.

Wspaniałe wspomnienia, jakie wywoływał u niej park, były nieskażone późniejszym życiem. Zanim jej matka zmarła na raka, Nunz faktycznie starał się zachowywać, jakby troszczył się o jedyną córkę. Kiedy Cody'ego i Kim można było jeszcze uważać za kochające się rodzeństwo, chodzili cały dzień po miejscowych szlakach i obserwowali niebo z wysokich wzniesień.

Zaskoczyło ją, że nawet o tym nie wiedząc, Giovanni zabrał ją w miejsce, które uwielbiała. Po przepłynięciu krótkiego odcinka łódką cieszyli się prywatnością zacisznej zatoczki, jaką tworzyło tu wybrzeże.

– Kim?

– Uhm. – Uniosła wzrok na Giovanniego, który właśnie rzucił do wody niewielki kamień. – Tak?

– Najpierw byłaś nieobecna, a potem się lekko uśmiechnęłaś. Dlaczego?

Obserwował ją?

Wiedziała już, że Giovanni jest ciekawskim człowiekiem. A może interesowała go tylko ona. Nie miała nic przeciwko rozmowie, ale była też nieco zaskoczona, że chciał jedynie rozmawiać. Przedtem, zawsze gdy zostawali sami, następował jakiś rodzaj kontaktu fizycznego. Pożądanie dominowało nad potrzebą rozmowy. Nie licząc pocałunku w policzek, gdy pomagał jej wysiąść z łódki, gdy przypłynęli do zatoczki, Giovanni nie próbował zmniejszyć odległości pomiędzy nimi.

Właściwie Kim to nie przeszkadzało, bo było odświeżające.

– To jakie masz na dzisiaj plany? – zapytała, krzyżując po turecku nogi, które wcześniej miała rozłożone przed sobą na kocu. Nie czuła się gotowa odpowiedzieć na pytanie, tak więc miała nadzieję, że uda jej się zmienić temat na wystarczająco długo, żeby o nim zapomniał.

– Masz na myśli dla nas?

– Chyba tak – powiedziała. – Dla nas, dla ciebie…

– Nie mam – odparł Giovanni, podnosząc kolejny kamień, żeby nim rzucić.

– Na pewno czegoś ode mnie chcesz.

Zamarł w pół zamachu do rzutu.

– Czy tak właśnie się czujesz przy ludziach obecnych w twoim życiu, *tesoro*?

– Co proszę?

– Ludzie, którymi się otaczasz… Czy oni sprawiają, że tak właśnie się czujesz? Jakbyś była im coś winna za to, że korzystasz z przyjemności bycia z nimi? Bo jeśli tak jest, to cholerna szkoda.

Przez pewien czas Kim nie była w stanie się odezwać. Franco odseparował ją od życia, którym się cieszyła, tak brutalnie, że wszyscy wokół niej sprawiali, iż czuła się w taki czy inny sposób niechciana. Psiakrew, w jej życiu byli tacy ludzie, nawet zanim trafiła na Franco. Z tych ważniejszych na przykład jej ojciec.

– Czasami – przyznała cicho Kim.

Giovanni zmarszczył brwi, spoglądając na spokojną taflę wody.

– Od chwili, gdy przybyłem do Vegas, za każdym razem, kiedy znajdowałem się blisko ciebie, nigdy nie wyglądałaś na bardziej zrelaksowaną, niż jesteś teraz. I wiem, że kiedy tam wrócisz, to nie będziesz taka jak teraz. Tak więc mam zamiar się tym cieszyć. To wszystko.

– Czyli nie spodziewasz się ani nie chcesz, by coś między nami się wydarzyło? – naciskała Kim.

– A powinienem? Kim, nie znam cię. To znaczy znam ciebie – uściślił z błądzącym po twarzy uśmieszkiem. – Wiem rzeczy, których wielu ludzi zapewne nigdy się o tobie nie dowie, ale właściwie nie potrafię powiedzieć, jaka jesteś. Nie wiem, jaki jest twój ulubiony kolor, zwierzę czy pora roku. To drobne rzeczy i dla innych ludzi mało znaczące, ale ja chciałbym się tego dowiedzieć.

– Po co? To nie ma sensu, zważywszy, że nadal jestem zaręczona…

– Nic, co dotyczy ciebie, nie jest dla mnie pozbawione sensu – wtrącił się Giovanni zapalczywie. – Niezależnie od tego bagna z Franco.

Och. *Cóż*.

– Niebieski… Ale taki w odcieniu, jaki przybiera niebo po burzy. Konie, ale dzikie. Są nieokiełznane i piękne. Nie złamała ich wola człowieka. I zima, ale tylko w Vegas. Nie jest wtedy ani za gorąco, ani za zimno. Tak w sam raz.

– Jak na przykład teraz – uśmiechnął się Giovanni.

– Tak, jak teraz – odparła, wkładając ręce do kieszeni skórzanej marynarki Giovanniego. Uważała, żeby trzymać ją w ukryciu, i nigdy jej nie nosiła z obawy, by nie rozpoznał jej Franco albo któryś z jego przydupasów. – Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

– Wszystko – wymruczał Giovanni. Jego głos wywołał mrowienie na skórze Kim. – Na razie zadowolę się tym, co przed chwilą wywołało twój uśmiech.

Jak mogłaby mu odmówić odpowiedzi po tym, co usłyszała.

– Moja mama kochała to miejsce.

– O! Tak?

Kim skinęła głową.

– Uwielbiała naturę. Była typową włoską matką, zawsze wtykającą nos w nie swoje sprawy i uważającą, że ona wie najlepiej,

niezależnie, czy ktoś chciał poznać jej zdanie, czy nie. To, że tu jestem, sprawia, że ją sobie przypominam, równocześnie uświadamiając, jak bardzo mi jej brakuje. Ostatnio tyle się działo w moim życiu, że nie miałam czasu, by usiąść i pomyśleć o niej, tak jak to zwykle robię.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem sprawić ci smutku.

– Wcale nie sprawiłeś. Zapewne to jest najlepsze miejsce, w jakie mogłeś mnie zabrać, Gio.

Giovanni rzucił trzecim kamieniem, a następnie podszedł, żeby usiąść obok Kim.

– Musiała być do ciebie bardzo podobna, bo ani odrobinę nie przypominasz ojca.

Kim parsknęła śmiechem, opadając na plecy i podkładając ręce pod głowę.

– Pełna zgoda.

– No proszę! Jak twoja mama miała na imię?

– Lina.

– Ja swoją mam za nieodłączny element życia. Cecelia jest niesamowitą kobietą, i to w sposób, jakiego nie potrafię opisać. Czasami myślę, że kocha moich braci, ojca i mnie aż za bardzo. Będzie nas kochać do śmierci i to niezależnie od tego, co zrobimy ani kim będziemy.

– Przyglądałam się twojemu ojcu i jej na ślubie. Tańczyli i szeptali do siebie, jakby dookoła nie było nikogo. To było słodkie.

Giovanni się roześmiał.

– No, „słodki” to nie jest słowo, jakiego bym użył, by opisać Antony’ego Marcello.

– A jednak z nią jest.

– Jest – powtórzył jak echo. – Jeśli kiedykolwiek potrzebowałbym przykładu, jak należy kochać kobietę, to bardzo dobrym będzie mój ojciec. Zawsze pozostawał oddany i wierny względem Cecelii. Dla niego nigdy nie istniały inne kobiety. Szanuję go za to i podziwiam, jednak nie rozumiem, jak ktoś może w taki sposób zmusić kogoś, by padł na kolana. A przynajmniej nie rozumiałem.

Kim posłała mu pytające spojrzenie.

– Nie rozumiałeś? Czy to znaczy, że teraz rozumiesz?

– To znaczy, że im więcej mówisz, tym więcej się dowiaduję.

Odpowiedź sprawiła, że serce Kim ścisnęło się boleśnie w piersi. Giovanni wyłożył się na kocu tak samo jak ona, nic nie mówiąc. Kim desperacko usiłowała oderwać swój umysł od niebezpiecznych obszarów, na jakie zaczynał wkraczać, na przykład jak łatwo by jej przyszło pokochać mężczyznę leżącego obok niej.

Giovanni był nieprzyzwoity, niedoskonały i niebezpieczny. Robił okropne rzeczy, a za fasadą nienagannego wyglądu i czarującego sposobu bycia jego życie było złe. Jednak był kimś więcej. Sprawiał, że czuła się piękna tylko z tego powodu, że na nią spojrzał. Nie musiał wypowiadać nawet słowa. Choć sama była świadkiem tego, do czego był zdolny, nie czuła niepokoju w jego obecności. Ilość uwagi, jaką jej poświęcał, sprawiała, że przez chwilę miała poczucie, że jest kimś najważniejszym w jego życiu.

Jak mu się to udawało, Kim nie miała pojęcia.

– Co chcesz robić po studiach? – zapytał Giovanni, wyrywając ją z rozmyślań. Była mu za to wdzięczna. – Specjalizacja z matematyki daje ci pracę i w biznesie, i w zarządzaniu, i w finansach, i w statystyce. Nic z tych rzeczy nie pasuje mi do Kim.

– Pewnie dlatego, że wszystkie po kolei sprawiają, że mam ochotę uciec z krzykiem.

– A co z tego zostaje?

– Edukacja – odparła Kim, obracając się ku niemu i opierając podbródek na dłoni. – Moja mama uczyła historii i angielskiego w szkole średniej. Uwielbiała swoją pracę i po niej to odziedziczyłam. Świetnie sobie radziłam z angielskim i matematyką, więc ta droga wydawała mi się słuszna. Robiłabym coś, co przez następne pięćdziesiąt lat mojego życia przynosiłoby mi radość.

– Przykuwasz moją uwagę, więc nie mam wątpliwości, że to samo zrobisz w przypadku nastolatków. A już na pewno chłopaków.

– Dziękuję. A co z tobą? – zapytała Kim, trącając go w ramię opuszkami palców. – Studia?

Giovanni się skrzywił.

– Rzuciłem to. Wtedy to nie była moja bajka. No i nie byłem w stanie trzymać się w pionie na tyle, żeby dać radę.

– A co studiowałeś?

– Prawo, ze szczególnym uwzględnieniem obrony w sprawach karnych.

Kim przewróciła się z powrotem na plecy, a w powietrzu rozległ się jej śmiech.

– O mój Boże, a to dopiero. Sama powinnam była na to wpaść.

– Doskonale pasuje do mojej rodziny. Wiem – odrzekł Giovanni, ale jego rozbawienie szybko się ulotniło. – Ojciec się wściekł, kiedy zrezygnowałem. Nie odzywał się do mnie przez miesiąc i to nawet jeśli siedziałem tuż przed nim. Nadal nie wiem, czy całkiem mi to wybaczył.

Kim uniosła brwi.

– Ale jest zadowolony z tego, co robisz teraz, tak?

– Tak sądzę. Pod pewnymi względami. Cieszy się, że robię to, co sprawia mi przyjemność, i robię to dobrze.

– A co z twoimi braćmi?

– Zarządzanie w biznesie, finanse i deweloperka – odrzekł Giovanni. – Ukończyli studia z wyróżnieniem i prawie się przy tym nie spocili.

– Aha. – Kim przygryzła dolną wargę, uważnie dobierając kolejne słowa. – Skoro byłeś najmłodszy, to presja musiała być trudna do udźwignięcia, niezależnie, jakie oczekiwania mieli ludzie względem *la famiglia* i sukcesu rodziny jako całości. To znaczy rodzina Marcello zarządza imperium, prawda?

– Z Cosa Nostrą czułem się równie swobodnie jak z oddychaniem – odparł cicho, odwracając się ku niej niespeszony. – Tej jednej rzeczy nigdy nie kwestionowałem. Nie musiałem. To wszystko inne ciągnęło mnie w dół. Czasami nadal ciągnie, jeśli na to pozwalam. Nie jestem taki, jak Lucian czy Dante, i masz rację, zakładając, że mnóstwo ludzi wokół mnie uważało, że nie powinienem się od nich różnić.

– Jak to było dorastać jako książę mafii?

Giovanni przewrócił oczami, znów się uśmiechając półgębkiem.

– Jakby ktoś już solidnie zaplanował moje życie, zanim ja poznałem własne imię.

– Auć.

– Jest jak jest, Kim. Dorastałem w niezwykle bogatej, wpływowej rodzinie i otaczała mnie cała ta subkultura. Byłem za to wdzięczny, nawet jeśli może się wydawać, że wręcz przeciwnie.

Kim sięgnęła, by chwycić go za rękę, którą trzymał na brzuchu, i splótłszy ich palce, ścisnęła mocno. Miała poczucie, że to dobrze, iż chce mieć jakąś jego część bliżej siebie, ale nie zamierzała nad tym rozmyślać. Chciała po prostu korzystać z dnia, który mieli, i zrobić z nim, cokolwiek zapragnie.

– Nie wydajesz się takim, wiesz? – stwierdziła Kim.

– Jakim?

– Rozpuszczonym, bogatym gówniarzem z kompleksem wyższości.

Śmiech Giovanniego rozbrzmiał po okolicy. Gio delikatnie pociągnął ją za ramię, dając znak, że chce, by wtuliła się w jego objęcia. Otulona jego ciepłem i zapachem, Kim się uspokoiła i oparła policzek na jego piersi. Wsunęła dłoń pod jego kurtkę i koszulkę, błądząc po łukach mięśni jego brzucha, by w końcu objąć go w pasie, z dłonią na przeciwległym boku.

– Ty też jesteś inna, *bella mia* – powiedział Giovanni, gdy wreszcie przestał się śmiać.

– Mam nadzieję, że to dobrze.

– Idealnie – westchnął, a jego ręka z kolei przesunęła się na dolną część pleców Kim. – Potrzebujesz czegoś ode mnie, Kim, kiedy dzisiejszy dzień minie? Powiedz, a to zrobię.

Wiedziała, czego chciała: jego. To była fantazja, ale znacznie lepsza niż to, czego potrzebowała, czyli pozostać przy życiu. Jednak by to się udało, musiała nadal podporządkowywać się woli Franco, również w kwestii małżeństwa.

– Musisz trzymać się ode mnie z daleka – wyszeptała Kim, czując pieczenie oczu, gdy popłynęły z nich łzy. – Nie mogę zrobić tego, co musiałabym zrobić, żeby było inaczej. Nie mogę stale cię ranić tylko dlatego, że ciągle cię pragnę.

Objął ją mocniej.

– Dobrze.

– Przepraszam.

– Nie, rozumiem. Uwierz mi, że rozumiem, *tesoro*.

– Nie chcę, żeby inni ludzie pakowali się w mój bałagan albo żeby stała im się krzywda z powodu moich błędów. Wcześniej musiałam się troszczyć tylko o siebie i Cody'ego, ale nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby się o nas dowiedział.

– Bo jest coś takiego – stwierdził cicho Giovanni.

– Co?

– Jest jakieś „nas". Coś, cokolwiek by to nie było. Dojście do tego zajęło ci po prostu więcej czasu niż mi.

O nie, Kim wiedziała. Zwyczajnie łatwiej było to ignorować niż się do tego przyznać.

– Co, jeśli odkryłem sposób, żeby…

– Proszę, nie wyciągaj żadnych „co by było, gdyby…". Bez porównania łatwiej mi będzie poradzić sobie z całą tą sytuacją, jeśli będę ją oceniać realnie, a nie błądzić w ułudzie.

Giovanni przełknął głośno ślinę.

– Musi być jakiś sposób, żeby cię od niego uwolnić, Kim. Nie mów mi, żebym tego sposobu nie szukał, ale nie będę ci się narzucał, póki go nie znajdę.

– A co, jeśli te poszukiwania będą nas oboje kosztowały życie?

Czy Giovanni podejmie ryzyko? Kim nie miała pewności.

– Zostań dziś ze mną na noc – rzekł zamiast odpowiedzi na pytanie. – Nie proszę, by do czegoś między nami doszło, tylko byś została. Wiem, że słono za to zapłacisz, jeśli nie zjawisz się po zajęciach, czy kiedy tam miałaś przyjść, ale…

Kim to nie obchodziło.

– Zostanę.

– I zanim wrócisz, wpiszę ci mój numer do telefonu – dodał, wzdychając ciężko. – Jeśli on znowu cię tknie, zadzwoń do mnie, niezależnie od okoliczności. Obiecaj mi, Kim.

– Zadzwonię.

Giovanni ją podniósł, ujmując jej głowę tak, by móc delikatnie ucałować jej usta. To było słodkie do bólu. Kim roztopiła się w miękkości pocałunku. Gdy się odsunął, miała ochotę przyciągnąć go natychmiast z powrotem.

– Wiesz, już dawno się przekonałem, że fakt, iż ktoś oddycha, wcale nie oznacza, że ta osoba żyje. Ty jednak tchnęłaś powietrze

w moje płuca i moje życie nigdy nie wydawało się bardziej prawdziwe.

– Nie powinnam była do ciebie podchodzić w Nowym Jorku – powiedziała Kim, i naprawdę wolałaby nie wciągać go w swoje popieprzone życie.

– A ja jestem cholernie szczęśliwy, że jednak podeszłaś.

Rozdział trzynasty

Gio usiłował skupić się na rozmowie z Maximo, ale ciągle czuł się oszołomiony. Don Sorrento prosił o spotkanie od czasu, kiedy Gio przyjechał do Vegas. Winien mu był przynajmniej na tyle szacunku, żeby uważnie go wysłuchać. Niestety, jego uwaga błądziła kompletnie gdzie indziej.

– Nie powinienem nawet prosić.

Gio uniósł brew.

– Prosić o co?

– Czy nie zechciałbyś zostać w Vegas nieco dłużej – wyjaśnił Maximo.

– To znaczy? – nie miał pewności, czy dobrze usłyszał słowa dona Sorrento.

– Odkładając na bok różnice zdań między tobą a moim synem…

– To nie są jedynie różnice zdań, Max. To wzajemna pogarda, która tkwi tak głęboko, że nawet tam nie sięgam. Jeśli trzeba, zachowujemy się uprzejmie, ale z mojej strony wymaga to całego wysiłku, na jaki mnie stać.

Maximo się roześmiał, opadając na oparcie fotela.

– Szczerość to jedna z twoich najlepszych cech.

– Zabawne, bo mój ojciec uważa, że mówię za dużo i za mało słucham.

– Z jego punktu widzenia zapewne tak jest. Antony ma swoje podejście do takich spraw.

– Jak długo miałbym tu zostać? – spytał Gio, a z tyłu głowy cały czas myślał o perspektywie bycia bliżej Kim.

Miał poczucie, że musi się o nią troszczyć, nawet jeśli ona tego nie chciała. Musiał zadbać o jej bezpieczeństwo i upewnić się, jak sobie radzi z charakterem Franco. Gio balansował teraz na cienkiej linii oddzielającej pożądanie od obsesji.

Człowiek na granicy uzależnienia, jaki żył wewnątrz Gio, desperacko pragnął Kim. Chciał niebezpieczeństwa, jakie się z tym wiązało. Potrzebował przyspieszonego tempa. Domagał się euforii.

Czy to było zdrowe?

Miłość.

Tak właśnie nazywał to w myślach. To nie był ten sam rodzaj euforii. Był lepszy.

Miłość…

To, że Kim zdawała się nie podzielać tych uczuć, wcale nie pomagało, mimo że sam Gio dopiero sobie je uświadamiał. Miał już za sobą udawanie, że Kim wcale nie posiadła wszystkich części jego umysłu, tych dobrych i tych złych. Uczucia żyły w jego wnętrzu, jakby stanowiły osobne byty, rosnąc w siłę, przejmując jego komórki jedna po drugiej i sprawiając, że każda sekunda dnia stawała się piekłem.

Sprawiały również, iż czuł się jak w niebie.

Ona to spowodowała – Kim.

Miłość jest szalona w ten właśnie sposób. Ciągle zabiera i zabiera. Gio teraz nieustannie tylko dawał.

Potrzebował też dostawać coś od Kim. Tylko że ona nie chciała mu tego dać. Tak właściwie to nie powiedział jej, jak daleko sięgały jego uczucia. Czyż nie było to dostatecznie oczywiste? *Cristo*, przecież ryzykował życiem za każdym razem, gdy choćby oddychał w jej kierunku.

– Skip?

Gio drugi już raz został wyrwany z rozmyślań.

– Przepraszam – powiedział z pokorą. – Jakoś dzisiaj nie jestem w stanie się na niczym skupić. Może lepiej będzie tę rozmowę przełożyć na inny termin, Max.

– Nie, teraz jest w porządku – odparł Maximo, pochylając się do przodu i opierając łokcie na biurku. – Coś cię rozprasza… a może raczej ktoś?

Gio zakaszlał, starając się ukryć zaskoczenie.

– Oj! Nie. Przyjemności niezbyt dobrze się łączą z interesami, dlatego staram się tego nie robić.

Był takim jebanym oszustem. Nie znosił kłamców.

– Aha, więc pewnie to miał na myśli twój ojciec, gdy stwierdził, że żyjesz w swoim świecie i lubisz w nim działać w oparciu o własne zasady.

– Antony za dużo plotkuje – odrzekł Gio, sztywniejąc.

– To nie plotki, tylko rozmowa ze starym przyjacielem. Jak by nie było, z twoim ojcem mamy jedną wspólną cechę, która nie wiąże się bezpośrednio z Cosa Nostrą i sprawia, że trzymamy się bliżej niż większość innych głów rodzin przez te lata.

W Gio zwyciężyła ciekawość.

– Jaka to cecha?

– Obaj mamy synów, którzy na swój sposób zawsze sprawiali kłopoty.

Gio zaczynał dochodzić do przekonania, że ojciec miał więcej osobistych powodów, by wysłać go do Vegas niż tylko patrzenie Franco na ręce. Jeden z nich skupiał się wokół długoletniej przyjaźni z Maximo, jak również szacunku i lojalności, jakie żywił do tego człowieka. Antony niełatwo zawierał przyjaźnie, a raczej w ogóle nie dbał o takie rzeczy. Jednak jeśli już nawiązał takie relacje, to dbał o nie i zawzięcie je chronił.

– Tak jak mówiłem – kontynuował Maximo, przyglądając się Gio uważnie – może jeszcze kilka miesięcy. Najwyżej pół roku.

– Tylko po co? – zapytał Gio. – Nie trzeba ci dodatkowego *capo*. Masz dość ludzi, by zajęli się twoim bałaganem. Sorrentowie nie potrzebują Marcellego, by popychał ich interesy do przodu. No i mówiąc całkowicie szczerze, ani nie chcę, ani nie widzę potrzeby, by robić kłopot, sobie i wam.

– Ja również nie widzę takiej potrzeby.

– Mam wrażenie, że próbujesz mi coś przekazać, tylko że okrężną drogą.

Maximo się zaśmiał.

– Niełatwo jest mi to przyznać, ale możliwe, iż mam w rodzinie pewne problemy, które wymagają naprostowania, bo pozwoliłem im narastać zdecydowanie zbyt długo. Wiesz, co mam na myśli, Giovanni?

Bez cienia wątpliwości.

– Franco.

– Okropne, czyż nie? Błędnie założyłem, że mój syn wreszcie dorośnie do pewnych spraw, że tak się wyrażę. Tylko że mu to nie wychodzi i to w opłakany sposób.

– Opłakany to ciekawe określenie w tym przypadku.

– A jak ty byś to określił? – spytał Maximo.

Ewidentnie nie był zadowolony z Franco, ale Gio nie chciał przekraczać pewnych granic. To by nie doprowadziło do niczego dobrego. Zdecydował, że najlepiej będzie powiedzieć rzecz oczywistą, czyli coś, co narzuciłoby się z miejsca każdemu, kto miał z Franco do czynienia bezpośrednio.

– Nawet w dobre dni jest trudny i nie widać w nim wdzięczności za swoją pozycję. Franco nie uważa, by musiał zaskarbić sobie szacunek. Sądzi, że zwyczajnie mu się należy z tego tytułu, że jesteś jego ojcem. Zastanawiam się, czy musiał kiedykolwiek zapracować na coś w ramach twojej rodziny, bo teraz na pewno nie widzi takiej potrzeby. Musi ze swoimi ludźmi obchodzić się w określony sposób, tak jak zresztą ja ze swoimi, ale zazwyczaj jego zachowanie względem nich jest uwłaczające – mówił dalej Gio, odchylając się w fotelu. – Ludzie ci, jego ludzie, muszą mieć powód, by albo go lubić, albo się go bać. Problem w tym, że nie ma takiej opcji, skoro zachowuje się jak totalny dupek. To kwestia szacunku, w jedną i w drugą stronę. Zaskarbienie go sobie u ludzi, takich jak oni, jest kluczowe. Pewnego dnia to, jak ich traktuje, odbije mu się czkawką.

– Twój ojciec miał rację. Trudno nad tobą zapanować, kiedy tego nie chcesz, ale jesteś cholernie dobry w tym, co robisz. Zdaje się, że użył wtedy słowa „nieoceniony”.

Cóż, dobrze było wiedzieć, że Antony miał coś miłego do powiedzenia na jego temat.

– Nie rozumiem tylko, Max, co twoje problemy z Franco mają wspólnego ze mną.

– Cóż, proszę cię, byś przedłużył swój pobyt, żeby mój syn mógł sobie przyswoić nieco szacunku dla pozycji, jaką spodziewa się zająć.

– Pozycja Franco jest wyższa od mojej – podkreślił Gio. – Tu właśnie jest pies pogrzebany. Fakt, że jest tam, gdzie jest, oznacza, że ma gdzieś wszystko to, co ludzie stojący niżej mogliby go nauczyć lub zaoferować.

– Mam tego świadomość – stwierdził z przygnębieniem Maximo. – Błędnie zakładałem, że szybkie postawienie go na wysokim szczeblu da mu okazję, by zajął się wszystkim od razu. Potrzeba mi kogoś takiego jak ty. Osoby, która wypycha Franco z jego strefy komfortu. Człowieka, który przede wszystkim przypomni mu, dlaczego jest tam, gdzie jest.

– Kogoś takiego jak ja – powtórzył Gio.

Maximo wzruszył ramionami.

– Jesteś w pełni zadowolony, będąc tam, gdzie jesteś. Nie musisz się martwić o awans czy znaczenie w ramach imperium swojej rodziny. Może i jesteś księciem mafii, ale w pierwszej kolejności zawsze będziesz *capo*. Właśnie w tym jesteś najlepszy i wiesz o tym. Gdzieś po drodze Franco zapomniał, kim jest i w czym się sprawdza. Chciałbym, żebyś mu o tym przypomniał.

– Franco i ja jakoś dajemy radę utrzymać pozory, że znosimy swoją wzajemną obecność, kiedy zachodzi taka potrzeba, ale mam poważne wątpliwości, czy tak będzie, jeśli mnie do niego przypniesz.

– Nie będzie miał wyboru – westchnął Maximo. – Najwyższy czas, żebym wrzucił Franco na głęboką wodę, gdzie albo nauczy się pływać, albo utonie. Bóg mi świadkiem, że nie mam wyboru.

– No nie wiem… – odparł Gio, faktycznie czując niepewność.

Myśl, że będzie musiał radzić sobie z Franco, przebywając z nim częściej, niż to było do tej pory, sprawiała, że żołądek skręcał mu się z irytacji. W jego myśli znów wkradła się Kim i Gio nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł ją tak zostawić.

– Potrzebuję czasu do namysłu, Max. Muszę też uwzględnić w tym wszystkim potrzeby własnej rodziny.

Don Sorrento skinął głową na znak akceptacji.

– Lepsze to niż nic. A już na pewno lepsze niż to, na co mogłem liczyć wcześniej.

Gio wstał.

– Czy…

Zanim zdążył się pożegnać i wyjść, na biurku zadzwonił telefon. Z szacunku Gio wskazał telefon, dając znak, by Maximo odebrał, zanim zakończyli rozmowę. Po drugim dzwonku Maximo podniósł słuchawkę.

– *Ciao*? – Chwilę trwało, zanim Max znów się odezwał, ale Gio od razu wiedział, że coś jest nie tak, bo zauważył, jak mruży oczy i napina ramiona. – A to dlaczego, Franco? – Gio wzdrygnął się, słysząc, jak zjadliwym tonem mówił don Sorrento. – Dajże dziewczynie nieco przestrzeni, synu. – Zamilkł, kręcąc głową. – No i czego ode mnie oczekujesz, hmm? Ty to wymyśliłeś, Franco. Nie zapominaj, że tego właśnie chciałeś. Sugeruję, żebyś tym razem zostawił ją w spokoju i przez pewien czas trzymał się z daleka. I nie, nie wyślesz swoich ludzi, żeby jej poszukali. Wróci, jak nieco ochłonie. Daj jej na to trochę czasu.

Maximo bez słowa odłożył słuchawkę.

Gio poczuł nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej, a w kręgosłupie narastający strach.

– Wszystko okej?

– Nie – warknął gniewnie Maximo. – Kolejna z pomyłek mojego syna.

– Masz na myśli ślub z Kim?

Gio miał dotąd wrażenie, że Maximo zgadza się z tym zaaranżowanym małżeństwem. Nigdy nie mówił o sprawach osobistych. Dzisiejszy dzień stanowił zaskakujący wyjątek, toteż ze strony Gio było to tylko przypuszczenie. Człowiek po drugiej stronie biurka z całą pewnością nie wyglądał na zadowolonego.

– Oboje są bardzo emocjonalnymi ludźmi – wymruczał Maximo, wpatrując się w stojący na biurku telefon, jakby miał nadzieję, że zniknie. – Niestety, w małżeństwie potrzeba odpowiednich emocji, żeby jego najgorsze aspekty były możliwe do zniesienia. Problem w tym, że między nimi ich nie ma. Po żadnej ze stron. Jest za to paskudna mieszanka uporu i urazy.

Gio nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko w jakiś sposób wziąć Kim w obronę. Zacznijmy od tego, że wcale nie chciała małżeństwa z Franco.

– Wydaje się jednak, że to wspaniała kobieta.

– Bo tak jest, tylko że… to nie znaczy, że jest doskonała dla Franco. Jeśli chodzi o kogo innego, nie mam wątpliwości, że stanowiłaby świetną żonę, kochankę i przyjaciółkę, jakiej mężczyzna potrzebuje.

Jednak nie w przypadku mojego syna. Straszna szkoda, że nie potrafi spojrzeć dalej niż na czubek swojego nosa, żeby to sobie uświadomić.

– Małżeństwo stawia takie sprawy na ostrzu noża – stwierdził Gio.

Świerzbił go język, żeby zapytać Maximo, jak może akceptować sposób, w jaki Franco traktuje Kim, ale wiedział, że nie powinien tego robić. Wciąż istniały granice, których nie powinien był przekraczać, i to była jedna z nich.

– Tak, albo sprawia, że udajemy, póki nie jest po fakcie – smutno odparł Maximo. – Między tym dwojgiem jest więcej napięcia, niż chciałbym przyznać. To się nie skończy dobrze, choć nie mam pewności, z której strony ten koniec nastąpi.

I tego właśnie się Gio obawiał.

***

Patrząc przez przednią szybę samochodu, który wciąż stał zaparkowany przed domem głowy rodziny Sorrento, Gio nie potrafił poukładać myśli we własnej głowie. Starał się odszyfrować poszczególne części swojego spotkania z Maximo, ale ciągle stwierdzał, że zanadto skupia się na rozmowie telefonicznej, jakiej się przysłuchiwał na krótko przed jego zakończeniem.

Z tych rozmyślań wyrwały go wreszcie wibracje telefonu, sygnalizujące nadejście wiadomości. Podniósł urządzenie ze środka pulpitu i dopiero po przeczytaniu tekstu trzy razy, jego znaczenie wreszcie do niego dotarło.

Wiem, to dziwne, że akurat ciebie o to pytam, ale widziałeś ostatnio moją siostrę?

Gio zmarszczył czoło i nacisnął ikonę słuchawki, by zadzwonić do Cody'ego. To faktycznie dziwne, że chłopak jego o to pytał. Bardzo uważał, by nie dało się zauważyć nawet najmniejszej oznaki, która by sugerowała, że cokolwiek czuje do Kim. Nie był w stanie nawet myśleć, co by się z nią stało, gdyby ktoś się dowiedział.

Cody odebrał po pierwszym sygnale.

– Cześć, Skip.

– Kim zaginęła? – zapytał Gio.

– Tak przypuszczam – potwierdził cicho jego rozmówca. – Jakiś czas temu tato rozmawiał przez telefon z kimś, kto pytał, czy się tu nie zjawiła. Nie zjawiła się. Dlatego pomyślałem, że wyślę wiadomość do paru osób i sprawdzę, czy przypadkiem jej nie widziały. Podobno gdzieś dzisiaj wychodziłeś i pomyślałem, że mogłeś się na nią natknąć.

– Czy ona nie mieszka w akademiku należącym do college'u?

– Hmm, już nie.

Mieszkała tam jeszcze wczoraj, kiedy Gio zabierał ją nad jezioro Mead. Upierała się, że zostanie tam do ślubu, kiedy po prostu będzie musiała się przeprowadzić. Na pewno coś takiego nie zmieniło się z dnia na dzień.

Gio opanował narastający w nim niepokój, próbując sprawiać wrażenie obojętnego.

– Tak?

Cody westchnął.

– No nie wiem. Z początku myślałem, że Kim da sobie radę z Franco. Jest uparta jak cholera. Nigdy nie potrzebowała nadopiekuńczego starszego brata, a jedynie partnera w zbrodni. Dziewczyny takie jak ona mają tendencję do obalania murów obronnych faceta i brania go krwawym szturmem.

Oj tak! Co jak co, ale Gio wiedział to najlepiej. Ta kobieta, każda część, była skąpana w jego krwi i nie miała zamiaru mu odpuścić.

– Myślałem, że da sobie z nim radę – powtórzył Cody już ciszej.

– Franco jest… inny.

– Masz na myśli to, że jest pierwszej klasy fiutem?

– Zasadniczo tak – zgodził się Gio. – A co się stało?

– Czasami próbując coś uzyskać od ludzi Franco, masz wrażenie, jakbyś wyrywał jebanego zęba.

– Boją się go i to z tych niewłaściwych powodów.

– Właśnie – teraz zgodził się Cody. – Przejechałem się obok akademika Kim. Była tam jedna z dziewczyn, które ją znają. Mówiła coś, że Kim wróciła z zajęć do pustego pokoju i była okropna rozpierducha.

Gio przewrócił oczami.

– Czyżby to kolejna z jego zagrywek, jak wtedy, gdy zamienił jej mazdę na tego mercedesa, którego nie znosi?

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Cody.

Kurwa! Musiał uważać, żeby nie pieprzyć bez namysłu o rzeczach, których nie powinien wiedzieć.

– Dowiedziałem się mimochodem, kiedy stwierdziłem, że to fajny samochód.

– Aaa, cóż, zasadniczo tak. Najwyraźniej Franco zjawił się w akademiku zaraz po mojej siostrze i gdy nie chciała z nim wyjść, zaczęli się na siebie drzeć. Dziewczyna słyszała podobno coś o tym, że Kim zniknęła na cały dzień i noc. Potem Franco zrzucił jej laptopa ze schodów.

– Po co miałby to robić? – zapytał Gio, żeby sprawić wrażenie, że nic nie wie, ale wiedział doskonale. Kim nie miała zamiaru ponownie poruszać tematu rzucenia studiów, więc Franco próbował na niej taką decyzję wymusić. Ponownie. – Wydaje mi się to nieco zbyt ostre podejście.

– Kłótnia trwała przez pewien czas – odparł Cody wymijająco. – W każdym razie moja siostra wyskoczyła na zewnątrz. Ludzie Franco zostali powstrzymani przez ochronę, którą wezwano do budynku, gdy zaczęło się robić za głośno.

– Czyli nie mogli jej śledzić – stwierdził Gio, teraz mogąc uzupełnić część układanki. – Kiedy do tego doszło?

– Teraz już będzie kilka godzin. Prawdopodobnie nie powinienem się martwić, ale nic nie poradzę. To znaczy coś jest nie tak i nie chodzi tylko o Franco.

– Nie odbiera telefonów od ciebie?

– Wyszła bez swojej torby. Domyślam się, że pewnie tam została jej komórka. Nie mam pojęcia, gdzie poszła, skoro nie potrzebuje pieniędzy, żeby pozostać w ukryciu.

Kabelki w głowie Gio się styknęły i nagle spłynęło na niego oświecenie. Na zewnątrz niebo już ciemniało, a to oznaczało, że było niewiele miejsc, gdzie mogłaby się udać. Istniała szansa, że doskonale wiedział, gdzie poszła, jeśli skłonność do buntowania się przeciwko nieustannym żądaniom Franco mogła stanowić tu jakąś wskazówkę. Nie potrzebowała pieniędzy, żeby dać upust emocjom

i wkurwić narzeczonego. Ostatecznie Gio sam się przekonał pierwszej nocy, kiedy bawili się w *Pulse*, że nie potrzeba ani centa, żeby dostać tam cokolwiek się zechce, poza alkoholem. Jeśli ktoś był na wystarczającym haju albo po prostu w dobrym nastroju, dzielił się wszystkim, co tylko miał.

– Daj znać, jeśli się pojawi. Ja sam też będę się rozglądał – powiedział Gio i już odpalał samochód.

– Jasne. I… dzięki, stary.

– Żaden problem.

Gio mógł się założyć, że Cody nie czułby względem niego zbyt wielkiej wdzięczności, jeśli znałby całą prawdę.

***

Gio przepychał się przez ludzi w *Pulse*, unikając rąk przypadkowych osób próbujących złapać go do tańca. Nie był skory do zabawy.

Właściwie, jak się teraz nad tym zastanowił, to już od cholernie dawna nie miał nastroju, żeby odlecieć. Zajebiście wielu rzeczy nie robił od czasu, gdy przyjechał do Vegas. A w każdym razie nie od tamtego dnia, kiedy spotkał się z Kim. Molly, którą wtedy zażył, była ostatnią rzeczą, jaką uraczył swój organizm, z wyjątkiem koniaku i papierosów.

Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio przetrwał tak długo bez odlotu albo w ogóle nie będąc w jakiś sposób trzepnięty. Zapewne minęło więcej, niż byłby skłonny przyznać. Czuł się tak, jakby robienie tego cholerstwa stanowiło część jego tożsamości. Gio był tym zwariowanym z trójki braci – zawsze nieprzewidywalny i lekkomyślny.

Jakaś odległa jego część śmiała się z tego, powtarzając mu, że ma to pod kontrolą. Ta trzeźwiejsza wiedziała, że wcale tak nie jest. Myśląc o tym, gdy miał czysty umysł, Gio rozumiał, że to, co w swoim mniemaniu robił dla przyjemności, w coraz większym stopniu stawało się czymś na kształt nawyku. Nie miało znaczenia, czy nawyk ten jest mu niezbędny do funkcjonowania. Problem pozostawał realny.

Nie musiał się nawet zanadto zastanawiać, co się zmieniło, że imprezowanie przestało mu być niezbędne do życia. Kim. Czyżby to o nią zawsze chodziło? Pomogło mu to, że nigdy nie musiał się zastanawiać, dlaczego lubi mroczniejszą stronę imprezowego życia. Uganianie się za przyjemnościami stanowiło od zawsze jego rozrywkę, której cel sprowadzał się do tego, by poczuć coś innego niż nuda. Z Kim już nic nie było nudne.

Cholera… czyżby to ona sprawiła, że w ogóle coś poczuł?

Ja pierdolę.

Prawdopodobnie kilku ludziom był winien przeprosiny. Może więcej niż jednej.

Później, powiedział do siebie w myślach, nadal przedzierając się przez falujący tłum ludzi w poszukiwaniu Kim. *Ogarniesz to gówno później*.

Na skraju pola widzenia Gio dostrzegł w przelocie coś jakby blond i błękit. Niemal natychmiast oba kolory utonęły wśród napływających ludzi. Poczuł coś na kształt niewidocznej liny przyczepionej do jego ciała, zmuszającej go do ruchu. Instynktownie zmieniał kierunek poruszania i przesuwał się ku temu czemuś, czymkolwiek albo kimkolwiek to było.

Jezu, miał nadzieję, że to Kim.

Absolutnie nie chciał, żeby wróciła do znęcającego się nad nią Franco, ale musiał się upewnić, że wszystko z nią dobrze. Musiał to zrobić dla spokoju ducha i żeby pozbyć się tego tępego bólu w piersi.

Im bardziej Gio przybliżał się do tego miejsca, tym intensywniej ludzie się poruszali w rytm muzyki. Coraz szybciej, coraz mocniej. Zignorował laski szukające przygody, wzrokiem przeskakując po twarzach w nadziei, że znajdzie tę, której szukał. Nawet dające z głośników techno wzbudzało wibracje podłogi. Na trzeźwo Gio czuł się przytłoczony otaczającym go tłumem.

Przepychając się przez kolejną ścianę ciał, dostrzegł Kim. Zatrzymał się, po czym wypuścił całe powietrze z płuc. Ktoś wpadł mu na plecy, przez co omal nie upadł. Jego zmysły opanował niepokój.

Choć otaczało ich mnóstwo osób, samą Kim interesowało się trzech mężczyzn. Wszyscy razem tańczyli, ale nie tylko. Ich ręce

znikały pod jej niebieską sukienką. Po jej karku błądziły usta, smakując skórę. Facet stojący za Kim trzymał ją za plecy.

Widok, jaki zobaczył, wystarczyłby Gio, żeby się odwrócić i odejść. To była ostatnia rzecz, jaką chciał ujrzeć, i poczuł w sercu okropnie bolesne ukłucie. Coś jednak sprawiło, że nie odszedł. Jej usta były zbyt rozluźnione, a półprzytomne spojrzenie wskazywało, że coś jest nie tak. Gio tylko chwilę zajęło uświadomienie sobie, że stojący za nią facet wcale jej nie trzyma, tylko podtrzymuje.

Być na haju to jedno. To jednak było coś więcej.

Nawet nie myśląc o tym, co robi, Gio przebił się przez resztę ludzi. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było uderzenie otwartą dłonią w bok głowy gościa, który dotykał ustami skóry Kim. Facet zachwiał się i upadł na ziemię, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Na myśl o tym, że inny mężczyzna dotykał Kim, gniew rozszedł się falą po żyłach Gio.

Kim należała do niego.

Nikt nie powinien jej posiąść tak, jak on, a już na pewno nie, kiedy była na haju zbyt dużym, żeby choć w najmniejszym stopniu rozumieć, co robi. W świecie Gio, gdy kobieta była zbyt odurzona, żeby świadomie dokonywać wyborów, „tak” nadal, kurwa, znaczyło „nie”.

– Leż tam, gdzie leżysz, albo cię, kurwa, zajebię, kutasie – warknął Gio, gdy tamten próbował się podnieść.

– Hej, hej…

Gio obrócił się na pięcie, po czym pchnął mężczyznę, który do niego mówił. Jako że to właśnie jego ręce pełzły w górę sukienki Kim, jego również nie miał ochoty słuchać. Poleciał w kierunku ciał, które tańczyły za nim, przez co kilka osób runęło na ziemię, krzycząc z zaskoczenia i złości. Gdzieś poprzez bawiących się ludzi ochrona wreszcie dostrzegła zaczynającą się bitkę i ruszyła na miejsce. Przemieszczali się w kierunku Gio, i to szybko. Było ich kilku.

To go nie powstrzymało.

Teraz ruszył na gościa, który podpierał Kim od tyłu. Problem w tym, że pierdolec nadal ją trzymał. Tylko ten fakt powstrzymał Gio przed wpierdoleniem facetowi pięści prosto w czaszkę, łamiąc sobie przy tym każdą kość w ręce.

– Puść ją – rozkazał Gio.

– Zabieraj ją – wymamrotał tamten. – Jest najebana w trzy dupy.

Wielkie oczy faceta, rzucające pełne paranoi spojrzenia, i rozszerzone źrenice powiedziały Gio, że prawdopodobnie był porobiony. Zapewne jakieś prochy z amfetaminą. Nie zwracał już na niego uwagi, tylko wziął od niego Kim i poczuł, że kolana się pod nią uginają, jak tylko spróbował ją postawić na nogi. Ogarniający go strach jeszcze się nasilił. Z jej ust wyrwał się nieprzytomny jęk. Cała była mokra od potu.

Jej oczy cały czas przypominały wąskie szparki, ale kiedy próbowała je otworzyć, dostrzegł, że źrenice miała tak rozszerzone, iż ledwo widział błękit jej tęczówek. Oddech miała przyspieszony. Jej płuca pracowały szybko, ale nabierały niewiele powietrza. Wyglądało to tak, jakby usiłowała go zaczerpnąć i sprawić, by tam pozostało.

Gio przyłożył otwartą dłoń do jej szyi, czując, jak ręka mu drży, gdy starał się sprawdzić jej puls. Wcale nie musiał się zbytnio wysilać. Organ w jej piersi tłukł się jak oszalały – zdecydowanie za szybko, żeby to było zdrowe dla organizmu.

– Boże, coś ty zrobiła? Hej, hej, hej! – powtarzał Gio, unosząc ją, żeby wziąć na ręce. – Otwórz oczy, *tesoro*. Otwórz i spójrz na mnie. Musisz zachować przytomność. Musisz, kochanie.

Powtarzał to wszystko w kółko, ale nie doczekał się reakcji. Oszołomiona Kim tylko mrugała. Nawet się nie skrzywiła, kiedy przejechał jej kłykciami po mostku, czyli zrobił coś, co powinno być bardzo bolesne i irytujące.

Panika narastała w nim coraz bardziej. Wiedział, co to jest. Jak mógłby się nie domyślić, skoro większość życia spędził, regularnie biorąc narkotyki i pijąc? Kim albo przedawkowała, albo mocno się do tego stanu zbliżyła. Kwestia teraz sprowadzała się nie tyle do tego „czy”, tylko „kiedy” do tego doszło. Ewidentnie coś wzięła, może nawet kilka rzeczy, które przekraczały jej poziom tolerancji. Czasami zrozumienie działania to klucz do tego, żeby nie przekroczyć granicy przedawkowania.

Czasem jednak niekoniecznie.

– Co brała? – zapytał Gio, podnosząc wzrok na jedynego faceta, który był z Kim i się nie ulotnił. Tego, który ją podtrzymywał.

Otaczali ich ludzie. Stali nieruchomo i się gapili. – Zadałem ci, kurwa, pytanie! Co brała?!

Facet wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale wszyscy dziś tu grubo flipują. No wiesz… Naprawdę konkretnie. Nic jej nie będzie?

Gio zaklął pod nosem, nie przestając mocno uciskać kłykciami mostka Kim. W końcu zaczęła wykazywać jakąś reakcję na to działanie, usiłując się wyrwać z jego rąk, ale była słaba. Gio i tak by jej nie puścił, a skoro bolesne zabiegi sprawiały, że zaczynała nabierać przytomności, to miał zamiar kontynuować, aż zacznie go wyzywać i mówić choć trochę spójnie.

Flipowanie było terminem, który Gio znał aż za dobrze. Chodziło zwykle o mieszanie jednej mocnej substancji, na przykład Molly, z innym narkotykiem. Istniało kilka różnych kombinacji i każda z nich miała odmienny skutek. W zależności od jazdy, jaką się chciało uzyskać, istniała określona mieszanka. Zdarzały się zapaści u ludzi, którzy robili sobie flipa z Molly, ale nie mieli dostatecznie wyrobionej tolerancji, żeby eksperymentować z takimi miksami. Była pewna szansa, że cokolwiek tu dzisiaj rozdawano, większość ludzi wzięła te same środki. Jeśli rozdawali to za darmo albo otwarcie proponowali za niewielkie pieniądze, to wzięcie czegoś takiego było o wiele mniej kłopotliwe, niż próba znalezienia dilera, który miał dokładnie to, co chciałeś.

– Flipują z czym? – dopytał Gio.

– *Candy flip* – wyjaśnił tamten.

No jasne, pomyślał Gio.

Pokręcił głową, po czym znów spojrzał na Kim. *Candy flip* to zmieszanie LSD z Molly. Każdy, kto miał w tym temacie jakieś doświadczenia, wiedział, że najpierw trzeba wziąć kwas, a dopiero po mniej więcej godzinie jedną czy dwie tabletki ecstasy. Haj wtedy przeskakiwał na przemian pomiędzy psychodelicznymi skutkami, jakie dawało LSD, i euforycznymi wstawkami, jakie niosła ze sobą Molly. Intensywne wizje zapewniane przez kwas były wspomagane przez emocjonalne doznania związane z ecstasy. Nie było żadną niespodzianką, że *Pulse* stanowił centrum ludzi, którzy szukali *candy*

flipa. Wśród muzyki, efektów świetlnych i ciał nieustannie się poruszających i dotykających, to było jak spełnienie marzeń.

Niemniej była to kombinacja, którą musiał ogarniać ktoś, kto się na tym znał, albo skutki mogły być niewesołe. Znane były przypadki, gdzie zamiast przyjemnego odlotu, doprowadziło to do paranoi, musiał ją stamtąd zabrać, i to gdzieś, gdzie będzie bezpieczniej i wygodniej. Gdziekolwiek, byle z dala od skrajnie pobudzającej atmosfery *Pulse*. Człowiek nie mógł się uspokoić w miejscu zaprojektowanym tak, by uczucie euforii było tak intensywne, jak to tylko możliwe. W jego ramionach Kim zdawała się lekka jak piórko. Hotel, w którym się zatrzymał, był położony dwadzieścia minut jazdy samochodem od *Pulse* i tylko to miejsce przychodziło mu do głowy.

– Najbliższy SOR jest cztery przecznice stąd – odezwał się facet z ochrony, podsuwając mu inną myśl.

Gio z miejsca odrzucił ten pomysł. Szpitale całkowicie odpadały. Ostatnie czego potrzebowali on i Kim, było to, żeby ktoś w ogóle się dowiedział, co się stało. A już na pewno nie musieli wiedzieć, że to Gio ją znalazł. Wtedy pojawiłoby się zbyt wiele pytań.

– Nie mogę jej tam zabrać – odparł Gio, oddalając się od ludzi.

– Prawdopodobnie potrzebuje…

– Wiem, czego potrzebuje i nie jest to szpital.

Rozdział czternasty

Kim to odzyskiwała, to znów traciła świadomość, cały czas błądząc gdzieś na granicy. Zdarzały się momenty, gdy rozumiała, że coś z nią jest nie tak, kiedy indziej wydawało się jej, że to ze wszystkim dookoła coś jest nie w porządku, a poza tym nie wiedziała nic o całym świecie.

Procesy myślowe były powolne. Kompletnie nie miała świadomości swojego najbliższego otoczenia. Bez sensu mrugała, przełykała, obracała głowę, spoglądając na zlewające się ze sobą kolory, po czym mrugała i przełykała ponownie. Ucisk w klatce piersiowej sprawiał, że trudno jej było oddychać, jakby usiadł na niej słoń.

Słoń raczej nie był niczym zabawnym, jeśli na kimś siedział.

Musiał sobie pójść.

– Słonie, co?

Kim rozpoznała mroczny męski głos, ale nie była w stanie go zlokalizować. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to źle, że nie potrafi powiedzieć, do kogo on należy. W lekko rozbawionym głosie dźwięczała nutka strachu, co z kolei wywołało u niej wędrujące po kręgosłupie iskierki paniki.

Ten lęk musiał się jakoś uwidocznić, choć nie miała pojęcia jak. Na ramionach poczuła czyjś ciepły dotyk i wszelkie obawy natychmiast się ulotniły. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że całe jej ciało jest sztywne, z wyjątkiem jednego miejsca, które pulsowało rozprzestrzeniającym się gorącem. Skupiła się na tym uczuciu, barwy się wyostrzyły, a ona poczuła, że znów odpływa.

Nie trwało to długo. Po jej ręce zaczęły wędrować delikatne ukłucia. To ciepłe, cudowne uczucie, które nie mogło być niczym złym, zaczęło ją nagle szczypać i… *auć*, to bolało! Kim wzdrygnęła się przed bolesnym doznaniem.

– Przepraszam. Wiem, że boli. Nie mogę dopuścić, żebyś znowu zamknęła oczy. Zbyt trudno jest cię dobudzić.

Usta Kim zdecydowały się wreszcie nadążyć za resztą ciała i zacząć pracować.

– Ołłł.

Stwierdziła wreszcie, że nie znosi tego ciepła, które łączy się ze znajomym głosem. Nienawidzi go.

– Hej, *tesoro*, tylko nie mów, że mnie nienawidzisz. To by złamało mi serce, i to tak, że nie masz pojęcia.

Z obu stron twarzy poczuła punktowy nacisk, sprawiający, że po policzkach rozeszło się gorąco i zdrętwienie ustąpiło. Ktoś odchylił jej głowę w bok i uniósł w górę. Kilkakrotnie mrugnęła, aby z jej pola widzenia zniknęły kotłujące się masy wszystkiego dookoła. Jedna z rąk trzymała kierownicę, druga szczękę. Zielone oczy przyjrzały się jej, po czym szybko znów zwróciły się na drogę.

Giovanni.

Kiedy tylko spłynęło na nią zrozumienie, poczuła ulgę.

W jej głowie rozbłysły wspomnienia z *Pulse*. Przeskakiwały jedno po drugim, jak fotografie, nieruchome i przetykane dziurami w pamięci. Słowa Franco, jego gniew i to, co zrobiła. Przyrzekł, że nie pozwoli jej zniknąć znowu ot tak. Wokół niej poruszały się światła, dotykały ją ręce. Na języku czuła gorzki smak.

Giovanni.

A jednak nadal coś było nie tak.

– Wydobrzejesz – mruknął. – Tylko cały czas patrz na mnie, *dolcezza*.

Tak też zrobiła, ale znów zjawił się przytłaczający napływ kolorów, przez który w każdej chwili mogła odpłynąć.

***

Kim była rozogniona. Leżała na miękkim łóżku. Dookoła panowała cisza i słychać było jedynie jej przyspieszony oddech. Umysł zaczynał wychodzić z otumanienia, ale nadal była rozpalona. Zdecydowanie za bardzo rozpalona, do cholery. Od stóp po koniuszki palców u rąk całą skórę trawiła gorączka.

I dłonie jej drżały. A może trzęsło się całe ciało?

Jezusie, co się z nią działo?

Tknięta impulsem wyciągnęła rękę w poszukiwaniu Giovanniego, ale go nie znalazła. Na ile była sobie w stanie przypomnieć, nie oddalał się od niej. Mówił do niej, tak by odepchnąć wciskającą się w jej umysł paranoję. Jego głos działał uspokajająco wśród wywoływanych kwasem zwidów. Ale… gdzie się teraz podział?

Prześcieradło na łóżku było białe, a ściany pomalowane na ziemisty brązowy. W ustach miała sucho, ale ciało lepiło się od potu. Nie bała się już. Czuła zapach skóry, dymu papierosowego i mężczyzny, dające jej znajome wrażenie bezpieczeństwa. Rozejrzała się po otoczeniu, które w przeważającej mierze stanowiło przesiąknięte potem prześcieradło, na którym spoczywała jej głowa twarzą do dołu. Stwierdziła, że poruszanie się nie jest dobrą opcją, wnioskując z powolności jej procesów myślowych oraz rozmytego pola widzenia.

Z każdym łomotem jej serca temperatura w pokoju zdawała się stale wzrastać, aż Kim ledwie mogła oddychać. Kurwa, dlaczego była tak cholernie rozpalona? I serce… Waliło jak oszalałe. Nic tu nie było w porządku.

– Gio!

– Tak?

Chrapliwa odpowiedź nadeszła z miejsca znajdującego się jakieś pół metra za nią. Z wielkim trudem Kim odwróciła się na drugą stronę, a każdy centymetr jej ciała zdawał się ważyć setki ton. Giovanni siedział na krześle, które pewnie przyciągnął sobie spod ściany. Wyglądał na wyczerpanego, i to nawet w oczach strasznie sponiewieranej Kim.

– Co tam, *tesoro*?

Kim odruchowo przełknęła, ale w gardle czuła pustynię. Mówienie przychodziło jej znacznie trudniej, niż się spodziewała.

– Ja… naprawdę, naprawdę…

– Kim, *così fan tutti* – powiedział Giovanni. Ostry włoski akcent przykuł jej wzrok i wyrwał z oszołomienia. – Powiedz, co się dzieje.

– Gorąco. Jest mi za gorąco.

Giovanni natychmiast wstał z krzesła i ukląkł przy niej. Zrobił to tak szybko, że znów poczuła otumanienie. Przykładał do jej skóry dłonie, zdecydowanie za ciepłe, co ją drażniło. Nie przynosiło jej to żadnej ulgi czy ochłody, a jedynie irytację, więc w końcu zaczęła kląć, żeby zostawił ją w spokoju. Próbowała odsunąć jego ręce, ale kompletnie jej to nie wychodziło.

– Przestań, idioto. Gorąco mi, do kurwy nędzy. Nie słyszałeś?

– To ty przestań – warknął w odpowiedzi, przytrzymując Kim. – Jesteś rozpalona. Nie czujesz? To znaczy, że twój organizm próbuje dojść do siebie, ale kiedy już to nastąpi, poczujesz się naprawdę chujowo. *Cazzo*… chodź tu.

Niezależnie od tego, czego faktycznie chciała, nie miała jak zaoponować, bo Gio podniósł ją z łóżka, zanim zdążyła ponownie wyrazić swoje niezadowolenie. Tulił ją w swoich silnych ramionach, a okropny żar jeszcze się zdwoił. Zaczęła go wyzywać, ale on ją zignorował.

Kilka kroków później, oślepiające światło łazienki sprawiło, że niemal zamilkła. Próbowała odwrócić wzrok, ale było już za późno. Jej wnętrznościami targnęły spazmy wymiotów i to tak szybko, że nie zdążyła ostrzec Giovanniego.

Jakimś sposobem jednak wiedział, co się szykuje.

Poczuła, że klęczy na podłodze zaraz przy muszli klozetowej. Objął ją ramieniem, przytrzymując w górze, a druga ręka odgarniała jej włosy, tak by nie opadały na twarz. Wymiociny poleciały na porcelanę. Nie za wiele tego z siebie wyrzuciła, ale bolało okrutnie. Atak zawrotów głowy, jaki potem nastąpił, był jeszcze gorszy.

A jednak nie tak zły, jak poczucie upokorzenia, które temu wszystkiemu towarzyszyło. Chciała się przede wszystkim ukryć, odpełznąć od mężczyzny, który ją podtrzymywał.

– Proszę, zostaw mnie – zaskomlała Kim. – Proszę.

Giovanni chwycił ją jeszcze mocniej.

– Już dobrze. Już w porządku. Nic ci nie będzie.

Kim pokręciła głową, a po jej policzkach popłynęły łzy. Gio kołysał ją w tę i z powrotem, a z ust, które przytknął do miejsca za jej uchem, dobiegło uspokajające:

– Ciiii.

Choć faktycznie poczuła się od tego lepiej, to jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków. Teraz już na pewno nie zdoła go poskładać.

Tak cholernie mocno kochała tego mężczyznę. Potrzebowała go tak bardzo, jak płuca powietrza, a ziemia słońca. Wiedziała to, a jednak nie potrafiła sobie z tym poradzić, bo miłość do Giovanniego nie oznaczała nic więcej jak tylko cierpienie. Ból w sercu, którego nie chciała. Nie mogła go mieć, nie na całe życie. Łatwiej było wymusić na nim, by trzymał się z daleka, i zmusić siebie, by robić to samo.

A w każdym razie powinno być łatwiej. Czyste, proste cięcie. Tylko tyle.

Kim czuła się tak głupia. Niemądra, mała dziewczynka usiłująca wmówić sobie, że da radę w świecie dorosłych. To sprawiło, że po prostu rozpłakała się jeszcze bardziej.

– Przestań, proszę…

Giovanni westchnął głęboko.

– Już dobrze? Możesz się poruszać o własnych siłach? – zapytał Gio. Nie miała pojęcia, co, do cholery, ma zrobić, więc nie odpowiedziała nic. – No, Kim, porozmawiaj ze mną. Musisz ochłonąć. Przegrzewasz się i to niedobrze dla twoich komórek mózgowych, bo się powoli ugotują na śmierć z powodu gorączki. Dostaniesz padaczki, jeśli nie obniżę temperatury twojego ciała, i to szybko. Rozumiesz? Pierdolona padaczka. – Skąd on wiedział o takim gównie? – Jakoś ogarnąłem inne cholerstwa dzisiejszej nocy – mówił dalej za jej uchem – ale jak dostaniesz padaczki, to wzywam ratowników medycznych. To zbyt niebezpieczne. Z tym bym sobie nie poradził.

– Aha, dobra – było najlepszą odpowiedzią, na jaką zdobyła się Kim.

Pozwoliła, by podniósł ją z podłogi. Giovanni spłukał wodę, jak tylko wstali. Zawroty głowy i dreszcze, które męczyły ją wcześniej, powróciły z bezlitosną siłą. Nawet nie próbowała się podpierać. Pewny chwyt Giovanniego utrzymywał ją w pozycji stojącej. W głębi umysłu Kim wiedziała, że świadomość myśli i ciała powoli jej wraca. Nie miała już problemu z napierającymi na jej wzrok pozbawionymi sensu kolorami, które tylko potwornie ją przerażały. Jej myśli nie

były już chaotyczne, choć wciąż wszystko funkcjonowało w niej ospale i zaczynała czuć się obolała.

Tylko to gorąco… Nadal przyprawiało ją o duszności.

– Oddychaj – nakazał Giovanni, włączając prysznic. – Tylko nie jakbyś biegła w maratonie, Kim. Musisz zwolnić. Zadyszka sprawi jedynie, że tętno ci przyspieszy. Pomóż mi z tym trochę.

Próbowała zrobić tak, jak mówił, ale nie miała najmniejszego pojęcia, czy jej się udaje, czy nie. Zassanie powietrza do płuc stanowiło najmniejszy problem. Potrzebowała tlenu. To utrzymanie go w nich było tą trudną częścią zadania. Jak tylko zrobiła wdech, czuła, że natychmiast musi go wypuścić, żeby pozbyć się ciśnienia rozpierającego jej klatkę piersiową.

– Dobra, już lepiej. Gotowa?

Kim niezbyt rozumiała, o co Giovanni pyta, póki nie zalał jej strumień wody. Nie był lodowato zimny, ale ciepły też nie. Usunęła się spod kropel wody lejącej się z deszczownicy, ale trafiła prosto na pierś Giovanniego. Wydawało się, że mu to nie przeszkadza, a jedynie objął ją mocniej i woda przemoczyła oboje.

Kiedy wreszcie Kim przywykła do temperatury, ulga przyszła niemal natychmiast. Orzeźwiające ochłodzenie sprawiło, że westchnęła. Wkrótce Giovanni opadł na podłogę kabiny prysznicowej, pociągając za sobą Kim. Pozostała tak, skulona w jego objęciach, pozwalając, by zimne krople robiły swoje, a tymczasem ona puściła serce i myśli do galopu.

– Uspokój się – powiedział cicho Giovanni. – Wiem, że to trudne, ale musisz się trochę zrelaksować. Będziesz się czuć fatalnie, jak totalne gówno. Po prostu się na to przygotuj. Czuję twoje serce, *tesoro*. Wali jak młotem.

Nie miała pojęcia, jak zrobić to, o co prosił. To było niemożliwe, biorąc pod uwagę, jak się czuła. Teraz ponosiła konsekwencje wszystkich tych głupich rzeczy, których narobiła. Jasne, nie pamiętała części wspomnień z ostatnich kilku godzin, ale większość tak.

– Dwadzieścia jeden lat i masz ochotę zarobić na pierdolony zawał serca? Co ty sobie myślałaś? – zapytał Giovanni, obejmując ją mocniej, jakby bał się ją wypuścić.

– Że nie chcę nic czuć.

– Zabawne, bo w moim przypadku jest dokładnie na odwrót. – Tu Giovanni wydał odgłos, którego Kim nie potrafiła odczytać. – Ale poważnie? Przez niego? Prawie się zabiłaś z powodu Franco, Kim.

– Lepiej, jeśli ja to zrobię niż on – odparła, doskonale wiedząc, jak to zabrzmiało. – To szybszy sposób niż to, jak on to robi.

– Jezu Chryste – powiedział Giovanni, opierając czoło o jej kark. Mogłaby przysiąc, że poczuła, jak zaciska zęby. – A co z resztą ludzi w twoim życiu?

– Nie wiem…

– A ze mną? Co ze mną, Kim?

Na ułamek sekundy jej serce stanęło, tak samo jak oddech.

– Co?

– Boże, nie wiesz, co by to ze mną zrobiło? Kiedy znalazłem cię w takim stanie, nie byłem zdolny nawet myśleć. To było takie pojebane. Gdybym nie zdołał cię znaleźć, to istnieje spora szansa, że byś tam przedawkowała i nikt by tego nawet nie zauważył, aż w końcu byłoby za późno. Dlaczego chciałaś mi to zrobić?

Nie myślała o tym w ten sposób. Jej bezrefleksyjne działania wydawały się teraz bez porównania bardziej samolubne.

– Przepraszam.

– Naprawdę?

Kim nie odpowiedziała. Nie rozumiała, jak to się dzieje, że całe jej serce i każdy najdrobniejszy fragment jej duszy rozpada się przez rzeczy, nad którymi kompletnie nie ma kontroli. To nie wina Giovanniego, że tak ją do niego ciągnie, że tak go kocha i pragnie, iż ledwo potrafi znieść samo przebywanie w jego pobliżu.

Wstrząsające nią dreszcze się nasiliły, ale nie z powodu gorączki. Giovanni przyciągnął ją mocniej do siebie i ciepła swojego ciała. Choć przebywanie tak blisko niego było bolesne, to oparła policzek w miejscu, gdzie biło serce, pozwalając, by jego rytm ją ukoił. Gio wyraźnie był na nią zły i czuł się zraniony, ale jej nie puszczał. Nadal jej pragnął.

– Ja cię kocham, a ciebie to nie obchodzi, *tesoro*. Ja cię nie obchodzę. Nieustannie myślę o tym, że wciąż jest dla nas przyszłość,

i to jedyna rzecz, która mnie tu, do cholery, trzyma, a ciebie to nie obchodzi nawet odrobinę.

O mój Boże!

Wyznając, że ją kocha, Giovanni równocześnie zrobił najlepszą i najgorszą rzecz, jaką mógł. Co ona miała z tym począć?

– Obchodzisz mnie – westchnęła Kim – tylko że…

– Że co? – zapytał Giovanni. – Powiedz. Daj mi coś, co pozwoli mi myśleć, że nie tracę tu tylko czasu albo że całe to szaleństwo było coś warte.

– Miłość do ciebie mnie zabije, Gio.

***

Odbicie, które spoglądało na Kim z lustra, trudno było jej nawet rozpoznać. Długie włosy były poplątane i skołtunione. Miała też kilka siniaków na rękach i zadrapanie na nadgarstku. Skąd się tam wzięły, nie miała pojęcia. Pewne fragmenty ostatniej nocy było jej łatwiej przywołać niż inne. Jej zazwyczaj blada cera teraz wyglądała niezdrowo. Jeśli miała być szczera, to czuła się beznadziejnie.

Nabrała zimnej wody z umywalki i próbując się rozbudzić, ochlapała nią całą twarz. Zużyła już połowę butelki płynu do płukania ust, żeby pozbyć się obrzydliwego smaku wymiocin.

Znów spojrzała w lustro. *Kim ty jesteś, do jasnej cholery?* To jedyne pytanie, jakie była w stanie zadać swojemu odbiciu. Z powodu swojego lekkomyślnego zachowania, odczuwała przytłaczające obrzydzenie i wstyd.

Kiedy nieco wcześniej się obudziła, pokój hotelowy był już pusty. Kim nie musiała długo się zastanawiać, gdzie się podziewał Giovanni. Liścik, jaki zostawił na szafce nocnej, wyjaśniał, że zabrał jej ciuchy, żeby je wyprać, i niedługo wróci. Kim chciała się po prostu zapaść pod ziemię. Wstyd zżerał ją żywcem. Spotkanie z Giovannim sprawiło, że poczuła tym większy strach na myśl o konieczności powrotu do Franco. Nie chodziło o to, że sądziła, by Giovanni mógł ją skrzywdzić. Nie mógł. Ludzie, którzy kochają, nie mogą zniszczyć czegoś, czego potrzebują do życia.

Słodki Jezu.

On ją kochał.

Niejasno sobie przypomniała, jak Giovanni ją rozebrał z mokrych ciuchów, kiedy tylko temperatura jej ciała spadła na tyle, że bezpiecznie można ją było wyciągnąć spod prysznica. Zdołała znaleźć jedną z jego koszulek i jak tylko wstała, założyła ją na siebie. Oczywiście pachniała dokładnie tak, jak on. Kolejny składnik jej pokuty.

Panika, jaką dojrzała w oczach Giovanniego, stale ją teraz prześladowała. Było pewne szczególne wspomnienie spowitej mrokiem podłogi i brzmiącej basami muzyki, którego nie potrafiła się pozbyć. I to niezależnie, jak bardzo się starała.

Giovanni nie mógł jej zranić, ale ona zraniła go okropnie.

Ogarnęło ją poczucie winy.

– Kretynka – zbeształa się Kim.

– Wolałbym, żebyś tak do siebie nie mówiła – odezwał się zza jej pleców Giovanni.

Nie usłyszała, jak wchodził do pokoju hotelowego, ale kran umywalki wciąż był odkręcony, a ona już wielokrotnie się przekonała, że Gio w razie potrzeby potrafi się zachowywać bardzo cicho. Jeśli dodać do tego ból pulsujący jej z tyłu czaszki, trudno się dziwić, że ją zaskoczył.

Napotkała jego spojrzenie w lustrze. Nie dostrzegła w nim osądzania. Nie został nawet ślad po rozczarowaniu czy nawet gniewie, jakie jej okazał zeszłej nocy. W zielonych oczach widać było tylko empatię i nic poza tym.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Jakby w moim żołądku i głowie właśnie rozgościł się diabeł z całym piekłem.

– Taaa, znam ten ból – zaśmiał się Giovanni, machając brązową, papierową torbą, którą trzymał w jednej ręce. W drugiej miał plastikową. – Mam tu środki przeciwbólowe spod lady i lek przeciwwymiotny. Weź to zażyj, a potem chodź coś zjeść.

Na samą wzmiankę o jedzeniu, żołądek Kim zagroził buntem. To nie tak, że zostało w nim coś, co mógłby z siebie wyrzucić, ale nawet myśl o tym, że coś tam trafi i przez to znów będzie się kłaniać muszli klozetowej, nie wydawała jej się zbyt rozsądną perspektywą.

– Nie, dzięki.

– To nie była propozycja – odparł twardo Giovanni. – Jeśli mieszasz narkotyki, takie jak Molly i kwas, to przynajmniej powinnaś wiedzieć, jak się o siebie zatroszczyć. Warto na przykład mieć coś w żołądku, zanim odlecisz, i upewnić się, że następnego dnia dasz swojemu organizmowi odpowiednią ilość przyzwoitych składników odżywczych. Ponieważ ewidentnie wczoraj nie jadłaś ani odrobinę, bo skurcze żołądka były całkowicie bezproduktywne, to musisz, do ciężkiej cholery, zjeść coś dzisiaj. Chodźmy.

Kim westchnęła, czując się zbyt rozbita emocjonalnie i fizycznie, żeby wykłócać się z upartym mężczyzną. Mimo to mała iskierka buntu nadal się w niej tliła.

– Nie traktuj mnie jak dziecko, Gio.

– To się tak nie zachowuj, *tesoro*. Daj spokój tej gierce. Wiem dokładnie, jak się teraz czujesz. Pozwól mi się sobą zaopiekować, a resztą zajmiemy się później. Nikt nie wie, że jesteś tu ze mną, i na ile się orientuję, Franco odpuścił sobie wysłanie psów gończych, żeby za tobą węszyły.

– Mój samochód – szepnęła Kim. – Jest zaparkowany zaledwie kilka bloków od *Pulse*.

– Niech Franco albo któryś z jego ludzi go znajdzie. Tak czy inaczej do niczego ich on nie doprowadzi.

Mięśnie Kim zaprotestowały, gdy się wyprostowała i obróciła do Giovanniego.

– Dziękuję za… Cóż, za uratowanie mnie przed samą sobą.

– Zawsze cię uratuję, Kim. Musisz tylko poprosić.

Tych prostych kilka słów było naładowanych treścią bez porównania większą, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Dla Kim to była puszka Pandory, a nie była pewna, czy chce ją otwierać. Jednak Giovanni nie pozwolił, by pozostała zamknięta.

– Czy to była prawda, co powiedziałaś zeszłej nocy o tym, że mnie kochasz? – zapytał.

– Tak, choć to mnie przeraża. Gdzie się nie obrócę, nie potrafię postępować tak, jakbym cię nie kochała, i to nawet wewnątrz swojej zwariowanej głowy. Jeśli sama siebie nie potrafię przekonać, że cię nie kocham, to jak mam o tym zapewnić ludzi dookoła mnie?

– Spróbujemy coś wymyślić – powiedział Giovanni po prostu. – Jeśli właśnie tego chcesz.

– Czego ja chcę…? Boże, Gio! Nie chcę cię skrzywdzić i nie chcę zostać przez to wszystko skrzywdzona. Tylko że to już musztarda po obiedzie.

– Tak jak mówiłem, jeśli to mnie pragniesz, to coś wymyślimy, *tesoro*. A na razie chodź i zjedz ze mną śniadanie. Poczujesz się znacznie lepiej, kiedy będziesz mieć w brzuchu jedzenie i prześpisz się jeszcze kilka godzin. Obiecuję. Zachowujmy się przez jakiś czas, jakby poza tym pokojem nie było nikogo. Tylko ty i ja. Tak może zostać, jak długo będziesz chciała.

– Albo przynajmniej póki nie będę musiała wrócić, prawda?

Giovanniemu drgnęła szczęka.

– Nie, jeśli należysz do mnie.

A należała?

Rozdział piętnasty

Kim się nie odzywała, skubiąc jedzenie, które położyła sobie na kolanach. Od strony płaskiego ekranu dobiegało buczenie głosu reportera, które przykuwało jej uwagę, a przynajmniej tak się wydawało.

– Nie masz zamiaru suszyć mi głowy? Od czekania zaczynam się robić nerwowa.

– Myślę, że to, co powiedziałem zeszłej nocy, wystarczy – odpowiedział Gio.

Nie w tym rzecz, że zgadzał się z wyborami Kim, ale jakie miał prawo, żeby ją osądzać? Poprzednią dekadę swojego życia Gio spędził, wciągając wszelkie dostępne substancje, i to tylko dlatego, że mógł to robić. Jasne, starał się nie pozwolić, by ktoś go znalazł w sytuacji takiej, jak ta wczoraj, ale nie znaczyło to, że zawsze mu się udawało. Po prostu pragnienie dobrej zabawy często zmieniało się w noce, których nie pamiętał, i poranki, w trakcie których starał się dojść do siebie na płytkach łazienki.

Dio buono. Panowanie nad sobą i powściągliwość? To by była największa dawka taniego pierdolenia, jaka kiedykolwiek wyszła z jego ust.

Gio jednak wreszcie zrozumiał, jak czuli się ludzie, którym na nim zależało, gdy musieli patrzeć, jak spuszcza swoje życie w kiblu. Przyglądając się Kim po drugiej stronie pokoju, nie potrafił wyrzucić z głowy obrazu jej odbicia w łazienkowym lustrze – spojrzenia stłamszonego fatalnym samopoczuciem i zmęczeniem. Pod oczami miała sine kręgi, a na całym ciele siniaki i zadrapania.

Gio aż nadto dobrze znał ten stan i nierzadko sam wyglądał podobnie. Tak więc nie, nie miał zamiaru robić Kim wyrzutów.

– Domyślam się, że Franco nie przyjął za dobrze twojej nieobecności, co?

Kim parsknęła.

– Nie. Myślę, że jedyna rzecz, jaka powstrzymywała go przed tym, żeby pójść na całość, to obecność innych osób w akademiku.

– Jeśli chcesz mi opowiedzieć, co się stało po tym całym bajzlu z Franco, to zamieniam się w słuch.

– Tak w ogóle skąd wiesz o Franco?

– Dzwonił do mnie twój brat.

Obróciła się gwałtownie w jego kierunku, spoglądając na niego zdziwionym wzrokiem.

– Cody?

– Masz chyba tylko jednego brata, nie?

– Ale Cody i ja… My nie… Nie jesteśmy…

Gdy Kim odwróciła wzrok, Gio zmarszczył brwi.

– Cody się o ciebie martwi, jeśli o to właśnie ci chodziło.

– Raczej nie za wiele – mruknęła Kim.

– Myślę, że się mylisz.

– Chciałabym, ale wątpię. Cody to kropka w kropkę kopia Nunza. Jedyne, co go obchodzi, to brnąć do przodu.

Gio westchnął pod nosem, bo wciąż nie był przekonany.

– Gdyby nie obchodziły go problemy, które masz z Franco, to myślę, że w ogóle by się nie wtrącał w całą sytuację.

– Może zrobił to, żeby podtrzymać dobre relacje z Franco.

– Jasne. Kochanie, nikt nie ma dobrych relacji z Franco, poza samym Franco. Cody zdaje sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie wie, że znajduje się w gównianej sytuacji pomiędzy twoim ojcem, Franco i usiłowaniem przejścia inicjacji. Lojalność względem ciebie mogłaby im pokazać, że nie będzie lojalny wobec rodziny. Mimo wszystko nic nie poradzi na to, że się martwi. Wciąż pozostajesz jego młodszą siostrą.

– Inicjacji?

– Myślałem, że masz dobre rozeznanie w tym, jak działa La Cosa Nostra.

Kim wzruszyła ramionami.

– Mówiłam, że wiem to i owo, ale nie wszystko.

Gio stwierdził w myślach, że pewnie ma rację.

– Przejść inicjację to znaczy stać się członkiem mafii. Cody wciąż nim nie jest, ale dość głęboko siedzi w interesach. Nie widzę w tym

sensu. W jego wieku, będąc synem jednego z szefów, powinien mieć już inicjację za sobą. W dużej rodzinie, takiej jak moja, oczekiwanie byłoby bardziej zrozumiałe.

– Aha – skomentowała Kim, patrząc na Gio z ukosa i unosząc brew. – Może tato jest zdania, że jeszcze nie jest gotów. Ile miałeś lat, kiedy sam przeszedłeś inicjację?

– Siedemnaście.

Kim popatrzyła na niego. Po jej twarzy błąkało się zaskoczenie.

– Ale właśnie powiedziałeś, że twoja rodzina…

– W mojej rodzinie zawsze uznawano mnie za księcia mafii, podobnie jak moich braci. To nie ta sama sytuacja co z Codym. Nunz nie ma chyba wystarczająco solidnej pozycji, żeby inicjacja wydawała się niezbywalnym prawem Cody'ego. Choć na mój przypadek można spojrzeć z podobnej perspektywy, to mimo wszystko na to, co otrzymałem, ciężko zapracowałem zarówno przed, jak i po inicjacji. To, co się z nią wiąże, przyjmujesz dożywotnio. Jasne, wszyscy rozumieli, że przejdę ją, kiedy tylko zechcę, ale nie powinno mi się wydawać, że ot tak po prostu mogę być członkiem mafii.

– Wydaje się skomplikowane – mruknęła Kim.

– Powiem ci więcej. Wtedy wydawało mi się, że nigdy nie znajdę nic, czego bym pragnął bardziej niż inicjacji. Dorastałem, postępując według zasad Cosa Nostry, i to jeszcze zanim musiałem się ich trzymać. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że będzie coś, dla czego warto będzie je złamać. To znaczy, dopóki nie spotkałem ciebie.

Kim umilkła i zaczęła się wiercić, a jej twarz zniknęła mu z pola widzenia.

– Jak to się stało, że wczoraj tak się załatwiłaś? – zapytał Gio. – Jeśli chciałaś nic nie czuć, to zdecydowanie zażyłaś nie to combo.

– Załatwiłam się i tyle – powiedziała Kim wymijająco.

– A kiedy się zorientowałaś, było już za późno.

– Tak. Przykro mi, Gio.

Westchnął ciężko.

– Wiem.

– Czy to kawa? – zapytała Kim, zerkając bokiem na jednorazowy kubek na wynos, który trzymał w dłoni.

– Tak. A bo co?

– Dobra kawa? – zapytała Kim.

– Lepsza niż to gówno, które serwują w restauracji na dole.

– Mogę się napić, skoro ty jesteś zbyt zajęty gapieniem się na mnie?

Gio się zaśmiał przyłapany na gorącym uczynku. Kim wracała do swojego naturalnego, sarkastycznego podejścia. Właśnie to pragnął zobaczyć. Nieco życia w jej oczach. Zadziorność w jej głosie.

Wskazał na sok pomarańczowy i butelkę wody stojące obok jej łóżka, po czym powiedział:

– Napij się jednego albo drugiego. Teraz ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz, to kofeina. Nie jest pożywna.

– W małych dawkach jest. Nie sprzeczaj się ze mną w tym temacie. Kawa to dla mnie płyn życia każdego ranka. Daj mi tę kawę, Gio, albo zostanę zmuszona, by ci ją odebrać.

Gio poczuł, jak kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

– Tak chcesz to rozegrać?

– Tak.

– A jak dokładnie masz zamiar mi ją odebrać, *tesoro*?

Kim wzruszyła ramionami, znów spoglądając na płaski ekran.

– Rozpłakałabym się, w wyniku czego byś mi ją oddał. Większość mężczyzn nie wytrzyma widoku płaczącej kobiety. Z mojej strony to niewielki wysiłek. Płaczę z byle powodu.

– Wiedziałbym, że łzy są udawane – zauważył Gio.

– Wcale nie. Potem i tak byś się poczuł winny i dał mi kawę. Równie dobrze możesz dać mi ją teraz i będziemy mieć to z głowy.

Gio się roześmiał, przyznając tym samym, że przegrał to starcie.

– Dobrze.

Wstał i podszedł do Kim. Podając jej kubek, nachylił się przez jej ramię tak, żeby być bliżej niej. Cały ranek starał się zachowywać poprawnie, nie chcąc przypadkiem jej przestraszyć. Dla niej i dla niego stawka była w tym wszystkim wysoka.

Jednak Gio wciąż ją kochał. Jego ręce stale pragnęły jej dotykać i trzymać w objęciach. Potwornie pragnął ją pocałować. Uwielbiał to, jak wyglądała, siedząc na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, ubrana w jego koszulkę, nawet pomimo fatalnego samopoczucia, jakie na pewno jej towarzyszyło. Kim nadal była dla niego piękna

i przyprawiała go o szaleństwo. Wstrzymywanie tych myśli i uczuć, by dać jej nieco wytchnienia, nie było łatwe.

Kiedy palce Kim objęły trzymającą kubek dłoń Gio, obróciła się lekko, by pocałować go w policzek. Patrząc z boku, wydawało się to niewinne, ale mimo to mówiło więcej niż tysiąc słów. Dzieląca ich przestrzeń trochę się zmniejszyła.

– Dziękuję – wymamrotała Kim.

– Nie ma za co. Chyba zaczyna mi to wchodzić w nawyk. Ale mam lepsze rzeczy do roboty.

– Jak na przykład przyglądanie mi się?

– Dokładnie. – Gio pospiesznie ucałował bok jej ust. – Tak dla jasności – powiedział jej w ucho – nie czułbym się winny, bo nigdy nie przyprawiłbym cię o łzy. – Gio wstał, patrząc w oczy Kim, która spoglądała na niego przez ramię. – Ale – mówił dalej, wzruszając nonszalancko ramionami – nie obiecam, że nie sprawię, by ktoś inny, kto spowodował twój płacz, czuł się winny. Albo że go nie zabiję. Trudno powiedzieć, jak to będzie. Może być różnie, w zależności od mojego nastroju.

– Gio!

– No co? Tylko tak mówię.

– To okropne.

– Tak naprawdę okropne jest to, że myślisz, że żartuję. A wcale tak nie jest.

Kim westchnęła, poważniejąc.

– Tak, wiem.

Wtedy właśnie, gdy jej niebieskie oczy przyglądały mu się tak samo jak zwykle, Gio uświadomił sobie, że Kim go zna. Może nawet aż za dobrze. Widziała, jak zabija człowieka, a tydzień później spędziła z nim cały dzień, a potem jeszcze noc. Kim rozumiała, że… Gio był tym, kim był, i miała świadomość, do czego był zdolny. Tylko że nie miała z tym problemu. Może to było głupie, a nawet niezdrowe, ale jeśli to nie była jakaś szalona miłość, to Gio nie chciał nawet wiedzieć, co nią było. Po prostu chciał Kim.

Wciąż siedząc na łóżku, odwróciła się do niego, po czym postawiła kubek na szafce nocnej.

– Co z tobą?

– Ty. Ostatnio myśl o tobie nie daje mi spać w nocy i sprawia, że w dzień jestem rozkojarzony.

– Nie sprawiasz wrażenia jakoś szczególnie szczęśliwego albo wkurzonego z tego powodu, więc nie bardzo wiem, co mam z tym zrobić – przyznała Kim.

– To dlatego, że przeważnie ja sam nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić – odparł Gio.

– Tak?

– Taaak. A mimo to jest wiele rzeczy, które wiem na pewno, gdy myślę o tobie i mnie. To, jak się z tym czuję, jest całkiem jasne.

– Więc mi powiedz – poprosiła Kim.

Gio zdecydował, że pozwoli jej spojrzeć na nieustającą walkę, jaka toczy się w jego głowie.

– Ty, tak jak teraz, w mojej koszulce, przyprawiasz mnie o totalnie, kurwa, grzeszne myśli. Uważam, że wyglądasz rozkosznie i oddałbym wszystko, żeby ją z ciebie zdjąć. Poważnie, wszystko, Kim. Nawet swoją prawą rękę, jeśli tego zapragniesz. – W jej oczach zatańczyły rozbawienie i pożądanie, ale Gio mówił dalej. – Wszystkie moje myśli krążą wokół ciebie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Przez to ostatnio nawet nie potrafię sensownie używać głowy. Wyczuwam cię, gdy jesteś dwa metry ode mnie, a potem czuję cię przez całe dnie po tym, jak odejdziesz. To wariactwo. Poważnie myślę, że zaczynam wariować.

– Gio…

– Nie, po prostu mnie wysłuchaj. Nienawidzę Franco. Ma szczęście, że go nie zabiłem. Możesz mi wierzyć, że ta pokusa chodziła za mną przez ostatnie pięć lat, zanim ty w ogóle się pojawiłaś. Większość ludzi po prostu porusza się w granicach tego, co jest do przyjęcia, i dlatego funkcjonują w swoim bajzlu. Franco z kolei jest tak głupi, że nawet ludzi u swojego boku trąca ciągle kijem i myśli, że nikt go nie może tknąć. Jeśli za niego wyjdziesz, to chyba spalę całe to jebane w dupę miasto do gołej ziemi. Ubarwię niebo kolorami pomarańczu i czerwieni. Ten gość nie wie o tobie kompletnie nic. Nawet tego nie chce. Chce cię jedynie wcisnąć w swoje wyobrażenia. Tak że wiesz co? On nie jest w stanie cię mieć. Nie zasługuje na to. – Chcąc, by jego rozpędzony umysł trochę

zwolnił, Gio wziął głęboki wdech. – Dobija mnie, że muszę się zastanawiać, gdzie w nocy śpisz i czy jesteś bezpieczna, bo nie ma cię ze mną. Kiedy patrzy na ciebie ktoś inny, boli mnie to, a ból ten wcale nie jest dobry. I jeszcze ta ostatnia noc… Jeśli jeszcze raz zgotujesz mi takie paskudne gówno, jak tamto, to, dopomóż mi Boże, przykuję cię łańcuchami do ściany. Nie zrobisz mi więcej nic podobnego. Nie, jeśli mnie kochasz. Proszę bardzo, możesz mnie teraz znienawidzić. Dam sobie z tym radę, ale gdybym cię stracił… gdybym cię stracił, *bella*…

– To co wtedy? – zapytała szeptem.

– To wsadziłbym sobie lufę swojego pistoletu do ust i to jeszcze zanim twoje ciało by ostygło.

– Nie mów takich rzeczy, Gio.

– Jestem jedynie tak szczery, jak tylko potrafię, Kim. To, co teraz jest między nami, cokolwiek to jest, może i zmusiło mnie do kłamstw, ale to nie będzie trwało długo.

– Masz na myśli to, że nie chcesz, żeby to trwało? – powiedziała Kim.

– Nie. – Gio pokręcił głową. – Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Nie będę stale nas ukrywał. Tak nie powinno być.

– To nie takie proste, Gio.

– Ale będzie musiało być proste, albo kurewsko dużo ludzi przez to ucierpi. Nie tylko spalę to miasto, jeśli go poślubisz. Jestem je również gotów spalić, żeby cię z tego wyciągnąć. To właśnie miałem na myśli.

Jednakże Kim miała rację. Gio po prostu nie chciał tego przyznać na głos. To nie miało dla niego żadnego znaczenia. Obchodziło go tylko to, czego chciała Kim.

– Powiedz, co chcesz, abym zrobił – dodał cicho po chwili.

Kim się roześmiała, choć raczej ponuro.

– Jak to możliwe, że sobie jeszcze mnie nie odpuściłeś?

– Lubię trudne sprawy, choć zwykle to ja jestem ich przyczyną. Rozkwitam w chaosie. Ty jesteś huraganem, który rzuca mną na wszystkie strony. Przestań robić uniki. Nie odpowiedziałaś na pytanie.

– Nie mam pojęcia, jak się od niego uwolnić – powiedziała Kim. – Ślub tuż-tuż. Choć miło jest pomyśleć, że mogłabym po prostu wstać i z tobą wyjść, to oboje wiemy, że to nie najlepszy pomysł.

– Nie, nie najlepszy – niechętnie zgodził się Gio. – Przez jakiś czas może by się udało, ale gdy już byśmy wrócili, ktoś by na nas czekał. Moją rodzinę też by to postawiło w słabej pozycji. Nie chcę, by płacili za wybory, jakich dla ciebie dokonuję.

– Błędy – poprawiła go Kim.

– Może to słowo, którego ty byś użyła, ale ono by oznaczało, że tego żałuję.

– A nie żałujesz?

To, że Kim stale zadawała mu pytania tego rodzaju, martwiło go, i to w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić. Może zeszłej nocy nie wyraził się dostatecznie jasno, a może jego słowa nadal się nie przebiły do jej upartego serca. Bóg świadkiem, że potrafiła być trudna. To była kolejna rzecz, którą u niej doceniał i uwielbiał.

– Wiesz co, zbyt wiele osób dało sobie ze mną spokój – powiedział Gio. – Nie wykraczają poza wyznaczone przeze mnie granice. Od bardzo dawna próbowali i bez powodzenia. Poruszam się w swoim świecie i robię to, co chcę, i nie mam zamiaru się przejmować innymi czy ich opiniami. Sprzeczanie się ze mną jest zwykle bezsensowne. Mam dość jasny pogląd na to, czego chcę.

– Do czego zmierzasz? – zapytała Kim, unosząc brew.

Gio zmierzał właśnie do tego.

– Przed chwilą to udowodniłaś. Ktoś inny by odpuścił, wiedząc, że ani drgnę. Ty nie. Sprzeczasz się ze mną, domagasz się, żebym wyjaśnił, o co mi chodzi. Nie ma znaczenia, czy tego chcę, czy nie. Zmuszasz mnie do mówienia. To świetne!

Kim się roześmiała.

– Świetne?

Gio uklęknął przy krawędzi łóżka, chwycił Kim za nadgarstek i pociągnął ją tak, by również opadła na kolana. Koszulka, którą miała na sobie, uniosła się lekko, odsłaniając krzywiznę bioder i tyłka. Chcąc bardziej poczuć Kim, Gio puścił jej rękę, by wsunąć dłonie pod koszulkę. Po jego skórze zatańczyło cudowne ciepło.

Przyciągnął ją bliżej, tak że dzieliło ich od siebie zaledwie kilka centymetrów.

– Dla mnie jesteś doskonała.

Kim zadrżała, gdy jego palce przesunęły się po jej nabrzmiałych piersiach.

– *Dammi un bacio*, Gio.

Fakt, że powiedziała to po włosku, zaskoczył Gio. To było jak zajebiście potężny bodziec. Miał świadomość, że dobrze zna ten język, ale rzadko go słyszał z jej ust. Pocałunek… O to właśnie go prosiła. Coś tak prostego, a jednak sprawiło, że zaniemówił.

– Gio?

– Chcesz tylko pocałunku, Kim?

– Nie – wyszeptała. – Chcę wszystkiego.

– Ale boisz się, że nie będę w stanie dać ci nas?

– Co wcale nie znaczy, że tego nie chcę, Gio.

Pocałował ją delikatnie, niczym muśnięcie wiatru, a potem całował coraz mocniej, gdy Kim rozchyliła wargi, dając mu dostęp do swoich słodkich ust. Ugryzła delikatnie jego dolną wargę, w wyniku czego fala pożądania popłynęła prosto do jego kutasa. Palce Kim przeskoczyły na jego ramiona, a następnie na kark, wplątując mu się we włosy.

– Powinnaś częściej mówić po włosku – powiedział Gio, drażniąc kciukami koniuszki jej sutków. Uwielbiał, kiedy dostawała gęsiej skórki pod wpływem jego dotyku. – Ale tylko do mnie. W twoich ustach ten język działa na mnie nieziemsko.

Po jego karku przesunął się paznokieć i powędrował za koszulkę.

– Tak?

– Mmhmm.

– Nie ma sprawy. *Spogliati*, Giovanni.

Słowa spływały z jej języka w sposób skrajnie erotyczny. Powiedziała mu: „Rozbierz się”. Gdzieś z głębi gardła Gio wydobył się dźwięk przypominający coś pomiędzy jękiem i warkotem.

– O Jezu! Tak, mów tak tylko do mnie!

– Pospiesz się – nakazała Kim żartobliwie.

Pomogła mu ściągnąć koszulkę przez głowę. Nie mógł sobie poradzić z guzikiem i zamkiem błyskawicznym swoich spodni.

Pożądliwie napierające usta Kim i wciskający się między jego wargi język zmusiły Gio, by zaczął się ruszać nieco szybciej. Dżinsy opadły wreszcie na podłogę, a miękkie palce Kim chwyciły za bokserki i po chwili z bioder zsunęła się i ta część garderoby.

Kiedy tylko znalazły się na podłodze, Gio klęknął na materacu łóżka, a następnie chwycił koszulkę, którą miała na sobie Kim. Niezbyt delikatnie uniósł materiał w górę. Jego twardy kutas oparł się o jej brzuch. Czując, jak jej skóra pociera o jego wrażliwego penisa, Gio omal nie zwariował.

Jego zakończenia nerwowe zapłonęły pożądaniem. Kim je tylko podsycała. Chwyciła jego członka mocno w dłoń, po czym zaczęła przesuwać ją po nim rytmicznymi ruchami. Nie rozluźniała uścisku, póki Gio z sykiem nie wypuścił powietrza przez zęby i nie wypowiedział z jękiem jej imienia.

– Chcę to z ciebie zdjąć – powiedział przez zaciśnięte zęby, ciągnąc koszulkę, która wciąż zakrywała ciało Kim. – Teraz nie jest ci do niczego potrzebna.

Pozwoliła mu ściągnąć z siebie przeszkadzającą tkaninę, co dało mu dostęp do jej piersi. Jasna cholera, uwielbiał jej cycki. Jędrne wzgórki, doskonale pasujące do jego dłoni. Kim drżała za każdym razem, gdy jego palce dotykały różowych pączków jej sutków. Nachylił się, po czym zagłębił zęby w bok jej prawej piersi na tyle mocno, by poczuła ukłucie.

To wystarczyło, żeby ugryzienie zostawiło idealny odcisk jego szczęki na jej ciele. *Jedno oznaczenie*, pomyślał Gio. Do czasu, aż skończą, miał zamiar zostawić tuzin kolejnych, które tylko on mógł zobaczyć. Należała do niego i chciał, by była tego świadoma.

– Powiedz jeszcze raz, Kim – poprosił Gio, pocałunkami wyznaczając ścieżkę do jej obojczyka – kogo pragniesz?

Jej głos był przytłumiony z pożądania, ale mimo to ją usłyszał.

– Ciebie.

– Tylko mnie.

– Tylko ciebie – powtórzyła.

Dochodząc do piersi, Gio chwycił czubek sutka zębami, przykładając płasko język, by go posmakować. Każdy centymetr miał

inny smak. Słodki. Cierpki. Piżmowy. Wyraźna esencja Kim zmieszała się na podniebieniu Gio.

– Uwielbiam to, jak reagujesz na moje ręce – powiedział Gio, przeciągając dłońmi po zarysie jej brzucha. – Miękka, gładka i tak bardzo rozpalona. Dla mnie.

Jęknęła pod wpływem jego dotyku, aż poczuł wibracje. Im bardziej się zbliżał do jej cipki, tym intensywniej się w niego wpatrywała. Na koniuszku języka miała niewypowiedzianą prośbę. Mógł to wyczytać w jej oczach, śledzących w napięciu, jak wędruje po jej ciele, a także z ruchu bioder, które napierały na jego erekcję.

– Czego pragniesz, *tesoro*?

– Dotykaj mnie – błagała Kim. – Boże, po prostu mnie dotykaj, proszę!

– Dotykam.

– Gio, proszę.

– Użyj słów – zażądał Gio – albo obiecuję, że przestanę.

– Nie, nie przestawaj – wyjęczała Kim, gdy opuszki jego palców dotknęły skóry nad jej łechtaczką. Jej ręka znów znalazła się na penisie, obciągając go mocno, a druga równie intensywnie trzymała go za ramię. – Chcę dojść, Gio. Zerżnij mnie palcami i doprowadź do orgazmu.

Z jego piersi wydobył się mroczny śmiech. Było coś niebywale pięknego w tak brudnych słowach wydobywających się z tych ślicznych ust. Nakręcało go to jak nic innego. Poczuł, jak jego kutas pulsuje jeszcze mocniej i staje się jeszcze twardszy.

– Właśnie to chciałem usłyszeć, Kim.

Skóra cipki Kim pod jego palcami, zagłębiającymi się pomiędzy jej mięsiste fałdki, była gładka jak jedwab. Cała spływała sokami. Jej uda zadrżały i zacisnęły się wokół jego ręki, gdy zatopił dwa palce w jej ciasne wnętrze. Wilgoć jej cipki pokryła dłoń Gio. Nic nie pachniało tak, jak aromat jej soków. Po prostu to, kurwa, uwielbiał. Dla niego zawsze była mokra, gotowa i chętna. Im bardziej się zbliżała do orgazmu, tym silniejszy stawał się jej zapach i tym więcej soków spływało na jego palce. Gio chciał, aby doszła szybko, żeby mógł je posmakować językiem.

Pieprzył palcami cipkę Kim mocno i głęboko. Wsunął kolejny palec, po czym rozchylił wszystkie trzy podczas wyciągania, żeby ją poszerzyć i sprawić, że jej gorące wnętrze wydawało się jeszcze bardziej wypełnione. Kciukiem zaczął naciskać na jej nabrzmiałą łechtaczkę, którą teraz pocierał przy każdym wsunięciu dłoni w jej cipkę.

– Boże, Gio… Właśnie tak – wyjęczała Kim.

Dłoń Kim poruszała się dookoła jego kutasa, ściskając go na tyle mocno, żeby przyprawić Giovanniego o jęki. Zagłębiła paznokcie w jego ramię tak, że na pewno zostały czerwone zadrapania. Gio nawet tego nie zauważył. Te ślady były warte noszenia.

– Chyba wiem dokładnie, co ci się podoba, prawda?

– Tak!

Była tak blisko szczytu, że piszczała przez zaciśnięte zęby. Niebieskie oczy Kim były teraz szeroko otwarte i wpatrzone w niego, jak pocisk naprowadzany na cel. Gio jeszcze mocniej docisnął jej pulsująca łechtaczkę, czując, jak jej biodra wychodzą naprzeciw każdemu jego pchnięciu.

– Prawie – wymruczał Gio, gdy ścianki jej pochwy zaczęły miarowo się zaciskać na jego palcach.

– *Cristo*… Taaaak.

Zginając palce do wewnątrz, Gio poszukał tego mięsistego miejsca, dzięki któremu mógł sprawić, że zaczną z niej tryskać płyny, a jej ciałem wstrząsną dreszcze. Kiedy z ust Kim wydobył się krzyk, wysoki i urywany, a jednocześnie jej mięśnie zaczęły się naprężać, wiedział, że je znalazł. Jej ręka zaczęła go uderzać, żeby przestał, ale Gio nic sobie z tego nie robił. Chciał tylko dalej patrzeć na jej szczytowanie.

Kiedy naparł na to miejsce ponownie, napięcie promieniujące na całe ciało Kim nagle zelżało. Jej krzyki wzrosły o oktawę, po czym przywarła swoim policzkiem do jego. Gdy dochodziła, drżąc i wymawiając jego imię prosto do ucha Gio, jego dłoń zalały cierpko pachnące soki. Wysunął palce z jej cipki, dokładnie w momencie, gdy ona uwolniła jego kutasa.

Miękkie usta Kim, błądzące po jego szczęce, powstrzymały go przed zgięciem jej wpół i wzięciem jej, jakby była pieprzonym

zwierzęciem. Objęła palcami jego nadgarstek, a następnie przyciągnęła sobie do warg nadal mokrą dłoń. Gio patrzył oniemiały, z krwią gotującą się z podniecenia, jak jego palce znikają w ustach Kim. Język zatańczył dookoła nich, zbierając soki jej cipki.

– Posmakuj mnie – wymruczała, jak tylko wyciągnęła palce z buzi. – Pocałuj mnie i skosztuj.

Giovanniemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zamiast kolejnego miażdżącego pocałunku, takiego jak wiele wcześniejszych, niespiesznie zaczął jej okazywać miłość, dotykając swoimi wargami jej ust i zbierając każdą odrobinę jej podniecenia, jaką zdołał wyczuć swoim językiem. Cierpki smak doprowadził jego pożądanie do takiego wrzenia, że nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko by pchnąć Kim na łóżko i pieprzyć ją, póki nie zapomni o wszystkim innym.

Pohamował się i całując zapytał.

– Czego pragniesz?

– *Voglio far l'amore con te* – odparła delikatnie Kim.

Kochaj się ze mną.

Nie rżnięcie. Nie brutalnie, szybko i mocno. Nie chciała, by ją wykorzystał, i tak naprawdę Gio też wcale tego nie chciał.

– Dobrze, *amore*.

Gio nadal klęcząc, chwycił Kim w pasie, po czym podniósł ją, żeby objęła go nogami. Kiedy tylko znalazła się na wysokości jego podbrzusza, ustawił kutasa dokładnie naprzeciwko jej szczeliny, a ona nadziała się na niego, zatapiając go w sobie. Ciasne ścianki jej cipki objęły jego fiuta, sprawiając, że wstrzymał oddech, zatracając się w uczuciu naturalnego dotyku.

Przez chwilę Gio podtrzymywał ją mocno za tyłek, żeby pozostała w miejscu, tak że palce zatapiały mu się w jej krągłe pośladki. Chciał ją po prostu czuć – to, jak perfekcyjnie do niego pasowała, jak jej wnętrze doskonale obejmowało jego kutasa, a jej soki otulały go jedwabistą wilgocią i ciepłem. Nie potrafił się nadziwić, jak w takich chwilach każda jego część dopasowywała się do Kim. Miał pełną świadomość jej ciała, dźwięków, tego, jak wyglądała i jak się czuła. To wszystko należało do niego, i wiedział o tym. Gio już zawsze miał zamiar kochać tę kobietę, niezależnie od tego, co się stanie. Ta

świadomość stanowiła balsam dla tych części jego duszy, których istnienie negował zdecydowanie zbyt długo.

Gdy jedna z jego rąk nadal trzymała Kim za tyłek, druga przesunęła się na jej plecy. Bez pośpiechu czy zamierzonej szorstkości, zaczął unosić jej ciało, po czym znowu nadziewać na całą długość swojego kutasa. Wyczulone ścianki jej pochwy zacisnęły się mocniej, obejmując go ciasno.

Kim dość szybko dostosowała się do jego rytmu, poruszając biodrami za każdym razem, gdy opadała na jego członka. Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Niewiele minęło czasu, nim zatopiła twarz w łuku jego szyi, wydychając wprost na jego skórę czułe odgłosy błogości. Jedną rękę wplotła w jego włosy, drugą trzymała pomiędzy łopatkami, a tymczasem on dalej wykonywał te same, powolne, niemal nabożne ruchy.

– Gio, ja… – Urwała, gdy po plecach przeszedł ją dreszcz.

– Ciiii – powiedział łagodnie, znacząc pocałunkami szlak między jej ramieniem a szyją.

Jej skóra smakowała seksem, nim i nią. Teraz zalał ją kompletnie inny rodzaj gorączki, obezwładniając go swoim ciepłem. Kim odrzuciła głowę w tył, pozwalając Gio w pełni cieszyć się widokiem jej twarzy, gdy oparła się całym ciężarem na jego dłoni podpierającej dolną część jej pleców.

Na jej skórę znowu powrócił kolor, za to zniknęła chorobliwa bladość, która martwiła go cały poranek. Z rozchylonymi ustami, zaczerwienionymi policzkami i ciałem wygiętym w łuk wyglądała po prostu zajebiście. Była tak niesamowicie seksowna, że patrzenie na nią zbyt długo stawało się bolesne, chociaż nie mógł nic poradzić na to, że uporczywie przypatrywał się, jak go ujeżdża.

– Zaraz… – Jej słowa urwały się nagle, gdy wydała z siebie głośny krzyk, któremu towarzyszyło zaciskanie się cipki dookoła jego kutasa. Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Mięśnie napięły się jak sprężyna, po czym wszystkie równocześnie się rozluźniły.

Gio obserwował, jak jej ciałem wstrząsa orgazm, jak rozszerzają się jej źrenice i zaciskają zęby. Słabnące skurcze jej szczytowania doprowadziły go do ekstazy szybciej, niż się spodziewał. Kim znów posłała go w otchłań rozkoszy, całując przy tym jego usta i ponownie

biorąc go całego w posiadanie. Gio wytrysnął swoje nasienie tak głęboko w niej, jak tylko zdołał, tuląc ją mocno do siebie, podczas gdy jego nerwy powoli się uspokajały.

Czuł się cholernie pierwotnie. Jakby w ten sposób na zawsze zostawiał na niej swój znak.

– Chcę nas – wyszeptała Kim tuż przy jego policzku.

– A ja zamierzam ci to dać – obiecał.

Jakimś sposobem. Gio jednak zamierzał zacząć od ofiarowania jej czegoś innego. Było to coś, czego nigdy jeszcze nie dał nikomu innemu, bo nie istniał na ziemi nikt taki jak ona. Nikt nie posiadł Giovanniego Marcello tak, jak zrobiła to kobieta, którą właśnie trzymał w ramionach.

– *Ti amo tanto, tesoro*.

Promienny uśmiech rozświetlał twarz Kim, gdy wydyszała cztery słowa:

– Ja też cię kocham.

Rozdział szesnasty

Widok jej brata siedzącego przy stole Franco zaskoczył Kim, kiedy weszła do kuchni, choć prawdopodobnie nie powinien. Razem z nim siedziało tam trzech innych mężczyzn. Rozpoznała tylko Lucasa. Nie miała pojęcia, kim są pozostali dwaj. Franco z kolei stał z drugiej strony pokoju i mamrotał coś z telefonem przy uchu.

– Kimberlynn! – Cody niemal krzyknął, jak tylko dojrzał siostrę w wejściu. Twarze wszystkich obróciły się w jej kierunku. Lęk zaczął w niej narastać, jak tylko Franco odłożył telefon. W jego przymrużonych oczach czaił się gniew.

– *Vaffanculo*! Zejdź mi z oczu i idź do mojego biura.

– Wolałabym nie – odparła Kim cicho.

Miała dość silne przeczucie, że to spotkanie przebiegnie zdecydowanie lepiej, jeśli dojdzie do niego przy innych ludziach. Na twarzy Franco odmalowała się irytacja, kiedy w widoczny sposób zacisnął szczękę.

Gdzieś w zakamarkach umysłu Kim pojawił się obraz Giovanniego, przytulającego ją tego ranka do siebie w łóżku, jakby wyczuwał, że wyjdzie sama, choć nie mógł tego wiedzieć. Myślała o ich trzech spokojnie spędzonych w pokoju hotelowym dniach, kiedy razem mogli się zachowywać, jakby reszta świata nie istniała, a ona należała tylko do niego.

Słowa Giovanniego, że odbierze sobie życie, jeśli coś jej się stanie, potwornie przytłoczyły ją i jej złamane serce. Nie mogła sobie z tym poradzić, bo ostatecznie do tego właśnie zmierzali. Śmierć stanowiła jedyne, co mogło ją wyplątać z zaręczyn z Franco, a i tak wcale nie musiała Giovanniego spotkać z jego własnej ręki.

Kochała go. Kochała go na tyle, by pozwolić mu odejść.

Kim miała nadzieję, że zrozumie. Giovanni zrobił, co musiał, żeby ją chronić, a teraz ona robiła to samo dla niego. Niczym się to nie różniło.

Mógł wrócić do Nowego Jorku, do swoich braci i rodziców, którzy go kochali. Reputacja, na którą sobie zapracował, pozostałaby nienaruszona, a nie splamiona jej postępowaniem. Jego rany w końcu by się zagoiły, a gniew ustał. Ruszyłby dalej. Tak działało życie. Czas leczył rany, a życie było warte tego, by je przeżyć. Giovanni zasługiwał, by zachować swoje, więc niezależnie, jak bardzo ją kochał i pragnął, Kim miała zamiar mu je dać.

Wcześniej tego dnia Gio poszedł pod prysznic, a wtedy Kim wyszła z hotelu.

– Na zewnątrz czeka taksówka – poinformowała Franco. – Ktoś musi zapłacić za kurs.

Franco wskazał Cody'ego podbródkiem.

– Zajmij się tym, Abella.

Cody przyjrzał się siostrze, gdy przechodził obok niej, a w jego oczach wyraźnie widać było sympatię. Kim pomyślała o tym, co Giovanni mówił o jej bracie. Może miał rację.

– Cześć!

– Cześć – wyszeptał Cody, pociągając ją za rękaw koszulki. – W porządku?

Nie.

– Będzie w porządku – powiedziała Kim, mając nadzieję, że jej uśmiech wyglądał na bardziej szczery, niż jej się wydawało.

– No dobra. Głowa do góry.

Kim wyprostowała się i z trochę pewniejszą postawą przygotowała się, by stawić czoła Franco, jak tylko Cody wyjdzie.

– Chcesz, żebym przeprosiła?

Franco prychnął.

– Nie tylko przeprosiła. Gdzie się podziewałaś przez ostatnie trzy dni?

– Wyjechałam.

– Wyjechałam – przedrzeźnił ją Franco. – Tak samo jak zniknęłaś ze szkoły. Chętnie bym się dowiedział, jak to się dzieje, że nieustannie rozpływasz się w powietrzu. Okłamałaś mnie, Kimberlynn. Nie lubię pierdolonych kłamców. Chcę, do ciężkiej cholery, poznać prawdę i to natychmiast.

Kim zachowała spokój.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałaś mi, że zanim znowu się ulotniłaś, byłaś ze swoją przyjaciółką. Masz mnie za idiotę, dziewczyno?

– Nie.

Zbyt skupiony na sobie, żeby zauważyć cokolwiek innego.

– Jednak z pewnością tak uważasz, bo nie pomyślałaś, że każdy z twoich znajomych jest sprawdzany, tak na wszelki wypadek. A możesz być cholernie pewna, że tak właśnie jest. Otóż kazałem chłopakom cię poszukać, a gdy się tym zajmowali, przy okazji zadawali twoim przyjaciołom trochę pytań.

Kim zesztywniała, nie chcąc, by przyprawił ją o łzy.

– Nie mam przyjaciółek, Franco. Wszystkie mi odebrałeś.

– Dokładnie tak. Ale masz stare przyjaciółki. I żadna z nich nie była z tobą ani też nie wiedziała nic o tym, żebyś spędziła czas z kim innym. Tyle że jedna z dawnych przyjaciółek wspomniała, że przypadkiem zauważyła, jak pierwszego dnia, gdy wyparowałaś, rozmawiasz z kimś, kogo nie znała.

W górę pleców Kim przeszły ciarki.

– Kłamie.

– Oj, wątpię – odparł Franco rzeczowym tonem. – To nie ona ma zwyczaj znikać i ukrywać pewne rzeczy.

– A może twoi ludzie wystraszyli ją tak, że powiedziała im cokolwiek, żeby tylko zostawili ją w spokoju?

Usta Franco zmieniły się w cienką linię.

– Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze. Będziesz moją żoną, a to oznacza, że nie będziesz mieć sekretów. Jeśli to z kolei oznacza, że będę musiał trzymać cię w domu w zamknięciu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, żeby nie pozwolić ci na coś podobnego ponownie, to tak właśnie zrobię. Ochroniarz, zamiast jechać za tobą w samochodzie, będzie siedział obok ciebie na kanapie, stał w drzwiach, kiedy będziesz gotować, i czekał pod drzwiami łazienki, kiedy ty będziesz w środku.

Kim westchnęła ciężko, rozdygotana.

– To się nie powtórzy.

– Zabawne, ale ci nie wierzę. Nie dałaś mi zbyt wielu powodów, żebym ci ufał, i jak dla mnie, to cholerna szkoda. Spójrz na ten dom,

Kimberlynn. Na swój piękny, nowy samochód. Na kolacje, które kosztowały więcej, niż wielu ludzi w tym kraju jest w stanie zarobić przez miesiąc. Ubrania, buty, torebki i biżuterię, które wypełniają twój pokój. W ogóle nie zauważasz tych rzeczy. Nie jesteś wdzięczna za to wszystko, co masz, będąc ze mną?

– Nigdy o nie nie prosiłam.

Ani o ciebie, chciała dodać.

Franco prychnął z nienawistnym i mrocznym wyrazem twarzy.

– Nie różnisz się od każdej innej dziwki. Może i skrywasz to lepiej niż one, ale jesteś dokładnie taka sama.

– Nie nazywaj mnie dziwką, Franco – powiedziała cicho Kim, patrząc mu prosto w oczy. – Nie jestem jedną z twoich *goomahs* i nie pozwolę, żebyś mnie tak traktował.

– To może nie powinnaś się tak zachowywać. Zapytam tylko jeszcze jeden raz, Kimberlynn, i oczekuję pełnej szczerości. Gdzie byłaś?

– Wyjechałam – powtórzyła.

– Dobrze – rzekł Franco, po czym skinął głową. Odwrócił się do Lucasa, nakazując: – Przynieś mi ją.

Lucas wstał od stołu i wyszedł z pokoju, zanim Kim zdążyła pomyśleć, co Franco dla niej szykuje. Podczas nieobecności swojego przydupasa, wskazał jej wolne krzesło.

– Usiądź moja śliczna, mała narzeczono, żebyśmy mogli sobie porozmawiać, jak należy.

Dlaczego w jego ustach nazywanie jej tym słowem brzmiało, jakby próbował ją obrazić?

Kim posłuchała Franco i zrobiła, co kazał. Po dwóch minutach wrócił Lucas. Przedmiot, który miał przewieszony przez ramię sprawił, że serce Kim podskoczyło do gardła, a żołądek się skurczył. Po powrocie znad jeziora Mead nie pomyślała, żeby ukryć skórzaną kurtkę Giovanniego, i zostawiła ją na oparciu fotela przy biurku. Franco albo któryś z jego fagasów musieli ją zauważyć, kiedy zabierali jej rzeczy z akademika.

Franco złapał marynarkę, a następnie rzucił ją na stół.

– Czyje to jest?

– Moje – odparła Kim, niezupełnie kłamiąc.

– To męska kurtka, Kimberlynn. Chyba ustaliliśmy już, że nie jestem idiotą.

– Czyli co? Nie mogę mieć marynarki, bo takie rzeczy noszą mężczyźni? Na kobiecie też wygląda nieźle.

Franco uniósł pytająco brew.

– A jednak nigdy nie widziałem, żebyś ją nosiła.

– Chcesz, żebym nosiła…

– Wiem, czego chcę – przerwał jej ostro. – Wiem też, jakie rzeczy masz w szafkach w akademiku, jak również co tam było, a czego nie było w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Przyglądałem ci się na długo przed wydarzeniami w kasynie i nigdy niczego takiego nie nosiłaś, nawet wówczas. Ma zapach mężczyzny, Kimberlynn. Nadal pachnie jak ten, do którego należy. A więc kim on jest?

Obserwował ją na długo, zanim przyłapał ją na liczeniu kart? Dobry Boże, dlaczego?

Uczucie paniki jeszcze się w niej nasiliło.

– Należy do przyjaciela.

– Jego imię?

– Nie podam ci go – odparła Kim, wzruszając ramionami. – Wydaje ci się, że nie jestem nikim więcej jak tylko twoją własnością, Franco, ale nie pozwolę, byś krzywdził niewinnych ludzi tylko dlatego, że jesteś pierdolnięty. To tylko marynarka. Pożyczyłam ją, bo było zimno, i zapomniałam ją oddać.

– Nie jesteś dobrym kłamcą.

Kim położyła ręce na kolanach, skrywając, jak bardzo się trzęsą. Liczyła na to, że szczęśliwym zrządzeniem losu nikt nie poznał, że marynarka należała do Giovanniego.

– To udowodnij, że jest inaczej.

– To ten sam przyjaciel, z którym znikasz, teraz już drugi raz? – zapytał Franco z nutą groźby w głosie.

– Nie.

Franco poruszał się tak szybko, że zarys jego sylwetki prawie się rozmył. Ścisnął palcami jej szczękę, unieruchamiając całą głowę i zmuszając, by patrzyła prosto na niego. Poczuła, jak od tego uścisku zaczyna ją boleć twarz, ale nie okazała tego nawet mrugnięciem.

– Powtórzmy to jeszcze raz, Kimberlynn: jesteś fatalnym kłamcą.

Franco zmusił Kim, by odwróciła głowę w bok, tak że zobaczyła Cody'ego wchodzącego do kuchni. Na jego twarzy odmalowywała się chłodna obojętność, która w sercu Kim odbiła się tępym bólem. To, co zobaczył, nawet go nie ruszyło.

– Przeproś brata za to, że musiał się martwić twoimi dziecinnymi nonsensami – zażądał Franco.

– Przepraszam, Cody – wyszeptała Kim.

Zanim jej brat zdołał odpowiedzieć, Franco obrócił ją z powrotem ku sobie. Okrucieństwo w jego oczach stanowiło coś, do czego Kim już dawno przywykła, ale mimo to wciąż się tego bała.

– Masz rację, nie mam dowodu. Jednak to, co mam, wystarczy, żebym zrobił się podejrzliwy i solidnie wkurwiony.

Bez ostrzeżenia zrzucił ją z krzesła, tak że poleciała na podłogę. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było znalezienie się pod nim, gdy był zły, toteż instynkt kazał jej wstać równie szybko, jak się przewróciła.

Chwyciła się za szczękę, czując, jak już zaczynają się tworzyć zaczerwienione ślady po jego palcach. Poczuła w sobie narastającą furię, która jak trucizna zmusiła ją, by stawiła mu czoło.

– Nie waż się nigdy więcej mnie tknąć, Franco.

Cios spadł na jej prawy policzek tak nagle i mocno, że nie miała nawet czasu zareagować. Znów upadła na podłogę, gdy jej kolana ugięły się od siły uderzenia. Ból i zaskoczenie pojawiły się w tym samym momencie. Jej płacz rozszedł się po pomieszczeniu, w którym zapadła śmiertelna cisza. W ustach poczuła metaliczny posmak – krew. Z trzęsącym się ciałem wypluła czerwoną ślinę na posadzkę.

On mnie uderzył.

Kim nie mogła w to uwierzyć, ale nagle uświadomiła sobie, że opuszczanie hotelu stanowiło największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniła.

Żaden z mężczyzn przy stole nie patrzył na Kim. Na języku poczuła jeszcze więcej krwi, a ból pulsował to z jednej, to z drugiej strony szczęki. Franco nie dał jej po raz drugi wstać z ziemi. Nachylił się, by znów chwycić ją za twarz, tak że palce zacisnęły się na obolałym miejscu, gdzie wcześniej spadł cios.

– Ktoś cię dotykał, Kimberlynn, a ja dowiem się, kto to był. Może i teraz nie mam dowodów, ale je zdobędę. Kiedy już to zrobię,

poślubię cię dokładnie tak, jak zawsze planowałem. Kiedy zabraknie ojca, moje miejsce jako dona rodziny będzie chronione. Potem zastrzelę cię jak kurewską sukę, którą jesteś, a później ruszę swoją radosną ścieżką.

Ręce Kim zacisnęły się w pięści na płytkach podłogi. Tylko w ten sposób okazała swój strach. Nie pozwoliła, by z jej oczu popłynęły łzy.

– Wypuść mnie.

– Oj, wypuszczę. – Spiorunował ją wzrokiem, a jego głos zmienił się w szept. – Ciesz się, kochanie, że tylko tyle dostałaś za swój mały wybryk. Gdyby twój brat nie patrzył, zabrałbym cię na górę i pokazał, na co zasługuje taka dziewczyna jak ty. Jak by nie było, komuś się oddałaś, i to już z moim pierścionkiem na ręce. Dlaczego nie mnie?

– Ojciec chce, żeby wróciła do domu po resztę swoich rzeczy – powiedział twardym i zimnym tonem Cody, wciąż stojąc przy drzwiach. – Tak szybko, jak to możliwe. To jego słowa, nie moje. Chce mieć już jej bałagan z głowy.

Franco puścił Kim, po czym wyprostował się, poprawiając spodnie.

– Wyślę tam kogoś.

– Właściwie to myślę, że będzie chciał z nią pogadać o tym całym gównie. Poza tym ma zjeść kolację z rodziną swojej żony, więc powinna tam być przynajmniej po to, żeby się pokazać.

Franco westchnął, posyłając Kim kolejne spojrzenie.

– Wstawaj, Kimberlynn.

Zrobiła, jak powiedział, nie chcąc ryzykować kolejnego uderzenia.

– Ale mój…

– Stul pysk – warknął na nią Franco. – Będziesz potrzebował Lucasa, żeby się nią zająć, czy dasz sobie z nią radę sam?

– Dam sobie radę – zapewnił go Cody.

– Dobrze. A teraz zejdź mi z oczu, Kim, zanim opuści mnie ten dobroduszny nastrój.

Sekundę później już jej nie było w pomieszczeniu, bo chciała się wydostać z tego domu najszybciej, jak to było możliwe. Przynajmniej pamiętała, żeby wziąć swoją torebkę, którą ktoś zostawił przy drzwiach.

***

Cody nie odjechał nawet dziesięć minut drogi od domu Franco, nim skręcił gwałtownie w boczną uliczkę i zatrzymał się na miejscu parkingowym. Kim zakrywała dłonią zaczerwieniony policzek, pragnąc, by oczy przestały ją piec od wzbierającego płaczu. Upokorzenie i strach w jej sercu nie słabły ani trochę.

Dźwięk odpinanego pasa bezpieczeństwa sprawił, że Kim odsunęła się od swojego starszego brata. Nie mogła nawet na niego spojrzeć, nie mówiąc już o sytuacji, kiedy to on patrzył na nią. Cody ją zaskoczył, bo nachylił się ku niej i zamknął w mocnych objęciach.

– Przepraszam. Tak bardzo przepraszam, Kimberlynn. Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzał raz za razem, coraz mocniej ją ściskając, a tymczasem z jej oczu wreszcie popłynęły łzy.

– Co… Co ty robisz? – zapytała Kim, gdy jej ciałem zaczęły wstrząsać szlochy.

– Musiałem cię po prostu stamtąd wyciągnąć, dobra? Wybacz, że się nie wtrąciłem, ale gdybym to zrobił, on by mi nie pozwolił zabrać cię ze swojego domu. Zachowywał się tak, że pewnie zastrzeliłby na miejscu mnie i ciebie. Wpierw musiałem cię wydostać. Nie mogłem pomóc. Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Kim rozpłakała się jeszcze bardziej, kiedy Cody ocierał łzy z jej twarzy, uważając szczególnie przy tworzących się sińcach.

– Co ja mam zrobić?

Cody westchnął głęboko.

– To Giovanni, prawda?

Kim znieruchomiała, nie chcąc odpowiadać na pytanie. Granie głupiej wydawało się na tę chwilę lepszym planem.

– Co?

– Gio. To z nim się włóczysz po mieście. Poznałem jego marynarkę, jak tylko Lucas pokazał ją Franco tamtego dnia i, cóż…

– Co cóż?

– Zapytałem taksówkarza, skąd cię zabrał. Podrzucałem trochę rzeczy Giovanniemu od czasu, kiedy tu jest. Znam adres hotelu, w którym się zatrzymał. Od kiedy?

– Pierwszy raz był w Nowym Jorku – wyszeptała.

– Kurde, Kim.

– Kocham go.

– Mam nadzieję – odparł delikatnie Cody. – Bo dać się zabić za dobre bzykanko to naprawdę niedorzeczne.

Kim roześmiała się ponuro.

– Ty to jak coś powiesz…

– Wiem. To kwestia dumy. – Cody odgarnął włosy z twarzy Kim, równocześnie wycierając kolejne łzy. – Cholera, będziesz miała okropne siniaki. Przykro mi.

Przypomniały jej się jego słowa sprzed paru tygodni, gdy jechali do Franco. Poczuła, jak po jej plecach, jedna fala po drugiej, przechodzą dreszcze.

– Cody, nie możesz tam wrócić i narobić głupot.

– Mogę zrobić cokolwiek, kurwa, zechcę.

– Nie, nie możesz. Wpakujesz się tylko w tarapaty, albo coś jeszcze gorszego.

Cody westchnął.

– Kim…

– Obiecaj mi, Cody. Wiem, jak ważne dla ciebie jest przejście inicjacji. Proszę, nie zniszcz z mojego powodu wszystkiego, na co tak usilnie pracowałeś.

– Skąd o tym wiesz?

– Gio wyjaśnił mi parę spraw. Myślałam, że zachowujesz się wobec mnie jak dupek ze względu na Nunza, ale to wcale nie o to chodziło. Potrzebowałeś dystansu, żeby zrobić to, co należy. Jeśliby się połapali, że żywisz wobec mnie sympatię, to by oznaczało, że nie postępujesz zgodnie z zasadami rodziny. Trzymając się z daleka i okazując mi oziębłość, nie musiałeś mnie krzywdzić w inny sposób. Teraz to rozumiem.

– Chryste – pokręcił głową Cody, opierając się z powrotem w swoim fotelu. – Wykorzystywał mnie przeciwko tobie, prawda?

Kim skinęła potwierdzająco.

– Ciebie, mnie, moich przyjaciół. Właściwie wszystkich. Gdyby w tym wszystkim chodziło tylko o mnie, to nie obchodziłoby mnie tak bardzo, gdyby wreszcie z tym skończył i mnie zabił.

– Tu jednak nie chodzi tylko o Franco.

– Nie. Tato dorzuci swoje trzy grosze wszędzie, gdzie tylko ma możliwość. Słyszałeś, co o mnie myśli.

– Pierdolone skurwiele.

– Cody, obiecaj mi – znów zażądała Kim.

– Nie mogę tego zrobić.

– Obiecaj!

Cody uniósł ręce w geście poddania.

– Dobrze, już dobrze, uspokój się.

Kim opadła na oparcie fotela, czując ogromny ciężar na piersi.

– Nie powinnam była opuszczać hotelu. Muszę zadzwonić do Gio.

Obiecała, że do niego zadzwoni, jeśli znowu Franco zrobi jej coś fizycznie. Giovanni był zapewne wkurzony jak jasna cholera, że wyszła bez słowa, i pewnie się zamartwiał, ale tej obietnicy nie miała zamiaru złamać.

– Proszę. – Cody wyciągnął swoją komórkę z uchwytu na napoje, po czym rzucił ją Kim na kolana. – Giovanniego mam zapisanego jako „Skip". Powiedz mu, żeby się z tobą spotkał za hotelem, na parkingu dla pracowników.

Pierwszy raz tego dnia Kim dokonała właściwego wyboru. Miała tylko nadzieję, że nie doprowadzi jej i Giovanniego do płytkiego, wykopanego naprędce grobu.

***

Kim czekała w samochodzie, a Cody wysiadł, żeby porozmawiać z Giovannim w cztery oczy. Wierciła się w fotelu, czując, jak płonące zielenią oczy przyglądają jej się z zewnątrz. Czy mógł dostrzec sińce na twarzy? A może opuchliznę, którą trzeba było obłożyć lodem?

Kim zerknęła pospiesznie w tamtym kierunku i zobaczyła obu mężczyzn stojących tak blisko siebie, że prawie się dotykali. Pierwszy uderzył Cody, szybko jak błyskawica, i trafił Giovanniego z taką siłą, że padł na ziemię. Całe powietrze uszło z płuc Kim z głośnym sykiem. Wewnątrz niej narastał strach, a ona sama zamarła.

Kiedy wreszcie zdołała się poruszyć, wygrzebała się z siedzenia, a następnie starała się odpiąć pas bezpieczeństwa, szarpiąc się z tym

cholerstwem, żeby móc wysiąść z samochodu. Gdy wreszcie zdołała się uwolnić, a jej ręka sięgnęła do klamki, Giovanni już wstał i z łobuzerskim uśmieszkiem na ustach ocierał plamę krwi z ust.

Obaj podali sobie ręce i skinęli głowami.

Kim poczuła się, jakby ktoś ją właśnie podrzucił do *Strefy mroku*.

Przez pięć długich minut Kim obserwowała, czekając, a tymczasem obaj mężczyźni rozmawiali. Giovanni nie spuszczał z niej oczu nawet na sekundę. Jasne, czaił się w nich gniew, ale z twarzy dało się również wyczytać troskę, szczególnie w zmarszczonym czole. Poczuła wyrzuty sumienia.

Co ona zrobiła?

W końcu Cody wrócił do samochodu i zamknął drzwi. Uśmiechając się w bardzo smutny sposób, powiedział:

– Wiesz, że cię kocham, tak?

Kim skinęła głową.

– Tak.

– Dobra. Już się pewnie nie zobaczymy, bo po dzisiejszym dniu już tu nie wrócisz. Jeśli mam zachować swoją pozycję, nie będę mógł nawiązać z tobą kontaktu. Ostatnie, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci to, co najlepsze, i mieć nadzieję, że ci się powiedzie. Chciałem tylko się upewnić, że to wiesz.

Nie miała nawet szansy, żeby zapytać go, co miał na myśli, bo jej brat nachylił się, po czym otworzył drzwi z jej strony.

– Powodzenia, Kim.

***

Po zamknięciu drzwi pokoju hotelowego Giovanni milczał. Kim zauważyła dwa stojące worki marynarskie, spakowane i zamknięte. Wszystkie jego rzeczy, które przedtem były rozrzucone na dużej przestrzeni, zniknęły. Na łóżku leżał goły materac, a na nim sterta złożonej pościeli. Wyglądał na gotowy do przejęcia przez ekipę sprzątającą, która miała przygotować pokój na kolejnego gościa.

– Wyjeżdżasz? – zapytała.

Giovanni westchnął.

– Nie, my wyjeżdżamy. A w każdym razie na dzisiejszą noc. Spędzimy ją w nowym hotelu. Tak dla pewności, żeby nikt nie wiedział, gdzie się zatrzymaliśmy.

Kim zmusiła się, by przełknąć rosnącą w jej gardle gulę.

– Tak bardzo mi przykro.

Giovanni odwrócił się ku niej z wilgotnymi oczami, co sprawiło, że jej serce na moment przestało bić. W jednej chwili zrobił dwa kroki, po czym ujął jej twarz w najdelikatniejszy możliwy sposób, opuszkami kciuków głaszcząc ją po kościach policzkowych. Kim nie potrafiła powstrzymać łez spływających znowu z oczu. Jej usta pokryły pocałunki.

– Spójrz na siebie, *tesoro*. Spójrz, co on ci zrobił. – Giovanni nieustannie całował jej zasinione policzki, ścierając przy tym każdą łzę, która spływała po jej twarzy. Żal w sercu Kim stał się jeszcze większy, gdy poczuła jak bardzo trzęsą mu się ręce. – Nie mogę uwierzyć, że to się stało.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Nie przepraszaj, tylko… Jezu Chryste, nie zrób mi więcej czegoś takiego. Nie miałem pojęcia, co zrobić, kiedy wyszedłem spod prysznica, a ciebie tu nie było. Choć wiedziałem. Kurwa, wiedziałem. Tak bardzo cię kocham, *bella*.

– Ja też cię kocham. Nie powinnam była wychodzić, Gio, ale pomyślałam, że jeśli to zrobię, tak będzie dla ciebie lepiej. Będziesz bezpieczniejszy, czy coś.

– Tak właśnie myślałem. Cody mówił, że oprócz niego i Franco było jeszcze trzech?

Kim przytaknęła ruchem głowy.

– Nic nie zrobili, żeby mi pomóc.

– Nie mogli. Rozpoznałaś ich?

– Tylko Lucasa, ale nie pozostałych dwóch – odparła.

– Dobrze.

– Jak to dobrze?

Giovanni wzruszył ramionami.

– Pewnie to byli ludzie kogoś innego, którzy tam się z jakiegoś powodu znaleźli. To oznacza, że są winni lojalność komuś innemu niż Franco, a to z kolei dobrze dla mnie.

– Jak to dla ciebie? – zapytała cicho Kim.

– Muszę obmyślić plan, więc trzeba od czegoś zacząć. To lepsze niż nic.

– Giovanni…

– Nie sprzeczaj się ze mną, proszę. Teraz najważniejsza rzecz, to zapewnić ci bezpieczeństwo.

Kim zwalczyła chęć wyciągnięcia od niego więcej informacji, ale jedną rzecz na pewno chciała wiedzieć.

– Cody powiedział, że od teraz nie będzie się mógł ze mną zobaczyć, bo już tu nie wracam. Dlaczego mówił coś takiego?

– Powiedziałem mu, żeby robił, co musi, by utrzymać pozycję. On cię kocha. Jednak okropnie ciężko pracował, żeby zwrócić na siebie uwagę Maximo Sorrento. Nie powinniśmy mu tego odbierać.

– To rozumiem.

– Zapewni nam spokój przez resztę dnia i nocy. Jutro rano da znać nie Franco, lecz Maximo, że widział, jak cię zgarnąłem sprzed sklepu osiedlowego po tym, jak go oszukałaś. Oczywiście to wszystko będzie kłamstwo, ale jednocześnie pozwoli mu zarówno utrzymać pozycję, jak i pomoże nam. Jak dla mnie w porządku.

– Ale Franco myśli, że wrócę dziś wieczorem.

– Cody się tym zajmie. Zadzwoni do niego i powie, że zostajesz na noc u swojego ojca.

– Ale Maximo porozmawia z Nunzem i dowie się, że Cody kłamał.

Giovanni uśmiechnął się podstępnie.

– Właśnie tu zastawiłem pułapkę. Cody dał mi jeszcze coś, i to może być ta rzecz, która kopnie Franco prosto w dupę. Dokładnie to próbowałem ustalić od chwili, kiedy tu przyjechałem. Maximo nie ma pojęcia, że Franco załatwia swoje interesy przez Nunza. Max sądzi, że jego syn pracuje na własny rachunek, a Cody wszedł w to dopiero po całym tym bałaganie z tobą.

Kim wreszcie zaczynała nadążać.

– Powiedział mi, że obserwował mnie, jeszcze zanim przyłapał na liczeniu kart.

– Dokładnie, bo korzystał ze schematu solidnie opracowanego przez Cody'ego i przedstawiał go Maksowi jako swój własny. Twój brat na to pozwalał, bo potrzebował dodatkowych możliwości, żeby

to wszystko uskutecznić, a układ zapewniał mu lepszą pozycję w ramach większej rodziny.

– Nie do końca rozumiem, co to oznacza, Gio.

– To oznacza, że Franco współpracuje z innym szefem bez wiedzy i zgody swojego ojca. Płaci twojemu ojcu powinności, które powinien opłacać Maksowi, i cały czas go okłamuje. Mam też poważne podejrzenia, że to trwa już od bardzo długiego czasu. Według Maksa Franco musi stanąć na własnych nogach, ale ten kretyn nie ma dość inteligencji, żeby ciągnąć coś swojego. To afront dla jego rodziny tak wielki, że nie potrafię tego nawet wyjaśnić. Poza tym – kontynuował Giovanni, ocierając resztę wilgoci spod oczu Kim – to każe się zastanowić, dlaczego Franco w ogóle odstawia coś takiego, chyba że sądzi, że ma coś do ugrania. Podejrzewam, że ślub z tobą to pomysł Nunza i sposób Franco, żeby włączyć w to wszystko twoją rodzinę tak, żeby Max nie zrobił się podejrzliwy.

– Kiedy leżałam na podłodze…

Giovanni się wzdrygnął.

– *Dio*, nawet nie wiesz, jak bardzo mnie boli, kiedy o tym słyszę.

– Przepraszam, ale kiedy tam leżałam, powiedział coś o tym, że jego pozycja dona zostanie zabezpieczona, kiedy mnie poślubi, a jego ojciec zniknie. Max nie zniknął, Gio.

– Nie, ale myślę, że Franco tego właśnie chce.

– To co teraz zrobimy?

– Teraz ty nie robisz nic, *tesoro*. Zmieniamy hotel.

– A potem? – zapytała Kim.

– A potem muszę zadzwonić do swojego ojca i powiedzieć mu, co zrobiłem.

Rozdział siedemnasty

– Cześć, tato.

– Gio? – zapytał Antony po drugiej stronie łącza. Ojciec wydawał się z początku zaskoczony, że jego syn dzwoni, ale w głosie szybko pojawiła się troska, kiedy dotarło do niego napięcie, z jakim mówił Gio. – Co się stało?

– Zjebałem.

Nic nowego, nie?, dodał Giovanni w myślach.

Słodki Jezu… Tak bardzo żałował, że robi to swojemu ojcu. Było mu tak cholernie przykro.

Gio okłamywał swojego ojca co do prawdziwego powodu pozostawania w Vegas już od bardzo dawna. Antony zakładał, że Gio dobrze idzie, trzyma się z dala od kłopotów i ma oko na ich sprawy. W znacznej mierze była to prawda. Tylko że Giovanni pomijał sprawy osobiste. Jak na przykład Kim… Jak na przykład to, że kochał tę dziewczynę do szaleństwa.

– Tak – wychrypiał Gio. – Tym razem zjebałem po całości.

– Nie da się tego naprawić? – zapytał cicho Antony.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nie. Jest źle.

Problem polegał na tym, że Gio nie mógł zostawić Kim w spokoju. Głupiał, jak tylko na nią patrzył, i czuł uniesienie spowodowane miłością do niej. Nawet nie był w stanie pomyśleć o pozostawieniu jej w Vegas, żeby poślubiła tego fiuta. Szczególnie teraz, kiedy zobaczył siniaki na jej ślicznej twarzy.

Franco nie był zdolny stać się dobrym człowiekiem i nie potrzebował żony, tylko zabawki.

– Jak bardzo źle? W skali od jeden do dziesięć.

– Dwadzieścia – krzywiąc się, odparł Gio.

Gio czekał na falę gniewu swojego ojca albo przynajmniej ze dwadzieścia pytań. W milczeniu przygotowywał się na skutki kolejnej złej decyzji, po której trzeba sprzątać jego bałagan. Jasne,

Gio mógł sprzątać po swoich poczynaniach sam, ale ojca zawsze to wszystko w jakiś sposób trafiało rykoszetem.

Antony go jednak zaskoczył.

– No to mów, *tigrotto*.

– Szlag! Nie nazywaj mnie tak.

– Powiedział dwudziestosześciolatek. Zawsze będziesz moim najmłodszym synem. Ciągle musiałem za tobą ganiać trochę bardziej usilnie niż za pozostałą dwójką, i to nawet kiedy ledwo sięgałeś mi do pasa. Zrób mi tę przyjemność, Giovanni, i spraw, żebym poczuł, że choć raz jestem w stanie ci pomóc, zamiast pozwalać ci zrobić wszystko samemu.

Ucisk w piersi Gio ulotnił się z jednym, mocnym wydechem. Po drugiej stronie pokoju hotelowego słyszał, że Kim nadal bierze prysznic, choć zachowywała się pod nim okropnie cicho. Zdrowo namieszali, ona i on.

– Nie wiem, co zrobić – wyszeptał Gio.

Niewyraźny ruch, który Gio odnotował gdzieś z boku Antony'ego ustał, kiedy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi.

– Aż tak źle?

– Gorzej.

Ojciec westchnął.

– Powiedz mi tylko, że powodem nie jest napierdolenie się tak, że nie wiedziałeś, co robisz.

– Wiesz co, jeśli tak by było, to sprawa przedstawiałaby się prościej.

Do Antony'ego wreszcie zaczynało docierać, że to, z czym do niego dzwoni, wykracza poza jego zwykłe, życiowe potknięcia.

– Jestem w stanie to w ogóle naprostować, Gio?

– Chyba nie. To nie jest coś, co mógłbyś załatwić samą swoją pozycją, i wierz mi, wiem, co mówię. Po prostu… Chciałem, żebyś usłyszał to ode mnie.

Przez pełne pół minuty Antony się nie odzywał. Potem Gio usłyszał, że włącza swój laptop.

– Masz się znaleźć na pokładzie najbliższego lotu do Nowego Jorku. Daj mi pięć minut i podam ci godzinę odlotu.

Gio przełknął ślinę, jakby to był narkotyk.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie, do kurwy nędzy!?

– Taaak… To by mogło na jakiś czas naprawić sytuację, ale mimo wszystko muszę odpowiedzieć za to, co zrobiłem. I ona również, rozumiesz? Muszę się upewnić, że nikt się na niej nie będzie za to mścił. Tak więc nie mogę tego tak tutaj po prostu zostawić, tato. Ukrywanie się nie naprostuje sprawy, a poza tym Marcellowie się nie chowają.

– Ona? – zapytał Antony, a w jego głosie słychać było zaskoczenie.

– Ja…

– Co zrobiłeś?

Po raz pierwszy od kiedy pamiętał, Gio chciał wpełznąć do kąta i zniknąć. W jego życiu było aż za wiele sytuacji, kiedy rozczarował swojego ojca. Mógł wymienić zbyt wiele przypadków, kiedy naginał i łamał zasady, mając na względzie tylko siebie. Spodziewał się, że to, co miał do powiedzenia, wstrząśnie tą odrobiną wiary, jaką jeszcze Antony w nim pokładał – że to kompletnie przytłoczy jego ojca.

– Kocham ją – powiedział Gio, chcąc, żeby to wybrzmiało jako pierwsze. – To jest w tym wszystkim najważniejsze.

Prawdopodobnie Antony był w zbyt wielkim szoku, żeby coś na to odpowiedzieć. Gdy Gio wreszcie powiedział o wszystkim komuś innemu, poczuł ogromną ulgę. Oczywiście, wiele razy mówił o tym Kim, stale i wciąż, aż w końcu nie miał już wątpliwości co do swoich uczuć.

– Jest inteligentna i piękna – Gio znów nabrał powietrza, czując, jak ciężar ponownie przytłacza jego pierś. – Jest na wskroś Włoszką. Kiedy się nudzi, staje się potwornie sarkastyczna, jest niezależna jak cholera i niczego ode mnie nie chce. I jest dla mnie taka dobra.

– To znaczy, w czym dobra? – zapytał Antony.

– Sprawia, że jestem trzeźwy.

– Gio, to…

– Nie, to nie tak – wszedł pospiesznie w słowo swojemu ojcu. – To nie jakieś współzależne gówno. To coś naturalnego. Daje mi to, czego pragnąłem od lat. Teraz nie muszę już się za tym uganiać, bo mam to tuż obok siebie. Nie umiem wyjaśnić tego lepiej.

– To powiedz mi, dlaczego nie mogę zadzwonić do twojej matki, żeby jej powiedzieć, że może się już przestać o ciebie martwić?

Gio się roześmiał, ale czuć było w tym nerwowość.

– *Cristo*… Ona zawsze się będzie martwić.

– Wiem – mruknął Antony.

– Tym razem naprawdę zjebałem – powtórzył Gio.

– Tak, to już słyszałem, synu.

– To było nieuniknione. Nie było opcji, żeby obejść problem. Była moja, ale równocześnie nie była.

Gio podejrzewał, że ojciec będzie potrzebował dłuższej chwili, zanim przetrawi jego słowa, więc pozwolił mu pomyśleć nad tym w ciszy. Cały ten czas Gio nasłuchiwał prysznica, żeby wiedzieć, kiedy Kim skończy, ale wciąż był włączony. Nie licząc jego rytmicznego oddechu, w pokoju panowała cisza. Było za cicho. Nagle poczuł niepokój. Musiał coś zrobić. Cokolwiek, byle tylko nie siedzieć. Siedząc, człowiek nie czuje, że żyje. A kiedy czuje?

– Zacznij od początku – poprosił Antony.

– Na ślubie Luciana…

Gio nie miał ochoty przechodzić przez wszystkie te prywatne szczegóły tamtej nocy. No a już na pewno nie przez telefon i ze swoim ojcem. Nie miał jednak wyboru.

– Tak?

– Tam ją poznałem. To miał być wyskok na jedną noc, a ja się zmyłem, zanim nastał poranek. Nie podała mi nawet swojego nazwiska, więc wtedy, za pierwszym razem, nic nie wiedziałem.

– Czy ja słyszę właśnie jakieś „ale”? – zapytał Antony.

– Tak, zawsze jest jakieś „ale”. Wiedziałem tylko tyle, że jest kimś, tylko nie miałem pojęcia, kim dokładnie. Zresztą nie miałem zamiaru się dopytywać. Nie mogła być powiązana z żadną z rodzin, z którymi jesteśmy blisko, bo wszystkich ich znam dosyć dobrze.

– To jak się domyśliłeś, że jest kimś?

– Bo mnie znała. Albo, jak przypuszczam, nas wszystkich. Może nie ze szczegółami, ale była gościem na ślubie, a to już stanowiło wskazówkę numer jeden. Wskazówką numer dwa był fakt, że wiedziała, czym się zajmuję. Ująłem to dostatecznie jasno?

Antony jęknął głucho.

– Dobra, zmierzamy do sedna. Kto to jest, Gio?

– Na spotkaniu Komisji…

– Co to ma tutaj do rzeczy?

– Franco i rodzina Sorrento. Max wspomniał, że jego syn żeni się z córką Nunza Abelli. Za pierwszym razem, na ślubie Luciana, nie byli razem i nie wiedziałem. Nie zaręczyli się oficjalnie. Dopiero kiedy wróciła do Vegas.

– To narzeczona Franco?

– Tak. W każdym razie nią była.

– Jezusie Nazareński. – Przez telefon było słychać, jak Antony wypuszcza powietrze z płuc, tak że zatrzeszczał głośnik przy uchu Gio. – Ciągle powtarzasz, że wtedy to był pierwszy raz. Czyli to nie zdarzyło się tylko raz, prawda?

– Nie.

– Ale kiedy poleciałeś do Vegas, to już wiedziałeś, a mimo to zrobiłeś to ponownie?

– Tak – przyznał Gio.

– Jak długo?

– To trwało od czasu, kiedy się tu zjawiłem. Tak, wiedziałem, tylko że mnie to nie obchodziło.

– Giovanni Davidzie!

– Przykro mi. To było głupie i nierozważne. To wbrew wszystkiemu, czego mnie nauczyłeś. Wiem, że to coś złego.

– Gorzej niż złego, Gio – syknął ojciec. – To pierdolona katastrofa. Nie jestem w stanie tego naprawić. Rozumiesz to? Tego się nie da naprostować!

– Przepraszam. Dokonałem chujowego wyboru i przez to znaleźliśmy się w takiej sytuacji, ale nie będę przepraszał za to, że ją kocham. Tego nie mogę zrobić. Nie żałuję.

– Jezu, Gio – wyrzucił z siebie Antony głosem ociekającym gniewem. – Co ja mam teraz zrobić?

– Nic. Nie ma nic, co mógłbyś zrobić. Tyle wiedziałem, zanim jeszcze zadzwoniłem. Nie po to zresztą dzwonię. Powinieneś wiedzieć i nie chciałem, żebyś w związku z tym odebrał jakiś telefon czy coś.

Antony zakrztusił się powietrzem.

– Telefon… Jasne. Teraz muszę się martwić już tylko o to, że znajdą gdzieś twoje cholerne ciało. Było warto, Gio? Mogą cię zabić i za cholerę nie mogę z tym nic zrobić. Nie mogę nawet potem się zemścić, nie wszczynając wojny. Miałeś tego świadomość, kiedy spałeś z narzeczoną członka mafii? Gdyby chodziło o Dantego albo kogoś o podobnej pozycji, musieliby odwołać się do Komisji, żeby się upewnić, że nic z tego nie wyniknie. Wtedy może mógłbym pociągnąć za sznurki. W twoim przypadku nie mogę. Nie muszą przedstawiać sprawy na Komisji, bo to nie jest to samo. Jesteś zwykłym *capo*, synu. Nie pomaga też to, że złamałeś zasady w Vegas, czyli na ich terytorium.

– Wiem – powiedział Gio chyba po raz setny.

– Jesteś dobrym *capo*, Gio!

– Moje interesy na ulicy nie zrobią im żadnej różnicy…

– Nie – przerwał mu Antony. – Chciałem powiedzieć, że jesteś cholernie dobrym *capo*. Znasz zasady lepiej niż ktokolwiek inny. Możesz naginać czy łamać dowolne reguły, jakie narzuca ci świat zewnętrzny, albo nawet kompletnie ignorować to, co ja ci mówię, ale zasady Cosa Nostry? Gio, potrafiłeś mi je wyrecytować, kiedy miałeś zaledwie trzynaście lat. Znałeś je, zanim byłeś w stanie zrozumieć, co one w ogóle oznaczają. Zanim ty i twoi bracia złożyliście przysięgę omertà. Chciałeś tego, Gio. Chciałeś tych zasad i takiego życia. Stanowiły jedyną rzecz, o której wiedziałem, że szanujesz ją na tyle, żeby rozumieć jej znaczenie, i w nią wierzyłeś – mówił dalej Antony ostrym tonem. – To była, kurwa mać, jedyna rzecz, o którą w twoim przypadku nie musiałem się martwić. Mój syn zdradzający kluczowe nakazy Cosa Nostry i przekonania swojej rodziny? Nigdy! Nie zdradzałeś ich, bo wiedziałeś, co one znaczą, a ja wiedziałem, że ty wiesz.

– Zjebałem – powiedział Gio przez zaciśnięte zęby. – Rozumiem.

– Nie, ewidentnie nie rozumiesz. I nie pozwolę ci się tym zająć tak, jakby to była każda inna rzecz, bo tak nie jest. Tym razem nie uda ci się odepchnąć mojej wyciągniętej dłoni i wyjść z tego bez bodaj zadrapania, tak jak to było do tej pory. Posłuchaj mnie! Złamałeś najbardziej fundamentalne przekonania Cosa Nostry. Znajdujesz się na terytorium, które nie należy do ciebie. Jesteś żywym trupem, Gio!

Głowa Gio opadła na rękę, tak że dłoń zakryła całą twarz. Wszystko to, co powiedział jego ojciec, było prawdą. Nie potrafił nawet temu zaprzeczyć.

– Naprawię to. Coś z tym zrobię. Zawsze tak robię. Muszę!

Antony jęknął.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem. Wiem dokładnie, w jakim położeniu się teraz znajduję. To nie ma znaczenia. Znalazłem ją i nie poddam się tak łatwo.

– Franco…

– …to największa kupa gówna, jaka chodzi po ziemi – dokończył Gio zdanie zaczęte przez ojca.

– Przykro mi, są po słowie i ma zostać jego żoną – oznajmił Antony. – Zaręczyny zamykają dyskusję w tym temacie. Równie dobrze mogliby być po ślubie. Znasz zasady, Gio. Nie wolno ci brukać honoru innego mafiosa, dotykając jego żony. Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Uderzył ją. Znęcał się nad nią i ma siniaki. Jebaniec uderzył ją w twarz, tak że upadła na ziemię, i to w obecności mężczyzn, którzy nie zrobili nic. Tak traktuje niesamowitą kobietę. To żaden honor i nie zgadzam się przestrzegać zasad, które stawiają mnie na równi z takim kimś. Nie zasługuje na ani odrobinę mojego szacunku.

– Obiecałem twojej matce, Gio. Nie zmuszaj mnie, bym złamał dane jej słowo. Nigdy mi się to nie zdarzyło.

– Co?

– Nie rób mi tego, dobra? Nie zmuszaj mnie, żebym złamał obietnicę daną twojej matce. Nie może pochować jednego ze swoich synów. Nigdy by mi tego nie wybaczyła. Wsiądź do samolotu lecącego do Nowego Jorku. Ja postaram się zająć resztą. Tutaj przynajmniej Max i Franco będą musieli najpierw zmierzyć się ze mną, a to już daje ci bez porównania większe szanse.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak tego tutaj zostawić. Kim nigdy nie chciała za niego wyjść. Została do tego zmuszona, bo popełniła błąd. To wszystko. Zrozum, proszę.

Antony mruknął.

– To znaczy, jaki błąd?

– A czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Poinformowanie Antony'ego, że Kim ukradła sporo pieniędzy od rodziny należącej do Cosa Nostry, nawet jeśli zrobiła to przez przypadek, na pewno nie stanowiło najlepszego sposobu, żeby udobruchać jego ojca. Istniała ściśle określona lista rzeczy, które jego ojciec darzył wielkim szacunkiem, a pieniądze zajmowały na niej jedno z pierwszych miejsc.

– Ma, bo cię o to zapytałem – odparł Antony tonem wykluczającym możliwość jakiejkolwiek dyskusji. – A teraz, Gio, jesteś mi winien absolutną szczerość.

Ja pierdolę.

– Franco przyłapał ją na liczeniu kart w Royale Grace. Nic nie wiedziała o tym, że kasyno prowadzi inna rodzina z Cosa Nostry. Zgarnęła trochę ponad dwieście tysięcy. Franco potrzebował odpowiedniej żony, dlatego uświadomił Kim, co jej grozi za kradzież, a resztę możesz sobie dośpiewać.

– A co z Nunzem? – zapytał Antony.

– I tu dochodzimy do dziwnych rzeczy z tym związanych. Nunz w ogóle się nie wtrącał w całą sprawę związaną z tym, co zrobiła Kim.

– A powinien. To jego córka i do niego należy upewnienie się, że zna zasady i wie, jak wygląda sytuacja z tamtejszymi rodzinami.

– Wiem o tym – powiedział Gio.

Wziął głęboki wdech, po czym zaczął opowiadać ojcu o rzeczach, które Franco powiedział Kim. O tej części całej historii, którą poznał dzięki Cody'emu, a oprócz tego dodał, co jego zdaniem to wszystko może oznaczać. Antony wysłuchał go w ciszy.

– Wysłałeś mnie tutaj – mówił dalej Gio – z powodu swoich podejrzeń, że Franco ma zamiar wystąpić przeciwko swojemu ojcu, a nie ze względu na naszą rodzinę, prawda?

– Nie podobało mi się to, co mówił. – Antony nie odpowiedział bezpośrednio na pytanie. – Mówił zdecydowanie zbyt arogancko jak na sytuację, w której jego ojciec nadal zajmuje swoje miejsce. Żaden z was trzech by tak nie mówił, gdybyście wiedzieli, że mogę się wam za to dobrać do tyłka. Dodajmy, że zdajecie sobie sprawę, że

faktycznie tak jest. Lubię Maksa, więc może chciałbym, żeby robił swoje jeszcze przez kilka kolejnych lat.

– Max chciał, abym został w Vegas przez kilka miesięcy, żebym mu pomógł naprostować Franco – dodał Gio.

– To wiele mówi na temat tego, jak wielu rzeczy nie jest pewny, nawet jeśli nie do końca zdaje sobie sprawę, co się wokół niego dzieje.

Gio prychnął.

– Słyszałeś Maksa na spotkaniu. Ma zamiar dać Franco jeszcze więcej swobody.

– I z tym też ma problem. To również powiedział, synu. Myślę, że to bardzo wymowne.

Antony się roześmiał, czym wywołał u Gio irytację.

– Co w tym zabawnego, do jasnej cholery?

– Tak byłem zajęty troską o ukrycie rys na naszej rodzinie, że nie szukałem ich u pozostałych. To robi różnicę, Gio. I to dużą.

– Jak dużą?

Antony westchnął głęboko.

– Muszę się teraz rozłączyć, Gio. Musisz to załatwić na własną rękę. Tu nie mogę być twoim ojcem. Muszę się zachowywać jak don Marcello. Złamałeś zasady, więc teraz musisz sam wymyślić, jak to naprawić.

– Tato…

– Kupuję właśnie jeden bilet na poranny lot o dziewiątej z Vegas do Nowego Jorku. To najwcześniejszy z dostępnych. Przykro mi z tego powodu. Na bilecie nie będzie imienia, tylko tyle, że rezerwacji dokonano na nazwisko Marcello. Ktoś się zjawi na lotnisku, żeby odebrać tego, kto nim przyleci, i dostarczy go wprost do mojego domu. Czy to jasne?

Gio uświadomił sobie, że to gałązka oliwna. Jeśli nie mógł uratować siebie, na pewno mógł ochronić Kim. Tym sposobem Antony oferował pomoc.

– Tak, jasne, rozumiem. Coś jeszcze?

– Jak sądzisz, ile czasu ci jeszcze zostało? – zapytał ojciec.

– Co najmniej do jutrzejszego poranka. Franco spodziewa się, że ona wróci dzisiaj w nocy, ale tym już się zająłem.

– Jeśli, tak jak mówisz, miłość do niej jest dla ciebie najważniejszą sprawą, to przede wszystkim musisz zapewnić jej bezpieczeństwo. Są jeszcze inne zasady, synu. Znasz je. Skorzystaj z nich.

– Przemyślę to.

– Muszę iść, Gio. Nie mogę się w to zaangażować bardziej, niż już to zrobiłem. Naprawa szkód w relacjach z innymi rodzinami, których narobiłeś i narobisz z powodu tego błędu, zajmie całe lata. Lata! Trudno będzie innym ludziom mafii ci zaufać. W interesach wszystko stanie się dla ciebie o wiele trudniejsze, niż było przedtem. Nie mam wątpliwości, że w swoim czasie odczujesz ciężar swoich czynów. Uważaj na siebie.

Telefon nie zdążył jeszcze nawet całkiem zakończyć połączenia, gdy Gio uświadomił sobie, co powiedział jego ojciec. Całe lata. Antony powiedział, że Gio będzie latami musiał pracować, żeby połatać swoją reputację w Cosa Nostrze i swój wizerunek w oczach innych członków mafii. To zaś oznaczało, że ojciec autentycznie wierzył, że Gio wyjdzie z tego cało.

To nie miało w tej chwili znaczenia. Gio musiał opracować plan na teraz i utrzymać Kim przy życiu.

***

Chwilę trwało, nim Kim wreszcie wyłoniła się z łazienki. Gio, mimo że czuł tak wielki niepokój, gdy rozmawiał ze swoim ojcem przez telefon, praktycznie przyrósł do krawędzi łóżka i siedział tam z głową ukrytą w dłoniach. W jego myślach panował jeden wielki bałagan, serce biło jak oszalałe, płuca nie były w stanie zaczerpnąć dostatecznej ilości powietrza, ale miał plan.

A to już było więcej, niż miał jeszcze godzinę temu.

Kim stała w drzwiach łazienki, ubrana w to samo, co noc wcześniej. Pofalowane i mokre kosmyki jej włosów zsunęły się na bok, kiedy oparła się biodrem o framugę.

– Mamy przechlapane, co? – zapytała.

Gio kiwnął głową, po czym na nią spojrzał. Obrzęk w okolicy siniaka na policzku już jej się zmniejszał. Mimo wszystko wkurwiał

go niemiłosiernie za każdym razem, kiedy na niego patrzył. Wokół jej niebieskich oczu widział zaczerwienienia. Ewidentnie płakała.

– Przepraszam.

– Co? Dlaczego?

– Kocham cię. Ludzie, którzy kogoś kochają, nie powinni przyprawiać tego kogoś o płacz. To nie w porządku.

Kim przechyliła głowę na bok.

– To nie ty sprawiłeś, że płakałam.

– Nie? Jeśli płakałaś z powodu całej tej sytuacji, to dotyczy ona również nas. To to samo.

– Nie – powiedziała cicho. – Płakałam z powodu samej siebie, Giovanni. Gdybym była sprytniejsza, mogłabym tego wszystkiego uniknąć. Postępowałam jak głupia dziewczynka, sądząc, że jestem tak bardzo inteligentna. Dlaczego nie zrobić małego pokazu dla przyjaciół? Doskonale wiedziałam, co robię, nawet jeśli nie zdawałam sobie sprawy, do kogo należy kasyno.

– Do kasyn codziennie wchodzą tysiące ludzi i liczą karty. To taki chujowy produkt uboczny tego biznesu. To, co robiłaś, nie jest niczym nowym. Poza tym jestem całkiem pewien, że jeśli Franco nie zapędziłby cię w kozi róg w kasynie, to dopiąłby swego w inny sposób. Wiemy przecież, że już wcześniej miał co do ciebie plany. I nie jesteś głupia. Nie chcę więcej słyszeć z twoich ust podobnego pierdolenia.

Kim przewróciła oczami, jednocześnie posyłając mu wymowne spojrzenie.

– Dałbyś już spokój, Gio.

Wstał z łózka, a następnie podszedł do niej, stając naprzeciwko, tak że się niemal stykali, a Kim podniosła na niego wzrok.

– Mówię poważnie. Ty i ja coś razem tworzymy. W swoim czasie wszystkiego się dowiemy, ale na tę chwilę tworzymy po prostu coś. Tak więc w pewien sposób jesteś teraz moja.

– Zaczynam mieć dosyć tych wszystkich mężczyzn, którym wydaje się, że mnie posiadają. Nie należę do nikogo, Giovanni. Do ciężkiej cholery, jestem sobą i należę do siebie.

– Czy to sprawia, że jesteś choć trochę mniej moja, *tesoro*?

Kim wydęła usta, a Gio natychmiast poczuł ochotę, by usunąć ten wyraz irytacji pocałunkiem. Tak właśnie zrobił, unosząc jej podbródek dwoma palcami. Powolnymi i delikatnymi pocałunkami sprawił, że uleciały z niej cały stres i zdenerwowanie, a sam rozkoszował się jedwabistością jej ust, aż w końcu Kim wtuliła się w jego pierś.

– Po prostu chcę być sobą – wyszeptała, kiedy Gio oparł wargi na jej czole.

– Przy mnie zawsze będziesz sobą i to w najlepszym wydaniu. Obiecuję.

– Jednak to było głupie.

– I co z tego? – Gio wzruszył ramionami. – Jest wiele głupich rzeczy. Na przykład facet łamiący jedyne zasady, jakich kiedykolwiek w życiu przestrzegał, dla czegoś tak niemądrego i szalonego jak miłość, na dodatek niepotrafiący w związku z tym znaleźć w sobie choćby grama skruchy. Nawet jeśli miałby to przypłacić życiem.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Kim.

Mięśnie jego ramion się napięły. Strach, który wkradł się w głos Kim, sprawił, że tętno mu przyspieszyło.

– Nie chcę, żebyś się bała.

– Ja…

– Nie, proszę, posłuchaj mnie. Nie chcę, żebyś się bała, Kim. Nigdy. Ani dzisiaj, ani jutro, ani za kilka lat. Ani mnie, ani żadnego innego mężczyzny. Przykro mi, że znalazłaś się w sytuacji, w której musisz tak się czuć. Nie zasługujesz na to i powinienem był sobie zdawać sprawę, że do tego dojdzie. Właściwie to wiedziałem o tym, tylko mnie to nie obchodziło. To był mój błąd. Mam zamiar zacząć to teraz naprawiać. – Kim wciąż nic nie mówiła. – Kochasz mnie, tak? – zapytał, pocierając nosem o jej kość policzkową.

– Tak.

– Będziesz mnie tak kochać jutro, jak i za tydzień czy miesiąc, prawda?

Kim przytaknęła ruchem głowy.

– Trochę za późno, by temu zaprzeczać. Co chcesz mi powiedzieć, Gio?

Wziął głęboki wdech, chcąc uspokoić nerwy. Nie tak sobie wyobrażał zadanie tego pytania. Dosłownie.

– Może i złamałem zasady, ale oni wciąż muszą ich przestrzegać. Fakt, że zdradziłem przekonania swojej rodziny, wiążąc się z tobą, nie sprawia, że w choć odrobinę mniejszym stopniu jestem członkiem mafii. To nie unieważnia złożonych przeze mnie przysiąg. Tego nigdy nie mogą mi odebrać. Mogą jedynie ze mną skończyć. Rozumiesz?

Kim przeszedł dreszcz.

– Nie podoba mi się, do czego to zmierza.

– Znasz zasady, zgodnie z którymi funkcjonuje La Cosa Nostra?

– Słyszałam o nich – przyznała – choć prawdopodobnie nie powinnam.

– Prawdopodobnie nie – zgodził się. – Tak naprawdę nie ma pośród nich żadnej, która cieszyłaby się większym poważaniem niż inne. Wszystkie traktuje się na równi. Niektóre da się trochę nagiąć, jeśli jest to z korzyścią dla głównych zainteresowanych, jak na przykład nie włóczenie się po klubach. Ja jestem właścicielem trzech. Wielu innych również je ma. Ale jest jedna, której nie wolno przekraczać, nawet o milimetr.

– A jak nam to może na tę chwilę pomóc?

Gio znów poczuł wzrost napięcia.

– Jeśli coś by się miało wydarzyć pomiędzy chwilą obecną a jutrem, zanim cię zapakuję do samolotu do Nowego Jorku, może to być jedyna rzecz, która cię uchroni przed jakąś krzywdą albo nawet czymś gorszym. Wszystkie żony ludzi mafii muszą być traktowane z najwyższym szacunkiem. Niezależnie od tego, jaka jest pozycja mężczyzny w ramach Cosa Nostry, jego żona ma być traktowana przez innych tak, jakby traktowali swoją własną żonę.

Kim zamarła w ramionach Gio.

– Chcę, byś za mnie wyszła, Kim. Dzisiaj.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Jestem poważny jak cholerny zawał serca, *tesoro*.

– To nie jest nawet zabawne, Gio. To… głupie, szalone i… nie.

– To zadziała. Naprawdę. Proszę, tylko…

– Nie – powtórzyła Kim nieco bardziej stanowczo. – Jak w ogóle możesz bodaj pomyśleć, że w porządku będzie prosić mnie o rękę w takich warunkach i w ten sposób? Nie wyjdę za ciebie tylko po to, żeby nie musieć mierzyć się z konsekwencjami swoich wyborów. Czym by to się niby różniło od przymusu poślubienia Franco, tylko z powodu tego, co wydarzyło się wcześniej? Tu i tu zostałabym do czegoś zmuszona.

Gio cofnął się o krok, czując, że potrzebuje nieco wolnej przestrzeni. Jej bezapelacyjna odmowa go zabolała, ale też rozumiał, z czego ona wynika. Tak naprawdę nie do końca powiedział jej, jak się przedstawiają jego uczucia w tej kwestii, tak żeby zrozumiała, dlaczego chce ją poślubić.

– Gdybyś miała mnie poprosić o jedną rzecz, tu i teraz, to co by to było?

– To nie ma znaczenia, Gio. To nie ma z tym nic wspólnego.

– Wręcz przeciwnie. To wszystko ma z tym wiele wspólnego. Powiedz, o co chciałabyś mnie poprosić.

Kim skrzyżowała ręce, po czym zapatrzyła się w podłogę.

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz – mruknął. – Dowolna rzecz, Kim.

– Może to nie jest jedna rzecz.

– Dobrze, więc mi powiedz.

– Poprosiłabym, żebyś sprawił, by to wszystko się skończyło. Żebym nie musiała nigdy więcej oglądać Franco albo martwić się, że mnie zabierze z powrotem. Chcę być bezpieczna i szczęśliwa. Chcę kogoś, kto mnie będzie kochał.

– Coś jeszcze? – zapytał Gio.

Kim roześmiała się perliście.

– Nie jesteś magikiem.

– Może mógłbym spróbować nim zostać – zażartował. – No dalej. Powiedz, czego byś ode mnie chciała.

– To głupie.

– Nic, co się z tobą wiąże, nie jest dla mnie głupie, *mia amore*.

Kim przygryzła dolną wargę, przestępując z nogi na nogę, aż w końcu powiedziała:

– Chcę wrócić.

– Wrócić?

Brak zrozumienia w oczach Gio musiał być ewidentny, bo Kim pokręciła głową i znów się roześmiała.

– Tak, wrócić. Do tej pierwszej nocy, gdy się spotkaliśmy. Wtedy było o wiele łatwiej i nic nie wiedziałeś. Niczego bym wtedy nie zrobiła inaczej, więc przypuszczam, że nic by to nie zmieniło, ale chciałbym wrócić i zrobić to ponownie.

Na ustach Gio pojawił się uśmiech. Może koniec końców pragnienia Kim nie były aż tak znowu odległe od jego własnych, tyle tylko, że sobie tego nie uświadamiała.

– Wiesz, że mogę dać ci wszystko, z wyjątkiem tego ostatniego?

– To nie takie proste, Gio.

– Dlaczego, u licha, nie? Musisz tylko mnie poślubić.

– Bo chcę, żebyś i ty miał to wszystko, a nie możesz mi tego zagwarantować dzisiejszej nocy. Tak w ogóle po co lecę jutro do Nowego Jorku? – spytała Kim, unosząc brew.

Gio przełknął ślinę.

– Bo tam będziesz bezpieczna, niezależnie od wszystkiego.

– Nawet jeśli ty tam nie wrócisz, prawda?

– Nie mów tak – powiedział Gio. – Nie tak się to skończy.

– Jednak to właśnie dlatego mam tam lecieć. Zaprzeczysz?

Nie mógł zaprzeczyć.

– To najlepsze miejsce, w jakim możesz się znajdować, gdy ja będę sprzątał bałagan tutaj. Niezależnie, czy zgodzisz się na moją propozycję, czy nie, wsiądziesz jutro na pokład tego samolotu. Muszę tylko przetrzymać cię przez noc, a potem dostarczyć na lotnisko. To wszystko.

Kim wzruszyła ramionami.

– A jeśli odmówię?

– To i tak znajdziesz się jutro rano na pokładzie samolotu – powtórzył Gio. – O tej jednej rzeczy nie mam zamiaru ani dyskutować, ani się o nią kłócić. Masz się znaleźć tam, gdzie będziesz bezpieczna i Franco już nigdy więcej nie zdoła cię dotknąć. Ja ci tylko daję to, czego chcesz, Kim.

– A co z tym małżeństwem? – zapytała.

– To by było dobre zabezpieczenie…

– To jest dla mnie tak niedorzeczne, że nawet nie jestem w stanie udzielić właściwej odpowiedzi.

– Nie pozwoliłaś mi dokończyć, *tesoro*.

Kim utkwiła w nim oczy.

– A co jeszcze chciałeś powiedzieć, Gio?

– Też chciałbym wrócić – powiedział, pokładając nadzieję w Bogu, że wreszcie to do niej dotrze. – Gdybym tylko posłuchał tego, co moje serce usiłowało przepchnąć do tej mojej zjebanej łepetyny… Samo to, że kiedy się połapałem, że jesteś kimś, i mnie to nie obchodziło, powinno już dla mnie stanowić wskazówkę, że coś w tobie jest, co chciałbym poznać albo nawet zatrzymać. Tamtej nocy mogłem być zasadniczo trzeźwy, ale głowa wciąż czekała na detoks po piekle, jakie jej urządzałem już od lat, więc nie słuchałem wewnętrznego głosu zbyt uważnie. W chwili, kiedy mogłem wreszcie poukładać sobie cały ten bajzel, już zdążyłem cię pokochać. Pamiętasz Kim, co ci powiedziałem tamtej nocy?

– Mówiłeś wiele rzeczy.

– Nie, chodzi mi o tę jedną, która była absolutnie szczera, nawet jeśli sobie tego wówczas nie uświadamiałem. Ta jedna rzecz świadczy chyba, że jednak słuchałem tych wskazówek własnego wnętrza. Powiedz, że pamiętasz, co ci mówiłem, kiedy na mnie siedziałaś, patrząc na mnie, a ja patrzyłem na ciebie. Tak naprawdę tylko to miało znaczenie.

Kim spojrzała na ścianę za plecami Gio, unikając jego spojrzenia. Na dolnych rzęsach pojawiły się łzy. Nie otarła ich. Gdy zamrugała, popłynęły po policzkach, pozostawiając ślady.

– Powiedziałeś, że jestem doskonała – wyszeptała.

– Co jeszcze?

Kim znów spojrzała Gio w oczy.

– Że powinno mi się to mówić codziennie.

– Pozwól, proszę, że to ja będę ci mówił, jak bardzo jesteś doskonała. Chcę, żeby to była pierwsza rzecz, którą powiem, gdy się obudzę obok ciebie każdego ranka, przez resztę mojego życia. Wyjdź za mnie, Kim.

– A co, jeśli to będzie tylko jeden poranek?

Gio się uśmiechnął. Nie będzie tylko jeden, ale nawet jeśli…

– To choć raz w życiu będę wiedział, że zrobiłem wszystko, jak należy, niezależnie od całej reszty.

Rozdział osiemnasty

Po przebudzeniu Kim zamrugała. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było białe złoto i diamenty. Jej najnowsza biżuteria, ozdobiona mnóstwem symboli nieskończoności, z klejnotami wprawionymi dookoła całego obwodu, zdecydowanie robiła wrażenie. Obrączka pasowała idealnie. Nie wydawało się, jakby była nowa. Kim czuła niemal, jakby od zawsze miała tam być.

Mimo wszystko na myśl, że jest teraz mężatką, dostała lekkiego ataku paniki. Ani trochę nie żałowała swojego wyboru. Kochała Giovanniego. Kochała to, że potrafił ją przyprawić równocześnie o szybsze bicie serca i o ból, a wszystko w przeciągu jednej minuty. Kochała fakt, że czuła jego pocałunek jeszcze długo po tym, jak się oddalił. Kochała, że ta namiętność była jak gorączka rozchodząca się po jej ciele, nieustannie rozpalająca ją coraz bardziej, lecz nigdy nie osiągająca punktu wrzenia.

Kochała to, że on kochał ją. Bezwarunkowo. Nieustraszenie. Nieskończenie.

Wyjście za Giovanniego Marcello nie było niczym strasznym. Jednak ogólnie człowiek odczuwał lekki szok, kiedy tak po prostu się budził i był po ślubie.

Kim położyła na poduszce dłoń zaciśniętą w pięść, przyglądając się diamentom, na które padały poranne promienie słońca. Znaleźli go całkiem przypadkiem. Skoro Kim miała lecieć do Nowego Jorku, to potrzebowała kilku rzeczy, i Giovanni się tym zajął. Po wyjściu ze sklepu, gdy wracali do wynajętego samochodu, pierścionek na sąsiedniej wystawie przykuł wzrok Gio.

Kim właściwie nie była w stanie sprzeczać się o samą obrączkę albo o jej cenę. Była przepiękna. Jubiler miał też spory wybór męskich obrączek, które pasowały do tej, którą Giovanni dostrzegł w oknie. Obie w pewien sposób stanowiły całość. Ta, którą założył Giovanni, miała matowaną powierzchnię z białego złota i z

pojedynczym symbolem nieskończoności wygrawerowanym na szerokim pasku. W miejscu, gdzie spotykały się linie pętli, wprawiono pojedynczy, niewielki diament.

Po nagim boku Kim prześlizgnęła się ciepła dłoń. Ręka Giovanniego powędrowała przez biodro, zatrzymując się na kości łonowej. Ten niewinny dotyk sprawił, że po jej ciele, z prędkością szalejącego pożaru, rozeszło się gorąco i w kilka sekund rozbudziło ją całkowicie.

Giovanni przyciągnął Kim, tak że jej tyłek naparł na jego krocze.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nic.

Jego dłoń odgarnęła włosy z ręki, na której się podpierała. Następnie pełne usta dotknęły jej szyi, sprawiając, że wypuściła całe powietrze z płuc. Podczas gdy Giovanni kontynuował swój szturm, po całym jej ciele rozchodziły się mrowienie i dreszcze. Dłoń Gio znów mocno chwyciła jej biodro. Pod naciskiem Kim znów obróciła się na plecy.

– Nie zaczynajmy od kłamstw, *tesoro*. To by nie wróżyło zbyt dobrze na przyszłość. Obudziłem się znacznie wcześniej niż ty. Słyszałem, jak oddech ci przyspiesza, zanim otworzyłaś oczy. Powiedz, co się dzieje.

Kim nie potrafiła mu spojrzeć w oczy. Machnęła ręką, pokazując obrączkę na ręce.

– Na chwilę się przestraszyłam, to wszystko.

Giovanni zmarszczył czoło.

– Żałujesz?

– Nie!

– Więc w czym rzecz?

Kim prawie wtopiła się w łóżko. Jej zgrabne palce zaczęły bębnić o brzuch. Kciuk Giovanniego krążył wokół kolczyka w pępku Kim, trącając go lekko, zanim powędrował dalej w górę jej ciała. Delikatnie dotknął jej piersi, cały czas patrząc jej w oczy.

– Myślałaś kiedyś, żeby zrobić sobie tatuaż? – zapytał szorstko.

– Właściwie nie. Dlaczego pytasz?

– Dobrze. Nie to, żebym ci tego zabraniał, ale lubię twoją skórę taką, jaka jest. Nieskażoną i piękną.

– Ty masz chyba z pół tuzina – zauważyła Kim.

Końce palców Gio zakreśliły koła wokół brodawek, sprawiając, że sutki Kim momentalnie stwardniały. Cholera, zdumiewające, jak jego dotyk działał na jej ciało. Właściwie nic takiego nie robił, a jednak każdy jej nerw zaczynał płonąć… i pragnąć go więcej.

– Nie pamiętam, jak mi robiono większość z nich – wyznał Giovanni. – Ale każdy lubię. Mimo to wolę twoje naturalne ciało.

– Będę o tym pamiętać.

– Powiedz, co cię wcześniej trapiło, Kim.

– To przestań mnie dotykać – odparła, ledwo łapiąc oddech. – To mnie bardzo rozprasza i za każdym razem prowadzi do tego samego.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Giovanni posłał jej obezwładniający uśmiech.

– Bo jesteś doskonała, *tesoro*.

Serce Kim zamarło.

– Każdego ranka?

– Obiecuję, że to nie jest ostatni – odrzekł cicho. – Po co się spinasz?

– Nie wiem, czego się spodziewać, Gio.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją Giovanni, przykładając dłoń do jej serca, jakby chciał sprawić, by biło spokojniej. – Bilet czeka na odbiór. Możemy wyjść trochę wcześniej i zjeść coś, gdy będziemy czekać na odlot. Dołączę do ciebie zaraz po tym, jak pozałatwiam tu wszystko, co trzeba. Nie ma się czym martwić.

Kim przytaknęła ruchem głowy, jednak nerwowo przygryzła policzek.

– Jasne, ale nie to miałam na myśli.

– No to słucham.

– Wiedziałam, czego chce Franco. To znaczy, jeśli chodzi o żonę. Wiedziałam doskonale, czego ode mnie oczekuje, jak mam się zachowywać, jak wyglądać i co robić. Chciał kury domowej, matki, kiedy już zdecyduje się mieć dzieci, i tak dalej. Bardzo wyraźnie określił to, jakiej kobiety chce. Ale nie mam pojęcia, czego oczekujesz ode mnie ty, Gio. Żadnego pojęcia.

Giovanni odchrząknął, odsuwając się od Kim, żeby usiąść na łóżku tyłem do niej.

– Sądzisz, że tego właśnie będę od ciebie oczekiwał?

– Nie wiem.

– Nie chcę żadnej z tych rzeczy. Nie oczekuję, że będziesz miała doskonałą fryzurę i zachowywała się jak posłuszna, szara kura domowa. Powinnaś być szczęśliwa, a nie udawać. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak możesz sądzić, że w czymkolwiek przypominam Franco.

– Wcale nie uważam, że jesteś do niego pod jakimkolwiek względem podobny. Wiem, że nie – odparła Kim. – Jednak małżeństwo wiąże ze sobą dwoje ludzi, a ja nie mam na czym oprzeć swoich wyobrażeń, czego oczekujesz po takim związku, albo po mnie.

– Dokładnie – powiedział Giovanni, odwracając się do niej i patrząc rozpalonym wzrokiem. – To partnerstwo, tak? Tylko o to proszę. Chcę kogoś na równych prawach. Partnera.

– Nie chcę być czyjąś kurą domową, Gio.

– Właśnie powiedziałem…

– I chcę dalej studiować, robić coś dla siebie, kiedy będę tego potrzebowała, oraz wiedzieć, że będziesz szanować to, że jestem dość niezależną dziewczyną, żyjącą na własnych zasadach.

– Dobrze – otwarcie powiedział Giovanni – bo prowadzę zajebiście intensywne życie, Kim. Jestem przede wszystkim *capo* i zawsze nim będę. Chciałbym wiedzieć, że moja żona ma własne życie, które niekoniecznie kręci się wokół sprawiania mi przyjemności. Chcę mieć pewność, że jest dostatecznie niezależna, żeby zająć się sobą, kiedy mnie przy niej nie ma. Nie wspominając już o dzwonieniu do mnie z każdą pierdołą, której nie jest pewna.

Giovanni wstał, sięgając po dżinsy, które wieczorem rzucił na krzesło. Kim powstrzymała go, chwytając za nadgarstek.

– Gio, zatrzymaj się na chwilę.

– Nie, musisz wysłuchać, co mam do powiedzenia. – Odwrócił się do niej i skrzyżował ręce na swojej szerokiej piersi. – Wyjaśnijmy coś sobie. Jesteś inteligentna, więc tego nie marnuj. Jesteś zadziorna i bystra, więc kwestionuj, co mówię. Kłóć się ze mną. Kochaj. Nie

obawiam się silnej kobiety tak bardzo, że muszę stłumić tę część jej osobowości. Ta cecha upewnia mnie, że nie będę jej musiał uczyć, jak stać na własnych nogach. Musisz wiedzieć tyle, że nie oczekuję, że kiedykolwiek będziesz kimś innym, niż jesteś w tej chwili. Nie ma w tobie ani jednej drobnostki, którą chciałbym zmienić. To naprawdę zajebiście proste.

Tak, Kim przypuszczała, że tak właśnie było.

– Dobrze – powiedziała, siadając i przytrzymując kołdrę, żeby osłonić ciało.

– Tylko dobrze?

– Tak, tylko dobrze.

Giovanni przybrał swobodniejszą postawę.

– Nie chcę cię odstawiać do tego samolotu dziś rano.

Kim zacisnęła dłonie na pościeli.

– Chyba mówiłeś, że tak będzie bezpieczniej?

– Owszem. Źle to ująłem. Nie powinienem musieć cię odwozić na ten lot. Właśnie się pobraliśmy. Przez wiele godzin nie powinnaś opuszczać ani mnie, ani tego łóżka. To nie fair względem ciebie. Nie powinniśmy tak zaczynać wspólnego życia. To wszystko.

– Nie zaczęliśmy – odparła Kim, chcąc, by wiedział, że rozumie. – Zaczęliśmy je o wiele wcześniej, Giovanni.

Gio posłał jej kolejny ze swoich grzesznych uśmiechów. Ta zwyczajna rzecz sprawiła, że w jej brzuchu pojawiło się coś rozkosznie ciepłego, po czym spłynęło prosto do miejsca między udami.

– Jest dopiero chwilę po siódmej – poinformował ją.

Kim przygryzła dolną wargę.

– Naprawdę?

– Tak. Mamy trochę czasu, zanim będziemy musieli jechać, i wiem dokładnie, jak chcę to wykorzystać.

– Tak? Jak mianowicie?

Seksowny, mroczny śmiech Giovanniego wywołał u niej silne dreszcze. W mgnieniu oka skoczył ku niej i chwycił mocno jej nadgarstki, wyciągając ją spod kołdry i stawiając na kolanach. Ponaglił ją, by przysunęła się ku niemu, nad samą krawędź łóżka.

Zrzuciła pościel, nie mając jej czym przytrzymać. Dzięki temu mógł podziwiać jej ciało w pełnej krasie.

Gdy się w nią wpatrywał, Kim nie czuła się ani odrobinę skrępowana. Z jego piersi wydobywały się niskie dźwięki, podczas gdy wzrok Gio wędrował powoli wzdłuż jej ciała, lustrując wszystkie kształty i krągłości. Wyglądało to niemal tak, jakby ją zapamiętywał.

Kosmyki sięgających pasa blond włosów opadły na ramiona Kim, okrywając jej piersi. Giovanni nie odgarnął ich. Zamiast tego po prostu znów na nią spojrzał, lekko zaciskając dłonie na jej nadgarstkach.

– Jesteś cholernie piękna – wyszeptał. – To szaleństwo, że jesteś moja, *tesoro*.

– Cóż, nie chcę nikogo innego – odrzekła Kim – więc to nie takie znowu szaleństwo.

– A jednak. Złych facetów nie powinno się nagradzać czymś tak doskonałym.

– Może tylko zły facet jest w stanie utrzymać to przy sobie.

Giovanni przełknął ciężko.

– To wyzwanie?

– Tylko jeśli zechcesz, żeby tak było, Gio.

Giovanni bez słowa puścił nadgarstki Kim, a równocześnie powoli zaczął się zniżać, znacząc pocałunkami ścieżkę w dolinie jej piersi i dalej, przez brzuch, gdzie zębami zawadził o kolczyk w pępku. Bawił się chwilę srebrem, uśmiechając się nikczemnie, a potem zostawił biżuterię i szedł dalej szlakiem w dół.

Delikatny zarost na brodzie Giovanniego drażnił jej wrażliwą skórę. Im mocniej całował jej ciało, tym bardziej zwiększała się wrażliwość jej zmysłów na to, co robił. Od tych doznań, Kim czuła się niemal jak na haju. Jego usta pieściły ją, drażniąc górne partie jej ud i wzgórek gładkiej skóry nad cipką.

Cały ten czas zielone oczy pozostawały wpatrzone w twarz Kim, bacznie przypatrując się jej reakcjom na dotyk. Drżenie jej ud narastało, w miarę jak zbliżał się z pocałunkami do skarbu między nimi, tak samo jak przyspieszał jej oddech. Ręce Giovanniego zacisnęły się mocno na jej udach, tak że zatopił w nich palce na tyle, żeby pozostała wyprostowana.

W oczach Giovanniego pojawiła się rozpalona, niewypowiedziana obietnica.

– Czego pragniesz?

Kim opanowała jęk, który zaczął się już wydobywać z głębi jej gardła.

– Żebyś mnie zerżnął.

Kolejny pocałunek wylądował na mięsistym miejscu nad jej łechtaczką. Usta Giovanniego objęły jej najwrażliwszy punkt w taki sposób, że język wszedł pod skórę okrywającą jej guziczek, a potem pocałunki znów gdzieś zniknęły.

– Ustami?

– Boże… tak. Teraz!

Zamiast zrobić, o co prosiła, Giovanni obrócił twarz i musnął nosem wewnętrzną stronę uda Kim. Wbił zęby w jej skórę, posyłając wprost do jej cipki uderzenie bólu, które natychmiast zmieniło się w przyjemność, gdy polizał to samo miejsce.

– Smakujesz tu jak pieprzony grzech – powiedział Giovanni, znów całując ją w udo.

– Gio, proszę.

Kim znajdowała się o krok od błagania go o to, by dał jej, czego pragnie. Przecież robił to tak niewiarygodnie dobrze.

– I tutaj… – słowa ucichły, gdy otworzył usta, a język ponownie zamaszystym ruchem przejechał po miejscu nad jej cipką – też grzeszny aromat.

W piersi Kim narastało napięcie, sprawiając, że jej oddech stał się płytki. Giovanni jeszcze tak na dobrą sprawę nie zaczął, a ona już desperacko go pragnęła. Musiała się jakoś odnaleźć w tym oszałamiającym uczuciu, które zawładnęło jej umysłem. Jedną rękę Kim wplotła we włosy Giovanniego, a drugą przytrzymała go za ramię. Jego mięśnie spięły się od tego dotyku.

– A tam? – zapytała Kim, spoglądając w dół, na jego usta zawisłe nad jej cipką. Gorący oddech owiewał jej skórę. Już spływała sokami, które niemal kapały z jej fałdek. Widząc Giovanniego zachowującego się niczym w transie i skupiającego całą uwagę wyłącznie na niej, Kim poczuła, że staje się jeszcze bardziej mokra. – Jak tam smakuję?

– Niebem – wymruczał Giovanni. – Tu smakujesz niebem.

Odrobina powietrza, jaka została jej w płucach, natychmiast się z nich ulotniła, gdy jego usta objęły jej cipkę. To, jak ją pieprzył ustami, bardzo przypominało, jak robił to kutasem. Szybko, mocno i oszałamiająco dobrze. Język uderzał w rytmie błyskawicy w nabrzmiałą grudkę, ściskając między wargami, tak że mógł ją ssać na tyle mocno, by przyprawić o krzyk. Robił to świadomie, z podstępnym uśmieszkiem błądzącym po jego twarzy. Wsunął język w jej wejście, a tymczasem zęby pocierały o mięsiste fałdki.

Natychmiast z jej głowy uleciały wszelkie spójne myśli. Kolory dookoła rozmyły się i zatańczyły w jej oczach. Palce jej zdrętwiały, zagłębiając się przy tym mocniej w jego ramię i włosy, żeby nie upadła.

– Gio.

Imię Giovanniego powtarzała w kółko jak mantrę. I to za każdym razem głośniej. Uda trzęsły jej się coraz bardziej, gdy zbliżała się do orgazmu. Było coś niesłychanie zmysłowego w tym, jak jej soki połyskiwały na jego policzkach. Wyglądał cudownie z ustami na jej cipce i tym pragnieniem w oczach.

Dokładnie w momencie, gdy ciało Kim dochodziło do apogeum, Giovanni pchnął ją gwałtownie na łóżko, tak że padła płasko na plecy. Zaskoczona nagłą zmianą, odruchowo starała się chwycić pościeli, ale Gio uwięził jej nadgarstki w stalowym uścisku i unieruchomił pod jej plecami, tuż nad tyłkiem.

Instynktownie oplotła go nogami w pasie, z pośladkami nadal na krawędzi materaca. W milczeniu wsunął kutasa w jej zaciskającą się cipkę, wysunął z powrotem, po czym powrócił, sięgając aż do samego końca. Wtargnięciu nie towarzyszył żaden opór. Jej ciało doskonale do niego pasowało. Wilgoć pomiędzy jej udami zapewniła tylko dodatkowy poślizg dla jego członka, gdy podbrzuszem uderzył w pulsującą łechtaczkę.

W tym momencie Kim straciła resztki samokontroli. Fale orgazmu, które zostały gwałtownie przerwane, gdy padła na łóżko, teraz wróciły ze zdwojoną siłą. Ścięgna i mięśnie jej szyi napięły się do granic możliwości, gdy odrzuciła głowę do tyłu, opadając z powrotem na pościel i zaciskając zęby, żeby powstrzymać

wydobywający się z gardła jęk. To było daremne. Mimo wysiłków wciąż krzyczała, a dźwięk odbijał się od ścian.

– Jezu Chryste, uwielbiam odgłosy, jakie wydajesz, *tesoro*. Głośniej. Obudźmy całe to jebane piętro. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, co ci tutaj robię.

Kim zamrugała, po czym przymknęła oczy, a jej plecy wygięły się w łuk. Z uwięzionymi pod sobą rękami, mogła złapać Gio tylko za dłonie. Wpiła w nie paznokcie, równocześnie ze świstem wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby, gdy targały nią ostatnie spazmy rozkoszy.

Giovanni nie dał jej nawet chwili, żeby coś powiedziała. Z kolejnym jej oddechem zaczął się w nią niestrudzenie wbijać. Mocno, głęboko i rytmicznie, raz za razem jego kutas całkowicie ją wypełniał, drażniąc jej wrażliwą cipkę. Każde wejście w jej ciało wywoływało mieszaninę błogości przeplatającą się z cudownym doznaniem bólu powodowanym przez ucisk na jej ramiona i dłonie.

Kim pozwoliła, by jej nogi opadły z bioder Giovanniego. Chciała go poczuć jeszcze bardziej, by brał ją jeszcze mocniej i głębiej. Westchnęła, bo rozchylając jeszcze szerzej uda, poczuła w mięśniach lekki ból. Z każdym pchnięciem kutas Giovanniego uderzał w najrozkoszniejsze miejsce. Było to niemal przytłaczające. Poczuła, jak jej soki zaczynają tryskać, zatapiając ich oboje w nowym doznaniu.

– Boże, jesteś dla mnie taka mokra – wycharczał Gio.

Kim jęknęła. Tylko taki dźwięk zdołała z siebie wydobyć. Coś nikczemnie grzesznego zaczęło ją rozpierać od środka. Ścianki jej cipki zacisnęły się dookoła penisa, sprawiając, że oddech Giovanniego zrobił się urywany.

– Patrz na mnie, *tesoro*. Obserwuj mnie, gdy cię pieprzę.

Wypowiedziane chrapliwym głosem żądanie sprawiło, że Kim znów szeroko otworzyła oczy. Zbyt wciągnęły ją szalone tempo ich rytmu i kolory tańczące za zamkniętymi powiekami, by miała świadomość, że wcale na niego nie patrzy. Właśnie tak Giovanni na nią działał, za każdym razem. Zabierał ją gdzieś kompletnie indziej, w jakieś niesamowite miejsce, gdzie nie istniało nic oprócz ich dwojga.

Utkwiła więc w nim wzrok, tak jak tego chciał.

Giovanni zdawał się być w absolutnym transie, patrząc uporczywie w miejsce, gdzie raz za razem spotykały się ich ciała. Zieleń jego tęczówek pociemniała od żaru. Rzęsy opadły, rzucając cień na policzki. Wysunął czubek języka, by nawilżyć dolną wargę, a równocześnie nierównym rytmem wdychał i wydychał powietrze. Mięśnie całego ciała były sztywne i napięte. Lekko połyskujący pot pokrywał jego karmelową skórę, osadzając się na delikatnych włosach jego klatki piersiowej schodzących przez podbrzusze aż do krocza.

Jezu.

Był piękny i to tak bardzo, że patrzenie na niego było nie do wytrzymania, ale nie potrafiła przestać.

Kim wciąż pragnęła więcej.

– Mocniej – ponaglała go.

Jego wzrok powędrował w górę.

– Naprawdę?

– Tak, Gio. Chcę, żebyś mnie pieprzył mocniej.

– Boże, dobrze. Tak.

Poczuła, jak uwalnia jej nadgarstki, więc natychmiast skorzystała ze swobody, by unieść się na łokciach. W nowej pozycji mogła wreszcie zobaczyć to samo, na co patrzył Giovanni, gdy ona leżała na łóżku. Zrozumiała wtedy, dlaczego tak uparcie obserwował, jak poruszają się ich ciała.

Raz za razem jego kutas znikał między jej fałdkami, a jądra obijały się mocno o jej tyłek, po czym znów się cofał. Jej soki powlekały go jedwabistą, połyskującą warstwą, rozsmarowując się po jego i jej udach. Słodki, piżmowy zapach seksu i dźwięki pieprzenia wypełniały całe pomieszczenie.

To zdecydowanie była najbardziej erotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Oj tak, to wiedziała na pewno.

Giovanni oparł się zaciśniętymi pięściami na materacu, po czym nachylił się i zachłannie pocałował Kim. Wyczuła na jego wargach aromat swojego wcześniejszego szczytowania, pojękując, gdy jego język błądził po jej ustach. Zdecydowanie za szybko się wycofał.

Tempo pieprzenia zwolniło na tyle, by pozwolić jej sięgnąć ręką i przytrzymać jego szczękę. Wpatrywała się w oczy Gio, a jej palce gładziły jego usta.

– Gotowa? – zapytał Giovanni gardłowym tonem, sprawiając, że po plecach przeszły ją dreszcze.

– Jeszcze jak – wyszeptała.

Kim poczuła, jak dłonie Giovanniego wślizgują się pod jej tyłek i łapią mocno za pośladki. Jego palce zagłębiły się w ciało, znów rozsyłając bolesne ukłucia. Przyciągnął ją ku sobie, równocześnie w nią wchodząc. Nie miała czasu, by się przygotować na pierwsze pchnięcie, bo nic nie zapowiadało, jak będzie intensywne.

Opadając na łóżko, Kim odzyskała stabilność, przytrzymując się nadgarstków Giovanniego. Pozwoliła, żeby ją rżnął, aż wreszcie ledwo była w stanie oddychać. Gardło miała suche od powstrzymywanych krzyków, które próbowały się przez nie wydostać.

To było ostre. Wręcz brutalne.

Kim czuła go potem na całym ciele i w środku jeszcze przez wiele dni. I uwielbiała to.

Wcale nie minęło wiele czasu, nim narastające mrowienie w palcach dłoni i stóp rozeszło się po całej skórze jak pożar. Całe jej ciało zadrżało, a jej krzyki stawały się coraz głośniejsze. Czuła, jak jej łono rozkwita gorącem, mięśnie się napinają, a ścianki pochwy zaciskają wokół kutasa Giovanniego, gdy ponownie owładnął nią orgazm.

Wijąc się z rozkoszy, Kim odwróciła głowę w bok, by stłumić hałas. Giovanni nie pozwolił jej tak pozostać długo. Obie jego ręce puściły tyłek Kim, po czym jedna chwyciła ją w pasie, a druga objęła szyję zaraz pod szczęką.

Giovanni zmusił ją, by spojrzała znowu na niego, po czym wydyszał brutalnie:

– Powiedziałem, żebyś na mnie patrzyła, *tesoro*.

Tak właśnie zrobiła. Mimo dłoni na jej gardle, nie czuła w ogóle strachu czy wahania, tylko przechodzące ją ostatnie spazmy orgazmu, który teraz doprowadzał na szczyt Giovanniego.

Ręka obejmująca Kim w pasie zacisnęła się boleśnie, ale ta na szyi ledwo drgnęła, gdy dochodził równie intensywnie jak ona. Gio trzymał jej ciało mocno przy sobie, zaciskając zęby, i cały drżał.

Ani na chwilę nie przestawała mu się przyglądać, uwielbiając to, jak w kilka sekund tracił wszelkie panowanie nad sobą. Gdy się wyciszał, jego kciuk powędrował ku górze, dając jej znak, by jeszcze bardziej odwróciła ku niemu głowę, a w końcu przesunął delikatnie palcem w tę i z powrotem po jej skórze. Wreszcie ją puścił.

– Jesteś taka cudowna – powiedział. – *Ti amo*, Kim.

Uśmiechnęła się, czując, jak na rzęsach gromadzą jej się łzy.

– Ja ciebie też kocham.

Bolał ją każdy skrawek ciała, ale w jak najlepszym znaczeniu. Giovanni wysunął się z jej ciała, ugniatając dłońmi uda, aby rozluźnić jej mięśnie. Kim się przeciągnęła, ciesząc się ostatkiem gorączki, jaka rozpalała jej skórę, i naturalną euforią, wypełniającą jej umysł. Wymknął jej się pojedynczy jęk zadowolenia.

Gio wybuchnął śmiechem, po czym położył się na niej, ale zaraz uniósł się na łokciach.

– Kiedy się tak pode mną przeciągasz, przypominasz mi małego kotka. Mógłbym się przyzwyczaić do tego widoku.

– Chcesz się zapoznać z moimi pazurkami?

Pokazał dłoń, na której widniały małe, czerwone rysy pozostawione przez jej paznokcie.

– Już to zrobiłem. Wszystko w porządku?

– Więcej niż w porządku.

– No to w porządku – powtórzył cicho Giovanni. – Jeszcze dość wcześnie, ale powinniśmy się powoli zbierać. Poczuję się bezpieczniej, kiedy już znajdziesz się na lotnisku.

– Nie chcę lecieć bez ciebie – powiedziała Kim. – Twoja rodzina nie będzie mieć o mnie zbyt wysokiego mniemania po tym, co się wydarzyło między nami.

– Mój ojciec często wydaje się nieprzystępny z powodu swojej pozycji, ale taka już jego natura. Moja matka za to jest słodka jak miód, chociaż w kuchni bywa groźna. Dante utknął gdzieś między ustalaniem tego, kim jest, i tego, kim być zamierza, więc może się wydawać szorstki i zimny, ale tak naprawdę daleko mu do tego.

Lucian pilnuje swej prywatności i z tego powodu czasem bywa oschły, ale Jordyn mu z tym pomogła.

– Do czego zmierzasz, Gio?

– To moja rodzina. Nie są doskonali. Czasami bywają aroganccy, nachalni i wścibscy. Zwykle zachowujemy się głośno, a stół, do którego siadamy przy kolacji, to najbardziej szanowane miejsce, nie licząc ławki w kościele. Nazywamy się Marcello. Ty też jesteś Marcello, i obiecuję, że cię pokochają.

Rozdział dziewiętnasty

Gio nie rozpoznał dwóch mężczyzn, którzy w zwykłych, najnormalniejszych w świecie ubraniach i ze zblazowanym wyrazem twarzy czekali przed głównym wejściem do terminalu. Jednak wydawało się, że oni rozpoznali jego. W jednej chwili ich postawa zmieniła się ze znudzonej na pełną gotowości, a ich wzrok skupił się na kobiecie idącej obok Giovanniego. Zaklął w myślach.

Pierdolone szczęście, że wpadli na nich w ruchliwym, publicznym miejscu, takim jak lotnisko. Tylko tego mu było trzeba. Po zmianie hotelu ostatniej nocy nikt ich nie wytropił. Udało mu się nawet znaleźć całkiem dobre miejsce, gdzie mógł skrycie zaparkować samochód, ale powinien był się domyślić, że może dojść do czegoś podobnego.

Jak by nie było, lotnisko McCarran znajdowało się najbliżej miejsca, gdzie zatrzymał się Gio, i to na nim lądował, kiedy przyleciał do Vegas. Wiedzieli o tym zarówno Maximo, jak i Franco.

Delikatnie ścisnął dłoń Kim, po czym przyciągnął ją bliżej siebie.

– *Tesoro*?

– Hmm?

Kim, głęboko pogrążona w myślach, była całkowicie nieświadoma otoczenia. Gio właściwie nie mógł jej za to winić, zważywszy na zawirowania, które wydarzyły się ostatnio w jej życiu.

– Mamy towarzystwo. – Jej głowa momentalnie podskoczyła w górę, a jej wzrok skupił się na dwóch mężczyznach, którzy właśnie zmierzali w ich stronę. – Poznajesz ich?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Widziałam ich kilka razy u Maximo.

Gio założył więc, że to ludzie Maximo, bo kręcąc się przy interesach Franco, na pewno by ich wcześniej zauważył.

– Wiesz, czym się zajmują w *la famiglia*?

– Nie, ale kiedy są w pobliżu, Franco trzyma się na dystans.

Czyli pewnie nie są to najmilsi faceci, skoro nawet Franco nie przepada za ich towarzystwem. Nie to, żeby ten idiota miał w swoim otoczeniu kogoś przyjemnego. Mimo wszystko było to bardzo wymowne.

– Dobra – mruknął Gio, znów ściskając Kim za rękę. – Pogadam z nimi. Ty siedź cicho i rób to, co ci powiem. Będzie dobrze.

A przynajmniej w twoim przypadku, dodał w myślach.

Tak naprawdę jedynie to się liczyło. Musiał tylko sprawić, żeby Kim dotarła do Nowego Jorku. Jego rodzina zajmie się resztą, niezależnie, czy on wróci, czy nie.

– Dobrze – odparła cicho.

– Giovanni Marcello, prawda? – zapytał jeden z tamtych.

Gio wzruszył jednym ramieniem, bo drugą ręką mocno ściskał dłoń Kim.

– Jasne. Teraz macie nade mną przewagę, bo za chuja nie wiem, kim wy jesteście.

– To w tym momencie nie jest najważniejsze – beznamiętnie odparł ten drugi. – Wiesz, zwykle się nie przedstawiamy, chyba że przychodzi czas na zabijanie.

Super. Egzekutorzy.

Wspaniale.

Teraz Gio doskonale wiedział, dlaczego Franco trzymał się od nich z daleka. Egzekutorzy danej rodziny byli najbardziej oziębłym typem ludzi. Również najniebezpieczniejszym. Ich główne zajęcia polegały na rozwiązywaniu problemów, a raczej ich likwidowaniu. Niektórzy potrafili być dosyć kreatywni i okrutni, jeśli chodziło o metody, w zależności od celu i powodów zlecenia.

– Cóż, jeśli nie podacie mi swoich imion, to nie mam wam za wiele do powiedzenia – odparł Gio spokojnie, wymijając obu mężczyzn.

Na jego ramieniu wylądowała ręka, zatrzymując go w miejscu.

– Wypierdalaj z tą łapą – powiedział Gio chłodno. – Naprawdę nie mam nic przeciwko, żeby ci ją upierdolić, jeśli nie będziesz wiedział, jak ją ze mnie zabrać.

Facet opuścił rękę.

– Naprawdę sądziłeś, że tak łatwo wsiądziesz w samolot i wylecisz z Vegas? Masz pojęcie, jak duża część tego miasta należy do

Maximo?

– Mam to gdzieś.

Ale swoją drogą – owszem, Gio wiedział.

– Jeden telefon – mówił mężczyzna dalej lekko rozbawionym tonem. – Tylko tego wymagało ustalenie, że na lot o dziewiątej rano zarezerwowano bilet na nazwisko Marcello. Maximo ma ludzi przy każdym wejściu na to lotnisko, gotowych cię przechwycić.

Nie istniało coś takiego jak prywatność, a Gio miał cholerną pewność, że nie ma co na nią liczyć w świecie, w którym żył. Prywatność stanowiła żart – coś, w czego posiadanie ludzie lubili wierzyć. Tymczasem trzeba było tylko odrobiny gotówki, która trafiała w odpowiednie ręce, i wszystko stawało się możliwe.

– To nie ja odlatuję dzisiaj rano – odrzekł cicho Gio, ignorując ostatnią część wypowiedzi tamtego. – Dajcie mi przejść, a za dziesięć minut zjawię się tu z powrotem.

– Oj, nie sądzę. Tak to niestety nie zadziała.

Gio zdjął torbę z ramienia, a następnie podał ją Kim.

– Idź na odprawę, *tesoro*.

– Ona też nigdzie nie pójdzie – powiedział ten pierwszy, uśmiechając się ponuro.

Kiedy facet sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, Gio prychnął.

– Jasne, proszę. Wyciągaj tę swoją pukawkę, jaką tam byś nie miał, w tym zatłoczonym, otwartym terminalu. Jestem pewien, że kamery w tym momencie mają świetne ujęcie na każdy jebany rys waszej twarzy. Marcellowie są notowani, ale mogę się założyć, że Sorrentowie także. Kurwa, nie zdziwię się, jeśli mają tu jakiś biuletyn na temat każdego z was. Federalni uwielbiają egzekutorów, bo takie sukinsyny jak wy zawsze zaczynają współpracować, kiedy sądzą, że mogliby spędzić jakiś czas za kratkami.

– Uważaj, fiucie.

– Oj, chyba nie będę uważał – odrzekł Gio, uśmiechając się nikczemnie. – Twardziele na ulicy, ale w zagrodzie jagniątka, co? No dalej. Wyciągaj tę klamkę. Odjebię tu taką scenę, jakiej w życiu nie widziałeś, i nawet jeśli nas stąd jakoś wyciągniesz, to możesz mi

wierzyć, że władze będą miały na wideo więcej niż trzeba, żeby cię wsadzić. No, dajesz!

Kiedy ten wyższy zrobił krok w kierunku Kim, Gio zastawił ją swoim ciałem. Czuł, jak jej dłonie zaciskają się w pięści z tyłu na jego marynarce, ale nadal się nie odzywała, tak jak ją prosił. Ludzie przechodzili obok nich. Niektórzy wchodzili, inni wychodzili, jeszcze inni palili papierosy przy oznaczonych popielniczkach. Na podjeździe parkowały taksówki, z których wysiadali pasażerowie. Wydawało się, że nikt nie zauważył małego spięcia. Przechodząc zaledwie metr czy dwa od nich, nikt nawet nie ściszył rozmowy.

– Mamy rozkazy – powiedział tamten, mierząc Gio wzrokiem.

– Jak miło – odparł Giovanni szyderczo. – Jestem pewien, że Max doceni, że wypełniliście przynajmniej jeden. To znaczy zaraz po tym, jak Kim wsiądzie na pokład samolotu.

– Ona nigdzie nie leci.

– Ależ leci, leci. Jeszcze tego nie skumaliście? Może coś jest nie tak z waszymi głowami.

– No dobra, mam już dość twojego wymądrzania się, kutasie.

Gio wyszczerzył zęby w uśmiechu, unosząc rękę i pokazując nowiutką obrączkę z białego złota na swoim palcu.

– Obiecuję, że dostaniecie mnie z powrotem, zaraz po tym, jak moja żona wsiądzie na pokład samolotu.

Przez krótką chwilę obaj się wahali. Właśnie to Gio chciał zobaczyć. Niestety, nie trwało to dostatecznie długo.

– To jakiś żart – powiedział ten niższy, bardziej krępy.

– Nie, to nie żart. Wiem, że nie ma tu nikogo, kto by mi pomógł. Ale o ile to, co zrobiłem, w żadnym razie nie gwarantuje mi bezpieczeństwa, to rzecz przedstawia się kompletnie inaczej dla niej, skoro nosi moje nazwisko. Możecie mi wierzyć, że jeśli przed końcem dnia mój ojciec nie spotka się ze swoją synową, to w Vegas rozpęta się piekło, jakiego jeszcze nie widzieliście. Czułbym się okropnie, będąc człowiekiem, który jest za to odpowiedzialny. Jeśli jednak myślicie, że wyśle tu bandę takich kretynów jak wy, żeby się tym zajęli – kontynuował Gio tym samym cichym, spokojnym tonem – to się grubo mylicie. Zjawi się tu osobiście, razem z moimi braćmi. Jeszcze gorzej się sprawa będzie przedstawiać, jeśli to moja matka

się dowie, że się ożeniłem, a ona nie miała okazji poznać mojej żony. Ja pierdolę, Antony zapewne przybędzie tu choćby po to, żeby udobruchać Cecelię. Jak by nie było, nic tak nie pokazuje miłości, jak rozlew krwi.

Obaj mężczyźni zamarli. Wyraźnie stracili pewność siebie i nie wiedzieli, co powiedzieć. Gio wykorzystał to na swoją korzyść.

– To ten sam facet, który zabił ojca swojej żony za zamordowanie jego najlepszego przyjaciela. Jak sądzicie, co zrobi gościom, którzy zawieźli jego synową na śmierć, hmmm? Poważnie chcecie być mafiosami, którzy okazali brak szacunku żonie jednego z Marcellich? Są pewne zasady, które Antony poważa i szanuje, i mogę was zapewnić, że ta jest jedną z nich.

Ten mniejszy zmrużył oczy.

– Po tym, co z nią zrobiłeś…

– *Cazzo*, *cafone*, stuliłbyś pysk – nakazał ten drugi, uciszając towarzysza. – To faktycznie coś, co trzeba wziąć pod uwagę. Tony ma… szczególne podejście do żon w *la famiglia*, i to niezależnie od tego, kto jest ich mężem.

Gio powstrzymał uśmiech, wiedząc, że już wygrał pierwsze starcie.

Tylko w nielicznych wypadkach słyszał, by ktoś mówił o jego ojcu per „Tony”, bo zwykle miało to miejsce w syndykatach spoza ich kręgu. Nikt w ich rodzinie nie ośmielał się używać tej ksywki, nawet Paulie, najbliższy przyjaciel i powiernik jego ojca. To miano nosił, kiedy był młodym mężczyzną, znacznie bardziej wyluzowanym niż obecnie. Wyższy z mężczyzn wydawał się być mniej więcej w wieku Antony’ego, więc Gio się zastanawiał, czy ten tutaj nie spotkał się z jego ojcem raz czy drugi.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej – odparł tamten po prostu. – Z dziesięć lat temu, a może i więcej, byłem na spotkaniu dwóch rodzin. Ot tak, żeby się przyglądać. Wtedy spotkałem go po raz pierwszy. Kiedy jeden z *capo* odmówił przeproszenia swojej własnej żony po tym, jak przy wszystkich nazwał ją *puttana*, Tony dobrał mu się potem do dupy. Uciął tamtemu język i patrzył, jak facet topi się w swojej własnej krwi. A ta kobieta nie należała nawet do jego rodziny, Rico. Nikt nie bąknął nawet słowa. Nie mogli. To była dla wszystkich dobra lekcja

szacunku i przypomnienie, jaki strach wzbudza ten mało gadający człowiek.

– Stephan… – zaczął Rico.

– Zastanów się nad tym, co właśnie powiedziałem – odrzekł Stephan. – Nie wiem jak ty, ale ja lubię, jak mój język jest dokładnie tam, gdzie jest.

Cóż, przynajmniej teraz Gio znał ich imiona.

Giovanniemu nie umknęło, jak dłonie Kim na jego plecach zacisnęły się jeszcze mocniej, gdy tamten opowiedział swoje wspomnienia o Antonym Marcello. Nie winił jej, bo historia była okropna i zapewne prawdziwa. Nie był to pierwszy raz, gdy Gio słyszał coś podobnego na temat swojego ojca. Nie bez przyczyny Antony cieszył się takim poważaniem w przestępczym świecie.

Szacunek szedł tu w parze ze strachem.

– A ja wiem, co Max zrobi, jeśli wrócimy tylko z jednym z nich – powiedział Rico rozdrażniony. – Boisz się konsekwencji ze strony faceta, który jest w Nowym Jorku?

– Nie tylko to – odparował Stephan. – Wierzę w Cosa Nostrę. Jeśli zaczniemy naginać zasady, to możemy być pewni, że wszyscy inni zaczną robić to samo. A jak już się zacznie, to tak czy inaczej wyjdzie z tego piekło.

– Oni już złamali zasady.

– Nie – poprawił go Stephan, znów mówiąc ciszej. – On to zrobił. Ona się tylko skurwiła. Nie można oczekiwać od niej, że będzie przestrzegać przysięgi, której nie złożyła.

– Hej – ostrzegł go mrocznym głosem Gio. – Kurwa to nie jest dobre słowo.

Stephan posłał wymowne spojrzenie Kim.

– Powiedziałem, że się skurwiła, nie że jest kurwą. I to najlepsze określenie, jakie ode mnie wyciągniesz po tym, jak się zachowała. Nie powściągnę języka dlatego, że masz z tym problem, tylko ze względu na zdrowy szacunek, jaki mam do Antony'ego Marcello. – Po tych słowach mężczyzna westchnął i odwrócił się do swojego wspólnika. – W tych okolicznościach Maximo zrozumie, dlaczego nie wypełniliśmy jego instrukcji. Muszę ją puścić, Rico.

– Dobra, ale ty bierzesz na siebie całe to gówno, nie ja.

– Zawsze tak jest – stwierdził Stephan.

Gio nie tracił już ani chwili. Obróciwszy się na pięcie, ucałował zaskoczoną Kim, przytrzymując jej twarz w dłoniach. W końcu oderwał się od niej, choć bardzo nie chciał, dodając jeszcze kilka pocałunków na policzku. Dłonie Kim zacisnęły się ciasno po bokach jego marynarki, jakby nie chciała go puścić.

– Trzymaj. Musisz to wziąć ze sobą – powiedział Gio, wyciągając złożony akt ślubu. Wsunął go w kieszonkę jej torebki. – To będzie dowód, żebyś mogła odebrać bilet. Nie oglądaj się za siebie, tylko po prostu przejdź przez drzwi, weź bilet i podejdź do swojego wejścia. Nie próbuj do mnie dzwonić ani wysyłać wiadomości. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł.

Kim chwyciła go mocniej.

– Ale…

– Przylecę zaraz po tobie.

Nie miał innego wyjścia.

– Nie powinieneś okłamywać dziewczyny, Marcello – wtrącił się Stephan.

Gio zesztywniał, próbując się powstrzymać, żeby mu nie przywalić.

– Obiecuję, Kim.

Otworzyła szeroko oczy, a jej ręce zacisnęły się na pasku torby.

– Gio?

– Idź, *tesoro*.

– Ale…

– Idź, Kim.

I zaufaj mi, chciał dodać.

Kim nachyliła się i raz jeszcze go pocałowała.

– *Ti amo*.

– *Ti amo* – powtórzył Gio. – I to bardzo.

Bez dalszego ponaglania Kim puściła Giovanniego, po czym ruszyła dalej, wchodząc przez drzwi i ani razu nie oglądając się za siebie.

– Naprawdę nie powinieneś okłamywać tej dziewczyny – powtórzył Stephan.

Gio wzruszył ramionami.

– Może dla ciebie to jest kłamstwo.

– Chyba nie spodziewasz się, że po tym, co zrobiłeś, opuścisz Vegas żywy?

– W końcu na pewno je opuścisz – dodał Rico, uśmiechając się nikczemnie – tylko że w kawałkach.

Wspaniale. Gio nie okazał cienia strachu. Nie mógł. Wiedza, pewność siebie i zimny wyraz twarzy dały mu zwycięstwo w pierwszej rundzie. Liczył, że pomogą mu też w drugiej.

– Broń albo telefony? – zapytał Stephan.

– Pistolet za paskiem i telefon w kieszeni marynarki.

– Dobrze wiedzieć. Szczerość znacznie wszystko ułatwia.

Gio miał poważne wątpliwości.

Rozdział dwudziesty

Wychodząc przez bramki i zostawiając za sobą samolot, w którym czuła się bezpiecznie, Kim nie potrafiła opanować nerwów. Pięcioipółgodzinny lot tylko nasilił panikę. Psychicznie była wyczerpana zamartwianiem się, ale fizycznie cała pobudzona stresem.

Gio nie powiedział jej, kogo ma się spodziewać, kiedy wyląduje w Nowym Jorku. Wspominał tylko, że ktoś ją odbierze. Jak niby miała rozpoznać tę osobę, skoro nie znała tu nikogo? Zeszła z ruchomych schodów, zrobiła dwa kroki i się zatrzymała.

Skórzane buty, granatowe spodnie i koszula z rękawami podwiniętymi za łokcie, natychmiast zwróciły jej uwagę. Mężczyzna miał też przewieszoną na przedramieniu marynarkę, pasującą do garnituru, a drugą ręką trzymał sobie przed oczami kartkę białego papieru. Mimo dość oficjalnego ubioru miał raczej swobodną postawę i ewidentnie kompletnie nie przejmował się ludźmi gnającymi wokół niego w różne strony.

Jakim sposobem Kim mogłaby nie poznać stojącego przed nią mężczyzny?

Antony Marcello był najbardziej tajemniczym, a równocześnie rozpoznawalnym mężczyzną tak w kościele, jak i na weselu swojego najstarszego syna. Był pierwszym człowiekiem, którego ojciec jej wskazał. Nie przedstawiono ich sobie tamtego dnia, ale natychmiast go rozpoznała.

Antony zerknął znad trzymanej w ręce kartki, po czym spojrzał prosto w oczy Kim stojącej od niego zaledwie kilka metrów. Kąciki jego ust powoli uniosły się w swobodnym uśmiechu.

– Witaj, Kimberlynn.

Kim zamrugała.

– Wiesz, kim jestem?

– Wiem o tobie – poprawił ją łagodnie. – Jestem pewien, że będziemy mieć okazję, by poznać się znacznie lepiej. Poznałem cię, bo zeszłej nocy, nie mogąc spać, przejrzałem sobie trochę powszechnie dostępnych informacji na twój temat. Tak dla własnego spokoju upewniłem się, że będę potrafił wypatrzeć twoją twarz w tłumie. Cieszę się, że faktycznie się udało. Gio widzę dokonał takiego wyboru, jakiego się spodziewałem.

– Masz na myśli, że mnie tu przysłał?

– To też. – Antony pomachał trzymaną w ręce kartką. – Kimberlynn to ciekawe imię. Po kim je otrzymałaś?

Skąd to wiedział?

– Po mojej babce ze strony mamy.

– Widzę, że nie jest włoskie.

– Nie, ale jej mąż był Włochem – odparła Kim. – Tak jak mój ojciec.

– Tak, wiem – powiedział bezbarwnym tonem.

Kim powstrzymała się, by nie parsknąć śmiechem. Antony ewidentnie nie przepadał za Nunzem. Gio z góry ją ostrzegł, że mówienie o nim przy jego ojcu nie wywoła w nim entuzjazmu.

– Co cię tak rozbawiło, Kimberlynn?

– Kim. Wolałabym tę wersję.

– To dobrze. Uważałem Kimberlynn za trochę…

– Pretensjonalne? – podsunęła, jak zresztą prawie zawsze, właściwe słowo.

Antony się zaśmiał.

– Dokładnie.

– Gio uprzedził mnie, że nie przepada pan za moim ojcem. Właśnie to mnie rozbawiło.

– Giovanni miał słuszność. Nie czujesz się tym nawet urażona. Ze smutkiem muszę powiedzieć, że mnie to nie dziwi.

– Już od bardzo dawna nie lubię swojego ojca – odparła Kim.

– No to już mamy ze sobą coś wspólnego. Kolejnym plusem jest to, że nie muszę cię przedstawiać nazwiskiem Abella, lecz Marcello. Chyba oboje możemy być z tego powodu zadowoleni, nawet jeśli z odmiennych powodów.

Kim uniosła brew, zaskoczona.

– Wiesz, że ja i Gio się pobraliśmy?

Antony ponownie pomachał kartką papieru.

– Właśnie czytałem sobie odpis waszego aktu małżeństwa. Gio przesłał mi go faksem, żebym wiedział, jak się sprawy mają, i pchnął w jego imieniu kilka tematów prawnych. Tak na wszelki wypadek.

– Nie jesteś na nas zły?

– A dlaczego miałbym być, kochana? To właśnie ja mu ten krok zasugerowałem. – Antony uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. Kim poczuła się niezręcznie, widząc, że przygląda się jej siniakom. – Twarz nadal boli?

– Odrobinę – przyznała Kim. – Przynajmniej obrzęk już zniknął.

Antony nie wyglądał na zadowolonego, jednak powiedział spokojnie:

– Wierz mi, że wcale mnie to nie uspokaja.

Kim przypomniała sobie, co o Antonym Marcello mówił człowiek, którego wysłał Maximo, żeby ten nie pozwolił im opuścić Vegas.

– To prawda? – Pytanie wyślizgnęło jej się z ust, zanim zdołała się powstrzymać.

– To znaczy co?

– Że odciąłeś komuś język, bo nazwał swoją żonę dziwką?

– To prawda. – Antony uniósł brew, wyglądając przy tym na rozbawionego. – To było wiele lat temu. A od kogo o tym usłyszałaś?

– Gdzieś, kiedyś – odparła Kim niejasno. – Wydaje się przesadne.

– Doprawdy? Przede wszystkim zrobił to w obecności dwudziestu gości, przez co zaczęła płakać. Nie mogłem się przyglądać, jak ta przemiła kobieta płacze. Po drugie to była bliska przyjaciółka mojej żony. Nie znoszę, kiedy Cecelia jest zatroskana, i nie biorę odpowiedzialności za to, co się dzieje z ludźmi, którzy dodają jej zmartwień. Po trzecie wreszcie, uważałem, że na to zasłużył, a ponieważ jego szef był bezużyteczny, sam się tym zająłem.

Mówił o tym kompletnie nieporuszony, jakby po przyjacielsku rozmawiali sobie o pogodzie. Kim przestąpiła z nogi na nogę, wstrząśnięta jego szczerością, ale też brakiem empatii wobec takiego aktu przemocy.

– Cóż… dobrze zatem.

Antony uśmiechnął się nikczemnie.

– No to chodźmy.

***

– *Tesoro*.

Kim momentalnie podniosła głowę na dźwięk znajomego, pieszczotliwego określenia. Stojąca w korytarzu kobieta wykrzykiwała różne rzeczy. Była władcza i poruszała się z gracją. Wyglądała pięknie we włosach koloru karmelu, z zielonymi oczami i widocznie radosnym usposobieniem. Jej słodki uśmiech uspokoił Kim. Kobieta emanowała czymś znajomym i pocieszającym, co sprawiło, że serce Kim zabolało ją z tęsknoty. Ta kobieta była jak jej matka.

– Antony? – zawołała kobieta. – Nie wiedziałam, że będziemy mieli gości.

– Przepraszam. Nie chciałem zawracać ci głowy, póki się nie upewnię. Kimberlynn, oto moja żona, Cecelia. *Tesoro*, to jest Kimberlynn. Pochodzi z jednej z naszych rodzin mieszkających w Vegas i przyleciała dzisiaj do Nowego Jorku. Zatrzyma się tu na pewien czas.

Kim spodziewała się, że Cecelia stanie się podejrzliwa wobec posiniaczonej kobiety, którą jej mąż przyprowadził bez większych wyjaśnień do ich domu, ale stało się coś dokładnie przeciwnego. Cecelia podeszła do Kim, a następnie bez słowa wyciągnęła ku niej dłoń.

– Miło cię poznać, Cecelio – powiedziała Kim.

Matka Giovanniego uśmiechnęła się, po czym uścisnęła dłoń Kim nieco mocniej.

– Ciebie również. Zmęczona po podróży?

– Niezbyt. Chyba za bardzo się denerwuję, żeby czuć zmęczenie.

Antony się roześmiał.

– Cóż, moja żona na pewno ukoi twoje nerwy. Cecelia robi się nerwowa tylko, jeśli ktoś jej się pląta po kuchni albo krzywdzi któregoś z jej chłopców.

Kiedy Cecelia już rozluźniała uścisk ręki, jej brew się uniosła. Zamiast puścić dłoń Kim, pogładziła kciukiem jej obrączkę. Spojrzała

w dół i raz jeszcze jej dotykając, powiedziała:

– Jesteś mężatką.

Kim nerwowo przełknęła ślinę. Antony nie powiedział jej, jak ma w takiej sytuacji zareagować.

– Hmmm, tak.

– Mam nadzieję, że to nie twój mąż pozostawił te okropne siniaki na tej ślicznej twarzy.

– Nie, to nie on – powiedziała Kim. – To dobry człowiek.

– Vegas powiadasz? – dopytała Cecelia, zwracając się do Antony'ego.

– Tak.

– Tam, gdzie jest Giovanni?

– Tak.

Cecelia zacisnęła wargi, badawczo wpatrując się w męża.

– Antony, dlaczego mam nieodparte wrażenie, że nie mówisz mi o czymś, co by mnie mogło zmartwić?

– Nie sądzę, by to w jakikolwiek sposób cię zmartwiło. Chciałem tylko ułatwić rozmowę na ten temat. Na przykład przeprowadzić ją, kiedy ta biedna dziewczyna nie będzie tutaj stała, czując się niezręcznie, jak to w oczywisty sposób ma teraz miejsce. *Tesoro*, uprzednio nie przedstawiłem ci naszego gościa, jak należało. Poznaj proszę żonę Gio… Kimberlynn Marcello. Woli, żeby zwracać się do niej Kim. Czyż nie tak, moja droga?

– Zgadza się – przytaknęła.

Cecelia obróciła się do swojego męża.

– Żona Giovanniego. Mojego Gio?

Antony posłał jej znaczące spojrzenie.

– Tak, twojego Gio.

Cecelia nie puściła ręki Kim nawet na moment i przyjęła wieści z takim samym wdziękiem i godnością, z jakimi weszła wcześniej do foyer.

– Antony, dałabym sobie głowę uciąć, że kiedy wysyłałeś go do Vegas, był jeszcze singlem. Kiedy to się stało?

– Zeszłej nocy – odparła Kim. – Z…

– Wielu powodów – wtrącił się Antony. – Większość z nich nie ma znaczenia, z wyjątkiem faktu, że ją bardzo kocha i jest szczęśliwy.

Prosił, bym cię przeprosił za to, że się nie pochwalił i że nie mógł cię zaprosić na uroczystość, ale obiecał, że to naprawi w sposób, jakiego tylko sobie zażyczysz.

Kim czuła się zadziwiona i w pewnym sensie przestraszona sposobem bycia tych ludzi. Jasnym było, że bardzo mocno się kochali. Obserwowanie, jak rozmawiają ze sobą i jak się zachowują było fascynujące. Trudno się było nie zastanawiać, ile lat im zajęło, żeby osiągnąć taki poziom zaufania, że jedno po prostu coś powiedziało, a drugie ślepo w to wierzyło.

– Cóż – powiedziała Cecelia powoli i z naciskiem, obracając się do Kim – jesteś katoliczką?

Że co?

– Eeee, tak?

Dlaczego zabrzmiało to jak pytanie?

– Gio, mój kochany chłopiec – powiedziała Cecelia, uśmiechając się szeroko.

Antony zaśmiał się gromko.

– To jedyna ważna sprawa?

– Nie. Oczywiście, że nie – odparła jego żona. – Między nimi potoczyło się szybko, ale u nas przecież było podobnie, tak samo jak u Luciana, gdy w końcu znalazł *amore*. Z miłą chęcią zobaczyłabym, jak Giovanni się żeni, a przynajmniej niechby, do ciężkiej cholery, zadzwonił. Jasne, nie jestem zaskoczona, że zrobił to w ten sposób. Taki już jest mój Giovanni. To jednak nie sprawia, że jest mi z tym dużo lżej.

– To znaczy? – zapytała Kim, czując się tak zagubiona, że prawie kręciło jej się w głowie.

– Zakładam, że to była ceremonia w Vegas? – odrzekła Cecelia.

– Właściwie udzielił nam go sędzia pokoju, w urzędzie.

Cecelia mruknęła, po czym skinęła głową.

– Tak, cóż… Kościół nie uzna małżeństwa i żadne z was nie będzie mogło przystąpić do sakramentów, póki się to nie zmieni. Mogę się tym zająć. Jesteś katoliczką, więc to powinno przyspieszyć sprawę, kiedy skontaktuję się z ojcem Peterem, żeby pomówił z biskupem, żeby ten udzielił konwalidacji małżeństwa. Tak, wszystko jest dobrze. Jestem taka szczęśliwa.

Kim czuła się oszołomiona.

– Naprawdę?

– Oczywiście. To proste. Jeśli mój syn jest zadowolony ze swojego wyboru, to ja cieszę się wraz z nim. Kocham swoich synów i chcę, żeby mieli wszystko, czego potrzebują. Nie obchodzi mnie, jak to osiągną. – Tu Cecelia uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – A gdzie Gio?

Antony odchrząknął, żeby odwrócić uwagę od Kim.

– Nic się nie martw. Wkrótce będzie w domu i na twojej łasce, *tesoro*.

Matka Gio zadała Kim jeszcze parę luźnych pytań, gdy ona ściągała płaszcz i szpilki. Antony miał rację. Jego żona natychmiast każdego uspokajała swoim otwartym usposobieniem i szczerą naturą. Kiedy Kim obejrzała się za siebie w kierunku Antony'ego, jego już tam nie było.

Cecelia westchnęła, znów przykuwając uwagę Kim.

– Mąż coś przede mną ukrywa, bo nie chce, żebym się martwiła. – Kim mogła jedynie przytaknąć. Matka Gio była spostrzegawcza jak cholera. – Powinnam się martwić?

– Ja się martwię – odrzekła Kim.

– Z trzech moich chłopaków, Gio jest tym, który sprawia, że regularnie chodzę do lekarza, żeby sprawdził, jak tam moje serce. Klęłam z jego powodu od dnia, w którym nauczył się stawiać pierwsze kroki – poinformowała ją Cecelia, a następnie machnęła ręką. – Chodź, Kim. Umiesz gotować?

– Czy Antony nie mówił przypadkiem, że irytujesz się, gdy ktoś inny pląta ci się po kuchni?

– Antony uważa, że do tłuczonych ziemniaków można dodać pieprzu cayenne, jeśli nie może znaleźć czarnego.

– Ajć – skrzywiła się Kim.

– Właśnie. Poza tym to co innego. Muszę się upewnić, że moi chłopcy mają żony, które potrafią ich nakarmić, nawet jeśli nauczyłam ich gotować.

– Potrafię gotować – oznajmiła Kim.

Ruszyła za swoją świeżo upieczoną teściową, kompletnie przerażona i przytłoczona domem.

– Matka cię uczyła? Moja trzymała mnie przy kuchence od chwili, gdy potrafiłam ustać na nogach. Dziś pewnie by się nasłuchała, że naraża swoje dziecko na niebezpieczeństwo – Cecelia chyba zorientowała się, że Kim zawahała się przed odpowiedzią, bo momentalnie obróciła się na pięcie tuż przed wejściem do ogromnej kuchni. Pomieszczenie wyglądało tak, że mogłoby się znaleźć w jakimś magazynie wnętrzarskim. – Powiedziałam coś nie tak?

– Nie – odrzekła Kim, uśmiechając się smutno. – Mama mnie uczyła, ale zmarła na raka piersi, minęły już prawie cztery lata. Tęsknię za nią, to wszystko.

– Cóż… – Cecelia potarła ręką o rękę, po czym zerknęła na zegar ścienny. – Przykro mi. Nie chciałam przywoływać złych uczuć.

– Nie przywołałaś, Cecelio. Naprawdę.

– Jordyn zjawi się niedługo z grafikiem Antony'ego na najbliższy tydzień i chyba powinnyście ze sobą pogadać. Założę się, że macie ze sobą nieco wspólnego, a poza tym obu wam przyda się z kimś zaprzyjaźnić.

– Żona Luciana?

– Tak, dokładnie. Jest świetna. Tak samo jak ty. – Cecelia posłała jej swobodny uśmiech. – No to ugotujmy coś.

– Dobrze.

Kim miała nadzieję, że może gotowanie pozwoli jej zająć czymś umysł, tak żeby nie myśleć o tym, iż nie ma pojęcia, gdzie jest Gio ani nawet czy nic mu nie jest.

– Kim? – Cecelia się obróciła, posyłając swojej najświeższej synowej kolejny piękny uśmiech. – Jeśli Antony tego nie powiedział, to witaj w domu.

***

Kim polubiła Jordyn Reese-Marcello już w chwili, gdy dziewczyna powiedziała „cześć". Obie były praktycznie w tym samym wieku, miały podobne zainteresowania i gusta. Jordyn była wyluzowana i miała uroczy charakter, choć w razie potrzeby bez problemu przychodziło jej mówić ostro i szczerze. Kim od razu się domyśliła,

dlaczego Cecelia uważała, że one dwie łatwo się zaprzyjaźnią. Stało się to oczywiste, jak tylko zapytała o rodziców Jordyn.

Tak jak Kim, Jordyn straciła matkę. Okoliczności rzecz jasna były inne, ale poczucie bólu i straty kogoś ważnego pozostawały takie same. Tak jak Kim dorastała przy ojcu, który nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi ani się o nią nie troszczył, tak Jordyn w ogóle nie miała w rodzinie męskiego wzorca. Co jeszcze dziwniejsze, żona Luciana nawet nie mrugnęła, gdy Cecelia przedstawiła nową synową jako żonę Gio.

– Coś takiego pasuje do Gio – skomentowała całą sytuację. – Jeśli w ogóle miałby zamiar się ożenić, to nie robiłby z tego większego przedstawienia. Lubi, kiedy wszystko jest proste, i to na jego własny sposób. Nie ma w tym nic złego.

I to był koniec tematu.

Kim wciskała ciasto do naczynia, a tymczasem Jordyn opowiadała, kiedy poznała Luciana i jak się wszystko między nimi zaczęło.

– Nie czekaliście zbyt długo, co? – zapytała Kim.

– To się chyba wpasowuje w rodzinny schemat zakochiwania się i zawierania małżeństw – odparła Jordyn z perlistym śmiechem. – Cecelia i Antony pobrali się w niecałe pół roku od pierwszego spotkania. Jego z kolei ojciec też ożenił się z jego matką ledwie kilka miesięcy po jej poznaniu, prawda?

– Prawda – odrzekła Cecelia z głową w spiżarni.

– Mnie i Lucianowi zajęło to trochę dłużej, ale tylko dlatego, że ojciec Peter upierał się, żebyśmy chodzili na nauki przedmałżeńskie. Ale był na tyle dobry, że pozwolił nam robić je dwa razy szybciej.

Kim pokręciła głową.

– Tak czy inaczej, ja i Gio chyba ustanowiliśmy rekord.

– Cóż, nie do końca. Powiedziałaś, że poznaliście się na moim weselu, tak? To by znaczyło, że wychodzi mniej więcej tak samo jak u wszystkich pozostałych.

– Wtedy jednak nie byliśmy ze sobą. – Kim rzuciła okiem na Cecelię, która nadal szukała nowej torebki z cukrem pudrem. Miała nadzieję, że jej świeżo upieczona teściowa nie słyszała ostatniego zdania. Bogu dzięki nic na to nie wskazywało. – Cóż, właściwie to

byliśmy, tylko że bardzo długo tak o sobie nie mówiliśmy – dodała już ciszej.

Jordyn wzruszyła ramionami, uśmiechając się szelmowsko.

– Myślisz, że to ma znaczenie? To faceci. Już oni wiedzą, co i jak. Kiedy już znajdą tę jedyną, nie tracą czasu, nawet jeśli uparcie się zapierają, że jest inaczej.

– Jordyn!

Kim poderwała się na dźwięk donośnego, męskiego głosu, który wołał gdzieś z głębi holu.

– O! Dobrze! Lucian już tu jest – powiedziała Cecelia, w końcu wyciągając głowę ze spiżarni. – Będzie mógł po prostu pójść do sklepu i kupić mi ten cukier puder. Szukanie go tutaj jest bezcelowe. Znowu ktoś mi grzebał w rzeczach. Zapewne ten przeklęty głupiec Antony.

– *Bella*?

– Tutaj – wrzasnęła Jordyn, nagle znacznie bardziej zainteresowana krojonymi właśnie jabłkami.

– Hej, ale coś tu pachnie… – Lucian wszedł do kuchni i gwałtownie urwał zdanie. Jego wzrok momentalnie zwrócił się w stronę Kim. – Cześć.

Kim przestąpiła z nogi na nogę, przygotowując się na kolejną prezentację, po której będzie się czuć niezbyt komfortowo.

– *Ciao*.

Słysząc, że Kim mówi po włosku, Lucian się nieco rozluźnił.

– *Come ti chiami*?

– Kim.

Jordyn odkaszlnęła, po czym dodała:

– Marcello.

Lucian z kolei spojrzał na żonę.

– Słucham, *bella*?

– Tak się nazywa. Kim… Marcello. Dlatego właśnie poprosiłam cię, żebyś się tu zjawił. Pomyślałam, że zechcesz poznać żonę najmłodszego ze swoich braci.

Kim nie potrafiła powstrzymać rozbawienia na widok Luciana, któremu ewidentnie brakowało słów. Uparcie wpatrywał się w żonę, jakby Jordyn nagle wyrosła druga głowa.

– Chyba żartujesz.

– Nie – wtrąciła się Kim, czując się nieco urażona. – Kto by sobie z czegoś takiego żartował?

– Gio – odrzekł Lucian z kamienną twarzą. – Jeśli tylko uznałby to za zabawne. A poważnie, gdzie on jest?

– To nie żart, Lucian. Może powinieneś porozmawiać z ojcem – odezwała się Cecelia, stając przy Kim obok wyspy. – Chwilę temu Antony wyjaśnił mi w cztery oczy co nieco z całej sytuacji i przypuszczam, że chciałby też porozmawiać o tym z tobą. Sytuacja jest dość delikatna i chyba Kim nie powinna zostać zmuszona, by wyjaśniać ją bez Giovanniego. To by było względem niej nie fair. Co do Gio, on również nie byłby zadowolony, że przepytujemy jego żonę, kiedy jego nie ma z nami.

Lucian skinął głową.

– Chyba tak zrobię. Kim, eee… miło cię poznać.

– Ciebie również. – Jak tylko Lucian wyszedł z kuchni, Kim jęknęła. – To było dziwne.

– Daj mu nieco czasu – powiedziała Jordyn. – Lucian nie jest mistrzem radzenia sobie z niespodziankami. Woli wiedzieć wszystko z góry. Pewnie dlatego gdy mnie poznał, to dostał takiego kopa w dupę, że ładnych parę tygodni mu zajęło, zanim poukładał to sobie wszystko w głowie.

– Zapewne – zgodziła się Cecelia. – Powinnam pójść i poprosić Luciana, żeby poszedł do sklepu, kiedy…

– Nóż kurwa, zepsuł się!

Oczy Kim się rozszerzyły na dźwięk krzyków dochodzących gdzieś spoza kuchni. Wkrótce wpadł do nich Antony, a zaraz za nim Lucian, niemal biegnąc. Na ladzie kuchennej z całym impetem wylądował laptop.

– Czekaj, tato, daj mi obejrzeć to cholerstwo.

Antony wycelował palec w ekran.

– Nie, Lucian, spójrz. Widzisz tę pieprzoną kropkę? Nie rusza się. Nie poruszyła się od chwili, gdy się zalogowałem. Jest zepsuty.

– Jakie są zasady w kwestii przeklinania w mojej kuchni? – zapytała Cecelia, marszcząc czoło.

Obaj mężczyźni zignorowali ją, tłocząc się przy komputerze.

– To tak nie działa – powiedział Lucian. – Patrz.

Kim nie wiedziała, co się dzieje, ale po kilku uderzeniach palców w klawiaturę i panel dotykowy, Antony znieruchomiał.

Lucian zrobił krok w tył, wskazując dłonią ekran.

– Widzisz, to Dante. Przemieszcza się. Dopiero co z nim rozmawiałem, zanim wszedłem do domu. Właśnie jechał na drugą stronę miasta, wziąć jakieś plany. Działa.

– Na pewno się zepsuł, Lucian. Od kilku godzin się jej przyglądam. Nie poruszyła się.

– Co wy dwaj żeście znowu wymyślili? – Cecelia obeszła wyspę. – O!

Jordyn wyglądała na zaskoczoną, podobnie jak Kim. To, co wyświetlał ekran laptopa, za cholerę nie miało sensu. Był podzielony tak, że znajdowały się na nim dwie różne mapy. Na jednej była niebieska kropka, która poruszała się powoli z prawej strony. Na drugiej czerwona kropka nie robiła absolutnie nic.

– A to co? – zapytała Jordyn.

– To GPS – odrzekł Lucian.

– Z Dantem?

– I ze mną – uzupełnił Lucian.

– I Gio – dodał Antony. – To taki środek bezpieczeństwa, w razie jakby coś się stało i nie byli w stanie się ze mną skontaktować. Nadajnik wbudowany w telefon wysyła sygnał, nawet przez pewien czas po tym, jak się go wyłączy albo się zepsuje.

Serce Kim stanęło.

– Która to Giovanni? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Ta, która się nie rusza.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Gio wszedł do biura Maximo Sorrento z własnej nieprzymuszonej woli, z głową podniesioną wysoko, a to dlatego, że nie czuł się winny z powodu tego, co zrobił. Nie uważał, że powinien się zachowywać jak dziecko czekające na opieprz. Z uwagi na szacunek darował sobie wystudiowaną przez lata arogancką postawę i tylko zwyczajnie przyglądał się trzem siedzącym w pomieszczeniu mężczyznom.

Maximo, Franco i Cody'emu.

W sumie było ich pięciu, wliczając dwóch egzekutorów, którzy go tu przywieźli. Wozili go po mieście całymi godzinami, a wcześniej zniszczyli jego telefon i wyrzucili pistolet. Nie miał pewności, co miało na celu całe to jeżdżenie. Zapewne chcieli się przekonać, czy zdołają go przestraszyć na tyle, że zacznie coś mówić. Nic z tego. Mimo wszystko idioci stali tuż za nim, jakby miał im uciec.

Nie miał zamiaru. Gio nie mógł się doczekać, kiedy będzie to już miał za sobą.

Zerknął szybko na zegar wiszący na przeciwległej ścianie, zapamiętując godzinę. Niemal natychmiast poczuł ulgę. Samolot Kim chwilę temu wylądował. Była już bezpieczna. Teraz musiał się skupić na tym, by do niej dołączyć.

Czas na interesy.

– Gdzie ta dziwka? – zapytał Franco, wpatrując się w Gio ponuro. – Jeśli ją gdzieś ukryłeś, Marcello, to i tak ją znajdę. Sprawisz jedynie, że to, co jej zrobię, jak ją dopadnę, będzie o wiele gorsze.

– Nie ukrył jej – odezwał się Stephan. – Przypuszczam, że teraz jest już w Nowym Jorku.

– Co takiego? – Gniew Franco odbił się echem po pomieszczeniu.

Maximo westchnął.

– Ciszej, Franco. Nie powiedziałem ci wcześniej, bo i tak jesteś już wściekły. Moi ludzie nie mieli innego wyjścia, jak tylko puścić Kimberlynn i pozwolić jej wsiąść na pokład samolotu. Będziesz

musiał jakoś sobie z tym poradzić, a mówiąc to, mam na myśli odpuścić ją sobie i całkiem o niej zapomnieć. Licząc od teraz. Nie wolno ci jej szukać, żeby się zemścić, bo inaczej zostanę zmuszony pozwolić im zająć się tobą tak, jak uznają to za stosowne.

Franco uniósł brew.

– Im? O czym ty, do ciężkiej cholery, mówisz? Pierdoliła się z nim, kiedy była zaręczona ze mną. Zrobiła coś równie złego jak on!

– Jak by nie było, mam związane ręce – odparł Maximo, wydając się przy tym znudzony całą tą rozmową. – Wyszła za niego i nic z tym nie zrobisz, chyba że chcesz ściągnąć na siebie gniew klanu Marcello. Nie ochronię cię przed nim w inny sposób, jak tylko ostrzegając.

– Wyszła za…

Gio uciął słowa Franco, rzucając pierścionek zaręczynowy, który wziął od Kim, na stół.

– Chyba zechcesz dostać to gówienko z powrotem, bo już dostała ode mnie inny. Przy okazji, świetnie wyglądasz, siedząc na miejscu swojego ojca – powiedział Gio, kiwając głową w kierunku Franco, który siedział w fotelu Maximo, za zdobionym, dębowym biurkiem. – Chyba ze sporym wyprzedzeniem się przyzwyczajasz, skoro on wciąż jeszcze żyje. – Franco zmrużył oczy. Gio musiał przyznać, że choć był idiotą, Franco nie połknął tak oczywistej przynęty. – No i co? – pytał dalej Giovanni. Nadal mógł go sprowokować. Gwałtownie wyciągnął rękę w górę, po czym obserwował, jak Franco przyglądał się obrączce na jego palcu pociemniałymi z wściekłości oczami. – Zabawne, żeby za mnie wyszła, nie musiałem jej grozić, znęcać się nad nią ani szantażować, tak jak ty to robiłeś.

Podziałało. Fotel odjechał do tyłu, z głuchym trzaskiem uderzając w ścianę, kiedy Franco wstał gwałtownie. Wyglądał, jakby miał ochotę przeskoczyć biurko. Gio stał pewnie, nie ruszając się nawet o milimetr.

– Ty w dupę jebany lachociągu!

– Nie, nie musiałem robić nic z tych rzeczy – odparł Gio, nadal z szerokim uśmiechem podstępnego sukinsyna. – Musiałem ją tylko pokochać.

– Masz na myśli pierdolić jak dziwkę.

Gio uniósł brew, nie mając zamiaru pokazać targającej nim furii.

– Oj, byłbym bardzo ostrożny w temacie wyzywania mojej pięknej żony. Uwierz mi, że twojemu ojcu nie spodobają się wyzwiska, jakie rzucę w twarz tobie.

Nareszcie do Franco zaczęło dochodzić, że Gio wiedział albo przynajmniej podejrzewał, że ten kretyn kręci coś, czego nie powinien. Odwrócił się do ojca, po czym powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Kończmy z tym, *papà*. Ten kawał chuja jest bezużyteczny. Chcę go zabić za to, co jej zrobił.

– Usiądź, Franco – powiedział Maximo ze stanowczością, w której pobrzmiewała wyćwiczona przez lata cierpliwość.

Maximo siedział nadal na krześle, przy rogu swojego biurka, z rękami na podbrzuszu, zdając się nieporuszony napięciem wiszącym w powietrzu. Antony uczył Gio, że to właśnie takich ludzi należy obawiać się najbardziej.

Cisi mężczyźni byli niebezpiecznymi mężczyznami. Pod spokojną powierzchownością kotłowała się wściekłość, czekając na okazję, by wybuchnąć. Cechował ich szorstki chłód, który sprawiał, że potrafili odsunąć od siebie właściwą ludziom empatię. Jakby mieli tabletki, w których zawarto przemoc oraz okrucieństwo, które w każdej chwili mogli połknąć. Ludzie tego typu… zawsze uderzali wtedy, kiedy się najmniej można było tego spodziewać.

Widząc, jak Maximo zachowuje pozory spokoju, mimo że sytuacja wydawała się trudna do przewidzenia, Gio postanowił sobie solennie, że od tej chwili będzie ostrożniejszy.

– Dobra, dość już tego przedstawienia, Giovanni – powiedział Maximo, posyłając mu ostre spojrzenie. – Mamy tu interesy do załatwienia i dzisiejszego wieczoru nie mam ochoty na twoje wygłupy. Wystarczą mi te numery, które już zdążyłeś odstawić. Nic nie wkurza mnie tak, jak mydlenie mi oczu.

Gio powstrzymał się przed wskazaniem na Franco i zapytaniem, czy jego ojciec wie o tym, jak mydli mu oczy syn, i to tak, że nie widzi zaciskającej się wokół jego szyi pętli.

– Proszę o wybaczenie, Max.

– Maximo – poprawił go ostro don Sorrento. – Teraz dla ciebie jestem Maximo.

Faktycznie, trzeba było stąpać bardzo ostrożnie.

– Zrozumiałem.

Maximo wstał, a następnie odszedł od biurka.

– Jesteś pierdoloną hańbą dla swojej rodziny. Cierpienia, jakie jej przyniosłeś za sprawą swojego samolubnego postępowania, są niewyobrażalne. Antony zrozumie kierujące mną pobudki, ale nigdy mi tego nie wybaczy. Bo najbardziej jestem na ciebie wściekły za zrujnowanie dwudziestoletniej przyjaźni, jaka mnie łączy z twoim ojcem. Jedyne, czego żałuję, to fakt, że po wszystkim będę musiał zadzwonić do Nowego Jorku.

– Nie ma potrzeby – odrzekł Gio, wzruszając ramionami. – Już to zrobiłem.

– Mimo wszystko zadzwonię – powiedział cicho Maximo – choć niczego nie będę żałował. A ty?

– W kwestii Kim? Ani odrobinę.

– Bo myślisz chujem, nie mózgiem – wycharczał Franco. – Poświęciłeś wszystko dla włoskiej cipeczki.

– Mój kutas nie miał tu za wiele do powiedzenia – mruknął Gio, niewzruszony. – Zakochać się w niej było łatwo, jak mrugnąć okiem albo oddychać. Gdybyś trochę więcej czasu poświęcił, by się dowiedzieć, kim jest, zamiast próbować na siłę kształtować ją według swoich wyobrażeń i ideałów, może zdołałbyś to zrozumieć. Człowiek taki jak ty, Franco, niewierny, obrzydliwy i rozpieszczony, nie mógłby kogoś tak cudownego jak Kim mieć u swego boku z jej własnej woli. Wstydź się, że próbowałeś ją do tego zmusić.

– Pierdol się – wyrzucił z siebie Franco.

Gio się uśmiechnął.

– Nie, dzięki. U mnie wszystko w porządku.

– Chcę to skończyć – powiedział Franco do ojca, a jego trzęsące się ręce świadczyły o opanowującej go furii. – Teraz, nie później. Teraz!

Maximo pokręcił głową.

– Kiedy będę gotów, synu. Jeszcze nie jestem.

Gio westchnął cicho, czując lekką ulgę. Wiedział, że od chwili, gdy zacznie wyciągać na światło dzienne część z kłamstw Franco, ten fiut

koniecznie będzie chciał go uciszyć. To nie był dobry moment, a póki co Gio nadal oddychał. Wziął to za dobry znak.

– Jesteś gotów, Cody? – zapytał Maximo młodego człowieka siedzącego na kanapie ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Kiedy tylko rozkażesz, szefie – odrzekł Cody.

– Jesteś gotowy złożyć omertà i poprzysiąc lojalność wyłącznie mojej rodzinie?

– Tak.

– Jesteś gotów przedkładać *la famiglia* nad swoje własne pochodzenie, skupiać się tylko na potrzebach, pragnieniach i marzeniach Cosa Nostry? – zapytał Maximo, podchodząc do dużego okna w swoim biurze i zaciągając zasłony. Pomieszczenie utonęło w mroku, póki nie zaświecono lampki. – Mojej Cosa Nostry?

– Cosa Nostra to moje marzenie – powiedział cicho Cody.

Gio zaczął się zastanawiać, dlaczego znalazł się tutaj w czasie tej niezwykle prywatnej i sekretnej ceremonii. Nie tylko nie należał do rodziny Sorrento, ale też z uwagi na Kim postąpił wobec nich bardzo niewłaściwie. W ogóle nie powinno go być w tym pomieszczeniu.

Maximo wrócił do swojego biurka, znów siadając z boku.

– Dobrze. To właśnie chciałem usłyszeć. Zabiłbyś dla tego marzenia?

– Tak.

– Cierpiałbyś z powodu straty? – naciskał Maximo.

– Nie. – Cody pokręcił głową.

Maximo uniósł wzrok, zatrzymując go na Gio.

– Nawet jeśli chodziłoby o, powiedzmy… twojego szwagra?

Giovanni wyprostował się, słysząc te słowa, ale wciąż się nie odzywał.

– Nie – powtórzył Cody. – Wierność i oddanie jestem winien tylko Cosa Nostrze.

– Doskonale – pochwalił go Maximo. – Franco, górna szuflada z lewej strony. Wyjmij moje rzeczy.

Następnie don Sorrento ponownie wstał od biurka, a równocześnie Franco położył na nim pistolet, srebrny składany nóż i mały kartonik, na którym widniał obrazek św. Heleny.

– Zwykle zwołałbym tu więcej swoich ludzi, Cody. Pozwoliłbym, by kwestionowali twoją lojalność i oddanie naszemu stylowi życia, ale dzisiaj dowiodłeś tego w sposób niezachwiany. Poza tym, szczerze powiedziawszy, wystarczy już to przedstawienie, jakie urządził nam Giovanni, postępując z twoją siostrą tak, jak to zrobił. Nie potrzebuję większego zamieszania i nie mam do tego cierpliwości. Zrobimy to tak, bo intencje i efekt końcowy są nadal takie same.

Maximo opróżnił magazynek rewolweru, następnie umiejscowił w nim tylko jedną kulę, po czym włożył go z powrotem do broni. Odłożył ją i wziął srebrny nóż. Przejechał ostrym jak brzytwa czubkiem po palcu wskazującym. Wypłynęła z niego mała kropelka krwi, więc Maximo possał go krótko.

– To teraz przyszedł czas na lekcję. Gotowi? – zapytał, podając nóż Franco. – Wszyscy na niej skorzystają. Rico i Stephan są dostatecznie dobrymi świadkami inicjacji Cody'ego i przyjęcia go w szeregi naszej rodziny. Oczekuję, że obaj zachowacie milczenie.

– Tak, szefie – odparli obaj równocześnie.

Maximo wskazał Gio.

– Giovanni, zaczynasz. Jestem pewien, że przywykłeś do naszych tradycji.

Gio odchrząknął, woląc, by uwaga skupiała się gdziekolwiek, byle nie na nim.

– Ja już przeszedłem inicjację. Nie muszę powtarzać przysięgi ani jej przykazań.

– Ale zrobisz to, bo cię o to poprosiłem, albo cię do tego zmuszę. Zasady. Mów pierwszą.

Giovanni cicho zaklął, usiłując zachować koncentrację. Trudno mu to przychodziło, bo nie wiedział, w jaką grę gra z nim Maximo. Mimo wszystko przemówił, tak jak mu nakazano.

– Mężczyzna nigdy nie przedstawi formalnie sam siebie innemu z naszych przyjaciół bezpośrednio, lecz inny członek mafii, który zna obu, musi ich sobie przedstawić.

– Skąd taka zasada, Franco? – zapytał Maximo, obracając się do swojego syna.

– By uniknąć potencjalnych problemów, jakie mogą się pojawić w związku z ludźmi z zewnątrz, lub możliwości, że wejdą między nas

przedstawiciele władz. Jeśli tak się stanie, nawet mimo odpowiedniego wprowadzenia, mężczyzna, który zaprosił swojego przyjaciela, poniesie śmierć.

– Dokładnie tak – Maximo skinął głową w kierunku Cody'ego. – Następna proszę.

– Człowiek powiązany z policją albo taki, który ma krewnych zadających się z władzami, ludźmi postępującymi w oparciu o pomniejsze wartości moralne lub źle się zachowującymi, lub też mający dwulicowych krewnych, nie może należeć do Cosa Nostry – powiedział młody Abella.

– Z jakimi innymi zasadami się to wiąże, Cody?

– Nie powinniśmy się pokazywać w pubach albo klubach i zachowywać się tam jak pijani głupcy. Nie wolno nam rozmawiać z policją. Bójki z innymi ludźmi mafii nie będą tolerowane.

– Właśnie tak – powiedział Maximo, po czym dodał. – Możemy również przyjąć, że ma to też związek z ideą, by nie okradać innych rodzin, i temu podobnymi sprawami. Giovanni, podaj kolejną.

Gio nie spuszczał oka z Franco, który nadal za biurkiem bawił się nożem.

– Status i władza mają się zawsze spotykać z uznaniem i poszanowaniem. W żadnym wypadku nie należy niczego robić z pominięciem rangi. Dlatego również słowo szefa jest prawem i jeśli o coś zapyta, należy zawsze mówić prawdę. Poza wypadkami absolutnej konieczności nigdy nie wolno odebrać życia innemu członkowi mafii.

– Dobrze to ująłeś, Giovanni. – Maximo zastukał kłykciami o biurko, zwracając na siebie wzrok syna, odciągając go od spojrzenia, jakie posyłał mu Gio. – I zasada, która pozwoliła twojej siostrze uniknąć odpowiedzialności za swoje zachowanie, Cody?

Gio skrzywił się, czując, jakby te słowa smagały go niczym biczem. Jakimś cudem zdołał zachować ciszę, gdy Cody mówił:

– Wszystkie żony mafiosów mają być traktowane z najwyższym szacunkiem, niezależnie od skandali, jakie stały się udziałem ich mężów.

– Jest to również jedyny powód, dla którego moja była żona dostała rozwód, a nie płytki grób. Szkoda, że z tego powodu kościół

odmawia przyjęcia mnie z powrotem. Franco, kolejną poproszę – nakazał Maximo, znów obracając się w kierunku Gio.

– Zawsze zachowuj czas i gotowość dla Cosa Nostry. To nie oczekiwania a obowiązek. *La famiglia* to nasz nieustający obowiązek, niezależnie od tego, czy umiera ci matka albo rodzi się dziecko.

Maximo uśmiechnął się ponuro, patrząc prosto na Gio.

– Została jeszcze tylko jedna. Chyba nikt nie ma ochoty jej wypowiedzieć. Chcesz ty, Giovanni, czy wolisz, żebym ja to zrobił?

– Powiem – odparł cicho Gio, nie mając zamiaru się złamać mimo stresu i nerwów. – Nie wolno dotykać żony innego członka mafii. Zadawanie się z kobietą, która jest po słowie z człowiekiem honoru, zawsze i nieodmiennie karane jest śmiercią.

– Jesteś tak potworną hańbą – powtórzył Maximo z nutą smutku w głosie. Wyciągnął rękę w bok. – Niemal trudno uwierzyć w to, jak dobrze się kryłeś ze swoimi wadami, Giovanni. Podaj mi, synu, nóż i święty obrazek. – Franco przyniósł ojcu rzeczy, o które prosił. – Wstań, Cody i podejdź do mnie.

Cody bez wahania zrobił, co mu nakazano. Maximo odwrócił dłoń chłopaka, a następnie przycisnął do niej ostrze noża. Cały ten czas dwaj faceci stojący za Gio dyszeli mu prosto w kark, wywołując przerażające uczucie, jakby coś pełzało po całej jego skórze.

– Nakazy, zgodnie z którymi żyje mafioso, zostały ustanowione, aby chronić nasze rodziny i organizacje i wymusić na nas postępowanie zgodne z wyższymi wartościami moralnymi – wyjaśnił Max, nacinając głęboko całą dłoń Cody'ego. Natychmiast polał się jasny szkarłat, ale młody ani drgnął. Teraz nóż został rzucony na biurko i wszyscy o nim zapomnieli. – Jesteśmy im posłuszni i pokładamy w nich ufność, by zachować nasze fundamentalne zasady szacunku, honoru i lojalności, które mają przyświecać wszelkim naszym działaniom. Jeśli nie będą przestrzegane, choćby przez jednego człowieka, struktura rodziny się rozpadnie. Czy będziesz zawsze ufał i przestrzegał tych nakazów, Cody?

– Zawsze – odpowiedział zapytany.

– Jak tylko ta rana się zagoi, pozostanie po niej blizna, która posłuży ci za przypomnienie tego, kim jesteś i gdzie przynależysz – powiedział Maximo. Obrócił dłoń Cody'ego, żeby gęsta krew

skapnęła na twarz świętej, której wizerunek trzymał w drugiej dłoni. Kilka kropelek rozprysnęło się na drewnianej podłodze. – Komukolwiek byś nie podał dłoni, jakiejkolwiek kobiety byś nie dotknął i jakiej broni nie trzymał, ta blizna zawsze tam będzie. Nieustannie będziesz ją czuł. Niech ona utrzymuje cię wyłącznie na ścieżce Cosa Nostry. Złóż omertà, jeśli tego naprawdę chcesz, i będziemy się przyglądać, jak święta Helena płonie. – Maximo podał chłopakowi obrazek, po czym wyciągnął z kieszeni zapalniczkę Zippo i podpalił róg. – Mów, Cody.

– Od tej chwili poprzysięgam swój oddech, krew i jestestwo Cosa Nostrze, *la famiglia* i naszej sprawie – wyrzekł Cody, niezachwianie trzymając kartonik, który szybko płonął w jego dłoni. Obok palców zatańczyły języki płomieni, ale go nie odrzucił. – Do Cosa Nostry należą moja lojalność, wiara i wszelkie uczynki, aż po dzień, gdy zostanę złożony do grobu na ostatni odpoczynek. Moja reputacja to moje życie i zaufanie mojej rodziny. Jeśli zdradzę *la famiglia*, mówiąc coś przeciw niej, albo ją zawstydzę, albo też zdradzę nasze sekrety, wtedy me ciało i kości spłoną jak wizerunek tej świętej. Tak też winno się stać wobec ciężaru moich win. *Cu è surdu, orbu e taci, campa cent'anni ,mpaci*. Kto jest głuchy, ślepy i milczący, przeżyje w spokoju sto lat – dokończył Cody, zaciskając dłoń w pięść na prochu pozostałym po obrazku świętej. – Jestem mafiosem.

Krew zmieszana z popiołem utworzyły na podłodze małą kałużę.

– Franco? – powiedział Maximo, ponownie wyciągając rękę. Syn podał broń ojcu. Gio pozostał na swoim miejscu. – Cody, zrób to, czego wymaga Cosa Nostra.

– Nie próbuj nawet uciekać – odezwał się jeden z facetów stojących za Gio.

A dlaczego miałby uciec?

– Nie ucieknę.

Gio się nie odwrócił, by spojrzeć w lufę czarnego pistoletu, gdy znalazła się naprzeciwko jego skroni. Cody musiał zrobić, co do niego należało, a Giovanni nie mógł błagać o życie i jeszcze dzieciakowi utrudniać to, co nieuniknione. Nie to, żeby miał zwyczaj błagać o cokolwiek.

Zamiast tego spojrzał na Franco, zdecydowany sprawić, by rzeczy wreszcie zaczęły się toczyć po jego myśli.

– Czułeś się mocny, gdy ją krzywdziłeś, Franco?

Mięśnie szczęki tamtego się napięły.

– Zasłużyła sobie na to i na jeszcze więcej.

– Tylko to było, zanim się dowiedziałeś. Przynajmniej tyle mógłbyś przyznać. Już od pierwszego dnia balansowałeś na granicy pobicia. Powiedz, czy czułeś się jak król, powalając ją ciosem na ziemię i zostawiając na niej ślady za swój brak pewności siebie? Krzywdząc ją za swoje niepowodzenia? Bo tylko taki powód przychodzi mi do głowy, gdy mężczyzna dopuszcza się rękoczynów wobec kobiety.

Maximo westchnął, co stanowiło pierwszy sygnał jego rozdrażnienia.

– Dobra, mam tego dość. Cody?

Kurek powędrował w tył z cichym kliknięciem, które odbiło się echem w nerwach Gio, sprawiając, że napięły się do granic możliwości. Dobra, koniec pierdolenia. Czas przejść do rzeczy poważnych i spieprzać stąd najszybciej, jak się da.

– Ojciec nie przysłał mnie do Vegas, bym przyjrzał się interesowi z samochodami, Maximo – powiedział Gio cichym, lecz pewnym głosem. – Za moje wykroczenia odpowiem, jak uznasz to za stosowne, ale są pewne sprawy, o których musisz się najpierw dowiedzieć, bo wyświadczyłeś wiele dobrego mnie i mojej rodzinie. Bez wątpienia okazałem Franco brak szacunku. Nie będę za to przepraszał. Ty jednak zasługujesz na moją skruchę, i to w najlepszej postaci, na jaką mnie stać.

Maximo uniósł brew, opierając się o krawędź biurka.

– Jeśli grasz na czas…

– Nie gram.

– Tato…

– Zamknij się, Franco – rzucił Maximo, nawet nie oglądając się przez ramię. – Mów, Giovanni. Twój ojciec. Zacznij od niego.

Gio skinął głową, ale czuł, jak mu zasycha w gardle. Jakoś zwalczył to odczucie, za sprawą którego mógłby ostatecznie nie wypowiedzieć ani słowa.

– Ojciec podsłuchał coś, co go zaniepokoiło. To coś spowodowało, że postanowił wysłać tutaj mnie, abym przyjrzał się twojemu synowi, a przede wszystkim jego ludziom, interesom i działaniom.

– Czyżby nie pokładał wiary we mnie? – zapytał Maximo. – Nie ma interesu w tym, żeby się wtrącać, bo jest przywódcą dominującej rodziny.

– Według twojego syna moja rodzina upada i traci na znaczeniu. Czyżbyś o tym nie słyszał? Sorrentowie są bardziej niż gotowi, by wejść na podium, jak tylko nadejdzie kres dla Marcellich.

Maximo zmrużył na chwilę oczy, oglądając się przez ramię.

– Powiedziałeś coś takiego?

– Nie – syknął Franco.

– Jesteś pierdolonym kłamcą, Franco. Możesz zadzwonić do Antony'ego, Maximo. Większość z tego, co powiem, można uznać za spekulacje, ale wystarczy kilka telefonów i odrobina nacisku ze strony dona rodziny, a ludzie zaczną mówić, tak jak zawsze. Wtedy akurat Antony był niecałe trzy metry od nas. Słyszał to na własne uszy i dlatego mnie tu wysłał.

– By się przekonać, czy moja rodzina się na niego nie zasadza – powiedział Maximo, a w jego głosie wyczuwało się gniew. – Zatem mi nie ufa.

– Nie – odrzekł Gio prędko i stanowczo. – Dlaczego mielibyśmy się obawiać, skoro jesteśmy liczniejsi, silniejsi i lepsi? Wysłał mnie, żebym sprawdził to nonsensowne gówno, o którym mówił Franco, ze względu na ciebie, Max.

Maximo albo nie zauważył, że Gio wymsknęła się bardziej poufała forma jego imienia, albo go to nie obchodziło.

– Dla mnie?

– Przyjaźń jest dla mojego ojca ważna. Chroni swoich przyjaciół, nawet jeśli oni o tym nie wiedzą. Poza tym gdyby się okazało, że nic nie znalazłem, wróciłbym do domu, a ty byś się o niczym nie dowiedział, ani nie stał się podejrzliwy wobec swojej rodziny. Szacunek i status wszystkich pozostałby nienaruszony.

– A gdybyś jednak coś znalazł?

– Uznaj to za dowód jego przyjaźni – powiedział Gio.

– Znalazłeś coś? – zapytał Maximo, unosząc podbródek wyżej i bacznie przyglądając się młodemu Marcellemu.

– On bredzi – wtrącił się Franco, a jego utkwione w Gio spojrzenie bez reszty wypełniał gniew. – Kończ z tym, Cody. Pospiesz się. Szlag mnie trafia od słuchania tego jebanego kutasa.

– Jasne, że tak, Franco. I pamiętaj, co ci mówiłem o wyzywaniu. – Gio nie spuszczał z Franco oczu, kiedy zapytał: – Cody, dla kogo pracowałeś przez ostatnich kilka miesięcy?

Cody zawahał się.

Gio wiedział, że ze względu na szwagra musi być bardzo ostrożny. Nie miał zamiaru wpakować młodego w kłopoty, ale mimo wszystko musiał być szczery, jeśli jego plan miał się powieść.

– Dla mnie – odrzekł Maximo w imieniu swojego najświeższego rekruta. – Pod kierownictwem Franco, ale, jak by nie było, pracował dla mnie.

– To jednak nie wszystko – rzekł Gio. – Cody, pamiętaj, że jeśli ktoś cię zapyta, zawsze musisz powiedzieć prawdę. Zawsze i przede wszystkim chronimy Cosa Nostrę. Dla kogo jeszcze pracowałeś?

Cody głośno przełknął ślinę.

– Dla mojego ojca.

– No i? – ponaglił go Franco, który sapiąc i prychając, zaczynał przypominać wściekłego byka. – Jest synem swojego ojca. Jasne, że dla niego pracuje.

– A co dokładnie robisz? – zapytał Maximo Cody'ego. – Angażowałem cię od miesięcy, podobnie jak Franco. Nie rozumiem, jak mogłeś znaleźć czas, by przeskakiwać z jednej rodziny do drugiej i robić interesy z obiema.

Cody jeszcze nie opuścił broni, ale Gio go za to nie winił. Jak by nie było, nikt mu nie powiedział, że ma to zrobić.

– Czy to ważne? – zapytał Franco, po czym uderzył otwartą dłonią o biurko. – Naprawdę teraz akurat to jest ważne?

– Z czym masz problem? – Maximo obrócił się, stając plecami do wszystkich pozostałych w pomieszczeniu. – Jeśli się nie zamkniesz, to każę cię wyprowadzić, póki tu nie skończymy. Siedź na dupie i bądź cicho, tak jak cię na to stać, mimo że wiem, że wymaga to od ciebie wszystkich twoich sił.

– Samochody – powiedział Cody, nim Maximo zwrócił się ku niemu ponownie. – Pracowałem dla mojego ojca przy interesie z samochodami.

Na te słowa Maximo obrócił się z powrotem, mrużąc oczy.

– Co proszę?

– Bo musiał – pospiesznie dodał Gio, chcąc odwrócić uwagę od Cody'ego. – Zacznijmy od tego, że to był plan Cody'ego, ale Nunz nie miał środków, jakie ma rodzina Sorrento, by umożliwić jego uskutecznienie. Nunz z kolei dysponował kontaktami, które również były konieczne. Prawda, Franco?

– Wyjaśnij – zagrzmiał Maximo.

– *Papà*… – zaczął Franco.

– Wyjaśnij!

Franco opadł na fotel, milcząc i ewidentnie nie mając zamiaru nic powiedzieć.

– Cody? – zwrócił się do niego Gio.

Młody człowiek się skrzywił.

– Nie można mnie winić, że chciałem należeć do większej, lepszej rodziny. Robiłem to, co musiałem, równocześnie zachowując szczerą lojalność. Franco dał mojemu ojcu swoich ludzi, pole manewru i kontakty, dzięki czemu interes zaczął się kręcić. Ja zrobiłem swoje, w tym również oddawałem ojcu należną mu działkę z racji tego, że miał udział w biznesie.

– Działkę… – Twarz Maximo poczerwieniała. – To mój interes!

– Nie, to był interes Nunza – wtrącił się Gio spokojnym głosem. – Franco się wszystkim zajmował, no nie? To właśnie powiedziałeś na Komisji. Dałeś mu swobodę. Pozwoliłeś mu chodzić o własnych siłach, tak by nikt nie musiał go trzymać za rękę. No i właśnie to zrobił. Wykorzystał kogoś spoza swojej rodziny i Cosa Nostry. Cały czas wszystkie faktyczne rachunki trzymał w ukryciu przed tobą, więc należne Nunzowi pieniądze mogły być mu wypłacane zgodnie z umową. Oczywiście bez twojej wiedzy. Wolałbym sądzić, że zrobił to tylko dla pieniędzy, bo to chciwiec i kłamca. Tylko że są jeszcze rzeczy, które powiedział mojej żonie, gdy niczym psa powalił ją ciosem na ziemię. A myślę, że jest tego więcej – dokończył Gio.

Maximo wziął głęboki oddech, jednocześnie zaciskając ręce w pięści.

– Co takiego jej powiedział?

Franco wstał. Rytm jego przyspieszonego tętna widać było na pulsującej na skroni tętnicy.

– Jeśli ty nie zabijesz tego skurwiela, to ja to zrobię.

– Rusz się tylko, a każę Stephanowi poderżnąć ci gardło – odparł zimno Maximo.

No i proszę. W tę właśnie strunę chciał uderzyć Gio. Postanowił pograć na niej jeszcze trochę.

– Teraz już wiadomo, że Franco obserwował Kim od dłuższego czasu. Dłużej, niż twierdził. W kasynie podjęła chujowe decyzje, w złych okolicznościach. Tylko że to, co wiedział na jej temat, o jej życiu, przyjaciołach, nawet o tym, jakie ciuchy lubi… Zgromadzenie takich informacji wymagało czasu. Pewnie, mógł się tego dowiedzieć później. Tyle tylko, że sam jej wywrzeszczał w twarz, że obserwował ją od dłuższego czasu. Co to za mężczyźni, którzy byli u ciebie w domu, kiedy uderzyłeś moją żonę, Franco?

Franco nie odpowiedział, ale Maximo zrobił to za niego.

– To byli dwaj moi *capo*. Omawiali interesy. Wspomnieli mi o całym tym incydencie i planowałem zająć się nim prywatnie, żeby to się nie powtórzyło. Dlaczego pytasz?

Gio skinął głową.

– To obok Cody'ego kolejni dwaj świadkowie, którzy słyszeli to, co wtedy mówił Franco. Kolejny telefon, który powinieneś wykonać, Maximo. Zweryfikuj moje słowa i pogrzeb głębiej. Nie wiedziałem też, że chorujesz. Moje wyrazy współczucia.

Maximo ponownie uniósł brew.

– Choruję?

– Cody, cóż to Franco powiedział Kim, kiedy broczyła krwią na podłodze? – zapytał Gio.

Kątem oka dostrzegł, że szwagier zdejmuje palec ze spustu, mówiąc:

– Że poślubienie mojej siostry zagwarantuje mu fotel dona Sorrento, kiedy jego ojciec odejdzie. W każdym razie zasadniczo o to chodziło.

– Co jeszcze?

– Że planuje z nią skończyć, i to im szybciej, tym lepiej.

– Mielenie językiem w gniewie może się wydawać niewinne – powiedział powoli Gio, nie spuszczając oka z Maximo. – Tylko że to zdecydowanie zbyt konkretne słowa, żeby uznać je za wypowiedziane przez nieuwagę. To, co powiedział do mojej żony, każe mi sądzić, że jest przekonany, iż wkrótce cię nie będzie. Z takiego czy innego powodu. Wydajesz się być zdrowym mężczyzną, w żadnym razie nie zmęczonym życiem, byś myślał o ustąpieniu. Więc pewnie jesteś chory, ale dobrze to ukrywasz. Nic nie wiedziałem. Jeszcze raz wyrazy współczucia.

– Nie jestem chory – powiedział Maximo chłodno.

– Czy domagałeś się od Franco, by się ustatkował i ożenił? – zapytał Gio.

– Nie twój zasrany interes – warknął Franco.

– Nie – powiedział Maximo, ignorując syna. – Poślubienie Kimberlynn to był w całej rozciągłości jego wybór, na dodatek jeden z tych, z którymi ani się specjalnie nie zgadzałem, ani nie popierałem.

– Bo wiedziałeś, że zostało to wymuszone.

– To po pierwsze, a po drugie niespecjalnie przepadam za jej ojcem. Nie chciałem, żeby sobie myślał, że może się przyplątać do mojej rodziny tylko dlatego, że zmiesza swoją krew z naszą.

– A jednak już to zrobił, i to nawet jeszcze zanim doszło do zaręczyn – wyjaśnił Gio, uzupełniając luki w obrazie sytuacji. – Kim miała tylko robić za spoiwo, które poskleja to wszystko do kupy, prawda, Franco? Dałaby ci wiarygodny pretekst, dzięki któremu Maximo nie miałby podejrzeń co do twojej nieustannej komunikacji z Nunzem i pracy z Codym. Dzięki temu ojciec nie dopytywałby się ciągle o wszystko, bo planowałeś sobie dobrze radzić. Tylko że wcale sobie dobrze nie radził, prawda, Maximo? – Mięśnie szczęki dona Sorrento napięły się, ale Gio mówił dalej. – Dlatego poprosiłeś mnie, żebym został tu dłużej, bo w głębi duszy mu nie ufałeś.

– Został? – zapytał Franco, ale jego głos zabrzmiał słabo.

Gio nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

– To oczywiście twój syn, ale dla Cosa Nostry związki krwi nie mają znaczenia. Nie rozumiałeś, skąd poczucie, że coś jest nie tak, więc przypisywałeś to jego dziecinnym napadom złości i rozpuszczonemu charakterowi, podobnie jak mój ojciec, kiedy podsłuchał, co twój syn mówił w Nowym Jorku. Ale tu chodziło o coś więcej. Maximo, daję ci tylko powód, żebyś pokopał nieco głębiej.

– Cody – odezwał się cicho Maximo, zwracając na siebie uwagę brata Kim.

– Tak, szefie?

– Możesz potwierdzić to, co mówi?

– Częściowo – odparł Cody, wzruszając ramionami. – Jego domysły są równie dobre jak moje. Nie mam dostępu do tego, co myśli Franco, i nic z tych rzeczy ze mną nie omawiał. Wiem tylko, co mówił do mojej siostry i jak ją traktował. Wiem, w jaki sposób wykorzystał moje plany na swój własny użytek i po cichu wkręcił mojego ojca w cały interes. To, co jeszcze planował, to już jego sprawa.

– W to nie wątpię – powiedział Maximo grobowym tonem.

– To jakieś bzdury!

– Franco, z tymi krzykami to stąpasz po cienkim lodzie – ostrzegł go don Sorrento. – Coś jeszcze, Giovanni?

– Franco manipuluje, jest obcesowy i wykorzystuje swoje pochodzenie. Dobrze znasz jego wady. Sam mi o nich mówiłeś. Dał ci wszelkie powody, byś był nim rozczarowany i mu nie ufał, ale niewiele poza tym.

– Tak jak i ty – zauważył Maximo.

– To prawda, tylko że ja przyznałem się do swoich czynów. Czy on może zrobić to samo? Śmiem wątpić. – Gio westchnął i wciąż mówiąc, powoli wypuszczał z siebie powietrze. – Okazałem brak szacunku tobie i twojej rodzinie i bardzo mi z tego powodu przykro. Tylko że ona była moja na długo, zanim jeszcze w jakikolwiek sposób należała do niego. W ogóle trzeba zacząć od tego, że nie miał prawa wystawiać jej na próbę i w następstwie tego zagarniać dla siebie. Jeśli chcesz mnie zabić za moje wykroczenia, proszę bardzo. Przyjmuję to. Ale musisz wiedzieć, że masz u swych stóp węża, który tylko czeka, żeby cię ukąsić.

– Pierdol się – krzyknął Franco zza biurka. W końcu gniew opanował go całkiem. Gio poznał to po drgających policzkach i pociemniałych oczach. W ułamku sekundy Franco przeskoczył przez biurko, po czym ruszył w kierunku Gio z rękami zaciśniętymi w pięści, gotów uderzyć. – Sam cię, kurwa, zatłukę.

Zanim Gio zdołał zareagować na atak, Maximo wykonał jeden płynny ruch. Wyrwał broń z dłoni Cody'ego, a następnie skierował ją w stronę przeciwną niż Gio, zatrzymując lufę dokładnie między oczami syna. Franco zastygł w miejscu z rozszerzonymi ze strachu źrenicami.

– Stul mordę, kretynie – warknął Maximo, a palec zaciskał się powoli na spuście. – Siadaj na dupie, bo inaczej ja usadzę cię w fotelu. Natychmiast, Franco. Nie każ mi powtarzać.

– *Papà*…

– Tu nie jestem twoim ojcem. Tylko donem Sorrento. Siadaj! – Powoli Franco zrobił, co mu kazano. Ramiona Maximo były sztywne od furii. Cały się trząsł, ale dłoń trzymająca broń pozostała stabilna. – Cody, wywieź, proszę, Giovanniego z mojej posesji.

Gio zamrugał, niepewny, czy się nie przesłyszał.

– Proszę?

– Szefie? – Najwyraźniej Cody też nie do końca w to wierzył.

– Zabieraj go z mojego domu i mojej posesji. Wezwij mu taksówkę, daj mu jakiś jebany samochód albo po prostu go stąd wywieź. Mam to gdzieś. Pospiesz się, zanim wyczerpie się ta kurewsko maleńka odrobina cierpliwości, jaka mi jeszcze została.

Gio nie potrzebował dalszych zachęt. W sekundę wyszedł z pokoju, przepychając się między dwoma egzekutorami. Cody szedł zaraz za nim. Stukot ich butów odbijał się echem, gdy pospiesznie stawiając kroki, szli korytarzem, a potem schodzili po schodach. Był to jedyny dźwięk w domu, póki na górze nie rozległ się łomot.

Gio prawie biegł. Nie zatrzymywał się, nawet po to, by posłuchać dochodzących z piętra krzyków. Teraz zupełnie go nie obchodziło, co stanie się z Franco.

– Zrobiłbyś to? Mam na myśli, czy byś mnie zabił – zapytał Gio Cody'ego, który schodził razem z nim po schodach przed domem – mimo że wiedziałeś, że mówię prawdę?

– Tak – wzruszył ramionami Cody. – Przepraszam.

Gio uśmiechnął się półgębkiem. On również by to zrobił.

– Nie przepraszaj. To dobrze.

Cody nagle się zatrzymał.

– Jak to „dobrze”?

– Bo jeśli masz do wyboru siebie albo innych, zawsze wybieraj siebie. Zawsze, Cody. Tak działa Cosa Nostra. Tak właśnie wygląda to życie, i mam tego pełną świadomość. Kurwa, przecież żyję według tych zasad. Ty też się ich trzymaj, a będzie dobrze. Max potrzebuje lojalnego nowicjusza. Zapewne nie będzie teraz ufał zbyt wielu ludziom ze swojego otoczenia. Jeśli zrozumie twoją szczerość w sposób właściwy, a myślę, że tak właśnie się stanie, to już jesteś sporo przed całą resztą.

Cody odchrząknął, przestępując z nogi na nogę, jakby czuł się niezręcznie.

– Nie wybrałeś siebie.

– To znaczy?

– Wybrałeś moją siostrę, nie siebie.

Gio się roześmiał.

– Nie, źle to rozumiesz. Wybrałem nas. Ja i Kim stanowimy w życiu zespół. Tak działa miłość. I zawsze wybiorę właśnie nas.

***

Gio sprawdził zegar na pulpicie taksówki, zauważając, że jest już późno. Zadzwonił do ojca z lotniska na chwilę przed tym, zanim wsiadł na pokład samolotu, a potem ponownie, kiedy wylądował. Antony chciał wysłać samochód albo samemu zgarnąć syna, ale Gio odmówił. Dłuższa podróż dawała nieco czasu, żeby na spokojnie pozbierać myśli, a po tym wszystkim, co się stało, bardzo tego potrzebował.

Taksówka podjechała na tyle blisko, żeby Gio znalazł się w zasięgu domofonu przy wjeździe. Sięgnął przez okno, wciskając odpowiedni przycisk, który pozwalał otworzyć bramę prowadzącą do domu jego rodziców.

Wklepał swój kod i czekał. Kiedy brama się otworzyła, taksówkarz przejechał obok wjazdu, a następnie się zatrzymał.

– Chce pan wysiąść tutaj, czy mam pana podwieźć pod drzwi?

– Tu będzie w porządku.

– Jest pan pewien? To spory kawałek, a dziś w nocy na zewnątrz jest zimno jak cholera.

Tylko dziesięć minut od bramy do schodów. Bóg świadkiem, że Gio dość się tędy nachodził w ciągu swojego życia, szczególnie gdy był nastolatkiem, a jego ojciec się na niego wkurzał i zabierał mu kluczyki do samochodu. Najgorszą karą było dla Gio pozbawienie go swobody, a Antony doskonale o tym wiedział.

– Jest dobrze, naprawdę.

Gio wygrzebał kartę kredytową, po czym zapłacił rachunek. Cieszył się, że przydupasy Maksa razem z telefonem i pistoletem nie zażądali od niego również portfela. Pewnie chcieli mu go zostawić, żeby można było jakoś zidentyfikować jego zwłoki, kiedy już ktoś by je znalazł.

Chcąc wyprzeć z głowy te mroczne myśli, Gio wysiadł z taksówki, biorąc ze sobą obie swoje torby. Tamci też o nich zapomnieli. To były jego rzeczy, które zostawił w wynajętym samochodzie na lotnisku McCarran.

Gio niespiesznie szedł podjazdem, wiedząc doskonale, że domownicy zostali już powiadomieni o tym, że się zjawił, a to za sprawą systemu bezpieczeństwa. Faktycznie było zimno, ale bez tragedii. Pod stopami chrzęścił śnieg. Leżało go na ziemi może kilkanaście centymetrów. Z torbami przerzuconymi przez ramię dotykał obrączki na palcu, rozmyślając o tym, co wydarzyło się tego dnia, i o tym, jak bardzo miało się od teraz zmienić jego życie.

Nie czuł, żeby to był jakiś problem.

Więc w porządku.

Czy był głupi i nieuważny? Tak, ale Gio rozumiał ryzyko jak nikt inny. Niemal zawsze koło fortuny obracało się na jego korzyść.

– Gio!

Głowa podskoczyła mu w górę na dźwięk znajomego głosu ukochanej wołającej go po imieniu. Tak bardzo zatopił się w myślach, że nawet nie zauważył, jak szybko przeszedł cały

podjazd. Dochodziła już pierwsza nad ranem, więc było ciemno jak cholera, ale światło wypływające przez otwarte frontowe drzwi oświetlało postać Kim jasną poświatą.

Gio natychmiast się uśmiechnął. *Cristo*, nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu jej brakowało, a rozstali się ze sobą na zaledwie pół dnia. Szaleństwo!

Kim bez wahania ruszyła biegiem po schodach wejściowych. Gio puścił obie torby i sam też zaczął biec ku niej, tak że spotkali się w pół drogi. Wskoczyła w jego otwarte ramiona z takim impetem, że cofnął się o krok czy dwa. Jakoś zdołał utrzymać równowagę, gdy jej nogi oplotły go w pasie i przywarła do niego swoimi wargami.

Następnie Gio osunął się na ziemię i przywarł plecami do zaśnieżonego asfaltu, cały czas mocno trzymając twarz Kim. Nie dał jej się ruszyć, spijając wszystkie jej pocałunki, jej smak i zapach, jakie tylko mógł wychwycić na cichym, zimnym i ciemnym podwórzu. Tak bardzo pragnął znaleźć się blisko niej, wiedząc, że jest jego i zawsze będzie tylko jego.

– Kocham cię, kocham, kocham – powtarzał w kółko Gio, gdy ona próbowała zaczerpnąć oddech między jego pocałunkami, którymi zasypywał jej twarz. – *Dio*, tak bardzo cię kocham, *tesoro*.

– Nigdy więcej – wyszeptała z zapałem Kim. – Obiecaj mi, Gio.

– Nigdy – powiedział, śmiejąc się, po czym znów przywarł do jej słodkich ust.

Nagle światła na podjeździe i froncie domu się zapaliły, okrywając wszystko blaskiem jak za dnia. Gio nie dbał o to, kto patrzył, ani na moment nie przestając tulić i całować swojej żony.

Rozdział dwudziesty drugi

– Nie wiedziałem, że dzisiaj przylatujesz z Vegas – powiedział Dante do brata, jednocześnie uważnie przyglądając się Kim. – Cokolwiek jest tego przyczyną, lepiej żeby była dobra, skoro wyciągnąłeś mnie z łóżka. Jestem zbyt zmęczony, żeby się użerać z twoim standardowym gównem.

Giovanni odchrząknął, uśmiechnął się lekko, po czym powiedział:

– To sprawa, która wyskoczyła w ostatniej chwili. Przez jakiś czas nie mam zamiaru tam wracać.

Antony prychnął za biurkiem, nie zadając sobie nawet trudu, by unieść wzrok znad papierów, które właśnie przeglądał.

– Myślę, że spokojnie możemy przyjąć, że Giovanni już nigdy nie będzie mógł pojawić się w Vegas, a jeśli rozkręcił tam jakiś interes, to będą go musiały prowadzić strony trzecie.

– O! A to dlaczego? – Dante ściągnął marynarkę, klepnął Luciana w ramię, po czym powiesił ją na oparciu fotela. – Gdzieś ty się podział, chłopie? Mieliśmy się spotkać na kolacji w Cazza.

– Jordyn zadzwoniła do mnie po tym, jak przyszła omówić z tatą grafik na kolejny tydzień. Pomyślałem, że do ciebie też ktoś przedzwoni.

Dante zmarszczył czoło.

– No to co mnie ominęło? Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tym, że córka Nunza jest tutaj, a nie w Vegas. Czy to nie ty miałaś wyjść za syna Maksa?

Skąd on o tym wiedział? Kim nie dostała szansy, by zapytać.

– Skąd, do chuja, wiesz, kim ona jest? – zapytał Giovanni.

– Hamuj się z językiem – zbeształa go Cecelia.

Kim czuła się niezręcznie, siedząc w pomieszczeniu z czterema osobami, które dopiero co poznała. Dantego w zasadzie nie znała w ogóle. Uświadomiła sobie, że teraz to była jej rodzina, ale to wcale nie sprawiło, że niepokój zniknął.

– Parę lat temu musiałem pojechać do Vegas, żeby omówić z Nunzem pewne sprawy w imieniu taty. – Dante wzruszył ramionami, opadając na fotel. – Widziałem ją przy okazji. Lepiej najpierw się dowiedzieć, kto jest czyją córką, Gio. Tym sposobem nie narobisz bałaganu tam, gdzie nie trzeba, i nie zarobisz kulki za uganianie się za niewłaściwą kobietą.

Antony parsknął, w odpowiedzi na co Cecelia pacnęła go w ramię. Kim z kolei skrzywiła się na słowa swojego świeżo upieczonego szwagra.

– Wow. Dzięki.

– Hej, on ma rację – mruknął cicho Lucian. – Jeśliby się trzymał tej zasady, to by się nie wpakował w ten bajzel.

– Nie „hejaj" jej tu Lucian albo, do cholery, wybiję ci te zęby. Nie ma żadnego bajzlu – powiedział twardo Giovanni. – Wszystko już w porządku. Zająłem się tym, więc się odwal.

Lucian wzruszył ramionami.

– Tak tylko mówię. Nie można odmówić Dantemu racji.

– Odpuść, Lucian – powiedziała Jordyn do męża. – Nie czas na to.

Dante spojrzał na Giovanniego.

– Jaki bajzel?

Gio skrzyżował ramiona. Kim nie była zachwycona kierunkiem, w którym to wszystko zmierzało.

– W Vegas było ekstra. Omal nie zginąłem. Dzięki, że pytasz.

– A to ci dopiero nowość. Jaki znów bajzel, do kurwy nędzy, Gio?

Antony odchrząknął, zwracając na siebie uwagę wszystkich w pokoju.

– Uspokój się, Dante.

– Nie! Chcę wiedzieć, co tu się wyprawia – odparł Dante. – Jak nie jedna sprawa z Gio, to kolejna. Problem za problemem.

– Nie ma żadnego problemu – warknął Giovanni. – Został rozwiązany.

– Mówisz, jakby ci się zacięła płyta. Co ona tu robi? – zapytał Dante, celując palcem w Kim. – Cześć, tak w ogóle.

– Cześć – odrzekła Kim, nawet nie starając się ukryć irytacji.

– To nie zmierza w dobrym kierunku – powiedziała cicho Cecelia do Antony'ego.

– Zostawmy ich w spokoju – odparł niemal znudzony. – Przetrawią to albo przetłuką, tak jak zwykle.

Ekstra. Wszyscy trzej bracia wyglądali jak węże szykujące się do ataku. Kim mogła się tylko zastanawiać, czy to ich normalne zachowanie, czy może jednak jest w tym coś niezwykłego.

– Czy ona nie jest zaręczona z Franco? – zapytał Dante, wskazując Kim podbródkiem. – Jak ostatnio sprawdzałem, nadal był w Vegas. Ona ewidentnie nie jest.

Wydawało się, że Giovanni po tym pytaniu wkurzył się jeszcze bardziej.

– Jak się dowiedziałeś, że to z nią Franco był zaręczony?

– Nunz ma tylko jedną córkę, Gio. Wiedziałem, o kim mówił Max na Komisji. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego ona tu jest?

– Ona ma imię – rzuciła Kim, nareszcie rozdrażniona na tyle, by się odezwać. – Możesz ją zapytać.

Dante wyprostował się w fotelu, przyglądając się Kim z nieco większą ciekawością niż wcześniej.

– Nie chcę wyjść na dupka czy coś w tym guście, księżniczko, ale to nie Las Vegas. Nie siedzimy u ciebie w domu, więc za cholerę nie mam pojęcia, dlaczego uczestniczysz w tej rozmowie.

– Jest tu z nami, bo jest moją żoną – wycedził Giovanni przez zęby.

– I lepiej o tym pamiętaj następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota dać upust swojemu nastawieniu – dodała Cecelia zza biurka. – W tym domu nie będziesz okazywał kobietom braku szacunku, Dante, a już na pewno nie którejś z żon swoich braci.

Dłoń Gio zacisnęła się na plecach Kim.

– Przeproś.

Dantemu szczęka opadła. Spoglądał to na Giovanniego, to na swoją matkę.

– Coś ty właśnie powiedział?

– Powiedziałem, żebyś przeprosił moją żonę.

– Twoją żonę? – syknął Dante. – Ona jest zaręczona z…

– Nie wymawiaj imienia tego skurwiela w mojej obecności – przerwał Giovanni, przewiercając brata wzrokiem. – To moja żona, i kropka.

– Kiedy to się stało? Pewnie mi się to nie spodoba, co? – zapytał Dante.

– Raczej nie – rzucił Lucian ze swojego miejsca pod ścianą.

– Kiedy doszło do zerwania narzeczeństwa z Franco? – zapytał Dante, przerzucając wzrok na Kim.

– Wczoraj – odrzekł Giovanni.

– A kiedy ją poślubiłeś?

– Wczoraj wieczorem.

Przez dłuższą chwilę Dante nic nie mówił, a jedynie przyglądał się bratu. Kim rozumiała, że sporo się teraz między nimi dzieje, choć nie była w stanie tego zobaczyć. Istniały pewne zasady, których przestrzegania wszyscy oczekiwali. Giovanni je złamał. I to było złe dla rodziny Marcello.

– Jesteś jebanym idiotą – powiedział niskim głosem Dante, wstając z fotela.

– Idź do diabła – burknął Giovanni.

– Nie, poważnie. Jak tyś się w ogóle wydostał z Vegas żywy?

– Ostrożnie.

Dante zwrócił się do ojca z pochmurną miną.

– To… Nie masz żadnego problemu z tym, co zrobił?

Antony uniósł brew.

– Mam płakać, dlatego że żyje i jest szczęśliwy?

– Nie to chciałem powiedzieć.

Giovanni westchnął.

– Już po wszystkim. Odpuść.

– Franco nie żyje? A może Max? – spytał Dante głosem ociekającym sarkazmem.

– Nie – odrzekł Giovanni. – Powiedziałbym, że zakończyliśmy to czymś na kształt rozejmu. Przynajmniej z mojej strony.

– No to nie jest po wszystkim. Musimy siedzieć naprzeciw nich na Komisji rok w, kurwa, jebany rok, Gio! Będziemy się nieźle bawić, próbując jakoś to rozegrać. Wielkie dzięki. Właśnie uczyniłeś kolejną dekadę mojego życia piekłem na ziemi. Tam, gdzie ty zamknąłeś temat, tato będzie musiał się nim zająć. A jak on już będzie miał to z głowy, to kto, kurwa, twoim zdaniem będzie to ogarniał? Ja!

– Możemy spokojnie założyć, że Gio nie będzie mile widziany na spotkaniach – wtrącił Antony. – Lepiej dla niego, jeśli będzie się trzymał z daleka.

– Jakby to czyniło jakąś różnicę – odrzekł Dante. – To źle dla wszystkich Marcellich siedzących przy stole, i doskonale o tym wiesz.

– Tak czy inaczej, w pierwszej kolejności stanowimy rodzinę – warknął Antony, znów przybierając swój znudzony wyraz twarzy. – Albo staniemy murem, by się nawzajem wspierać, albo staniemy z boku i będziemy się wzajemnie pokazywać palcami, by w końcu upaść. Co wybierasz, Dante?

Dante zacisnął zęby.

– To nie fair. Tym razem naprawdę odjebał niezłą szopkę i nie da się tego tak po prostu zamieść pod dywan.

– Mam tego świadomość. Zajmiemy się tym.

– To dobra sprawa – powiedziała Cecelia delikatnie. – Gio znalazł kogoś, kogo kocha. Reszta się ułoży. Zawsze tak jest.

– To prawda – zgodził się Antony. – Odnosimy sukcesy tylko w ramach tej rodziny.

– No i – dodała Cecelia, kładąc rękę na ramieniu męża – to dobry moment dla Marcellich na kolejne świętowanie. Nie mam zamiaru się zachowywać, jakby to małżeństwo było czymś, co sprowadza na nas wstyd. Wcale tak nie jest. Wspaniale będzie uczcić to wydarzenie wraz z nowinami od Luciana i Jordyn.

Dante zamrugał, wpatrując się w matkę nic niepojmującym wzrokiem.

– Jakimi nowinami?

Tym razem to Lucian wyglądał, jakby czuł się nieswojo. Najstarszy z braci potarł kark, wbijając wzrok w ziemię. Nawet siedzący obok Kim Giovanni wyglądał na zdezorientowanego i nie mógł się doczekać, aż Lucian przemówi.

– Spodziewamy się dziecka. Jordyn jest w dwunastym tygodniu ciąży. Chcieliśmy zaczekać z ogłoszeniem tego, aż wróci Gio. *Mamma* sama to odkryła i powiedziała tacie, ale na naszą prośbę nic nie mówili.

Pierwszy odezwał się Giovanni, uśmiechając się przy tym szeroko.

– Naprawdę?

Lucian się roześmiał, posyłając swojej żonie pełne uwielbienia spojrzenie. Jego podekscytowanie było wręcz namacalne. Kim nie wiedziała, dlaczego przedtem zdawał się taki spięty, zanim powiedział o ciąży.

– Naprawdę. Szaleństwo, nie?

– Gratulacje! – powiedział Giovanni. – Nie trwało to długo.

– Gio! – skarciła go Kim.

– No naprawdę szybko.

– W porządku, Kim – odparła Jordyn, chichocząc. – Teraz już się przyzwyczaiłam do tego, że on praktycznie zawsze mówi, co mu ślina przyniesie na język.

Dłuższą chwilę zajęło Kim uświadomienie sobie, że jeden z braci nadal nie skomentował wieści o ciąży. Wyglądało na to, że nie ona jedna się zorientowała. Jak tylko reszta rodziny trochę ochłonęła, wszystkie oczy zwróciły się na środkowego z braci Marcello.

– Dante? – zagadnął Lucian, który znów zaczął się zachowywać nerwowo.

Giovanni bez słowa objął Kim w pasie, przyciągając ją do siebie.

– Chodź, *tesoro*. Zakładam, że nie miałaś okazji obejrzeć dokładnie domu.

Właśnie wyprowadzał ją z biura, gdy usłyszała, jak Dante w końcu się odezwał.

– Taaa, gratki, chłopie. To… świetnie.

Minęła może sekunda, a Dante wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi i prześlizgując się obok stojących w korytarzu Giovanniego i Kim. To sprawiło, że Kim już całkiem poczuła się zagubiona. Czyżby naprawdę był takim dupkiem, że nie potrafił się cieszyć szczęściem swoich braci?

– Co to było? – zapytała Giovanniego.

W odpowiedzi Gio skrzywił się, patrząc w kierunku, gdzie zniknął jego brat.

– To był Dante, któremu przypomniano, że znajduje się w podobnej sytuacji jak Franco, czyli nie może dostać tego, czego chce. A on nie lubi, kiedy mu się o tym przypomina.

– Ale dziecko… To dobra wiadomość, prawda? Dlaczego nie miałby się cieszyć razem z nimi?

– Bo to mu przypomina, o czymś jeszcze, czego nie może mieć – odparł niejasno Giovanni.

***

Okazało się, że Kim sama musiała zwiedzać przepastny dom rodziny Marcello. Giovanni zabrał ją na spacer po posiadłości, ale w końcu zostawił w bibliotece, mówiąc, że musi się czymś zająć we własnym zakresie.

Jej uwagę przykuł dochodzący z dołu hałas, więc ruszyła tam i natknęła się na przeszklone drzwi, które były jedynie przymknięte.

Odgłosy, które słyszała, były nie tyle hałasem, co krzykami, pełnymi wściekłości na cały świat. Kim nie zauważyła, żeby ktoś został po spotkaniu w biurze Antony'ego, i doszła do wniosku, że dwaj pozostali bracia musieli się rozjechać do domów. Najwyraźniej się myliła.

Otworzyła drzwi nieco szerzej, a jej oczom ukazała się swego rodzaju sala gimnastyczna. Nie jakoś szczególnie duża, ale wystarczająco, żeby pomieścić sporo sprzętu i niemałą matę do sparingów. Miała nadzieję, że chłopaki jedynie trenują.

Giovanni i Dante mieli na sobie sprzęt bokserski i stali na macie stopa w stopę. Lucian, ubrany w spodnie dresowe i koszulkę, stał z boku i się przyglądał. Miał zaczerwienienie na prawym policzku, którego na pewno nie było tam wcześniej. Kim domyślała się, że w międzyczasie też musiał nieco powalczyć.

Dlaczego się bili?

Nie była w stanie dosłyszeć, co krzyczeli, i dzięki temu zrozumieć, co się tu wyprawiało.

– Kim?

Na dźwięk głosu Jordyn obróciła się gwałtownie.

– Wiesz, że oni…

– Tak – płynnie przerwała jej Jordyn. – Jak wcześniej wspomniał Antony, albo to przegadają, albo przetłuką. Wolę tę opcję.

– Ale dlaczego? – zapytała osłupiała Kim. – Biją się jak pomyleńcy.

– Bo wszyscy, co do jednego, mają gówniane zdolności komunikacyjne. Jeśli będą próbowali o tym gadać, to możesz mi wierzyć, że wszyscy będziemy się z tym męczyć tygodniami. Zdecydowanie wolę, by umysł Luciana znajdował się tam, gdzie powinien, niż żeby się zamartwiał tym, że się kłóci ze swoimi braćmi. Lepiej, jak się obtłuką i będziemy to mieli z głowy. Zostaną tam pewnie do rana.

Chryste! Już było rano!

– Mam Gio na to pozwolić?

– Dlaczego by nie? Jutro rano autentycznie będą już weseli, będą się śmiać i mieć to z głowy. No, może zarobią po kilka siniaków. Jeśli myślisz, że Cecelia się o nich teraz martwi, to wcale tak nie jest. Sama chciała, żeby dać tutaj tę matę, bo jak byli nastolatkami, deptali jej kwiatki w ogródku.

– Ale…

– Słuchaj, jeśli martwisz się o to, że Gio dostaje w zęby, to nie ma to sensu. Poradzi sobie. Jest najmłodszy z całej trójki i szybko musiał się nauczyć, jak dotrzymać reszcie kroku albo ustąpić. A przy okazji, Dante wcale nie jest taki zły, jak się wydaje. Daj mu jeszcze jedną szansę. Pozwól, by cię przeprosił i łaskawie przyjmij przeprosiny, kiedy już wyciągnie łepetynę z własnej dupy. Myślę, że dzisiaj miał po prostu gówniany dzień. Tak właśnie zachowuje się rodzina. Wybacza. A to najlepsza rodzina na świecie. No, tak czy owak – mówiła dalej, machnąwszy ręką w kierunku drzwi, jakby to, co się za nimi działo, nie miało absolutnie żadnego znaczenia – znów mi niedobrze. Właśnie to mnie obudziło, a kiedy się okazało, że Luciana nie ma w łóżku, wiedziałam, gdzie go znaleźć. Faceci z rodziny Marcello są przewidywalni, jeśli chodzi o relacje między nimi. Sama się tego nauczysz. Muszę poprosić Cecelię, żeby mi zrobiła jeszcze trochę tego imbirowego czegoś. Chcesz herbaty?

Herbaty? Poważnie?

Herbata.

Jezu. Kim przytaknęła. Dlaczego by nie?

– Pewnie. Herbata brzmi dobrze.

***

Kim wrzasnęła na całe gardło, bo do kuchni wpadło coś czarnego i brązowawego, o grubym ogonie, ślizgając się na wszystkich czterech łapach, gdy próbowało się zatrzymać, by nie uderzyć w bok szafki. Kupa sierści i mięśni skoczyła, a następnie przeturlała się po podłodze, jakby dostała nagłego ataku.

– Pieprzony bydlak – powiedział Giovanni ze śmiechem, wkraczając do środka zaraz za wielgachnym stworzeniem. – Wypad mi z kuchni, zanim Cecelia cię zobaczy i weźmie spryskiwacz.

Kim z chorobliwą fascynacją przyglądała się, jak zwierzak truchtem wychodzi z pomieszczenia.

– Co to, do jasnej cholery, było?

Giovanni uśmiechnął się zawadiacko.

– Jestem pewien, że już kiedyś widziałaś psa, *tesoro*.

– To nie był pies, Gio! To bestia!!!

Giovanni wybuchnął śmiechem, jakby powiedziała coś od rzeczy.

– Przestań się ze mnie śmiać – mruknęła Kim. – To wcale nie jest zabawne. Jego pysk mógłby pewnie za jednym zamachem połknąć pół mojej twarzy. Widziałeś, jaki jest wielki? Psy nie są aż takie ogromne.

Cholerna bestia wyglądała, jakby ważyła ze sto kilo.

– No jest trochę za wielki jak na swoją rasę. Weterynarze mówią, że to kwestia genetyczna. Ale ogólnie jest zdrowy. Serce ma odpowiednie do rozmiaru ciała. Cain to dobry zwierzak. Szkolony i w ogóle. Co jest nie tak?

Nie licząc tego, że serce stanęło jej w gardle?

Nie… Nic. Wielkie jak cholera nic.

– Czyje… to jest?

– Nie żadne to, Kim. Cain to dwuletni rottweiler. Należy do mnie. A co?

Byli już w Nowym Jorku od dwóch dni, a nikt nie wspomniał nawet słowem, że Giovanni ma psa. Czy tam stworzenie… bestię.

– Psy nie powinny być takie wielkie – powiedziała łamiącym się głosem. – Jezu, mogłeś mnie ostrzec, Gio.

– Co? Przeraża cię, bo nie zmieści ci się do torebki? – Giovanni znów się roześmiał. – Cain jest słodki jak dziecko, chyba że ktoś ze

mną zadrze. Wtedy potrafi stać się potworem na czterech łapach. Poważnie, to dobry pies.

Kim nadal pozostawała sceptyczna, co musiało się odmalować na jej twarzy, bo Giovanni westchnął, po czym wsunął się pomiędzy krzesło, na którym siedziała, a stół. Pochylił się, opierając na podłokietnikach krzesła i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

– Co się dzieje, *bella mia*?

– Nie powiedziałeś mi, że masz psa – odparła cicho Kim.

Nie miała pewności, dlaczego ją to martwi, ale tak właśnie było. Stanowiło kolejne przypomnienie, że ona i Giovanni nie mieli nawet w przybliżeniu wystarczająco dużo czasu, żeby poznać się, jak należy.

– Jakoś nie wyszło w rozmowach – odparł tym samym tonem. – Nie lubisz psów, czy co?

– Nie mam nic przeciwko, o ile nie są ogromnymi, włochatymi bestiami, które potrafią przestraszyć jak skurwysyn wszystko, co żyje.

– Włochata bestia? To rasa krótkowłosa.

– Widziałam tylko sierść, kiedy wpadł tu jak jakiś nietoperz z piekła.

– Aaa – skomentował przeciągle Giovanni. – Trochę linieje. Przepraszam z góry.

Kim skrzyżowała ręce, odchylając się na oparcie krzesła.

– To twój pies, Gio.

– Tak właśnie powiedziałem – potwierdził, wyglądając na zmieszanego.

– Dokładnie. Twój. Nie mam zamiaru po nim sprzątać. Cieszę się, że to uzgodniliśmy.

– Czyli ci nie przeszkadza? – spytał Giovanni z szerokim uśmiechem. – Mogę zatrzymać mojego psa? Bo teraz, zaraz po tobie, to największa miłość mojego życia. Już dostatecznie ciężko było mi się z nim rozstać, kiedy wyjechałem do Vegas.

Dobry Boże. Kiedy chciał, potrafił być jak dziecko. Kim mogła się jedynie uśmiechnąć.

– Niech będzie. Zatrzymaj tego kundla. Mówię tylko, że fajnie by było usłyszeć jakieś ostrzeżenie.

– Serio, jakoś mi nie przyszło do głowy. Nie miałem kiedy ci powiedzieć o moim rozpieszczonym zwierzaku, który myśli, że jest właścicielem wszystkiego, co mam w lodówce. Czy naprawdę tylko o to chodzi?

– Nie. Cóż, tak, ale nie – odparła Kim.

Brew Giovanniego powędrowała w górę.

– Czyli co?

– Czy my się w ogóle znamy?

– Ale o co chodzi? Wydaje mi się, że to coś więcej niż sprawa Caina.

– Mam być twoją żoną, ale mam wrażenie, że jest całe mnóstwo rzeczy, których o tobie nie wiem.

– Aha – skomentował Giovanni. – Powiedz mi zatem, co chcesz wiedzieć.

Kim poczuła falę rozdrażnienia.

– No co ty, Gio, to tak nie działa. Ludzie dowiadują się o sobie różnych rzeczy z czasem, a nie w ciągu sesji „dwadzieścia pytań do…" przy kuchennym stole.

– Myślisz, że do siebie nie pasujemy?

– Nie.

Oczywiście, że nie. Jeśli Kim była czegoś pewna, to właśnie tego, że ich związek działał. Jakoś. Jasne, czasami w jakiś zwariowany sposób, i pewnie jeszcze nie raz tak będzie, ale działał.

– Wiesz, że cię kocham?

– Tak – odparła Kim bez chwili zastanowienia. – Dlaczego o to pytasz?

Giovanni wzruszył ramionami, po czym jeszcze bardziej się do niej przybliżył.

– Bo wariujesz z byle powodu. Przecież sama to powiedziałaś, *tesoro*. Ludzie uczą się siebie z czasem. My mamy na to całą wieczność. Zaczęliśmy w chwili, kiedy przybrałaś moje nazwisko.

– Wydaje ci się, że to przyjdzie nam tak łatwo, co?

– Nie. Myślę, że czasami będziesz chciała znaleźć dobre miejsce, żeby ukryć ciało.

Kim parsknęła pod nosem.

– Świetnie.

– Co wcale nie znaczy, że będziesz mnie kochać mniej – dodał, mrugając do niej. – Niczego nie byłem w swoim życiu bardziej pewien niż ciebie, Kim.

– Gładkie słówka.

– *Mamma* zawsze powtarzała, że jestem najbardziej czarujący z nas trzech.

– Chyba raczej najtrudniejszy – odpaliła Kim.

– Tak, to też – westchnął Giovanni, odwracając wzrok od Kim, po czym dodał: – No to chciałbym cię ostrzec o kilku sprawach.

– Ach tak?

– Tak. Antony odebrał dziś rano telefon. Wczoraj wczesnym rankiem w Vegas znaleziono i zidentyfikowano ciało.

– Kto to jest? – Kim zmarszczyła czoło.

– Franco – powiedział Giovanni delikatnie. – Tak jak myślałem, Maximo pogrzebał trochę w sekretach swojego syna. Nie wiem, co tam znalazł, ale widocznie mu się to nie spodobało. Franco miał obcięte ręce, a w kieszeniach jednodolarowe banknoty.

– Boże, dlaczego? I po co mi to w ogóle mówisz?

– Wiem, że to okropne i pewnie wolałabyś o tym wcale nie usłyszeć, ale pomyślałem, że lepiej, bym ja ci to powiedział, niż żebyś się dowiedziała o tym przypadkiem od kogoś innego. Jak ktoś o tym wspomni, już będziesz mogła zareagować w odpowiedni sposób. W porządku?

Kim przytaknęła ruchem głowy, ale nadal nie rozumiała.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Obcięcie rąk to wskazówka, że był złodziejem. Pieniądze w kieszeniach pokazują, co zabrał z rzeczy, które do niego nie należały.

– Ale jak zginął?

Giovanni się skrzywił.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– A mogę to usłyszeć od kogoś innego? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Słusznie – przyznał Giovanni. – Ręce najwyraźniej ucięto po śmierci. To by oznaczało, że zapewne zmarł z wykrwawienia po tym, jak mu odcięto język.

Jezu.

Kim zrobiło się słabo.

– Kto zadzwonił do twojego ojca?

– Maximo. – Giovanni położył jej dłoń na policzku i pogładził ją w miejscu, gdzie siniaki już zniknęły. – Nawet jeśli zabijamy, naprawiamy błędy ze względu na szacunek. Język, telefon… To taki sposób Maksa na to, by przeprosić mojego ojca i ciebie.

– A co z tobą?

– Max pozwolił mi żyć, Kim. Jego życie za moje. Mi nie musi powiedzieć ani słowa, bo nie ma takiej potrzeby. I niech mnie cholera, jeśli się czegoś jeszcze spodziewam. Chciałem też, żebyś miała świadomość, że jeśli Maximo pokopie jeszcze głębiej i znajdzie to, czego szuka, to mogą znaleźć jeszcze jedno ciało.

Na ułamek sekundy serce Kim przestało bić.

– Nie Cody'ego.

– Nie. Miałem raczej na myśli twojego ojca.

– Aha. – Cóż, to zmieniało wszystko. Kim wiedziała, że to oziębłe nie wykazać empatii wobec człowieka, który, jak by nie było, dał jej życie, ale względem Nunza jakoś nie potrafiła się zdobyć na nic innego. – Niech kopie, Gio.

Giovanni nachylił się jeszcze bardziej, po czym objął usta Kim w pocałunku, który z początku czuły i delikatny, zmienił się w końcu w gorący i pełen namiętności. Poczuła pulsujące ciepło w podbrzuszu, które rozchodziło się coraz bardziej, w miarę jak całował ją coraz mocniej. Wydała z siebie pełen zadowolenia dźwięk, gdy się odsunął, pozostawiając stygnącą ścieżkę pocałunków prowadzącą przez policzek, aż na czoło.

– W porządku? – zapytał.

– Zmierzamy w dobrym kierunku.

– Doskonale. – Odcisnął jeszcze jeden pocałunek w kąciku jej ust, sprawiając, że uniosły się w uśmiechu.

– Kocham cię, wiesz?

– Kocham cię.

– Przepraszam, że przeszkadzam – usłyszeli dobiegający od wejścia głos.

Kim zesztywniała, bo do kuchni właśnie wszedł Dante. Nie widziała go od tamtej pierwszej nocy, gdy się zjawiła. Nie pożegnał się też, kiedy wychodził. Nie to, żeby się tego po nim spodziewała. Tak czy inaczej, nie była zbyt zadowolona, że jest w pobliżu. Nie miała ochoty na kolejną rundę jego pieprzenia.

Giovanni posłał jej niepewny uśmiech.

– Bądź miła, *tesoro*.

– Będę – powiedziała, ale na tyle cicho, by Dante nie dosłyszał, choć sama nie wierzyła swoim słowom. Mimo wszystko wiedziała, jak być pierdoloną damą.

Giovanni wstał, opierając się o stół.

– Dante właśnie przywiózł mi Caina, bo potem jedziemy do mieszkania. Opiekował się nim, gdy ja byłem w Vegas.

Zostali u jego rodziców przez pierwsze dwa dni, tak żeby Kim poczuła się komfortowo w nowym mieście, a Giovanni mógł spokojnie pozałatwiać to, co miał do ogarnięcia. Bardzo chciała pojechać do… domu. Przypuszczała, że tym właśnie to mieszkanie będzie. Tak czuła, choć nigdy tam nie była. No i prywatność… Teraz wydawało się, że stale ktoś się kręcił w pobliżu. Chciała Giovanniego dla siebie, w końcu bez całego tego skradania się, które towarzyszyło im od Vegas.

– A skoro już o tym mowa… – Dante wszedł do kuchni, uśmiechając się do brata. – Wisisz mi siedem patoli albo nową kanapę, którą zmaltretował w ciągu pierwszego tygodnia, jak cię nie było.

– Wybacz. Wybierz sobie, jaką zechcesz, a następnego dnia będzie u ciebie.

– I nowe krzesła do mojego biura.

Gio się skrzywił.

– Jezu, Cain.

– Zdaje się, że mówiłeś, że jest grzeczny – powiedziała Kim oskarżająco.

– Bo jest!

– Gdy Gio jest w pobliżu – dodał Dante ze śmiechem. – Jak go nie ma, Cain zmienia się w dzieciaka, z napadami złości i całą resztą. Jego szczęście i poprawne zachowanie w znacznej mierze zależą od

Gio. Mniej więcej tak jak małe dziecko, nieustannie potrzebuje matki.

– Zamknij się, bo wcale nie pomagasz – burknął Gio. – Właśnie ją przekonałem, by go, no, tak jakby polubiła…

– Tak jakby? – prychnął Dante. – No to powodzenia. Wpierdala wszystko, co znajdzie i uzna, że da się zeżreć.

Wspaniale.

Kim westchnęła.

– Muszę iść i przygotować swoje rzeczy, jeśli mamy niedługo wyjechać.

Po ich pierwszym spotkaniu, czuła się okropnie nieswojo przy Dantem.

– Właściwie to powinniście usiąść i pogadać – powiedział Giovanni. – Pójdę na górę i wezmę twoją torbę. Potem muszę przekonać Caina, żeby wsiadł do auta. Zapewne myśli, że go gdzieś zawiozę i znowu zostawię.

– Gio. – Pozostawienie jej samej z Dantem nie było najlepszym sposobem, by jej mąż zarobił sobie jakieś pieprzone punkty.

– Proszę?

Dlaczego czuła się, jakby ktoś ją zapędził w kozi róg?

– Nieważne.

Mam, kurwa, nadzieję, że lubisz spać na kanapie, pomyślała Kim, posyłając mu wymowne spojrzenie.

Kiedy Giovanni przechodził obok brata, Dante klepnął go w ramię. Jak tylko wyszedł z kuchni, stres Kim podskoczył o jakieś dziesięć poziomów.

– Cześć – powiedział Dante, przestępując z nogi na nogę.

Dopiero wtedy zauważyła, że na palcach dłoni zwisa mu firmowa torba Apple'a. Nie zwracała na nią większej uwagi.

– Hej.

– Chciałem przeprosić za tamtą noc.

– Jasne. – Kim pokiwała głową, po czym obróciła się na krześle z powrotem do stołu. – Jeśli robisz to, bo ktoś ci kazał, to daruj sobie. Mnie to do niczego nie jest potrzebne. A już naprawdę ostatnie, czego pragnę, to ukoronowania faktu, że ewidentnie mnie nie lubisz albo nie akceptujesz, fałszywymi przeprosinami.

– Tego nie powiedziałem – odparł Dante.

– Czego?

– Że cię nie lubię. Nie znam cię wystarczająco dobrze, by wygłaszać takie opinie. Widzę natomiast, że mój brat cię uwielbia, jakbyś była jego księżycem, gwiazdami i niebem, więc to mi wystarczy. To wszystko, co muszę wiedzieć w tej kwestii.

– Ale mnie nie akceptujesz – naciskała Kim – ze względu na Franco i zaręczyny.

– Tego też nie powiedziałem.

– A nie dałeś tego wyraźnie do zrozumienia?

– Nie – odrzekł Dante, marszcząc brwi. – Nie zrozum mnie źle. Nie pochwalam tego, co zrobił Gio. To jednak nie ma żadnego związku z tym, czy cię akceptuję, czy nie. Złamał zasady, ale to nie zmienia faktu, że rozumiem dlaczego. Przypuszczam, że zrobił, co musiał. Nie mam zamiaru go za to winić, ani też nie musi mi się podobać, jak to zrobił.

– Ale Gio to nie ja – powiedziała Kim.

– Dokładnie. Jesteś szczęśliwa?

– Bardzo.

– Ale przedtem nie byłaś – stwierdził Dante.

– Zmuszona, żeby poślubić Franco? Nie.

– Dlaczego?

– Pomijając sam fakt, że to sadystyczny dupek? – Kim nie do końca rozumiała, jak to pytanie ma się do niej i Giovanniego. Mimo wszystko rozmowa przebiegała lepiej, niż się spodziewała, więc chciała na nie odpowiedzieć. – Bo nie dano mi wyboru. Nie wiem, jak to działa w twoim świecie…

– Masz na myśli Cosa Nostrę?

– Niech będzie. Ja chcę mieć wybór. To moje życie. Nie jestem niczyją własnością, nawet jeśli przyczynił się do tego, że się urodziłam, albo dlatego, że ktoś nosi konkretne nazwisko czy też prowadzi taki, a nie inny tryb życia. Przedstawili to tak, jakby to była moja decyzja, ale tak nie było.

Dante znów przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie czując się niezręcznie.

– Mi ciągle ktoś przypomina, że jeszcze nie znalazłem sobie żony. Że muszę ją mieć, by zająć miejsce po swoim ojcu. I odnieść w życiu sukces.

– Nie chcesz się żenić – podsumowała Kim.

– Nie mam kobiecie za wiele do zaoferowania. Nie chcę też, żeby ktoś cierpiał z powodu moich wyborów życiowych.

– To nie może być prawda, Dante.

– Wręcz przeciwnie. Ale to nieważne. Jestem w bardzo podobnej sytuacji, jak ty byłaś przedtem. Nie mam już wyboru. Czuję się, jakby z tyłu mojej głowy tykał jakiś pierdolony zegarek. Kiedy Gio się zjawił, i to z żoną, to po prostu…

– Poczułeś się, jakby ktoś podkreślił fakt, że ty jej nie masz – dokończyła Kim, czując smutek z powodu jego sytuacji. – Wydaje się, że to naprawdę nie w porządku.

Dante wzruszył ramionami.

– Ty żyjesz w swoim świecie, ja w swoim. Czasami mogą się na siebie nakładać, ale możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że nie są tym samym.

Kim mogła do pewnego stopnia zrozumieć postawę i nastawienie Dantego tamtej nocy. Sympatyzował ze swoim młodszym bratem, ale równocześnie oczekiwał, że Giovanni będzie przestrzegał tych samych reguł co on. No i ewidentnie Dante w temacie małżeństwa znalazł się między młotem a kowadłem. Trudno się było cieszyć, kiedy ktoś wiecznie uważnie cię obserwował, a czyjaś radość tylko podkreślała w oczach innych, że ty czegoś nie osiągnąłeś.

– Nie myśl, proszę, że cokolwiek z tego, co powiedziałem, ma posłużyć jako usprawiedliwienie tego, jak cię potraktowałem, albo którejś z rzeczy, które mówiłem. Zachowałem się jak dupek.

– Owszem – odparła Kim zwyczajnie.

– To niewybaczalne, ale mimo to przepraszam.

Kim zmusiła się do opanowania narastających jej w gardle emocji.

– Dziękuję.

Dante posłał Kim nieśmiały uśmiech.

– Masz moje słowo, że na co dzień nie jestem takim złym facetem. Oprócz tego powiedziano mi, że potrafię być przerażający, i to w sposób jak najbardziej naturalny. Tak więc w pewnym sensie

zaskarbiłaś sobie mój szacunek, kiedy okazało się, że masz jaja, by pokazać mi, że zachowuję się jak złamany kutas, tak że… no. Lucian ożenił się z kobietą, która nie jest Włoszką, i tym samym pokazał wszystkim środkowy palec. Gio wziął sobie za żonę twardą babę i nawet nie zadał sobie trudu, żeby komuś o tym powiedzieć, dopóki nie zjawił się na progu. To bardzo… pasuje do moich braci, delikatnie rzecz ujmując.

– Czyli zostajesz tylko ty.

– Na to wygląda – odparł Dante obojętnie, a następnie wyciągnął dłoń, w której trzymał torbę prezentową. – Mam coś dla ciebie. Możesz to nazwać spóźnionym prezentem ślubnym.

Kim uniosła brwi w zdziwieniu.

– Kupiłeś nam prezent?

– Nie, tylko tobie. Gio nie znosi, kiedy ktoś wydaje na niego pieniądze. On jest zbyt niezależny na takie nonsensy. Tak naprawdę przyjmuje prezenty tylko w czasie świąt, bo wtedy nie ma wyboru. Czy może raczej należałoby powiedzieć, że mama mu go nie daje.

– Och! Nie musiałeś mi nic przynosić.

– Właściwie to tak. Przypuszczam, że Lucian też coś będzie dla ciebie miał. Cecelia i Antony już obgadali, jak cię przedstawić ludziom, więc możesz być pewna, że od nich też coś dostaniesz.

– Nie rozumiem – powiedziała Kim, znów zdezorientowana.

– Gio wyjaśnił trochę spraw związanych z Nunzem, o których nic nie wiedziałem. Na przykład to, że nigdy się zbytnio tobą nie interesował. To nie tak powinno funkcjonować, Kim. Powinnaś być szanowana i uwielbiana. Prawdziwa *principessa*. Nie wiem, czy to słowo coś dla ciebie znaczy, ale my bardzo szanujemy takie rzeczy. Tradycja jest dla nas ważna i choć Gio może uważać, że jego małżeństwo nie jest tak wielkim wydarzeniem jak Luciana czy moje, to dla nas, jako rodziny, jest nim mimo wszystko.

Kim nie rozumiała co ma do tego to, że ludzie mieli jej przynosić różne rzeczy.

– Dante, nie musicie mi nic dawać, żebym się czuła mile widziana.

– To nie do końca prawda i nie masz w tym temacie za wiele do powiedzenia – odparł ze śmiechem. – Z drugiej strony, brat mnie ostrzegał, że możesz się okazać bardziej podobna do niego, niż

ktokolwiek z nas się spodziewa. A skoro już mam ci coś dać, to niech ci się przynajmniej do czegoś przyda. Najlepiej żadnych ciuchów czy błyskotek, bo takie rzeczy znajdziesz sobie sama.

– To słowa Gio? – zapytała Kim.

– Taaa. Poza tym wydaje mi się, że w jakiś sposób wkurza go myśl, że ktoś inny niż on mógłby ci dawać biżuterię. Uznałem to za zabawne. On niezbyt.

Może Giovanni znał ją znacznie lepiej, niż Kim sądziła. Nie miała zamiaru ponownie nie docenić swojego męża.

– Co zatem mi przyniosłeś?

– Coś przydatnego. – Dante uśmiechnął się z satysfakcją, ale zaraz nieco spoważniał. – W sumie kiedy rozmawialiśmy o twoim ojcu i innych takich, Gio wspomniał, że w czasie kłótni o twoją dalszą edukację, Franco zniszczył ci laptop.

Kim poczuła, jak gorąco wpływa na jej policzki.

– Wolałabym, żeby w ogóle nie rozpowiadał takich rzeczy.

Nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, jak okropne było życie pod butem Franco. Wystarczająco trudno jej było odkreślić tamte wydarzenia grubą kreską. Nadal też nosiła głęboko w sobie ślady po tamtych wydarzeniach.

– Franco to kawał kretyna. A raczej nim był – poprawił się Dante, posyłając jej współczujące spojrzenie. – Na szczęście. Tak czy inaczej, wiem, że nie da się odzyskać tego, co miałaś na laptopie, ale sam komputer owszem. – Dante położył wielką torbę prezentową i wyciągnął z niej długie, białe pudełko z logiem Apple'a na górze. – Poza tym – dodał, przesuwając karton w kierunku Kim – chciałem zapytać, czy w kwestii kontynuowania nauki mówiłaś poważnie. Gio pewnie się tym nie przejmuje. Chce tylko, żebyś była szczęśliwa. Z tego jednak, co mówi, jesteś cholernie inteligentna.

– Głupia nie jestem, jeśli o to pytasz. Tak, chciałabym się przenieść, żeby skończyć studia. A co?

– Na pewno słyszałaś, że nasza rodzina ma dobre kontakty na Columbia University na Manhattanie.

Kto o tym nie słyszał?

– Co dokładnie znaczą te dobre kontakty?

Dante wzruszył ramionami.

– Chodziliśmy tam wszyscy trzej, choć okazało się, że studia nie są dla Gio, więc skończyliśmy tę uczelnię tylko ja i Lucian. Antony łoży na college całkiem sporo pieniędzy. Ja zresztą też. To sprawia, że nasze nazwisko ma całkiem dobre notowania w ważnych dla nas miejscach. A poza tym to świetna szkoła.

– To prywatna uczelnia należąca do Ivy League.

– Czyli jesteś zainteresowana? – zapytał Dante z uśmiechem. – To znaczy twoje oceny na starej uczelni muszą być świetne, jeśli chcesz się dostać do pewnych programów, ale nie wątpię, że zdobyłaś tyle punktów, ile trzeba. Jeśli chcesz się zajmować tym, co studiowałaś do tej pory, mają tam kilka specjalizacji, albo też jeśli zechcesz, możesz zmienić kierunek na inny. Tak czy inaczej, załatwienie ci przeniesienia to właściwie tylko jeden telefon. Zawsze to jedna rzecz mniej, o którą musisz się martwić, zwłaszcza teraz, kiedy docieracie się z Gio.

Kim opadła na oparcie krzesła, absolutnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Poważnie?

– Jak najbardziej. Masz zaledwie dwadzieścia jeden lat. Nikt nie usiłuje sprawić, żebyś zapomniała, czego pragnęłaś, zanim zjawił się mój brat. Chcemy jedynie, żebyś czuła się bardziej komfortowo na wspólnej drodze życia, na jaką weszłaś razem z nim.

– Nie mogę sobie pozwolić…

– Zapewniam, że możesz. Nie moją sprawą jest podawać konkretne kwoty, ale powinnaś porozmawiać z Gio o tym, jak stoi z pieniędzmi. Teraz już nie należą wyłącznie do niego, Kim. On również o tym wie.

– Dziękuję.

– Żaden problem – odrzekł Dante szczerze. – I naprawdę z serca przepraszam.

– Najlepsze przeprosiny w moim życiu.

– Starałem się – roześmiał się Dante.

Rozdział dwudziesty trzeci

Gio przekręcił się w łóżku, przeciągnął i poczuł, jak jego kręgosłup chrupie przynajmniej w trzech miejscach. Kurwa, ależ to było przyjemne. Od czasu, gdy wrócił z Vegas, minęło kilka ciężkich tygodni. Zostawił tu masę roboty i teraz musiał się dziesięć razy bardziej napracować, żeby to wszystko doprowadzić do porządku.

Jasne, menedżerowie jego trzech klubów prowadzili interesy zupełnie znośnie, ale to wcale nie oznaczało, że Gio tak po prostu tym durniom ufał. Nie ufał. Tydzień pracy zajęło mu upewnienie się, że wszystko grało i że w czasie jego nieobecności nic się zanadto nie popieprzyło.

Poza tym miał ulice. To było kolejne z jego zajęć. Bycie *capo*. Zarządzanie grupą ludzi, gdy przebywało się praktycznie na drugim końcu Stanów, było właściwie niemożliwe. Lucian trzymał rękę na pulsie, upewniając się, że pieniądze spływają w odpowiedniej ilości i na czas. Mimo wszystko współpracownikom Gio zostawało trochę luzu, co czasem wykorzystywali, gdy Skipa nie było w pobliżu.

Banda jebanych *cafones*. Co do jednego.

Zajmując się znów tym, co kochał, Gio uświadomił sobie, jak bardzo mu tego brakowało, kiedy był w Vegas. Oczywiście nieustannie narzekał, ile to pracy będzie musiał włożyć, żeby znów wszystko zaczęło działać płynnie, ale właśnie w takiej robocie Gio czuł się najlepiej. Nic nie sprawiało mu większej radości.

No dobrze… Aż do teraz.

Kim dawała mu jej mnóstwo.

– Chyba ogromnie potrzebowałeś tej drzemki.

Gio uśmiechnął się na dźwięk głosu żony. Wcześniej nie planował nawet wrócić do mieszkania. Miał zamiar pojechać do innego klubu, tak jak tego wymagały sprawy. Stało się jednak inaczej i Gio zorientował się, że jedzie w kierunku domu. Cholera, jego serce zawsze przemawiało głośniej niż rozum.

Kiedy dotarł na miejsce, najpierw coś zjadł, a potem wziął prysznic. Kim nie było w mieszkaniu, więc Gio zasnął, ustawiając budzik tak, żeby wstać wieczorem. Nie potrzebował alarmu. Kim przerwała mu sen niedługo po tym, jak wróciła do domu. Jej jedwabiste, wilgotne usta objęły jego kutasa, natychmiast sprawiając, że poczuł jak się rozbudza i płonie. Tylko to uczucie zapamiętał do chwili, gdy wystrzelił.

Kim pocałowała go w podbrzusze, po czym wyszeptała:

– Śpij, Giovanni. Jeszcze cię obudzę.

To najlepsza pobudka, jaką miał od cholernie dawna. Gio nie był jeszcze gotów, by wstać, więc miał zamiar poleżeć jeszcze trochę z zamkniętymi oczami, póki naprawdę nie będzie musiał się ruszyć. Bycie odpowiedzialnym dorosłym czasami było do dupy.

– Już prawie wpół do dziesiątej.

Gio jęknął. Nie zamierzał otwierać oczu.

– Nie mam ochoty wieczorem iść do klubu. Utnę temu fiutowi język, jeśli jeszcze raz mi powie, jak to świetnie mu szło zarządzanie lokalem, kiedy mnie nie było. Gdyby faktycznie to robił, zamówienia na alkohol nie byłyby tak zjebane, jak teraz. Zapomina, że to ja mu płacę, a nie odwrotnie. Ktoś tu straci i robotę, i język.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – zapytała Kim. – Tak czy inaczej, skup się na mnie, a mniej na ucinaniu ludziom różnych rzeczy.

Boże, kochał tę kobietę. Przyprawiała go o euforię samym oddychaniem.

– Na pewno chcesz jechać? Po czterech godzinach snu kościół to będzie piekło, *tesoro*.

– Kościół to zawsze piekło.

– Prawda – zgodził się Gio.

Z nią u boku wieczór zapowiadał się nieco lepiej.

– No to wstawaj. Możemy po drodze zgarnąć jakieś jedzenie.

Gio nadal się nie ruszał. W łóżku było mu zdecydowanie za dobrze.

– Gio…

– Tak?

– Spóźnisz się.

– Na tę chwilę mam to w dupie – odparł.

Kim westchnęła.

– Trzeba wyprowadzić Caina.

Wreszcie Gio otworzył szeroko oczy, spoglądając na Kim z ukosa.

– To dobijające, jak szybko połapałaś się, które sprawy nieodmiennie są w stanie mnie zmusić, bym ruszył dupę. Czuję się, jakby ktoś powoli mnie tresował. Oczywiście w dobrym znaczeniu.

– Uhm. Oczywiście. Wyprowadź swojego psa, Gio.

Ze śmiechem zmusił się, by wstać z łóżka i podejść do szafki przy wejściu.

– Poza tym – dodała, gdy Gio wciągał na siebie wyjęte z szafy ciemne, sprane dżinsy – jak wyszłam dziś rano spod prysznica, kiedy ciebie już nie było, znów tarzał się swoim włochatym dupskiem po mojej stronie łóżka. To piąty raz w tym tygodniu. Męczy mnie już codzienne pranie i zmienianie pościeli. Zajmij się tym albo kupię budę.

Gio zaklął pod nosem. Jebane psisko. Tak naprawdę zwierzak okazywał jej w ten sposób swoją akceptację i chciał zostawić na rzeczach należących do Kim swój zapach, ale ona tak tego nie odbierała. Cain musiał przestać.

Kiedyś w końcu.

– To znaczy, że cię lubi!

– Nie obchodzi mnie to – odparła Kim. – Też go lubię, ale ja nie siadam mu w jedzeniu albo misce z wodą.

– To nie to samo – powiedział Gio pod nosem, wiedząc, że nie powinna tego usłyszeć. Prędko założył dżinsy. – Ty byś tym sposobem tylko zmoczyła swój śliczny tyłeczek.

– Śliczny tyłeczek, tak?

Szlag.

Gio nie przywykł do mieszkania z kobietą, nie mówiąc już o takiej, która zdawała się słyszeć wszystko to, czego nie chciał, żeby słyszała. Była to tylko jedna z wielu rzeczy, które musiał wziąć pod uwagę, odkąd w jego życiu zjawiła się Kim. Fakt, że z nim żyła, a on musiał odgrywać rolę męża, sprawiał, że dochodziła cała masa innych spraw, z którymi wcześniej nie miał do czynienia.

Tak naprawdę nie było tak źle. Zazwyczaj on i Kim czuli się ze sobą naprawdę świetnie. Nie kłócili się o byle pierdołę. Czasami Gio

pracował do późna, ale póki dzwonił albo pisał, że go nie będzie, zdawała się nie martwić, ani go nie wypytywać o to, co robił. Jego sprawy pozostawiała jemu, przynajmniej w większości. Jasne, że bywały dni, kiedy chciała wiedzieć, gdzie był albo dlaczego ma pochowaną w całym mieszkaniu broń, ale nie pytała o to, dopóki sam jej nie powiedział.

Były jeszcze różne domowe nonsensy. Sprawy, do których żyjąc z kimś pod jednym dachem, kto by to nie był, trzeba było przywyknąć. To chyba był temat najłatwiejszy ze wszystkich. W tych kwestiach on i Kim działali płynnie i bez zakłóceń. Nie było spięć o to, kto gotuje, a kto zmywa, albo jaka muzyka ma lecieć. Nie przeszkadzały mu rzędy butów i ciuchów, które teraz zajmowały większość mieszkania i garderoby, bo po prostu cieszył się z tego, że pozwalała mu kupować dla niej wszystko, co zechciał, a przecież wiedział, jaka potrafiła być uparta.

Gio posłał jej przez ramię przepraszający uśmiech, zauważając, że Kim stoi przy szafie ze skrzyżowanymi ramionami.

– Eee, co?

– Poważnie mówię o tym, żeby psisko trzymało się z dala od łóżka.

– Wiem, *tesoro*. Pracuję nad tym.

Czy może raczej – pomyślał Gio – *da się to zrobić na zasadzie, że trwa to już dwa tygodnie i może zwierzakowi się niedługo znudzi.*

– Tak przy okazji, jedynym powodem, dla którego teraz nie jestem na ciebie wkurzona, jest fakt, że powiedziałeś, że mam śliczny tyłek.

Gio uśmiechnął się łobuzersko, ściągając z wieszaka jedwabną koszulę.

– No bo masz. Jest seksowny jak cholera.

Kim podeszła do niego od tyłu. Jej ręce zaczęły prześlizgiwać się po jego ciele od podstawy kręgosłupa w kierunku ramion. Paznokcie delikatnie podrapały łopatki, przyprawiając Gio o dreszcze. Gorące usta przywarły do tatuażu *Mea Culpa* tuż poniżej ucha.

Jeśli ona nie przestanie, to do klubu spóźni się znacznie bardziej, niż planował.

– Jezu Chryste.

Kim zaśmiała się gardłowo, po czym ukąsiła go w kark.

– Trzymaj swojego psa z dala od łóżka albo będziesz mógł na pewien czas zapomnieć o oglądaniu czy dotykaniu mojego tyłka.

Szlag.

Kim miała go w swym posiadaniu. I zdawała sobie z tego sprawę.

***

Zanosiło się na to, że ktoś, kurwa, umrze dzisiejszej nocy. Gio był tego absolutnie pewien. Jeśli nie będzie to menedżer zachowujący się jak złamany fiut, to padnie na pierwszego faceta, który bez wyraźnego powodu zanadto zbliży się do jego żony.

– Naprawdę jestem teraz zajęty – rzucił Gio do słuchawki, odbierając telefon.

– Brzmisz, jakbyś się świetnie bawił, braciszku.

Na dźwięk głosu Luciana Gio przewrócił oczami.

– Jestem zajęty. Czego chcesz?

– Kim znowu jest w klubie, prawda?

To było aż tak oczywiste? Gio nigdy nie sądził, że stanie się typem zazdrośnika, ale naprawdę nim był. Naprawdę! Właściwie to było coś strasznego. Ufał Kim. Nie ufał za to ani odrobinę żadnemu samcowi w lokalu, który znajdował się od niej o rzut kamieniem.

Rzucanie, hmmm… To nie był zły pomysł. *Kurwa*. Była zbyt piękna. Jej osobowość przyciągała ludzi nawet, jeśli ani odrobinę się nie starała. Po prostu zwracała na siebie uwagę.

Sytuacji nie ułatwiało to, że nawet dwa tygodnie po ich ślubie ludzie z trudem chcieli mu wierzyć, kiedy przedstawiał Kim jako swoją żonę. Część jego ludzi autentycznie sądziła, że to jakiś żart. Szybko nauczyli się, że tak nie jest, gdy jeden z drugim próbowali zbliżyć się bardziej niż to konieczne do tego, co nie należało do nich.

– Może i jest – odparł Gio, przebijając się wzrokiem przez tłum poruszających się ciał – A może i nie.

Gdzie ona się podziała?

– Gio, wiem, że to wszystko jest dla ciebie nowe, i tak dalej, ale musisz dać spokój z tą gównianą zaborczością – powiedział Lucian. – Wiesz przecież, że do domu wraca z tobą.

– Ile jesteś po ślubie? – zapytał Gio, ale nie dał Lucianowi szansy na odpowiedź. – Nie tak długo. I Jordyn nadal nie może wyjść do klubu bez ciebie. Tak że zejdź z tego pięknego, wysokiego rumaka. Widok może rozciąga się stamtąd przepiękny, ale i tak złamiesz sobie kark, kiedy ktoś kopnie cię w dupę i spadniesz. A ja potrafię kopnąć naprawdę wysoko, dupku.

– To nie ma nic wspólnego z zazdrością.

– Jasne, że nie.

– Nie ma. Nie chcę, żeby ludzie nas obgadywali i rozpowiadali brednie. Kiedy jesteśmy razem, nikt nie może nic wymyślić.

– Faktycznie, wielka mi różnica – odparł Gio. – Tak dla jasności, właśnie dlatego chcę, żeby Kim była przy mnie.

– Obaj wiemy, że nie martwisz się tym, co ludzie o tobie wygadują.

Nie, Gio się nie martwił. Pociąłby jebańca za samo złe myślenie o jego żonie.

– Kim zapewne nie troszczy się o twoją reputację – dodał Lucian nieco ciszej.

– Taaa, cóż… Nie chce jej tym w ogóle zawracać głowy.

– Rozumiem.

– To dobrze. Daj spokój, Lucian.

Wreszcie Gio spostrzegł Kim przy barze, jak wołała barmana. Poczuł, że ogarnia go rozdrażnienie, gdy obok niej przystanął mężczyzna. Gio może by nawet odpuścił, tylko że gdy Kim powoli odsunęła się od faceta, ten znów się przybliżył.

Poważnie? Ktoś tu, kurwa, naprawdę zginie.

– Muszę iść.

– Co? Dlaczego? – zapytał Lucian.

Gio rozłączył się bez słowa, po czym wrzucił telefon do kieszeni. Przemierzając parkiet w rekordowym czasie, starał się nie dopuścić, by opanował go gniew. To by było bezcelowe. Pierdolony zielony potwór. To cholerstwo pełzło mu po plecach. Nic na to nie mógł poradzić.

– No dalej, maleńka. Jeden kielonek, to wszystko. Sól, strzał, ssanie limonki. To łatwe.

Kim spojrzała wymownie na niechcianego towarzysza, dokładnie w momencie, gdy stanął za nim Gio.

– Nie mam na imię maleńka i odpowiedź nadal brzmi nie.

– Dlaczego nie?

Gio uśmiechnął się nikczemnie, gdy jej wzrok spoczął na nim. Przysunął się jedynie na tyle blisko, żeby jebaniec go usłyszał, po czym powiedział:

– Bo jeśli twoja gęba znajdzie się choć w pobliżu jej skóry, to obiecuję ci, że zobaczysz, jak wyglądają twoje flaki. Wiesz, ile człowiek jest w stanie przeżyć po tym, jak się go wybebeszy? Bo możesz być, kurwa, pewien, że ja wiem. Spierdalaj od mojej żony, zanim sam się dowiesz.

Przygłup praktycznie zleciał ze stołka barowego do tyłu. Gio zdołał się w porę odsunąć w bok, cały czas uśmiechając się z zadowoleniem. Nic go nie bawiło równie bardzo, jak dać komuś lekcję, nie musząc nawet ruszyć przy tym palcem.

– Co, do chuja?

– No dalej – zachęcił go Gio, gdy facet wstał i stanął z nim twarzą w twarz. – Zrób mi tę przyjemność i mnie uderz. Noc taka nudna. Nie pierwszy raz połamię sobie kłykcie, rozwalając komuś łeb. I wątpię, by był to ostatni.

– Nie, chłopie – powiedział tamten, unosząc dłonie w górę. – Czaję. Jest twoja. Przyjmij moje przeprosiny.

– Zbieraj się, i to szybko.

– Boże, jesteś rozbrajający, Gio – powiedziała Kim, śmiejąc się, kiedy facet wtapiał się z powrotem w tłum. – Przynajmniej sprawiłeś, że to było zabawne.

– Wiem. Okropny jestem.

Kim zmierzyła go wzrokiem, a tymczasem barman pchnął ku niej dwa kieliszki tequili.

– Nie możesz grozić każdemu facetowi, który podchodzi do mnie na dwa metry. Sam przez to zwariujesz.

Gio już zwariował, więc argument był do dupy. To Kim przyprawiała go o szaleństwo i mogło mu się tylko pogorszyć. To jej wina i teraz musiała się z tym pogodzić.

– Ależ owszem, mogę. To mój klub, *tesoro*.

– Shota? – zapytała, podając mu małe naczynko.

Gio mrugnął do niej, po czym przechylił kieliszek tequili i wypił na raz. Ledwo zanotował gorąco, jakie rozeszło się po przełyku za sprawą mocnego alkoholu, bo przyglądał się, jak Kim wychyla swój, cały czas nie spuszczając z niego wzroku. Tak, jak i w jego przypadku, moc trunku zdawała się wcale jej nie ruszać. Odstawiła kieliszek dnem do góry, żeby pokazać, że wypiła wszystko, po czym oblizała dolną wargę.

Widząc to, Gio stracił nad sobą wszelką kontrolę. Całą noc zachowywał się grzecznie. No, przynajmniej większość czasu. Ścigał tylko facetów, którzy się do niej zbliżali. Ogólnie jednak zdołał się powstrzymać, by nie dopaść jej przy wszystkich w klubie i nie zaznaczyć swojego terytorium w sposób, jaki uzna za stosowny.

To by było na tyle, jeśli chodzi o bycie grzecznym.

Jak tylko jej kieliszek stuknął o blat, Gio obszedł stołek barowy, który ograniczał mu dostęp do niej. Odsunął Kim od stołka, na którym się opierała, po czym odepchnął ją w tył i przycisnął do baru, aż poczuł, jak krawędź blatu wpija się w kłykcie jego dłoni, która zaciskała się na jej sukience. Była wystarczająco krótka, ale nie mógł się powstrzymać, by nie podciągnąć materiału nieco wyżej.

Nachylił się i zaczął całować Kim wzdłuż szczęki, aż doszedł do ust. Przekonał się, że smakuje jak gorąca tequila. Pocałunek był pożądliwy. Jego język wbił się w usta Kim w poszukiwaniu jej języka, a zęby zadrapały dolną wargę. Poczuł się, jakby wprost do jego krwiobiegu trafiło ecstasy. Kutas stwardniał mu w dżinsach niemal natychmiast, a każdy nerw jego ciała i każda myśl skupiły się na kobiecie, którą ściskał w ramionach.

Znów owładnęło nim to uczucie, łączące pożądanie i miłość. Gio nie potrafił się znudzić Kim ani tym, jak na niego działała, nawet na jedną sekundę. Ostrza jej wypielęgnowanych paznokci wbiły się w dół jego pleców tak, że poczuł je przez koszulkę, po czym jej dłonie przyciągnęły go bliżej.

Gio westchnął, bardzo niechętnie odrywając się od jej słodkich ust.

– Zaczynam myśleć, że specjalnie przyciągasz do siebie tych dupków, *bella*.

Kim dziarsko uniosła podbródek, zadziornie błyskając w odpowiedzi bielą zębów.

– Po co, u licha, miałabym to robić, hmm?

– Lubisz przedstawienia, jakie odstawiam. Podniecają cię.

– Chyba nigdy nie będziesz miał pewności, jak jest naprawdę.

– Przecież wiem. Nie próbuj się z tym kryć. Dałem się wciągnąć w twoją grę.

– Myślę, że za bardzo ci się podoba, żebyś chciał, bym przestała.

Kim ugryzła Gio w szczękę, kiedy znów próbował ją pocałować.

– Ała! Baw się ładnie, Kim, albo…

– Albo co?

Gio nie miał okazji, by odpowiedzieć na zaczepkę żony. Zza jego pleców odezwał się głos menedżera klubu, sprawiając, że wszystkie mięśnie Gio znowu się naprężyły.

– Gio, właśnie jakiś facet się skarżył, że ktoś mu groził. Kiedy zapytałem, kto konkretnie, wskazał ciebie. Wiem, że jesteś właścicielem tego lokalu, i tak dalej, ale chyba ogólna idea jest taka, żeby ściągać tu ludzi, by wydawali pieniądze, a nie ich straszyć.

Taaa. Jebać tę noc.

Nie spiesząc się, Gio poprawił sukienkę na biodrach i udach Kim, po czym obrócił się twarzą do menedżera.

– Ile ci płacę?

– Jakieś dziewięć stów na rękę tygodniowo. Ale co to ma do rzeczy?

– Bo mam już dość użerania się z tobą i już wystarczająco nadużyłeś mojej cierpliwości. Do kolejnego czeku zostanie doliczona odprawa. Masz pięć minut, żeby zabrać dupę z mojego klubu i całej posesji, albo wykonam jeden telefon i cię stąd usuną.

– Kto, do kur…

– Cztery minuty – przerwał mu Gio. – Nie zmuszaj mnie. Kolejne pierdolenie i obcinam czas o połowę.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Dwie minuty. Jeszcze raz otwórz gębę, a wykonam ten telefon. Możesz być pewien, że twoja dupa nie trafi na policję. Sam bym się tym zajął, ale szczerze mówiąc, nie chcę straszyć mojej żony. Wypierdalaj z mojego klubu.

Idiota wreszcie załapał i wykonał w tył zwrot. Prawdopodobnie widział już dość różnych rzeczy w klubie poza godzinami otwarcia, do jakich dochodziło między Gio i jego chłopakami, żeby wiedzieć, że groźby na pewno nie są puste.

Następnie Gio zwrócił się do barmana o imieniu Kenneth. Facet pilnie przyglądał się wymianie zdań pomiędzy swoim byłym przełożonym a szefem. Cały czas skrupulatnie wycierał szkła. Ta podzielność uwagi spotkała się z uznaniem Giovanniego, nawet jeśli chłopak podsłuchiwał.

– Ty – powiedział Gio, celując palcem w Kennetha. – Masz jakieś doświadczenie w zarządzaniu? Widziałem coś takiego w twoim CV, kiedy składałeś podanie o tę robotę.

Barman wzruszył ramionami.

– Jasne, trochę. W poprzedniej pracy nadzorowałem i prowadziłem bar. Tyle że nie był tak duży. A już na pewno nie było tam takich tłumów.

– Mniejsza o to. Nauczysz się – odparł Gio. – Gratulacje, właśnie dostałeś awans.

– Co dostałem?

– Najwyraźniej coś, na czym zarabia się dziewięćset dolców tygodniowo na rękę.

Kenneth zacisnął usta w wąską linię.

– A mogę pracować za barem w sobotnie wieczory?

– Dlaczego?

– Bo prawie połowę z tego mogę wyciągnąć z samych napiwków. To najlepsza pora.

– Jasne, jak chcesz. Tylko bądź tu o szóstej, a nie o ósmej. Jasne?

– Jasne.

Kim wtuliła twarz w ramię Gio, starając się ukryć śmiech.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Gio, obejmując żonę w pasie. – Właśnie kogoś zwolniłem. To nie jest zabawne.

– I zatrudniłeś na to stanowisko kogoś innego, wszystko w ciągu jednej rozmowy – odparła Kim, kręcąc głową. – Skoro nie lubiłeś tamtego faceta, to jakim cudem pracował dla ciebie tak długo?

Gio wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk, po czym odpowiedział:

– Nigdy nie byłem dostatecznie trzeźwy, żeby dał radę wystarczająco mnie wkurwić. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch tygodni uświadomiłem sobie, jak bardzo jest nieudolny. Muszę walnąć kolejnego kielicha.

– A może jednak wolałbyś coś innego? – zapytała Kim, unosząc brwi.

– Słucham?

Poczuł, jak ręka Kim wślizguje się w jego. Odgięła palce i włożyła mu w dłoń mały, okrągły przedmiot. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę, co to było. Nawet nie musiał patrzeć. Gdy zaciskał palce wokół tabletki ecstasy, prawie czuł, jakby paliła go w skórę. Zawahał się. Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji.

– Gdzie to znalazłaś? – zapytał cicho.

– W twoim biurze. Jak tu przyszliśmy za pierwszym razem, nudziłam się, a ty rozmawiałeś z pracownikami, więc pozaglądałam w zakamarki twojego biurka. Jesteś zły, że myszkowałam?

– Nie.

– Wiem, że w Vegas robiliśmy różne zwariowane rzeczy, ale jeśli to tutaj jest dla ciebie normą, to chciałabym wiedzieć. Mam nadzieję, że nie.

Gio przełknął ślinę, która zalewała mu usta, nie pozwalając mówić.

– Było.

– A teraz?

– Już od bardzo dawna nie czułem potrzeby ani nie chciałem zażywać podobnych rzeczy. Właściwie to nawet zapomniałem, że to tam jest.

Kiwnęła głową.

– No dobrze. Wiem, jak zarabiasz na życie i że na co dzień babrasz się po kolana w takim gównie, ale jak będę siedzieć w domu, nie chcę się martwić o takie sprawy i o ciebie. Zdecydowanie nie takie, Gio.

– Raczej się w tym topiłem.

– Gio.

– Tylko mówię szczerze. Nie musisz się martwić, Kim.

– To nie jedyna rzecz, jaką znalazłam w szufladzie – dodała.

– Pozbyłaś się reszty?

– Nie. Stwierdziłam, że pewnie się wkurzysz, jeśli to zrobię.

– Nie wkurzyłbym się, *tesoro*. Tak na przyszłość, jak znajdziesz coś jeszcze, możesz śmiało to wywalić.

– Dobrze wiedzieć – powiedziała Kim. Kąciki jej ust uniosły się w uwodzicielskim uśmiechu. Od samego patrzenia Giovanniego zalała fala pożądania. – Zgadnij, co jeszcze odkryłam w związku z twoim biurkiem?

– Co takiego?

– Jeśli na nim usiądę, to znajdę się niemal dokładnie na właściwej wysokości… no wiesz.

Gio uniósł brwi na skrytą sugestię.

– Tak?

– Uhm. Jest tam też okno z parapetem. Również na odpowiedniej wysokości. Myślę jednak, że nawet jak ktoś spojrzy w górę, to nic nie zobaczy.

Słodki Jezu.

Gio wciągnął powietrze przez zęby, co przypominało prychnięcie kota.

– Faktycznie jest. Naprawdę podoba mi się to, co udało ci się odkryć. Jestem skłonny się założyć, że twój umysł stanowi przyjemnie przerażające miejsce.

– Możliwe. Dlaczego nie pójść na górę i nie pobawić się trochę niegrzecznie, zanim wyjdziemy?

Gio się uśmiechnął.

– Oj nie. Nie mogę pozwolić, byś dalej myślała w ten sposób. Wiesz… jestem Marcello. My nie jesteśmy niegrzeczni. Jesteśmy brudni do szpiku.

Kim przesunęła dłonią po pasku jego spodni, palcem zahaczyła o szlufkę, po czym przyciągnęła męża bliżej.

– To też da się zrobić.

Niech szlag trafi złamane zasady i wszystkie konsekwencje. Kim była najlepszym z błędów, jakie popełnił.

Epilog

– Boże, jego paluszki są takie maleńkie – powiedziała Kim, patrząc na dłoń malucha i wkładając w nią swój palec. – Jest idealny, prawda?

– Owszem.

Dziecko było też kruche, szalenie maleńkie pod białym, zdobionym koronką kocykiem i całkowicie zależne od innych, by mogło żyć i się rozwijać. Nie robiło za wiele: pachniało balsamem dla dzieci i ciągle tylko jadło, spało, płakało albo było przebierane.

Tak, Gio bał się dzieci jak cholera.

Oparł podbródek na ramieniu żony i patrzył na maleńkiego chłopca – swojego nowonarodzonego bratanka. Było coś szalonego w myśleniu o swoim najstarszym bracie jako o ojcu, ale dowód na tę zmianę miał przed oczami i Kim właśnie tuliła go w ramionach.

Johnathan Antony miał dziewięć dni i siedem godzin. Prawie co do cholernej minuty. Tak, Gio patrzył na zegar. Robił to już od momentu, gdy brat zawołał, że chłopiec wreszcie pojawił się na świecie. W takiej rodzinie jak ich narodziny dzieci były naprawdę wielkim wydarzeniem.

Gio nie do końca był przekonany, czy jest przygotowany na odpowiedzialność, jaką Lucian go dzisiaj obarczył. Jasne, kochał to dziecko. O ile ktoś inny był w pobliżu, Gio nie panikował, gdy Johnathan zaczynał się awanturować, albo coś w tym guście. Wtedy, jeśli czuł się niepewnie, zawsze mógł malucha komuś oddać.

Gdyby Lucianowi i Jordyn coś się stało, wtedy nie mógłby go oddać. Byłby jego… w pewnym sensie. Tego właśnie oczekiwano od rodziców chrzestnych, prawda? Dzieci to nie psy.

Teraz Johnathan był mały. Gio ledwo mógł znieść myśl, że mógłby zrobić dzieciaczkowi krzywdę, trzymając go nie tak, jak należy. Jako noworodek, bratanek nie robił zbyt wiele, więc co będzie, kiedy

podrośnie, nieustannie będzie się ruszał i, przede wszystkim, zacznie mówić?

– Przestań mi dyszeć w kark, Gio – powiedziała Kim, machając ręką, żeby się odsunął.

– Przepraszam – wymamrotał z rosnącym zawstydzeniem. – *Cristo*, przepraszam.

Kim zmarszczyła brwi, patrząc przez ramię.

– Jesteśmy w kościele. Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno.

– Przepraszam – powtórzył Gio, mając poczucie, jakby zacięła mu się płyta.

– To takie urocze dziecko – powiedziała cicho Kim, patrząc na malucha.

– Poważnie? Nie wiedziałem, że się czymś różnią.

– Domyślam się. Jordyn powiedziała, że jak uśnie na noc, to budzi się tylko dwa razy. Powiedziałabym, że to dobry wynik.

Gio zmrużył oczy w niedowierzaniu. Wstawanie w nocy dwa razy, żeby nakarmić dziecko, zmienić mu pieluchę, a potem znów ukołysać oznaczało dobry wynik? Czy dużo dzieci budziło się w nocy więcej niż dwa razy? Jemu to wyglądało jak recepta na bezsenność.

– Dlaczego Lucian nie mógł w tym celu wybrać Dantego? – zapytał cicho Gio. – Jest starszy i…

– Bo chciał, żebyś to był ty, a tym samym mnie też uwzględnił w tym równaniu – przerwała mu słodko Kim. – Przestań wariować, Gio. To tylko formalność.

– Wcale nie, Kim. To dziecko. Oddycha, robi kupę i płacze… i to sporo. Sam ledwo zwlekam się z łóżka rano. Jak mam się opiekować dzieckiem?

Kim potrząsnęła głową, wzdychając.

– No dobra, teraz to już się robisz śmieszny. Prawdopodobieństwo, że coś faktycznie się stanie Lucianowi i Jordyn, jest zbyt małe, żeby w ogóle to rozważać.

W świecie, w którym żyją? *Jasne*.

– Ale może się stać – ciągnął dalej Gio, starając się sprawić, że jego żona zrozumie.

– Nie stanie. I prosząc o to, uhonorował cię wielkim zaszczytem. Przestań zachowywać się jak idiota. Poza tym i tak już za późno,

żeby odmówić. Za dziesięć minut go ochrzczą, a my zostaniemy jego rodzicami chrzestnymi. I tyle.

– Ale…

– Dość tego, Giovanni. Przestań, zanim ktoś cię usłyszy. Wyobraź sobie, jak się poczuje twój brat.

Gio zamknął wreszcie gębę na kłódkę, uznając, że kłótnia z żoną nie powinna się teraz znajdować wysoko na jego liście priorytetów. Ostatecznie to była uroczystość, a obawy tylko tłumiły jego radość. Kim miała rację z tym całym chrztem, ale to nie oznaczało, że Giovanniemu musiało się to podobać.

– Będzie dobrze – przyrzekł. – Tylko… Nie wiem, jak to się robi, a on nie jest nawet mój, dobra?

– Rozumiem – powiedziała Kim nieobecnym głosem. Cały tydzień chodziła podekscytowana chrztem dziecka. Gio czuł się jak ostatni dupek, sprawiając, że czuła się teraz źle. – Nie chcesz mieć kiedyś dzieci, Gio?

A chciał?

Nie miał okazji odpowiedzieć. Drzwi do prywatnego pokoju się otworzyły i weszli przez nie Dante, a zaraz za nim Antony. Na ile Gio był zorientowany, Lucian i Jordyn nadal omawiali to i owo na temat ceremonii z ojcem Peterem – jakie fragmenty Biblii ma przeczytać, i tego typu sprawy.

– Jak się miewa mój wnuk? – zapytał Antony, stając obok Kim z tym głupawym uśmiechem, który miał przylepiony do twarzy od chwili narodzin Johnathana.

– Wciąż śpi – odparła Kim. – Na razie.

Podczas gdy Antony i Kim gruchali sobie nad śpiącym maluchem, Gio oddalił się o kilka kroków, czując, że musi zaczerpnąć oddechu. Dante zatrzymał się zaledwie na moment, by posłać bratankowi przelotne spojrzenie i uśmiech, po czym usadowił się obok Gio i zerknął na zegarek.

– Zanosi się na długi dzień – stwierdził Dante.

– No – odparł Gio, a następnie westchnął cicho, wpatrując się w sklepiony sufit. – Lepiej by było, jakby ciebie wybrali. Chodzi mi o to, że nie możesz mieć…

– Nie musisz mi przypominać – mruknął Dante pod nosem. – Mam tego świadomość od czternastego roku życia.

– Wybacz. Tak tylko mówię.

– I może z nas dwóch wcale nie byłbym lepszym wyborem – dodał, posyłając bratu smutny uśmiech. – Zawsze powtarzałem, że nigdy bym nie chciał, żeby ktoś cierpiał albo czuł, że jest na drugim miejscu, gdy przyjdzie do wybierania między tą osobą a Cosa Nostrą. Lucian wie, jak bym się czuł, musząc dodać tak wielką odpowiedzialność do tej, którą już mam.

– Cóż, ja w ogóle nie mam poczucia odpowiedzialności – odrzekł Gio, wkładając w to sporo sarkazmu.

– To nieprawda. Kim jest… To dla ciebie dobra dziewczyna, stary. Nie jesteś już tak samolubny, jak byłeś kiedyś, zachowujesz trzeźwość myśli, szczególnie wtedy, kiedy trzeba, i mocno przystopowałeś, żeby się nacieszyć tym, co masz teraz. Twoja żona jest szczęśliwą kobietą. Stale się uśmiecha u twojego boku. Nie widzisz, że to czyni cię również dobrym mężem?

Gio jakoś nie myślał o tym w ten sposób. Ciągle miał na uwadze tylko Kim i to, czy jest szczęśliwa, więc on też był. Na co dzień na tym skupiały się jego cele. Wyłącznie na niej.

– Gio, jesteś teraz w lepszej sytuacji życiowej niż ja. Lucian to dostrzega. – Dante wzruszył ramionami, a następnie trącił brata ręką. – Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem, Jordyn koniecznie chciała, żeby to Kim była matką chrzestną. W takim układzie znacznie większy sens będzie mieć, jeśli ty zostaniesz ojcem. Nie czuję się urażony.

– Wcześniej Kim nazwała mnie idiotą, i to w niezbyt przyjemny sposób – powiedział Gio, chcąc zmienić temat. – Poza tym wydaje mi się, że teraz sądzi, że jestem w tych sprawach niekompetentny.

Dante się zaśmiał.

– A jesteś?

– Oj, chłopie, dzieci to nie pieski.

– Lucian mówi, że tu działa tak jakby instynkt.

Gio jęknął.

– Jesteśmy ludźmi, nie zwierzętami. To nie jest wyłącznie kwestia natury. Może w przypadku kobiet, czy coś. Poza tym z nas trzech on

najlepiej się nadaje do bycia ojcem, więc nie sądzę, żeby wiedział, o czym, do kurwy nędzy, mówi.

– Hej – powiedział ponuro Dante, posyłając Gio wymowne spojrzenie.

Szlag. Dante nie będzie miał okazji się przekonać. Morda w kubeł.

– Wybacz – powtórzył Gio chyba po raz setny od chwili, gdy wstał dzisiaj rano. – To cholernie długi dzień, a nie minęło nawet południe. Daruj mi.

Dante westchnął ciężko, dając w ten sposób wyraz własnemu podenerwowaniu.

– Poniekąd rozumiem, do czego zmierzasz. Dla mnie to jednak nie to samo. Cieszę się jego szczęściem, ale jakaś część wewnątrz mnie nie podziela tej radości. Nie potrafię tego naprawić, Gio. Próbowałem i nie potrafię.

– Lucian by zrozumiał.

– Ale czy zrozumie też, dlaczego będę się trzymał na dystans?

Na to pytanie Gio nie znał odpowiedzi.

***

– Giovanni?

Siedzący na ławce pod dębem Gio obrócił się i zobaczył, jak przez ogródek nadchodzi ku niemu ojciec.

– Impreza dała ci się we znaki?

Antony się roześmiał.

– Coś w tym guście. Wiesz, jak bardzo twoja matka lubi się pokazywać z rodziną całemu światu. Zawsze była z was dumna, szczególnie teraz, gdy wyrośliście na dorosłych mężczyzn.

Niebo dopiero się ściemniało. Upalny koniec lipca dał Gio odpowiednią wymówkę, by uciec na zewnątrz przed wielką kolacją i zbyt licznymi gośćmi. Kim za dobrze się bawiła, żeby ją pytać, czy ma już ochotę pójść do domu.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Antony, wyciągając zamkniętą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Nie mogłem znaleźć chwili, żeby usiąść z tobą i porozmawiać o tym, jak należy, ale zauważyłem, że tu jesteś. Wydaje się, że to dobra chwila.

– O czym chciałeś porozmawiać?

– Proszę.

Ojciec podał mu kopertę. Gio bez słowa otworzył ją, po czym rozłożył znajdujący się wewnątrz papier, na którym wydrukowano dokument urzędowy, i zaczął go czytać. Zaledwie kilka sekund zajęło, nim sobie uświadomił, co trzyma w rękach i, szczerze mówiąc, nie mógł w to uwierzyć.

– Nie chcę tego – zdołał powiedzieć.

Antony wzruszył ramionami.

– Albo weźmiesz to i zbudujesz swojej żonie dom jej marzeń, a resztę zainwestujesz, jak zechcesz, albo zdeponuję te pieniądze na koncie Kim. Jeśli się sprzeciwi, to założę z tego fundusz powierniczy dla każdego z dzieci, jakie będziecie mieć. Tak czy inaczej te pieniądze trafią do ciebie, synu.

– Mam pieniądze, tato. I to sporo. Zarobiłem je sam. Jeśli Kim będzie chciała cholernego domu, to musi jedynie machnąć podpis w banku.

– Wiem. Częściowo dlatego właśnie sam podpisałem twój fundusz powierniczy, Gio.

– Ale to nie ma sensu. – Gio był nie tyle zły, co zagubiony. – Nie zasługuję na swój fundusz powierniczy. Nie ukończyłem studiów, tak jak chciałeś, i…

– I koniec końców nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. O wiele bardziej chciałem u ciebie zobaczyć odpowiedzialność i wiarygodność. Chciałem, byś przyjął do wiadomości, że musisz te wartości akceptować jako część życia. Twojego życia. Chciałem zobaczyć tego mężczyznę, na którego wychowaliśmy cię z twoją matką. Nie musisz podążać tymi samymi drogami, co twoi bracia, żeby być dobrym człowiekiem. Już dawno wiedziałem, że zrobisz wszystko po swojemu albo wcale, ale musiałem się upewnić, że rozumiesz, co to oznacza. Jesteś tym samym facetem, co rok temu, a jednak równocześnie kompletnie innym.

Gio przyglądał się, jak czarne litery i biały papier zlewają mu się przed oczami w jedno.

– Ech…

– Mam jednak nadzieję, że część z tego weźmiesz, żeby zbudować ten dom – dodał Antony z bardzo delikatnym uśmiechem błądzącym w kąciku ust. – Zdaje się, że wraz z tym najświeższym dodatkiem do naszej rodziny gorączka dzieci właśnie się nakręca. Tak to już jest z kobietami. Możliwe, że będziesz potrzebował więcej przestrzeni niż ma twoje mieszkanie, hmmm? Chciałbym wiedzieć, że coś dorzuciłem do twojego małżeństwa, nawet jeśli trochę się z tym spóźniłem.

Gio zachłysnął się powietrzem.

– Co?

– Pewnie byś się nie zgodził, żebym ci kupił prezent ślubny.

– Nie to. – Gio zmusił się do mówienia. – Wcześniej. Co powiedziałeś?

Antony wybuchnął głośnym śmiechem, po czym podniósł się z ławki.

– Oj, Gio… Mówiłem tylko, że takie są skutki uboczne rodzących się dzieci. Nie panikuj. Jak już do tego przyjdzie, to jestem pewien, że dowiesz się pierwszy, a nie usłyszysz ode mnie, i to w taki sposób. – Jezu. Gio miał taką nadzieję. – Poza tym nie masz się czym martwić. Myślę, że będzie z ciebie dobry ojciec, jeśli nawet zbyt wyluzowany w kwestii zasad i dyscypliny. Tak czy owak, muszę wracać, zanim Cecelia zacznie mnie szukać. Powinienem ci także podziękować, że nie robiłeś tak znów wielkich problemów z pieniędzmi. Wiem, że nigdy ich nie chciałeś, ale zawsze trzymałem je z myślą o tobie, Gio. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Chciałem mieć to z głowy, zanim wezmę się za inne sprawy.

Gio uniósł wzrok na swojego ojca.

– Co masz na myśli?

– Robię porządek w naszych sprawach, Gio. Przenoszę wszystko na stronę legalnych interesów, a potem zabieram twoją matkę na trzymiesięczny rejs oceaniczny, na który od zawsze chciała się wybrać.

Antony nie mógł tak po prostu wyjechać na trzy miesiące i zostawić *la famiglia*, żeby funkcjonowała bez niego. To tak nie działało. Jednak Gio ledwie w kilka sekund pojął, o czym tak

naprawdę mówi mu ojciec. Antony przygotowywał się, by ustąpić, i dla wszystkich miało to oznaczać ogromne zmiany.

– Powiedziałeś już Dantemu? – zapytał Gio.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Nie. Ale zrobię to wkrótce. Nie mam zamiaru narobić w ten sposób bałaganu.

– Daj mu trochę luzu. Ma teraz sporo na głowie w życiu osobistym. Żadna z tych rzeczy nie będzie dla niego łatwa.

– Wiem. Chciałbym, żeby dla Dantego sprawy przedstawiały się inaczej i żeby nie czuł tak ogromnej wagi problemów, które są kompletnie poza jego kontrolą.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – odparł Gio, wiedząc dokładnie, jak dobrze pasuje tutaj ta sentencja.

Antony spojrzał na dom. Gio stwierdził, że prawie widzi ukryty ciężar spoczywający na ramionach ojca. Jak to możliwe, że nie zauważył go wcześniej?

– Jestem zmęczony, Gio. Tak cholernie zmęczony tym, że jestem innym mężczyzną tutaj i kompletnie innym, kiedy opuszczam dom. Zmęczony koniecznością kontrolowania tak wielu ludzi. Całe życie ciężko pracowałem. Cholera, poświęciłem życie Cosa Nostrze. Teraz chciałbym odpocząć. Zasłużyłem sobie na to.

– Oczywiście – powiedział Gio. – Czy my również jesteśmy na to gotowi?

– Cóż, na pewno wkrótce się przekonamy.

***

Gio wiedział, że z jego życiem jest coś nie tak. Na pewno tak było. Przejazd z kolacji i imprezy w domu rodziców wypełniało milczenie Kim. No, może nie tyle milczała, co zamyślona wpatrywała się w świat za oknem i ledwo usłyszała, że Gio zadał jej pytanie.

To ani trochę do niej nie pasowało.

Kiedy wrócili do mieszkania, nadal nie sprawiała wrażenia, jakby miała ochotę coś powiedzieć. Zamiast tego zaczęła robić wszystkie te czynności, jakie zawsze wykonywała przed położeniem się do łóżka, ale tym razem było inaczej. Bo wcale się w nim nie położyła.

– Czy przypadkiem o wpół do ósmej rano nie masz jakichś zajęć? – zapytał Gio, patrząc, jak płucze kubki, które następnie włożyła do zmywarki.

– Co?

– Jutro wcześnie rano masz zajęcia.

– To wykład.

To w żaden sposób nie stanowiło odpowiedzi na jego pytanie. Coraz bardziej się irytował.

– Nie idziesz?

– A dlaczego miałabym nie iść? – odpowiedziała pytaniem Kim.

– Bo jest już po północy, a ty rano zachowujesz się jak jędza, jeśli nie przespałaś co najmniej siedmiu godzin.

I nie miał tu absolutnie na myśli jej zwyczajowej, pozytywnej zadziorności.

Kim westchnęła, kontynuując porządki.

– Nie czuję się teraz zmęczona. Jeśli chcesz się położyć, Gio, to się nie krępuj. Nie musisz na mnie czekać.

Taaak, coś zdecydowanie było nie tak. Gio zawsze mógł podnieść swojej żonie ciśnienie kilkoma odpowiednio dobranymi słowami. Nauczył się też jednak, jak ją równie szybko uspokoić kilkoma innymi, ale nie w tym rzecz. Kim nawet nie zareagowała na nazwanie jej jędzą.

– Co takiego zrobiłem? – zapytał Gio.

Kim posłała mu zdziwione spojrzenie.

– O co ci chodzi?

– O mnie, Kim. Ewidentnie coś zrobiłem i leży ci to na wątrobie. Co to takiego?

– Nic, Gio. Idź do łóżka i daj mi to skończyć.

– *Tesoro*…

– Możesz już wreszcie iść, Giovanni? – przerwała mu Kim, a w jej zwyczajny, słodki ton wkradła się ostra nuta.

No dobra.

Bardziej niż kiedykolwiek zmieszany i rozdrażniony Gio zostawił żonę w kuchni, żeby dalej kisiła się z tym, co teraz gotowało się w jej głowie. Nie była to pierwsza sprzeczka między nimi, jaką stoczyli bez

słów, które zaczęły padać dopiero potem, ale mimo wszystko dzisiejsza sytuacja gnębiła go jak nic innego.

To nie miało żadnego sensu. Dzień właściwie minął w porządku. W ciągu ostatniego tygodnia też nie wydarzyło się nic, co by mogło sprawić, że Kim byłaby na niego wkurzona.

Mieli ze sobą dobry kontakt. Była to jedna z tych rzeczy, które w ich szybko się rozwijającym, szalonym związku zaskoczyły Gio najbardziej. Kim nie przeszkadzało mówienie, a jemu słuchanie. Jednak nawet jeśli miał coś przeciwko jej gadaniu, to ona po prostu przestawała. W najgorszym razie mogła też wymusić na Gio, by jej wysłuchał, ale nawet pod przymusem by to zrobił. I to właśnie było najważniejsze.

Dlaczego go nie słuchała?

Przechodząc obok wejścia do kuchni, z laptopem w ręce, Gio zerknął do środka. Kim wciąż tam stała, tak jak ją zostawił. Tyle tylko, że teraz patrzyła przez małe okno, z dłońmi opartymi o blat, a wzrok miała nieobecny, tak jakby faktycznie w ogóle jej tam nie było.

Gio zatrzymał się nagle.

No poważnie, co takiego, do kurwy nędzy, zrobił?

Jasne, jego podenerwowanie w kościele zdawało się ją wkurzać, ale tamtą rozmowę mieli już za sobą, nie? Co to mogło być, poza kwestią dziecka?

Nic.

Obróciwszy się na pięcie, Gio odłożył laptop na małym stoliku w korytarzu, po czym ruszył do łazienki. Może po prostu wyobrażał sobie coś, czego tak naprawdę nie było, ale zbyt wiele czynników nagromadziło się w ciągu dnia i jego podejrzenia nie chciały się ulotnić. Kim, jej emocje i zachowanie, zdawała się być wszędzie, tylko nie tutaj. Jego żona po prostu się tak nie zachowywała.

Ewidentnie coś się zmieniło.

W łazience Gio otworzył szafkę pod zlewem. Zaczął w niej grzebać, szukając czegoś, co by wskazywało, że jego przypuszczenia są właściwe. Nic nie znalazł. Niewielki kosz na śmieci też był pusty. Gio nie musiał iść do kuchni, żeby wiedzieć, że tamten też jest pusty. To

on przecież wrzucił worek ze śmieciami do zsypu, zanim wyszli do kościoła.

– Kurwa mać – mruknął, po czym kopnięciem zamknął drzwi szafki.

– Co ty, do diabła, tu robisz? – zapytała Kim wściekłym głosem, sprawiając, że Gio natychmiast odwrócił się twarzą do niej. – Teraz będę musiała to wszystko poskładać. Przecież teraz nic tam nawet nie trzymasz. Czego szukałeś?

– Jesteś w ciąży? – wyrzucił z siebie Gio niemal natychmiast.

Kim cofnęła się, jakby ją uderzył.

– Co proszę?

– Czy jesteś w ciąży, Kim?

Gio nie wiedział, co niezrozumiałego jest w tym pytaniu. Było dość jednoznaczne i wymagało jedynie odpowiedzi tak lub nie.

– Tego właśnie szukałeś? Testu ciążowego czy czegoś w tym rodzaju?

Gio wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że takie rzeczy sprzedają w paczkach, jak wszystko inne, co kupujesz.

– Czasami – zgodziła się Kim, unosząc brew. – Ale nie tak, jak jakieś pieprzone słodycze czy inne tampony, Gio. Zwykle zużywa się je zaraz po otwarciu.

– A skąd ty to wiesz, *dolce ragazza*?

– Czułe słówka cię już teraz nie uratują – powiedziała Kim, zaciskając mocno usta i zęby. – Myślisz, że naprawdę bym coś takiego przed tobą ukrywała?

– Nie wiem – mruknął Gio, machając w jej kierunku ręką, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – Może moja żona uważa, że byłbym tak cholernie nieudolny w ojcostwie i opiece nad dzieckiem, że nie może mi mówić takich rzeczy? Czy to niesprawiedliwe założenie?

– Nie sądzę, byś był nieudolny.

– Tak? Bo od rana, kiedy zostaliśmy z Johnathanem, zachowujesz się jakbym był chodzącą zarazą.

– Wcale nie. I to okropne, że mówisz takie rzeczy. Nie, nie uważam, żebyś był niekompetentny. Myślę, że po prostu spanikowałeś. Było aż tak źle, że nie mogłeś mi nawet odpowiedzieć,

czy kiedykolwiek będziesz chciał dzieci? Tak, Gio, to zabolało. Boli jak cholera. Masz świadomość, że posiadanie dzieci to kolejna z tych rzeczy, których nigdy nie przedyskutowaliśmy? To prawdopodobnie jedna z najważniejszych spraw w życiu, a my nawet jej nie poruszyliśmy.

– Więc mów!

– Nie, myślę, że jasno dałeś do zrozumienia, jakie są twoje odczucia w tym temacie – odparła Kim drwiąco.

– Widzisz, uwierało cię to bardziej, niż chciałaś przyznać. Tu nie chodzi tylko o to, o czym nie rozmawialiśmy, ale o fakt, że uważasz, że w ogóle bym ich nie chciał albo, co gorsza, że nie dam rady być dobrym ojcem.

– Tego nie powiedziałam.

– Dzieci mnie przerażają, Kim. Boję się ich jak jasna cholera. Zawsze byłem odpowiedzialny tylko za siebie i nikogo poza tym. Dzieci są od ciebie zależne we wszystkim. Nie ma nawet jednego momentu w ciągu dnia, w którym nie byłyby uzależnione od dorosłej osoby, by mogły żyć. Chyba wolno mi być lekko zaniepokojonym myślą, że to ja mógłbym być tą osobą.

– Nie byłbyś jedyną taką osobą – powiedziała Kim. – Też w tym siedzę.

– Wiesz, co mam na myśli. – Gio potarł ręką czoło, odczuwając frustrację. – A tak w ogóle, rano nie dałaś mi okazji, bym odpowiedział. Przerwali nam. To nie jest ten typ rozmowy, w którym chciałbym, żeby brali udział mój brat i ojciec.

Kim skrzyżowała ręce na piersi, wbijając wzrok w podłogę.

– A masz jakąś odpowiedź?

Tak szczerze powiedziawszy, Gio nie musiał nawet o tym myśleć. Wiedział, czego chce. Musiał tylko pamiętać, że naprawdę podobał mu się widok dziecka w ramionach jego żony. Wydawało się to naturalne i piękne. Jego obawy, że okaże się, iż nie jest wystarczająco dobry do takich spraw albo wręcz wcale się do tego nie nadaje, były realne, ale z drugiej strony wszystko inne w jego życiu po prostu przychodziło z czasem. Kim na pewno będzie wspaniałą matką, a w duszy miała bezkresne pokłady miłości. Ktoś, kto będzie po części każdym z nich dwojga, zasługiwał, by również poczuć tę miłość.

– Tak, pewnego dnia chciałbym mieć dzieci.

– Pewnego dnia? – powtórzyła Kim. – A cóż to znaczy?

– To znaczy pewnego dnia. Chcę mieć dziecko… albo dwoje. Z tobą.

– To dopiero konkrety.

– Na tę chwilę nie mam lepszej odpowiedzi, Kim. A ty? Potrafisz odpowiedzieć?

Kim zmarszczyła brwi.

– To znaczy? Na przykład kiedy ja będę chciała mieć dzieci?

– Dokładnie.

– Mam zaledwie dwadzieścia dwa lata.

– No i co? – zapytał, wzruszając ramionami. – To mi nic nie mówi.

– Chodzi mi o to, że mam jeszcze półtora roku studiów – odparła Kim, patrząc na niego, jakby mu wyrosła druga głowa.

– To również…

– Nie chcę teraz dzieci, Gio!

– Zrozumiałem – powiedział zaskoczony jej wybuchem. – Zasadniczo mogę spokojnie założyć, że to też stanowi odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie.

Ręce Kim znów opadły wzdłuż boków, a z jej niebieskich oczu zniknął cały gniew.

– Nie jestem w ciąży. Byłbyś pierwszym, który by się o tym dowiedział, i to w sekundę po mnie. W porządku?

Choć po jej słowach poczuł ogromną ulgę, to jednak zaraz po niej delikatny smutek. Nie przypuszczał, że gdy jego podejrzenia okażą się nieprawdą, pojawią się u niego tak sprzeczne uczucia. Jak to możliwe?

– Nie możesz mnie winić, że się zastanawiałem – powiedział, opierając się o umywalkę, uważnie dobierając słowa. Nie miał zamiaru wkurzać jej jeszcze bardziej, niż była w tym momencie. – Cały dzień byłaś dziś nieobecna.

– Ja?

– Tak jakby. Po prostu nie byłaś sobą. Nie wiedziałem, co mam myśleć.

Kim wypuściła głośno powietrze.

– Nie wolno mi nawet mieć gorszego dnia, bo ty od razu myślisz, że zmajstrowaliśmy dziecko?

Okej, kiedy tak to ujęła, faktycznie Giovanniemu jego zachowanie wydało się niedorzeczne.

– To jednak było coś więcej. Cały tydzień byłaś szczęśliwa, tak jak zwykle. A potem, w kościele, poczułaś się rozczarowana, kiedy nie odpowiedziałem ani w żaden inny sposób nie zareagowałem na twoje pytanie. Możesz zaprzeczać, ale miałaś to wypisane na twarzy. I może przez to zacząłem się doszukiwać czegoś, czego nie ma.

– To dlatego zniknąłeś w trakcie kolacji? – zapytała Kim.

– Poniekąd. Choć głównie chciałem trochę pomyśleć, a ty cieszyłaś się dzieckiem i ludźmi. Nie chciałem cię od tego odciągać – odparł, uśmiechając się i mając poczucie, że przetrząsając łazienkę, zachował się kompletnie irracjonalnie. – Czyli szukanie czegoś było bezcelowe, bo zwyczajnie tego tutaj nie było?

Kim uniosła ramiona, co miało być chyba wyjaśnieniem, ale Gio zauważył jej nagłą chęć dłubania przy paznokciach. Jak się już dawno przekonał, tak Kim się zachowywała, gdy czymś się stresowała.

– O co chodzi, *tesoro*?

– Nie tak całkiem bezcelowe.

Ożywiony umysł Gio nagle zamarł.

– Powinienem był coś znaleźć?

– Nie po ostatnim miesiącu – powiedziała Kim z uśmiechem, który nie był jednak tak promienny jak zazwyczaj. – Kilka miesięcy temu zmieniłam zastrzyk na tabletki, ale się popieprzyło. Nie pytasz mnie o takie sprawy, więc ja też nie zaczynałam tematu. Nie cały czas byliśmy zabezpieczeni, wiesz?

Gio skinął głową.

– Jasne.

– Jak o parę dni spóźniał mi się okres, pomyślałam, że zrobię sobie test, żeby się upewnić, że nic się nie stało. I masz rację. Byłam nieobecna, tylko że zauważyłeś to dopiero dzisiaj. Oczywiście wynik testu był negatywny, więc go wyrzuciłam i tyle.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Kim zaśmiała się ponuro.

– Powiedziałabym ci, gdyby coś wyszło, ale wtedy trochę za bardzo mnie zajmowało bycie śmiertelnie przerażoną.

– Że ja zacznę wariować – założył Gio, zakłopotany, że w ogóle tak się poczuła.

– Nie – odparła miękko. – Śmiertelnie przerażona tym, że mogę być w ciąży. Mówiłam ci, że mam tylko dwadzieścia dwa lata. Chcę dokończyć studia. Naprawdę ciężko pracowałam, by znaleźć się tu, gdzie jestem teraz i gdzie chcę się znaleźć. Nadal mam ścieżki, którymi chcę podążać. Choć to miłe uczucie potrzymać dziecko, to teraz nie jest dla nas najlepszy na to czas. A przynajmniej nie dla mnie.

– Zatem dla mnie również nie – odrzekł po prostu Gio. – Jesteśmy młodzi, Kim. Mamy mnóstwo czasu.

– Dobrze wiedzieć.

– Jesteśmy do siebie zbyt podobni. Popatrz, myślałem, że właśnie porwał cię prąd dziecięcej gorączki, a tak naprawdę miałaś dokładnie tę samą zagwozdkę, co ja. Jestem idiotą.

Kim się uśmiechnęła, puszczając do niego oczko.

– Tak, ale jesteś moim idiotą, więc…

– Powiesz mi, jak będziesz już gotowa, prawda? – zapytał Gio.

– Dowiesz się pierwszy. Obiecuję.

– No i wiesz, może bycie rodzicami chrzestnymi Johnathana nie będzie takie złe, jak z początku myślałem.

Kim posłała mu badawcze spojrzenie.

– A to dlaczego?

– Bo będziemy z nim spędzać mnóstwo czasu. Przynajmniej jak coś spierdolę przy dziecku Luciana, będę wiedział, czego nie robić ze swoim własnym.

– Gio!

– Ale co? To prawda. Trzeba żyć i się uczyć.

Kim potrząsnęła głową, powstrzymując śmiech.

– Boże, to takie okropne.

– Chciałaś powiedzieć, że okropne jest moje spojrzenie na całą sprawę – poprawił ją Gio, wzdychając lekceważąco. – Lepiej jeśli teraz się nauczę, niżbym miał zdobywać doświadczenie przy naszym własnym. – Kim nie próbowała nawet zaprzeczać jego słowom.

A może po prostu nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. – No i jest jeszcze coś dobrego w czekaniu, jeśli chodzi o ciebie… – Gio przerwał z cichym pomrukiem.

– Hmmm?

– Ćwiczenia – wyjaśnił Gio.

Kim się roześmiała i zaczęła się cofać, gdy Gio ruszył w jej kierunku.

– Ćwiczenia?

– Uhm. Ty i ja, wszędzie, gdzie zdołam cię zabrać. Ćwiczenia, *bellissima*. Praktyka czyni doskonałym.

Gdy Kim się odwróciła, by uciec, zataczając się ze śmiechu, którym już rozbrzmiewał cały korytarz, Gio ruszył za nią. Złapał ją w pasie tuż przed kanapą, a potem oboje się na nią rzucili.

On wiedział, że Kim nie potrzebuje żadnych ćwiczeń.

Dla Gio już była doskonała.